

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

DYMY NAD BIRKENAU

CZYTELNIAK -1967

WSTĘP

W krematoriach Oświęcimia i Birkenau spłonęło do dnia 18 stycznia 1945 r. około pięciu milionów ludzi. Byli to Polacy aresztowani przez gestapo lub powstańcy przywiezieni z Warszawy, Rosjanie, Jugosłowianie, Czesi, Anglicy, Holendrzy, Francuzi, Belgowie, Włosi, Ukraińcy, Estończycy, niemieccy kryminaliści i dzieci różnych narodowości, przywiezione do obozu koncentracyjnego lub urodzone tu, oraz Cyganie, których potraktowano podobnie jak Żydów, zabierając do gazu cały ich obóz, mieszczący mężczyzn, kobiety i dzieci. Dane te zaczerpnięte zostały w okresie likwidacji obozu od osób zatrudnionych w wydziale politycznym Oświęcimia.

Długi pobyt mój w Birkenau (1942—1945) i różnorodność prac pozwoliły mi zgłębić wiele tajemnic. Sprawy najskrytsze wykonywane były rękami więźniów. Przez te ręce, pracowicie spełniające wszystko, co im spełnić kazano, przechodziła cała ewidencja żywych oraz rejestracja tych, którzy wprost z pociągu szli na śmierć, nie podlegając ewidencji ani tatuowaniu.

Niesłychany chaos i niemożność stwierdzenia tożsamości tysięcy żywych i zmarłych spowodowały wprowadzenie tatuazu. Był to wielki błąd taktyczny, popełniony przez władze obozu. Dziś w sposób naoczny stwierdzić można, jak nikły procent więźniów Oświęcimia pozostał przy życiu. Wprawdzie papiery zostały zniszczone, całe wozy „Todesmeldungów” wypadło nam ciągnąć do spalania, lecz znając liczbę końcową, bardzo łatwo obliczyć, ile osób zginęło w Oświęcimiu. Miliony ludzi weszło do łagru. Gdzież są? Opuściło lager zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Niemcy nie przypuszczali, że każdy numer nakłuty na ręce więźnia stanie się dokumentem. Tatuując, ustawiano słupy graniczne tysięcy, dziesiątków i setek tysięcy. Spróbujmy powołać ich na jeden jeszcze generalny apel. Spróbujmy ustawić ich piątkami i zliczyć, ilu ocalało z każdego tysiąca. Wiem, że wynik byłby przygnębiający. Stanęlibyśmy nieliczni, jako żywy, tragiczny dokument, jako pojedyncze, kaprysem losu zachowane ogniwa wielkiego łańcucha ludzi, których pozbawiono życia.

Dziś w Oświęcimiu i Birkenau stoją puste baraki. Przypadek zrzucił, że pośpieszna likwidacja obozu została przerwana. Plan likwidacji przewidywał zatarcie wszelkich śladów po najkrwawszej części oświęcimskiego obozu, zwanej Birkenau. Gdyby na miejscu baraków i krematoriów wyrosła trawa, łatwiej może byłoby wybielić tę sprawę wobec Europy i całego świata. Tymczasem stało się inaczej. Czerwona Armia jak pożar pędziła naprzód w niespodzianie szybkim tempie. Obóz został zaskoczony.

Dziś można wskazać dokładnie te miejsca, gdzie krew lała się najobficiej (zresztą piędzi ziemi tam nie ma, na którą by krew nie padła). Wprawdzie w roku 1944 zakładano ogródki, siano kwiaty i urządzano koncerty, lecz to nie zatarło w pamięci naszej widoku nagich trupów leżących w potwornych stosach pod barakami. To nie zatarło w nas wspomnienia selekcji, w wyniku których osoby stare, schorzałe i niedołążne wleczono na dwudziesty piąty blok, który był blokiem śmierci. Zbyt długo trwały godziny konania chorych na tyfus i czerwonkę leżących w błocie, żeby to można było kiedykolwiek zapomnieć. Zbyt wyraźnie mówiły apele

generalne, jak nikły procent zostaje przy życiu. Marli artyści, ludzie talentu, ludzie geniuszu, ludzie przeszłości i ludzie przyszłości. Z tych

licznych śmierci, z tych strasznych hekatomb ludzkich z każdych gasnących oczu podnosiła się niema prośba, ostatnia wola konających. Wola ta zapadła w pamięć zostających przy życiu, rozszerzała ścianki serca, zdawało się, że rozerwie druty, rozewrze bramy, że na świat cały zakrzyknie, że krzyk ten doleci aż do państw wolnych, do narodów miłujących wolność.

Z Oświęcimia wraca nas niewielu. Gdy pamiętnych dni styczniowych 1945 r. otwarto szeroko bramy i wyprowadzano pośpiesznie pod gęstym konwojem tysiące ludzi, gdy na trasie Oświęcim — Gross-Rosen rozwinął się wielokilometrowy pochód zgiętych w trudzie nędzarzy i ciągnął nieprzerwanie drogami śląskimi, zostawiając tu i ówdzie na śniegu ciemną postać więźnia dobitego przez SS-mana, Ślązacy z pobliskich miast i wsi przystawali w zdumieniu. Z daleka, z progów domu, bojąc się zbliżyć do złowieszczej drogi, unosili dłonie i kreślili znak krzyża nad idącymi.

— Jak to — mówili — więc tyle ludzi mieścił Oświęcim? To nieprawdopodobne!

Idącym nie wolno było odezwać się ani słowem, nie wolno było zatrzymać się przed nimi i krzyknąć:

— Nie, nieprawda! Nie tyle ludzi mieścił Oświęcim. Mieścił znacznie więcej. Ci, którzy idą, to tylko garstka, to niedobitki. Większość spośród żywych wywieziono już wcześniej w głąb Niemiec, wywożono w ciągu całego ostatniego roku.

Dziś, gdy piszę te słowa, po nieznanym drogach Deutschlandu idą w nieprzerwanym trudzie zbolale stopy moich powracających towarzyszy. Idą ciągle. Poprzez gwar życia, poprzez ciszę samotności słysząc ich ociężały, znużony krok.

Opowieść moja obejmie tylko fragment gigantycznej maszyny śmierci, jaką był Oświęcim. Zamierzam podać wyłącznie fakty bezpośrednio zaobserwowane albo przeżyte. Wydarzenia opisane przeze mnie działy się w Birkenau (Oświęcim II). Dla uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że nie zamierzam powiększać niczym doniosłości faktów ani zmieniać ich ze względów propagandowych. Są rzeczy, których powiększać nie potrzeba. Wszystko, cokolwiek tu podam, jestem w stanie udowodnić przed każdym trybunałem.

Są to przeżycia i obserwacje jednej osoby. To tylko kropla w wielkim, niezmiernym oceanie.

Przemówią niewątpliwie i inni, którzy obóz ten przeżyli. Przemówią też ci, którzy wrócą z innych, licznych obozów.

Lecz większość nie wróci nigdy i nigdy nie przemówi.

Część pierwsza

ROK 1942

Rozdział pierwszy ARBEIT... ARBEIT... ARBEIT... *(praca)

(Ciemna noc. W baraku nie podzielonym na izby ani części śpi na dziwnych rusztowaniach około tysiąca kobiet. Ciemność gęsta, pełna oddechów i wyczewów. Koce, których więzień nie ma okazji zobaczyć nigdy przy świetle, wydają się również ciemne. Każdy zawija się w nie jak najszczelniej i czuje wdzięczność za odrobinę ciepła daną znużonemu ciału, lecz jednocześnie mimo woli usiłuje odgadnąć poprzednie przeznaczenie tych koców i doznaje wstrętu. Skulone ciała drętwieją na twardym posłaniu. Jakieś krótkie przebudzenie, nagłe rozdarcie ekranu sennych marzeń bolesną świadomością, że to Oświęcim. Człowiek przygarnia się bliżej jeszcze do swego śpiącego sąsiada — z radością, jeśli jest to ktoś bliski, ze smutkiem, gdy to ktoś obcy lub wrogi. Sen, wierny sprzymierzeniec, spada szybko na śmiertelnie znużonych ludzi, głusząc odczucia. Kto może, śpi mocno snem skondensowanym niejako, całym systemem nerwowym chłonąc wypoczynek. Krótkie są noce w obozie. A trzeba w ciągu nich, leżąc nieruchomo w ciemnej czeluści barłogu, zrzucić z siebie zmęczenie dnia minionego i znaleźć siły potrzebne na dzień następny.

W ciszy uspiętego baraku brzmi nieprzerwanie kaskadą wielogłosową kaszel. Czasem ktoś krzyczy przez sen wymawiając w przerażeniu niemieckie słowa, których boi się w ciągu dnia.

Nikt ze śpiących nie słyszy przeciągłych gwizdków na wstawanie, rozlegających się w kilku stronach obozu. Ale już wewnętrzna policja więźniów pełniąca gorliwie służbę w dzień i w nocy daje o sobie znać. Ponure, jękliwe „Aufstehen!” (wstać, powstać)* niesie się po całym baraku zatrzymując się nad śpiącymi, poparte uderzeniami kija o deski każdej pryczy. Jest zupełnie ciemno. Gdzieś z głębi barłogów rozlega się stłumiony jęk. To ktoś zbudził się i po raz pierwszy tej nocy poruszył zbolące ciało. Przebudzenie to chwila najcięższa — bez względu na to, czy jest się w obozie pierwsze zaledwie dni pełne rozpacz, w które co rano na nowo przeżywa się bolesny wstrząs, czy też jest się długo, bardzo długo, gdy każdy poranek przypomina, że brakuje sił, żeby rozpocząć znów dzień taki sam jak wszystkie poprzednie. Nękające „Aufstehen!” rozlega się nieprzerwanie, wreszcie zdenerwowany głos nocnej warty rozstaje się z językiem niemieckim, w którym zna tylko to jedno, źle wymawiane słowo, i przerzuca się na polski, w którym wysławia się biegle i swobodnie:

- Wstając, gnoje pierońskie, inteligencjo przeklęta, wstając! Looos! (jazda)* Aufstehen!

Kij tym razem nie poprzestaje na deskach, lecz sięga głębiej, bijąc śpiące kobiety po nogach, ramionach i głowach. Wszczyna się ruch. Posłusznie podnoszą się obudzone, szukają błędzonymi w ciemności rękami butów ukrytych pod siennikiem. Potrącając się nawzajem wdzwiewają te części odzienia, które zdjęły z siebie na noc. Z przyściennych czeluści, przypominających budowę swą katakumby, zaczynają wydostawać się na wąskie przejście, w

którym jest już ciasno. Barak może pomieścić tak wiele osób tylko wtedy, gdy znajdują się one na owych rusztowaniach zwanych kojami (u mężczyzn buksami). Gdy schodzą i stają na ziemi, mieszczą się z wielkim trudem. Ale barak nie jest miejscem, gdzie więzień przebywa w ciągu dnia. Sypia tu tylko i wychodzi w kilka minut po gwizdku na wstawanie, by wrócić dopiero wieczorem.

W roku 1942 Birkenau (tak zwany Oświęcim II) to pole bagniste, ogrodzone drutami elektrycznymi. Nie ma żadnych dróg, żadnych ścieżek pomiędzy blokami, cały lager pozbawiony jest wody, a równocześnie (do końca zresztą) jakichkolwiek ścieków. Wszelkie brudy, odchody, odpadki leżą cuchnąc i gnijąc. Żaden ptak nie pokazuje się nisko nad Birkenau, choć w ciągu wielogodzinnych apelów więźniowie mają czas wypatrywać. Powodowane węchem czy instynktem ptaki omijają to miejsce. Birkenau oficjalnie nie istnieje. Nie jest wymieniane nigdy w adresie. Sposób budowania tego obozu świadczy, że nie zamierzano tu przetrzymywać ludzi dłużej. Jest to pewnego rodzaju poczekalnia przedkrematoryjna. obliczona na dwadzieścia do trzydziestu tysięcy ludzi. Oto jak powstała:

Na otoczonej drutami łące ustawiono zimą 1941/1942 w dwóch identycznych kompleksach po piętnaście baraków murowanych i po piętnaście drewnianych. Nie położono w nich podłóg ani sufitów, przykryto je tylko dachami, przez które śnieg wnika swobodnie do środka. Na wrotach wisiały metalowe tabliczki z napisem „Pferdestelle” (stajnie)* i z zarządzeniami dotyczącymi wypadków zachorowań koni na przyszcycę. Tabliczki takie zachowały się w wielu barakach do ostatniego dnia. Zachowały się także umieszczone na wysokości głowy konia żelazne kółka.

W tej części obozu wcześniej niż ludzie zamieszkała śmierć: wielu z przychodzących do budowy więźniów Oświęcimia padło przy pracy i skonało w błocie Birkenau.

Początkowo barak drewniany był dla Polaków niedostępny i czas roku 1942 w Birkenau zróśli się z obrazem murowanych baraków. Obserwując strukturę wnętrza baraku murowanego można z łatwością odtworzyć sobie jego pierwotny wygląd. Ciągną się tam cztery rzędy końskich przegród. Są to niewielkie stajenki bez sufitu i ścianki zewnętrznej, poprzedzielane cienkimi ściankami dwumetrowej wysokości. Cztery okienka w dachu i małe okienka w ścianach zewnętrznych oświetlają je skąpo. Dwa rzędy środkowe przegród przylegają do siebie nawzajem, a dwa zewnętrzne — do dłuższych ścian baraku. W ten sposób powstają pomiędzy przegrodami dwa wąskie przejścia dla obsługującego, który idąc ma po dwóch stronach stojące we wnękach konie. Przegród w każdym baraku murowanym jest ponad 50. A oto prosty sposób, w jaki stajnie te przerobiono dla ludzi: W każdą przegrodę wmurowano dwa pomosty drewniane, pierwszy całkiem w górze, na wysokości dwóch metrów, drugi o metr niżej. Pomosty te wykonano ze spojenia belkami dwojga drzwi przyniesionych z okolicznych domów. W ten sposób w każdej przegrodzie powstają trzy legowiska, jedno wprost na ziemi, drugie na wysokości metra, trzecie na wysokości dwóch metrów, a więc w całym baraku jest legowisk ponad sto pięćdziesiąt. Na każdym legowisku mieszczą się dwa sienniki wypchane (przepisowo — w dniu, gdy są nowe) czterema kilogramami wiórków albo trzciny z okolicznych stawów. Na posłaniu takim sypia od sześciu do dziesięciu osób, tzn. na miejscu przeznaczonym dla jednego

konia mieszka osiemnaście do trzydziestu osób. W okresach dużego napływu mieści się czasem ponad tysiąc dwieście ludzi w jednym baraku (tj. w jednej sali). Wnętrze baraku przypomina jakiś ogromny kurnik lub króliczarnię. Dolne koję są najgorsze. Mokro w nich i zimno od ziemi, która w dni deszczowe jest w przejściach rozdeptana tak dalece, że grzęźnie w niej obuwie. Jest w nich ciemno; dziesiątki nóg zasłaniają ustawicznie dopływ światła. Nigdy nie można usiąść prosto, bo koję są za niskie. Nocami stada szczurów atakują najniższe legowiska. Koje środkowe są tak samo ciasne, lecz nieco widniejsze. Wprawdzie zabłocony but wchodzącej na górne posłanie trafia często w ciemnościach na głowę śpiącej, lecz za to sienniki są tu suche. Górne koję są widne. Na górnych kojach jest dość powietrza. Tu można nie tylko usiąść prosto, ale uklęknąć, a nawet stanąć. Wprawdzie w dni deszczowe ich zalety znikają wobec prostego faktu, że dach jest dziurawy, niemniej jednak są zawsze uważane za najlepsze. W murowanych blokach nie ma światła, więc ludzie wracający wieczorem z pracy po ciemku wchodzą w swe legowiska podobne do katakumb, po ciemku szukają koców, po ciemku zdejmują z siebie odzież. Jakże ciężko, gdy nie przychodzą paczki żywnościowe, zdobyć się na kupno świeczki od pracujących w magazynach. Ileż razy trzeba sobie odmówić chleba czy margaryny, żeby wreszcie wieczorem, ustawivszy świeczkę obok siebie, zdjęć koszulę i w tym oświetleniu łapać wszy. Są kobiety, które to robią bez światła po omacku, te jednak poprzestają na wyłowieniu wszy większych, darując życie małym i gnidom.

W głębi ciemnych nor, jak w piętrowych klatkach, przy mętym świetle tu i ówdzie płonących świeczek, nagie, wychudłe postacie, zgięte w pałąk, sine od zimna, pochylone nad kupką brudnych łachów, z wtuloną w ramiona ogoloną głową, co chwila łapiące chudymi palcami insekty i zabijające je ostrożnie na brzegu koi —to obraz baraku z 1942 roku. Bielizna brudna. Z braku wody nie pierze jej się, tylko oczyszcza z wszy.

Kobiety walczą z brudem. Tworzą się specjalne systemy, udoskonalane i stosowane powszechnie. Lecz walka jest bezcelowa. Jak wspomniałam, na posłaniu sypia pokotem obok siebie kilka kobiet. Jeżeli nawet wszystkie one po niezliczonych wysiłkach oczyszczą koce i odzież i doprowadzą swoje legowisko do stanu względnej czystości, cały ich trud idzie na marne w chwili, gdy na blok przychodzi „Zugang” (nowo przybyły do obozu więźniów albo grupa więźniów)* z innego baraku. Jeżeli wniosą wszy, jeżeli wniosą rozpowszechniony w obozie świerz, to śpiąc pod wspólnymi kocami wkrótce wszystkie są tą klęską dotknięte. I znowu podejmuje się wysiłek od początku.

Pomiędzy rusztowaniami legowisk nocna warta z blokową i sztubowymi popychają teraz ludzi przy pomocy rąk i kijów w kierunku drzwi. Gęsty tłum idzie powoli i niechętnie, ociągając się przed wyjściem w wilgotny chłód nocy. Suną wpółsenie, wpółprzytomnie, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu. Nie widać, kto jest obok pod powłoką ciemnych łachmanów. Od progu słychać już chlupot błota rozdeptywanego licznymi stopami. Światło gwiazd i księżyca, osłabione blaskiem płynącym od strony drutów na krańcach obozu, oświetla pochylone sylwetki kobiet, z trudem wyciągających z błota nogi poowijane w szmaty.

Niektóre twarze jawią się na chwilę w tym oświetleniu i nikną szybko w cieniach nocy. Niektóre mają w swych rysach ciszę zupełną i przedziwne piękno spokoju, jakby te kobiety umarły już wcześniej i oblicza ich zakrzepły w niemym wyrazie smutku. Tych zapomnieć niepodobna. Inne mają rysy wykrzywione pasją, wściekłością, gniewem. O tych pragnie się zapomnieć.

Kto czuje się na siłach, kto ma nie opuchnięte nogi, może jeszcze pobiec przed porannym apelem na poszukiwanie wody. W całym kobiecym obozie Birkenau jest w tym czasie ciężko z wodą. Do kuchni i baraku dezynfekcyjnego pełnego zawsze nowo przywiezionych nie wolno wchodzić, jeśli się chce uniknąć pogruchotania kości kijem SS-mana. Kilkudziesięciu tysiącom ludzi dostarcza wody jeden kran za klozetem, czynny najczęściej nad ranem, przed gwizdkami na apel. (Gdy nawet otwierano niekiedy wodę w ciągu dnia, nie można było z niej korzystać będąc przy pracy poza lagrem.) Jeżeli wstanie się dość wcześnie, jeżeli ma się szczęście, że właśnie w tym dniu wodę otwarto, jeżeli uda się przecisnąć przez tłum setek lub tysięcy kobiet, jeżeli uniknie się kija jakiegś capo (dozorca spośród więźniów) * nawet tu rozdającej ciosy z wrodzonego zamiłowania do porządku, to w szczęśliwym przypadku chwyci się do miski kwaterkę wody. Można teraz, jeżeli tłum rozkołyszany nie wyleje jej, robić, co się tylko podoba: pić albo pracować, albo myć się — co kto chce.

Po błocie, w którym nogi grzęzną do kostek, idą w stronę klozetów lub z powrotem postacie wlokące się z trudem, oświetlone białawym światłem lamp na betonowych słupach. Czasem ktoś pada i daremnie usiłuje wstać o własnych siłach. Padając i wstając słabnie coraz bardziej, aż wreszcie atak bóleści zmusza go do pozostania na miejscu. Upiorne widma leżą tu wszędzie. Ktoś jęczy. W słabym oświetleniu nie wiadomo, kto jest martwy, a kto wzywa pomocy.

Tymczasem blokowa i sztubowe zaczynają ustawiać apel. Nie mają one najczęściej pojęcia o mustrze, a czasem nawet i o rachunkach, przeto ustawianie i liczenie trwa niezwykle długo. Tymczasem rozdano kawę, jedyny posiłek poranny przed dniem pracy. Skostniałe dłonie chwytają skwapliwie blaszaną miskę, na której dnie widnieje trochę czarnego płynu. Nie unosi się już para nad napojem, ale drżące wargi szukają odrobiny ciepła dla siebie, ręce usiłują ogrzać się od miski.

Gwiazdy zaczynają blednąć, ale zorza nie zjawia się jeszcze na wschodzie. Policzywszy ludzi przed swoim blokiem sztubowe zaczynają wyprowadzać gorączkujące lub osłabione czerwona chore i umieszczać je na stołeczkach lub na ziemi. I wreszcie wynoszą konające, żeby ułożyć je przed blokiem dla policzenia. Bezwładnie wyciągnięte na mokrej ziemi postacie ludzkie, przyrzucone taplającymi się w błocie kocami, przykuwają wzrok zdrowych, które przybyły do obozu niedawno. Ktoś mówi cicho:

— Niosą teraz p. Pietkiewiczową, żonę kapitana z Rawy Mazowieckiej. Umrze już lada dzień. A tu leży pani Zahorska, literatka. Inteligencja znosi to wszystko najgorzej. Tam siedzi doktor Garlicka, lekarz-ginekolog z Warszawy, obok niej panj Grocholska z Polskiego Radia.

Nie można odwrócić wzroku; wszędzie pod innymi barakami widać to samo. Trzeba patrzeć wprost i myśleć o nadejściu gorączki, która nie omija nikogo. Ktoś mówi szeptem, jakby do siebie:

- To jednak dobrze, że Oświęcim otoczony jest tajemnicą, że dzieci nie wiedzą, jak giną ich matki.

Z mroków nocy wylaniają się stopniowo baraki i ustawione przed nimi w piątkach kobiety. Mgła z okolicznych bagien przesłoniła wszystko, co można byłoby ujrzeć za drutami, wchłonęła w siebie i uczyniła nie istniejącym dla wzroku. Owinęła cały obóz dokoła, stwarzając złudzenie samotnej wyspy. Tysiące ludzi widać przed barakami, lecz po drugiej stronie drutów nie ma nikogo na przestrzeni wielu kilometrów. Górą wybucha od czasu do czasu pąsowy znicz płomieni z krematorium. Świadomość pustki i zatruty skrada się wolno razem z poranną mgłą, która podchodzi pod same druty walcząc ze światłem. Na drutach żarzy się tu i ówdzie krwistoczerwona lampa, świadcząc o śmiertelności napięciu prądu. Jest ona jak sygnał, jak przynęta. Patrzenie w nią budzi niepokój. A oto od kompleksu ciemnych baraków odrywa się mały punkt i z wolna dąży w kierunku owego światła. Ledwie widać z daleka, że to człowiek. Jak zahipnotyzowana czyjaś woła, której ulega zupełnie, postać ta idzie pomału naprzód, nie oglądając się, nie zatrzymując ani na chwilę. Druty kolczaste oblane światłem elektrycznym, rozciągnięte równo między słupami z betonu, wyglądają jak pokryte szronem.

Pomiędzy nimi a rowem biegnącym wokół całego terenu jest wąski pas ziemi, półmetrowej może szerokości, nie deptany niczymi stopami.

Ziemia obozu zeskorupiała jest i twarda od tysięcy stóp depczących ją bez przerwy, lecz tu, na tym wąskim pasie, rośnie bujnie trawa, pokryta rosą co rano, a zimą leży śnieg niepokalanie biały, nie znaczone nigdy śladem nóg. Ów pas ziemi czeka na tych wszystkich, którzy zwątpili, że wolność może przyjść, na tych, którzy chcą odejść tą wąską, czystą ścieżyną. Ciemna postać kobieca jest już blisko, mija mostek usypany z ziemi i staje pod płonącej czerwoną lampą. Słyszysz już zapewne śpiew drutów, w których coś bez przerwy szumi, dzwoni, brzęczy. Wznosi ręce i pada. Strzał z budki wartowniczej rozlega się w chwili, gdy ciało jej zwisło na drutach. Cisza panuje wkoło. Apel poranny nie skończył się jeszcze. Nikt nie biegł ratować, przeszkadzać samobójstwu. Ktokolwiek poszedłby za nią na pas śmierci bez rozkazu SS-mana, padłby od kuli. Gdzieś w innych częściach obozu rozlegają się także strzały świadczące o dalszych samobójstwach. Poranne zimno zaczyna teraz dokuczać. Jak okiem sięgnąć, stojące we mgle wzdłuż całego obozu postacie kurczą się, przytupują w miejscu albo podskakują dla rozgrzewki. Tymczasem blokowa przynosi najgorszą wiadomość:

— Apel się nie zgadza. — (W roku 1942 prawie nigdy apel się nie zgadzał.) Blokowa przelicza w dalszym ciągu, SS-manki sprawdzają, a następnie obchodzą druty, żeby dodać liczbę martwych. Równocześnie gromada gorliwych capo i Ober-capo (starszy dozorca spośród więźniów)* z Lager-Alteste (najstarszy obozu)* na czele poszukują tych, które nie zgłosiły się na apel. W ciągu trzech kwadransów, czasem godziny od chwili, gdy stwierdzono

brak, zdołano wyciągnąć z rozmaitych ciemnych zakamarków nocy, z nieuczęszczanych kątów za blokami, z klozetów, z rowów i wgłębień ziemi te wszystkie istoty, które chciały już tylko skonać spokojnie, które resztą niknących sił szukały sobie ustronnego zakątka, żeby wydać ostatnie tchnienie. Odnaleziono je, wywleczono z ich schowków. Musiały raz jeszcze stanąć do apelu. Poszturchiwane, lżone szły pomiędzy szeregi więźniów.

Prowadzą oto biedaczkę nie mogącą rozpoznać, w którym z piętnastu murowanych baraków mieszka i gdzie powinna stanąć. Nie umie podać swego numeru ani nazwiska, bo ciężka choroba mąci jej świadomość. (W 1942 roku jeszcze nie tatuowano numerów na rękach.)

Apel stoi ciągle w całym obozie, skostniałe kobiety proszą Boga, żeby wreszcie ktoś rozpoznał chorą. W głowach nie jawi się myśl żadna, ręce tylko rozcierają zziębnięte ciało.

Gwar dolatujący z obozu męskiego świadczy o tym, że stamtąd wyruszają już do pracy. Istotnie na drodze pomiędzy dwoma ogrodzeniami z naelektryzowanych drutów zjawia się gromadka więźniów. We mgle, w której z trudem rozróżnić można cokolwiek, rozlega się cicha muzyka. Wychudłe postacie w pasiastej odzieży wtapiają się w szarość i stanowią dziwnie smutny kontrast z wesołą melodią. Są bardziej do mgły niż do ludzi podobni, kiedy tak zbici w gromadkę stoją na zimnie i grają w chwili, gdy dzień się jeszcze nie zaczął. W tej chwili rozwiera się naprzeciwko brama obozu męskiego i gęste kolumny wychodzą na drogę. U wylotu drogi przy małym domku stoją SS-mani i czekają. Mężczyźni idą równo w takt grającej orkiestry. Uważny capo z żółtą opaską na ramieniu woła donośnie: Links! (lewa) * links! links — und links!

Idą cisi i spokojni jak mary bezwolne, bez ochoty — i bez protestu. Pierwsi są już blisko SS-manów, a z bramy wychodzą ciągle nowi. Teraz capo zrywa czapkę z głowy, krzyczy w stronę kolumny maszerującej:

Miitzen ab!(zdjąć czapki) * — i pędem rzuca się w stronę SS-manów. Jest coś niemal hańbiącego w widoku ogolonych głów bezbronnych mężczyzn maszerujących karnie przed kilkoma uzbrojonymi Niemcami; jest coś przykrego w postawie capo, który stoi na baczność, przycisnąwszy swoją czapkę do pasiastych spodni, i melduje. Rozwiera się druga brama i kolumna wychodzi robiąc miejsce następnej. Znow capo, znow piątki, znow links — to samo. Tak samo chudzi i czarni są wszyscy, tak samo nieruchomo sterczą ich ogolone głowy, tak samo ręce przywarły do spodni. Mechaniczność wykonywanych przez nich ruchów budzi przestrasz. Idą jak jakieś wielkie, martwe wojsko, odbywające swą defiladę, idą ciągle nowi i nowi, liczyć ich można łatwo, po pięciu. Minał tysiąc, dwa — dziesięć tysięcy, a oni ciągle idą. Gdyby tam szedł twój ojciec, twój brat lub syn — nie poznasz, tak starzec podobny jest do młodzieńca swą wątłą postacią, a młody chłopiec pooraną ma twarz jak starzec. Wszyscy jednakowo sztywni i martwi. I wciąż bez przerwy idą naprzód obok grającej orkiestry, obok SS-manów, obok domku wartowniczego, za bramę, za druty, w pole.

Gwiazdy zbladły już dawno, niebo zszarzało i na wschodzie zaczynają wykwiatać pierwsze różowe zorze budząc bolesną myśl, że to właśnie tam, na północny wschód od tego miejsca, jest Warszawa, jest dom, są ludzie bliscy. Kto z nich zrozumie kiedyś tajemnice Oświęcimia?

Robi się coraz jaśniej dokoła, każdy przedmiot rysuje się teraz wyraźnie, mgła ustąpiła zupełnie otwierając widok na rozległe łąki. Różowy odbłask zórz ubarwił delikatnym brzeżkiem nieruchomy kształt martwej kobiety leżącej na drutach. Jej prawe ramię wzniesione do góry zaczęło się i tak pozostało wyciągnięte ku niebu gestem prośby czy przysięgi. Głowa bezwładnie przegięta w tył ukazuje twarz dziewczęcą, posiniałą wskutek porażenia prądem.

Ciszę obozu kobiecego zakrzepłego w nieruchome grupy apelowe przecina wreszcie upragniony głos gwizdka, po którym fanfara wielojęzyczną wybucha ogólny gwar. Jest to pora wychodzenia za bramę, pora nieopisanego zgiełku. Schrypnięte capo i anwajzerki (kierująca pracą)* biegają nieustannie, zbierając ludzi. Ponad tą wrzawą rozlega się nie milknące szczekanie psów. SS-mani z wilczurami czekają pod bramą, żeby wyprowadzić kolumny do pracy.

Jest wewnątrz obozu mała, licząca zaledwie kilkanaście osób grupa, która nigdy nie wychodzi za bramę, a więc nie doświadcza przykrości związanych z pracą w polu. Należy do niej sprzątanie „Lagerstrasse”(ulica obozowa) *. Odpowiedzialna za tę pracę jest Monika Galicyna, jedyna zdaje się w tym czasie Polka spełniająca funkcję anwajzerki. Czerwona opaska na jej ramieniu jest oznaką władzy. „U Moniki” starają się pracować te, które już w żaden sposób nie są zdolne do ciężkiej pracy. Co rano po zakończeniu apelu Monika odchodzi ze swą grupą do składu po narzędzia. Po drodze ciągle ktoś się dołącza prosząc oczyma anwajzerkę, żeby pozwoliła zostać. Ona nikomu nie odmawia. Jej grupa jest zawsze zbyt liczna. Wchodzi z kobietami do składu narzędzi i tam, patrząc przez okno, pozwala się schronić pod dachem i ogrzać — możliwie najdłużej. Dopiero gdy mundur SS-mański zjawia się w pobliżu, Monika mówi:

— Wyjdziemy!

Uzbrojone w łopaty, miotły, taczki idą sprzątać obóz. Kilkanaście chorych kryje się tam codziennie, korzystając z tego, że Monika nie tylko nie bije, ale nie skłania nikogo do pracy. Jej zajęcie polega na patrzeniu bez przerwy w stronę Blockfuhrerstuby (budyne warty SS przy bramie)*. Czasem podchodzi do kryjących się przed deszczem kobiet i mówi spokojnie:

- Proszę poruszać się trochę, idzie Oberaufseherin (starsza strażniczka SS)*.

Monika dowiodła swoim postępowaniem, że będąc funkcyjną można ułatwiać życie i pomagać towarzyszkom. Niestety, bardzo szybko zastąpiono Monikę jakąś energiczną prostytutką krakowską, która z niezwykłą przyjemnością i znanstwem była podlegającą jej kobiety.

Wewnątrz obozu może znaleźć zatrudnienie mała zaledwie grupa. Dla większości pozostaje tzw. „Aussenarbeit” (praca na zewnątrz obozu w polu)*.

Przez bramę idą szeregi nędzarek. Idą sprężone, równo, rytmicznie, mijają groźną blondynę, Oberaufseherin Mandel, która bez drgnienia powieki skazuje na śmierć.

Mijają Rapportführera (SS prowadzący raport)* Taube, który ma specjalny system uderzania zniemacka kobiet pięścią w twarz ciosem tak niezawodnym, że nawet silne przewracają się momentalnie w tył. Mijają Aufseherin(SS dozorczyńni strażniczka)* Drechsler, mającą w swej kościotrupiej twarzy, w degenerackim układzie wystających zębów wypisany wyraz nienawiści. Mijają Aufseherin Hassę, która lubi najpierw bić po twarzy, potem dopiero zaczynać rozmowę. Mijają Lager-Altteste Bubi, długoletnią kryminalistkę, zdegenerowaną tak dalece, że na podstawie obserwacji jej ruchów, głosu, twarzy i sposobu bycia trudno byłoby określić, czy to kobieta, czy mężczyzna.

Każda z maszerujących kobiet pragnie uniknąć ich spojrzeń, niczym nie zwrócić na siebie uwagi, być częstką sunącej gąsienicy i niczym więcej. Bezpieczniejsze są w tej chwili te, które idą w środku piątek, ponieważ kije podniesione przez SS-manów w celu liczenia kobiet bardzo często spadają z lada powodu na głowy idących z brzegu.

Po obu stronach bramy, jak u wrót mitycznych piekieł, wyją, ujadają, pienia się z wściekłości i prężą na smyczach wielkie psy wytresowane w rzucaniu się na ludzi. Za każdą kolumną, zależnie od jej liczebności, rusza od bramy kilku SS-manów, dźwigając ręczne karabiny maszynowe i prowadząc psy.

Jest świt, nie widać jeszcze słońca, tylko różowe smugi zorzy. Na drzewach i kępkach trawy srebrzy się szron. Niemiecki wartownik stoi w drzwiach przydrożnej budki, tonąc w ogromnym kożuchu. Podniósł futrzany kołnierz, uszy w nausznikach przechyla - - to jedno, to drugie — w głąb kołnierza, bije się po bokach rękami w dużych rękawicach, wielkie buciska przytupują żwawo. Tak, zimny jest październikowy poranek.

Maszerującym sinieją nogi bez pończoch, kostnieją stopy ciągnące z trudem płytkie drewniaki. Drżą zgarbione plecy odziane w jeden sweter — a wiele kobiet nie dostało swetrów i idzie w cienkich sukienkach drelichowych z krótkimi rękawami, odczuwając każde muśnięcie wiatru. Zimno nawet w głowy ogolone do samej skóry, na które wieje wiatr unosząc rogi związanych pod brodę na sposób niemiecki chustek.

Wschód słońca zastaje wszystkich w marszu: z części przyległej do samego miasta i od niego noszącej nazwę Oświęcim, ze wszystkich bram zakonspirowanego Birkenau, odległego o trzy kilometry od Oświęcimia, wychodzą długie kolumny jednakowo głodne i zmarznięte i idą do pracy bliżej lub dalej, czasem nawet kilkanaście kilometrów. O ile droga nie jest zbyt uciążliwa z powodu zimna, błota czy grudy, jest to jedna z najlepszych okazji do swobodnego myślenia.

Kto z idących nie zaczynał wtedy dnia pytaniem: „Ileż dni jeszcze?” Gdy czas płynął nie przynosząc zmian, zastąpiono dni w pytaniu tygodniami, później miesiącami. Lecz minęły lata i ciągle tak samo wschodzące słońce witało kolumny szaro-pasiastych postaci w drodze do pracy. Wtedy jednak brakło już sercu odwagi pytać: „Kiedy?”

Wielka kolumna Polek skierowuje się na lewo i zatrzymuje się przy ostatnim narożniku obozu męskiego, mieszczącego później kwarantannę wstępną. Tam trzej szefowie biorą sobie odpowiednią ilość kobiet do pracy. Pierwsza grupa zostaje na miejscu przy małych wagonikach, druga idzie znacznie dalej aż pod nowo zbudowane baraki, trzecia udaje się drogą na lewo i znika w lesie. Jest to szczęśliwy okres, gdy nie trzeba koniecznie chodzić do tej samej kolumny i gdy można swobodnie zmieniać pracę poznając okolicę i rodzaje zatrudnień więźniów.

Praca przy wagonikach ma wiele stron dodatnich, przede wszystkim tę, że czas do wieczora mierzy się ilością załadowanych i przewiezionych wózków. Ponadto, ponieważ pracuje się na gorze piasku, nigdy pod nogami nie ma błota, choć deszcz ze śniegiem tworzy gdzie indziej kałuże. Natomiast nie ma się gdzie schować przed nawałnicą niesioną jesiennym wichrem. Z miejsca pracy nie wolno się ruszyć pod żadnym pozorem. Tak więc, gdy ręce trzymające łopatę stają się czerwone i martwe, gdy odzież i bielizna przemokły na wskroś, a woda spływa swobodnie po plecach, trzeba stać na swoim miejscu. Można wtedy nie pracować, bo dozorczy skryli się gdzieś sami przed deszczem, ale nie można odejść. Najłżejsze są te dni, w których deszczowa nawałnica mija szybko, a wiatr przewiewa i suszy ubranie na rozgrzewających się od pracy ciałach. Gorzej, gdy deszcz pada do wieczora; trzeba wtedy mokrą odzież ułożyć przed snem na posłaniu i przykryć własnym ciałem, żeby trochę przeschła.

W dni deszczowe trzeba sobie umieć wypełnić czas, żeby szybciej upłynęły godziny od wschodu słońca do wieczora. W pobliżu wagoników, po drugiej stronie drogi, stoi mała chata. Wzrok mimo woli kieruje się często ku niej, jako ku jednemu śladowi ludzkiego bytowania. W obrębie wielu kilometrów dokoła obozu usunięto wszystkich mieszkańców zostawiając bezludną pustkę, w której ustawiono tablice broniące tu wstępu. A oto tak blisko stoi dom. W marzeniach, w rojeniach nierealnych mała chatynka nabiera osobliwego znaczenia, staje się pierwszym schronieniem na wypadek ucieczki. W niej właśnie można przykleknąć, żeby z daleka nie dostrzeżono przez okno, zrzucić z siebie pasiastą odzież i zniszczyć swój numer przyszyty na piersiach. Wzrok bezwiednie bada sytuację, otoczenie najbliższe, położenie w stosunku do lagru i do drogi.

Znacznie później domek rozebrano. Na jego miejscu powstał piękny barak z oknami, mieszczący w sobie biuro budowlane. Zniknęło więc miejsce, w którym byłoby można ukryć się na wypadek ucieczki — ale nie snuło się już wtedy planów na temat nielegalnego opuszczenia obozu.

Praca grupy drugiej polega na montowaniu linii szyn w nowo zbudowanym obozie SS-manów. Baraki, które są właśnie na wykończeniu, mają wewnątrz podłogę, podzielone są na małe pokoiki, a przede wszystkim mają duże okna. Kanalizacja została już przeprowadzona. Niedługo jednak pozwolono ludzić się, że pomieszczenia te, w których można by stworzyć znośne warunki bytu, będą oddane do użytku więźniom. Niestety, przeznaczono je dla SS-manów na mieszkania, biura, lazaret oraz obóz wypoczynkowy dla powracających z frontu.

Prowadzący roboty szef chce przewozić wagonikami wszelkie ciężkie przedmioty na terenie budowy. Przenoszenie szyn to ciężka robota. Znajdują się one gdzieś pod lasem, poobrastane mchem i trawą, wgniecione częściowo w miękki grunt, połączone drewnianymi podkładami.

— Ich brauche zwanzig Stuck, zwanzig jungę kraftige Weiber — potrzebuję dwadzieścia sztuk, dwadzieścia młodych, silnych kobiet.

Należy odkręcić śruby, którymi były połączone całe tory, wejść w przegrody mniej więcej co drugie czy trzecie przeszło (zależy to od długości odcinka, który jest do przeniesienia tym razem), chwycić dłońmi po dwu stronach i — „hoch!”. Kręgosłup wygina się w łuk, ręce prężą się jak dwie napięte struny, w których z każdą chwilą powiększa się ból. Najciężej nieść wysokim, ale nikt nie myśli o tym, żeby do tej pracy dobrać kobiety równego wzrostu. Padnie jedna robotnica — tysiące, dziesiątki tysięcy następnych przyjdą do tej pracy i wiele z nich zerwie również swe siły.

W pewnej chwili idąca w środku wysoka Czeszka puszcza szyny i podnosi dłonie krzycząc:

— Ne mohu, ne mohu!

Wskutek wstrząsu i dodatkowego obciążenia ramiona niosących wyciągają się jeszcze bardziej, grzbiet się napręża. Capo, wieloletnia kryminalistka zatrudniona tu jako dozorczyni więźniów politycznych, zaczyna wrzeszczeć używając ordynarnego dialektu śląskiego i bijąc kijem idącą nadal w kratce szyny Czeszkę. Wśród szarpaniny rozkołysany tor omal nie wyrwa rąk dźwigającym kobietom. Nie sposób nieść dalej. Pochód staje. Wtedy młody SS-man przychodzi z pomocą capo. Wielki szary wilczur posłusznie rzuca się na Czeszkę, przewraca ją i drze zębami jej uda. Szef ze spokojem odwraca się i przeczekuje to niespodziane opóźnienie w pracy. Kobiety ciągle trzymają szyny, lecz plecy ich uginają się, kilka rąk w końcu pochodu odrywa się od ciężaru i wtedy zardzewiałe żelazo opada końcami w piasek. Capo nie wychodzi jednak ani na chwilę ze swej roli poganiacza. Jak bezmyślny woźnica smagający biczem pierwszego konia w zaprzęgu, żeby go zmusić do szarpnięcia, tak ona bije bez przerwy pierwszą kobietę idącą na czele pochodu, aż kij pęka i z furkotem spada na ziemię. Pochód niosący szyny znów z wolna posuwa się naprzód, zbuntowaną Czeszkę zmuszono do powrotu i dźwigania wraz z innymi, mimo że zbita jest i pokaleczona przez psa. Płat sukni wydarty od góry do dołu zwisa do ziemi, z odsłoniętego ciała płynie po nogach strumyczkami krew.

Grupa druga w ogóle nie ma szczęścia. Praca tu jest bardzo pilna, od niej bowiem zależy wykończenie obozu SS-manów. Ustawiczny pośpiech i popędzanie często kończą się biciem. Kobiety wolą zrobić więcej, lepiej i szybciej, byleby uniknąć upokarzających i denerwujących awantur; pięć z nich popycha wagonik, zwany lorą, napelniony po brzegi żwirem. Należy go wsunąć na prymitywną zwrotnicę, odwrócić i wprowadzić na nowy tor, a potem pchać dalej w innym kierunku. Całe szyny ułożone są bardzo prowizorycznie, montowały je bowiem same kobiety bez pomocy fachowców i w nerwowym pośpiechu. Jest mokro, wszystko śliskie i oblepione żwirem. Jakiś większy kamyk dostał się widocznie pod koła, bo nagle na zwrotnicy wagonik ze zgrzytem wysunął się z szyn i ugrzązł w piasku, ujechawszy jeszcze

dwa kroki siłą rozpędu, naciskany ramionami pchających. Kobiety stają zupełnie bezradne. Na szczęście, w pobliżu nie widać szefa. Próby pociągnięcia ciężaru z powrotem okazują się najzupełniej daremne, lora pełna żwiru ani drgnęła, a tymczasem każdej chwili może nadejść capo. Zaczyna się ciche, sekretne zwoływanie. Czając się i chyląc przemykają w stronę wykolejonego wagoniku te kobiety, które pracują na piaszczystym wzgórzu. Rozglądając się na wszystkie strony zbliżają się te, które wyrównują żwir, jakaś grupa wracająca na swoje miejsce po odniesieniu szyn dołącza się również. Wspólny wysiłek ramion, pleców dźwigających od spodu, łopat podważających wryte w piasek koła - - i ciężar drgnął. Lęk dodaje sił. Pchnęły znów skutecznie: jednym kołem koleba stanęła na szynie. Z daleka biegnie capo dostrzegłszy pustkę przy kilku punktach pracy, lecz zanim się zbliża, jeszcze jedno szarpnięcie, jeszcze jeden podryw — i wagonik pełen żwiru jedzie znów po szynach. Ewa Niedzielska z Krakowa dźwigała razem z innymi. Była śmiertelnie blada, czoło pokryło się drobnymi kropelkami, ręce drżały. Może już wtedy rozwijała się w niej choroba płuc, która później zabiła jej młody organizm. Wówczas przy zbyt ciężkiej pracy, wśród ustawicznych zaziębień, o głodzie, gruźlica mogła się rozpocząć. Wtedy jednak nikt o tym nie wiedział. Błada twarz Ewy, owinięta czerwoną w białe kropki chusteczką, uśmiechała się do ludzi pogodnie i tak pozostała w naszej pamięci.

Grupa pracująca w lesie budzi ogólną zazdrość. Dość trudno znaleźć się w tej części wielkiej kolumny, żeby zostać na końcu razem z określoną ilością piątek idących do lasu. Las! Tęsknota do jego ciszy kojącej po straszliwym, nie milknącym gwarze lagru, tęsknota do chwili samotności, podczas gdy w obozie nigdy człowiek nie jest sam, w dzień ani w nocy, w żadnej sytuacji; tęsknota do trzasku gałęzi gnących się na wietrze, do cichego poświstu wilgi - - ptaka leśnych ustroni - - to wszystko sprawia, że wiele kobiet zna tajemnicę tak doskonałego ustawienia się w piątkach, żeby na pewno, nieomylnie znaleźć się w grupie pracujących w lesie. Roboty jest tu lżejsza niż gdzie indziej; polega ona na brukowaniu drogi. Majster, Ślęzak, nie upatruje w kobietach równowartościowej z mężczyznami siły fizycznej i nie wymaga zbyt wielkich wyników. Poza tym las osłania przed surowymi oczami SS-manów, obowiązujące bicie i popędzanie nie musi więc być koniecznie stosowane. Układa się tu ciężkie głązy kamienne dobierając odpowiednie kształtem, zasypuje się szczeliny żwirem i wreszcie ubija się gotową drogę ciężkimi stemplami.

Droga! Dokąd może prowadzić? Dobrze czasem wiedzieć, dokąd prowadzi droga w lesie. Ale żadna z pracujących nie wie, majstra zaś pytać niebezpiecznie. Kierunek jej jest ze wschodu na zachód, ginie w lesie i nikt nie zna jej kresu.

Nagle w ciszy szumiących drzew daje się słyszeć dudnienie samochodów i zaraz potem zbiorowy, rozpaczliwy krzyk przejeżdżających w głębi lasu ludzi, niknący w oddali protest i znak dla tych, którzy pozostają jeszcze przy życiu. Zawsze jadący na śmierć wydają taki krzyk i teraz jest zupełnie zrozumiałe, co to znaczy. Po chwili przejechało następne auto, znów krzyk przeleciał nad lasem i ucichł, a potem jeszcze auto trzecie. Słychać tylko kobiece głosy. Dyskretnie to urządzono. Las — i nikt nie widzi, i nigdy nikt się nie dowie, i nigdy nikt światu i nie powtórzy. Te, co pracują przy budowie dróg, kobiety cienie, choćby nawet przez

gęstwę drzew coś widziały, nie wyjdą stąd. Spoglądają na nie czasami oczy SS-manów zwężone uśmiechem, a usta mówią przez zęby:

— So wie so Brzezinka, so wie so Krematorium. — Tak czy inaczej, Brzezinka, tak czy inaczej, Krematorium.

(Las ten zwie się Brzezinka, od niego dzielnica krematoryjna obozu wzięła swą nazwę.)

Później miały powstać tam wysokie krematoria, luksusowo urządzone komory gazowe zbudowane dla masowego zabijania ludzi. Ta właśnie droga leśna miała być drogą do krematoriów. Na razie jednak robi się to tak „od ręki”. Jest w lesie między gęstwiną drzew dom, którego ściany uszczelniono, i on to służy tymczasowo za komorę gazową.

Na prawo od nowo powstającej drogi wszczyna się niezwykle widowisko. Płomienie ognia dobywają się z wielkiego dołu, wokół którego krzątają się więźniowie. Poprzez gałęzie drzew, zwłaszcza gdy się podejdziesz trochę bliżej, można widzieć doskonale, jak mężczyźni długimi kijami spychają z wózka nagie ciała ludzkie i rzucają je w płomienie. W kłębach dymu migają ruchliwe sylwetki męskie i rzucające z wysoka rozjaśnione płomieniami nagie trupy. Wkrótce dym staje się gęsty, ciemny i nieprzejrzysty; ciężko wpełza pod gałęzie drzew, jest coraz bliżej, aż z wolna ogarnia pracujące przy drodze kobiety, budząc wstręt i grozę. Śwad spalonego ciała ludzkiego, który miał towarzyszyć wszystkim dniom i nocom lagrowym aż do końca, straszny charakterystyczny zapach włacza się z bliska do ust, nosa, gardła.

Wszystkie trzy grupy owej wielkiej kolumny Polek zbierają się na przerwę obiadową pośrodku łączki pod lasem, gdzie wydaje się obiad. W tych złych czasach jedna jest rzecz dobra: kotły są hermetycznie zamknięte i wstrętna brukwią i zupa zaprawiana saletrą nabiera wielkiego znaczenia dla skostniałych ludzi, gdyż jest zupełnie gorąca. Z biegiem czasu kotły uległy zniszczeniu i zniknęła ta jedna z niewielu zalet. Tymczasem jednak około południa coraz częściej zwracają się głowy w stronę, z której nadjeżdża zwykle wóz wiozący kotły, i wszyscy liczą czas do chwili, gdy wreszcie można się będzie rozgrzać. Niestety wózek nie przyjeżdża na samo miejsce i trzeba chodzić po pięćdziesięciolitrowe kotły pół kilometra po rozmięklej drodze. Zwykle capo bez namysłu wyznacza potrzebną do tego liczbę pracownic, które z rezygnacją brną po błocie. Nie wszystkie jednak są dość silne. Wybrano mizerną, bladą kobietę, która właśnie powróciła ze szpitala po ciężkim zapaleniu płuc. Capo jest Ślązaczką rozumiejącą doskonale po polsku, używającą nieprawdopodobnie brzydkiej gwary. Jedna z kobiet wyznaczonych również do dźwigania kotłów zwraca się do capo wskazując na rekonwalescentkę i prosi o zastąpienie jej zdrowszą.

W obozie jednak istnieje znamienne odwrócenie pojęć: wszystko, co słabe, delikatne, niezaradne, chore, zasługuje na prześladowanie, jest zepchnięte i zdeptane. Kryteria tego rodzaju przesiąkają z selekcji przed-krematoryjnych, gdzie siła fizyczna chroni, czasem zresztą tylko na krótko, od natychmiastowej śmierci.

A więc capo jednym pchnięciem ramienia przewraca w błoto rekonwalescentkę, obrzucając ją przy tym spojrzeniem pełnym pogardy i kopnąwszy kilka razy zwraca się do Polki, która pozwoliła sobie na branie w obronę słabszej. Kilka uderzeń kija w czaszkę i kobieta zamroczona pada twarzą pomiędzy stojące towarzyski.

Przerwa obiadowa trwa godzinę, z czego co najmniej połowę zabiera stanie w ogonku po zupę. Zupę uważa się za świetną, jeżeli wyłowi się w niej kilka kawałków ziemniaka albo skrawek mięsnej konserwy — to jednak przytrafia się tylko tym, które miały szczęście dostać porcję z dna kotła. Resztę czasu można poświęcić odpoczynkowi. Można umyć się wodą z małego rowku, tak czystą, że niektórym służy nawet do picia. Można by leżeć na żółknącej trawie — ale na to szkoda czasu. Ciało rozgrzane zupą i południowe światło — to rzadka okazja; a więc pośpiesznie ściąga się część odzieży, żeby się odwszyć. Jest to zajęcie, któremu poświęca się każdą, najkrótszą nawet wolną chwilę.

Razem z kolumną Polek dostaje na łączce obiad kolumna Żydówek z Belgii i Francji. Postawa ich pełna jest rezygnacji. Każda z Polek wie, że może ją tu spotkać śmierć, ale może również tej śmierci uniknąć, i wszelkimi sposobami stara się uodpornić. One natomiast wiedzą, że czeka je tylko zagłada, i nie mają nic przeciwko temu, by swój zgon przyspieszyć i uniknąć śmierci w gazie.

Tego dnia, gdy lodowaty deszcz ze śniegiem bił bez przerwy aż do południa, zaczęto we właściwej porze dzielić obiad. Lecz śnieg błyskawicznie napełnia miski, ślepi oczy rozdzielającej obiad capo, wichur porywa dzieloną zupę i rzuca ją na łąkę. Wtedy stała się rzecz niezwykła: wszystkim pozwolono przekroczyć granicę nowo budującego się lagru i wejść pod dach nie wykończonego jeszcze drewnianego baraku. Jest to obóz B II c. Tam dokończono dzielenia wystygłego obiadu. Resztę czasu kobiety poświęcają wyżymaniu odzieży, z której płyną strumienie wody, i rozcieraniu sobie nawzajem pleców. Smutny lęk widać w wielu oczach. Tym razem zupa nie rozgrzała nikogo, zsiniałe ciała drżą z zimna. Jedna z Żydówek belgijskich, piętnastoletnia dziewczyna, dostała nagłego ataku febry. Leży na ziemi przemoknięta, z zaciśniętymi ustami, podrzucana przez dreszcze. Nie ma na sobie nic prócz sukni i pantofli. Może gdyby zjadła trochę zupy, gdyby nie leżała tak niemal przez godzinę na mokrej ziemi, gdyby rozgrzała się ruchem i masażem — może dałoby się ją uratować. Ale w niej nie widać już chęci życia. Sinymi wargami, poprzez falę dreszczów powtarza po francusku:

— Mamo, śmierć idzie.

Śmierć szła rzeczywiście i była już blisko, ale miało ją jeszcze poprzedzić cierpienie. Gwizdek na koniec obiadu nie poruszył jej. Nie poruszył jej również kij capo. Leżących uważa się w obozie za sabotujących i kij jest jedynym środkiem, jakim się parlamentuje — częstokroć już z konającymi. Wreszcie, gdy do głowy capo dotarła myśl, że to jednak nie sabotaż, nie upór, nie lenistwo — kazała dwóm Żydówkom wywlec leżącą i rzucić ją na mokrą kupkę ziemi. Tam umieściły ją w pozycji półsiedzącej, z głową przechyloną do tyłu i opartą o żwir. Dziewczyna była delikatna i wypielęgowana, lecz już powlekała się szarością zgonu. Mimo to capo znów usiłowała zmusić ją do podniesienia się. Ale ciało jej było już

zwiotczałe. Pod wieczór wystąpiły na nim sine ślady uderzeń i zanim szef zagwizdał na koniec pracy — nie żyła.

Jeżeli ktoś chce zobaczyć obóz w samym mieście Oświęcim, a ma przy tym zdrowe nogi, to najlepiej postąpi dając się zagarnąć rano do kolumny noszenia desek. Jest to mieszana kolumna polsko-żydowska. Jak dziwny kondukt pogrzebowy, długi, smutny i monotonicznie szary, sunie pomiędzy lagrami, nosząc deski ze składu w Oświęcimiu do nowo ustawionych baraków w Bir-kenau. Obok budki wartownika przy skrzyżowaniu dróg, przez krótki tunel przecinający murowany budynek (później tamtędy przeprowadzono szyny kolejowe), drogą pomiędzy obozem kobiecym na lewo a nie zamieszkanymi wtedy jeszcze obozami na prawo posuwa się pochód z deskami. Przy ukwieconej Blockfuhrerstubie pochód skręca w prawo i idzie szarobiałą aleją z betonowych słupów, równych, identycznych, rozstawionych w jednakowych odstępach i gęsto pokrytych białymi izolatorami. Kolczaste druty nie wszędzie jeszcze są założone, prąd nie włączony i można, schyliwszy głowę, wsuwać się z deską na ramieniu przez szparę między drutami na nowo powstający obóz B II d.

Gdy wzrok napotyka wszędzie baraki, druty, nowo budujące się lagry, marzenie o ucieczce zatracza realne kształty zamiarów i planów, staje się fikcją niezdolną budzić nic więcej prócz smutnego uśmiechu żalu. W miarę jak jesienne pogody stają się coraz gorsze, inne marzenia rodzą się podczas pracy w sercu skostniałego więźnia: o ciepłym, czystym kocu, w który byłoby można owinać przeziębione ciało po powrocie do lagru, o pracy w jakimś magazynie, gdzie dach i ściany baraku chroniłyby od deszczu, o zapasowej bieliźnie na zmianę, o suchych butach, o szklance gorącej herbaty.

Na liściach drżą jeszcze krople wody, ale wiatr przegnał już chmury i wyczyścił niebo. Po całym dniu spędzonym na otwartej przestrzeni można ocenić teraz wyziewy obozu, do którego zbliża się powracająca z pracy kolumna. Czasem z odległości kilku kilometrów zatrute powietrze daje już o sobie znać, przypominając na przemian odkryte klozety, cuchnące okolice baraków szpitalnych lub najbardziej charakterystyczny oddech krematoriów. Wiatr nagłymi porywami nanosi wyziewy, rozwłóczy je po polach, rozciąga na dużej przestrzeni. Ze wszystkich stron jak okiem sięgnąć zbliżają się kolumny, suną szarym kształtem przez wszystkie polne drogi, przez zielone ścieżyny wśród łąk, przez groble pomiędzy trzęsawiskami. To więźniowie Oświęcimia. W przedwieczornej ciszy ogarniającej ziemię idą niosąc na ramionach zamordowanych towarzyszy. Mężczyzn ginie znacznie więcej przy pracy niż kobiet, gdyż są oni jeszcze bezwzględniej traktowani. Każdą niemal kolumnę zamyka smutny pochód — krótkie „tragi”, przeznaczone do dźwigania żwiru czy kamieni, używane bywają często jako nosze, na których składa się i niesie do obozu ciała zmarłych. Czasem taczka popychana dłońmi wiernego towarzysza skrzypi i grzęźnie w mokrym żwirze, a z jej krawędzi zwisa bezwładnie głowa zabitego człowieka i z drugiej strony chyboczą w miarę wstrząsów nogi. W braku noszy i taczek więźniowie niosą zmarłego kolegę we dwóch w ten sposób, że jeden zarzuca sobie na szyję jego nogi, drugi ramiona, i tak dźwigają wygiętą, bezwładną postać. W bramie orkiestra gra głośno niemieckie marsze, których melodia na zawsze zapada w serca chyba tylko po to, żeby niezmiennie budzić w pamięci obraz pochodów śmierci.

Obóz kobiecy wygląda w porze powrotu z pracy zupełnie inaczej niż rano. Zdawać by się mogło, że w ciągu dnia działo się tu coś niepojętego, czego rezultaty można teraz oglądać. Na ziemi pomiędzy barakami leżą w różnych pozycjach kobiety. Młode ich ciała mają sinawą barwę, twarze wykrzywione grymasem śmierci, zęby zacięte w szerniałych, rozchylonych wargach. Żeby przejść do swojego baraku, trzeba je wymijać, przekraczać, przeskakiwać, tak pełno leży ich wszędzie tarasując drogę. Na odchylonych wskutek śmiertelnych skurczów udach widać jeszcze opaleniznę z okresu letnich miesięcy, które spędzały w słońcu z dala od obozu koncentracyjnego. Wieczorny apel to znów przewlekłe przepędzanie ciężko chorych z bloku do bloku, ustawianie ich, układanie zmarłych, liczenie tych, które jeszcze żyją, i tych, którym dzień dzisiejszy przyniósł już wyzwolenie. Słońce zachodzi, gdy zaczyna się apel wieczorny, lecz jest już całkiem ciemno, gdy się kończy. Kończy się dzień — o jeden krok stała się krótsza nieznana droga, która pozostała jeszcze do przebycia. Ciemne baraki pełne zgiełku i wrzawy tchną gorączkowym podnieceniem, zioną odgłosami walki o byt, o kubek ciepłej kawy, o suchy ką na posłaniu, o skrawek podartego koca.

Na drutach wszystkich lagrów zapalają się światła wyznaczając dziwną mapę śmierci. Gdzieś daleko, w obozie cygańskim - - a może w czeskim - - dzwon donośnie gong na ciszę. Lecz cisza nigdy nie spływa w to huczące rojowisko. Tysiące ludzi, tysiące spraw małych i powszednich, mających jednak swój wyraźny cel: ratowanie życia — kłębi się w ciemnych barakach i wokół nich.

A górą, ponad szumem obozowego życia, ponad liniami drutów szemrzących ustawicznie swe ciche ostrzeżenie przed śmiercią, wybucha snopami pąsowych płomieni ogień z krematoryjnego komina i trwa ruchliwą plamą w ciemności jak znicz zapalony z ludzkich ciał.

Rozdział drugi TO TYLKO GRYPA

(Chodząc do pracy w pole, przebywając dzień cały poza drutami i wracając wieczorem na krótki wypoczynek odczuwa się niewątpliwie w pełni egzystencję obozu, lecz nie wnika się jeszcze we wszystkie jej kręgi.

Są sprawy, ponad którymi myśl przebiega spiesząc za swymi projektami tak, jak nogi przeskakują ponad leżącymi na ziemi chorymi dążąc do swojego celu. Jest wiele rzeczy, o które trzeba się koniecznie postarać na następny dzień, żeby pobyt w polu uczynić znośnym. Już w momencie wkraczania w bramę lagru, gdy słońce zachodzi, myśl planuje szczegółowo zajęcia na dziś, stwarzając most ponad rzeczywistością. 2yje się dniem. W tej wędrówce, której cel jest nieznany, idzie się jak ślepiec po omacku od przedmiotu do przedmiotu, od poranka do wieczora, wkładając wszystką energię w umiejętność przeżycia dnia. Zdobycie menażki na wodę, własnej miski i łyżki, kawałka brukwi do chleba na dzień następny, odrobiny mydła, to są problemy, od których zależy samopoczucie, których rozwiązanie lub nierozwiązanie wywiera decydujący wpływ na tok życia. Problemy te pochłaniają zupełnie krótkie chwile, które więzień (nie licząc godzin snu i apelu) spędza w obozie.

Inne sprawy, losy chorych, wzmianki o szpitalu, widok krematorium, przelatują błyskawicznie jak z po śpiechem wyświetlany tygodnik filmowy. Nie ma czasu zatrzymać się przy nich, przeżyć je, przemyśleć. Odsuwa się je na jakieś nieokreślone „później”. Kto pracuje, nie ma czasu dla siebie. Praca pochłania cały niemal czas i powoduje zmęczenie wykluczające możliwość przemyślenia czegokolwiek. Wysilek fizyczny, niespodziane stwierdzenie własnej odporności na głód i chłód wytwarzają w wielu poczucie zwycięskiej siły. Idą codziennie w pole jak na niebezpieczny turniej, z którego mogą wrócić zwyciężone, niesione na noszach przez towarzyszek niedoli albo jeszcze tym razem zwycięskie, zdolne dalej brać udział w zawodach. Życie zdrowych jest ustawiczną rozgrywką hazardową pomiędzy człowiekiem a niebezpieczeństwem. Życie chorych — między człowiekiem a śmiercią. Sytuacja człowieka zdrowego w obozie przypomina sytuację kogoś, kto jadąc na stopniach przeładowanego tramwaju trzyma się jedną dłonią i wisi zaczepiony brzeżkiem stopy. Chory jest tym, który odpada w biegu. Zdrowi dostrzegłszy zdążą krzyknąć, nie zawsze zdążą ratować.

Przymusowej pracy w obozie zawdzięczać należy, że tak niewielu więźniów dotknęły choroby umysłu. Przychodzi jednak dzień, w którym omijane problemy zbliżają się same. Ktoś był zdrow jeszcze wczoraj i razem z innymi maszerował w kolumnie do pracy, dziś pada zemdlony w czasie apelu. Wysoka gorączka osłabia serce tak, że kobieta nie może stać. Kładą ją pod barakiem. Z kręgu zdrowych przeszła do kręgu cięższego: jest chora.

Obóz inaczej wygląda, gdy się nań patrzy z dołu, leżąc pod ścianą baraku. Na drodze migają nogi odchodzących do pracy. To kategoria zwycięskich. W obozie pozostają tuląc się do ścian chore. Kategoria zwyciężonych. Pada deszcz, pada śnieg, płyną godziny; one ciągle są na dworze. Wejścia do baraku strzeże warta z drągiem. W baraku nie wolno leżeć podczas dnia.

Silniejsze chodzą skulone, słabsze kładą się na ziemi. Gdy pojawia się postać SS-mana, usiłują chować się, lecz w obozie ukryć się nie można. Ze wszystkich stron rozciągnięte druty zbliżają się teraz, straszą zielonawym światłem, jakby bez przerwy opowiadały o śmierci, jakby przypominały, że wyjścia stąd nie ma.

Niemożność ratowania się budzi strach. Brak sił do walki oznacza zagładę. Teraz dopiero docierają do świadomości słyszane wcześniej słowa SS-mana:

— Hier ist ein Vernichtungslager. (tu jest obóz zagłady)*

W szpitalu podlega się oględzinom lekarza hitlerowca. Posądzona o chorobę zakaźną zostaje wykończona zastrzykiem. Toteż kobiety unikają badania. Mówi się ogólnie:

— Lepiej leżeć na deszczu i błocie, aniżeli pójść do szpitala, bo tam czeka śmierć.

W rezultacie wygląda to w ten sposób, że kobieta stając wobec faktu własnej choroby zdobywa się mężnie na decyzję „przetrzymania”. Jeżeli nie ma już sił chodzić w pole, zostaje w obozie i usiłuje „dekować się”, to znaczy — co rano wstaje na apel, po którym zamierza, najczęściej niestety daremnie, wrócić do baraku. Blokowe są pod tym względem nieubłagane, strasząc chore selekcją, dwudziestym piątym blokiem, krematoriami, o ile nie pójda

dobrowolnie na „rewir” (szpital). Dobrowolnie jednak nie idzie nikt. Całymi gromadkami kryją się wychudłe postacie na tyłach cudzych baraków; gdy nadchodzi SS-man, udają sprzątanie terenu, gdy pada deszcz, chronią się w klozetach. Unikają SS-manów wiedząc doskonale, że gdyby zwróciły na siebie uwagę, mogłyby spowodować selekcję, której w obozie każdy boi się najbardziej. Za chleb, którego chora jeść nie może, kupuje sobie gdzieś odrobinę kawy i nosi ją ze sobą, rzeźwiąc się nią przez cały dzień. Tak vegetuje, dopóki gorączka nie zwali jej z nóg, dopóki nieprzytomnej nie odniosą czyjeś ręce na rewir. Jest już z nią przeważnie tak źle, że skona w czasie drogi albo w poczekalni ambulatorium.

Przed ambulansem spotyka się gromada ciężko chorych, które przyniesiono albo przyprowadzono w stanie nieprzytomnym. Bywają wśród nich i takie, które są przytomne, ale nie wierzą w możliwość uratowania się. Te idą do szpitala, bo jest to jednoznaczne z wyjściem śmierci naprzeciw.

Oto chuda dziewczyna, o nogach spuchniętych tak, że skóra na nich jest naciągnięta i lśniąca, o twarzy wydętej obrzękiem aż do zatory rysów. Białe, niezdrowe ciało, przypominające zbyt wyrosnięte ciasto drożdżowe, przelewa się zasłaniając oczy. Brwi unoszą się, czoło się marszczy. Chora usiłuje spojrzeć. Maską bez wyrazu krzywi się i przechyla. Takie twarze papierowo białe, potwornie obrzękłe, przy postaci wychudłej —to znany widok w lagrze. Należy się tego bać, to zwiastuje śmierć niemal we wszystkich wypadkach.

A dalej kobieta kuląca kolana, ściskająca nogi — piszczole powleczone szarą skórą. Przy każdym najmniejszym jej poruszeniu rozchodzi się odór okropny. Jej odzież brudna, poprzylepiana do ciała, nosi na sobie nie budzące wątpliwości ślady, że ta chora prawdopodobnie zemdląca nad otwartym dołem kloacznym i wpadła w odchody, co dość często zdarza się cierpiącym na czerwonkę. Obok piękna rosyjska dziewczyna miotana wstrząsami, które podrzucają jej członki, zmuszając ciało do ustawicznego dygotu. Twarz ciemna, oczy dzikie od lęku, szerniałe usta wydają skowyt, ujadanie, chichot czy szloch. Może to malaria, a może inna jakaś dolegliwość. Lekarkom brak czasu na postawienie diagnozy, nie mówiąc już o leczeniu.

Dalej stoi spokojnie, cierpliwie kobieta w ciąży. Jej rysy wyrażają tępy ból. W twarzy pozorny spokój, a w oczach rozpacz. Wkrótce wyda ze swego ciała żywą istotę, lecz tylko po to, żeby ją stracić. Maleństwo zostanie zabrane i wywiezione gdzieś poza obręb Oświęcimia. Nigdy matka ani rodzina nie odnajdą dziecka.

Znów młoda dziewczyna chora na czerwonkę. Twarz zielonawa, rozszerzone bólem oczy z zakłopotaniem patrzą na otoczenie, jakby skarżąc się i przepraszając zarazem. Po jej wychudłych nogach cieknie co pewien czas struga czarniawej, spieczonej krwi, to znów cuchnące odchody.

Jedna z kobiet bez przerwy rozchyła swoje łachmany, wsuwa pod nie dłoń i krzywiąc się boleśnie, drapie, trze, zdziera. Na jej rękach, zwłaszcza między palcami, widać drobne krosteczki, z których wiele kończy na czubku mały pęcherzyk. Miejscami większe wrzody, miejscami zdarta skóra. Nogi, tak samo jak ręce, obsypuje gęsto świerzb.

Dalej kobieta nie mogąca stać o własnych siłach. Dwie sąsiadki usiłują podtrzymać jej bezwładne, zgięte do przodu ciało. Twarz jej nabrzękła, ciemnopąsowa, sina. Oczy patrzają nie widząc. Senny wyraz i krótki oddech świadczą o wysokiej temperaturze...

Ręce, nogi i głowa jednej z kobiet obandażowane są brudnymi szmatami, przez które przesącza się krew. Zwłaszcza na głowie jaśnieje duża, czerwona plama. Podczas pracy przewrócił ją pies i pokąsał dotkliwie.

Wielkie, piękne oczy następnej przepełnione nadmiarem gorączkowego blasku rozświetlają twarz wychudłą i trupią. Ostrość rysów, wyciągnięta broda, wydłużony nos, skóra niemal przezroczysta, niebieskie cienie pod oczyma mówią zbyt wyraźnie, że to gruźlica otwarta. Usta cienkie, bezkrwiste, świszczącymi tchnieniami chwytają powietrze. Dłonie są już tylko kosteczkami szkieletu, powleczoneymi wiotką skórą. To jest Genia Pietraszewska. Wskutek dźwigania zbyt ciężkich kotłów z gorącej kuchni na wiatr i mróz rozchorowała się na zapalenie stawów, później na zapalenie płuc i na gruźlicę. Uczennica gimnazjum, aresztowana i przywieziona do obozu jako zakładniczka.

Od furtki zbliżają się cztery sztubowe dźwigając coś w ciemnym kocu. Idą szybko. W takt ich kroków ciężar leżący na dnie zawiniątka kołysze się siłą bezwładu, uderzając od czasu do czasu o wystające kamienie. Kładą koc. Ukazują się kolana i głowa skulone razem, chude piszczele i brudne strzepy. Chora. Nad kocem unosi się odór. Widać, że nie ma w niej krwi, widać, że nie ma już w niej życia. Jeszcze tylko wyda ostatnie tchnienie. Kto patrzy na śmierć wielu, poznaje z łatwością przedśmiertne symptomy. Ta kobieta już nie żyje, mimo że jeszcze oddycha. Już jej życia przywrócić nie można. Blokowa zwraca się do pielęgniarek szpitalnych:

— Wypiszcie jej Todesmeldung. (meldunek (raport) o śmierci)*

— Nazwisko? Nikt nie wie.

— Numer?

Pochylają się. Unoszą bezwładną i szukają numeru. Lecz nie ma na jej sukni naszytego białego skrawka.

— Czy znają kto?

Nie, nikt nie zna jej nazwiska ani numeru. Wiadomo tylko, że z bloku 1, a więc to Polka. Blokowa jest zaradna:

— Pobiegnij do bloku i przynieś „jakeń” (pasiasty kaftan) tej baby, tam będzie numer. Wiesz, gdzie ona spała?

— Mniej więcej, a zresztą poszukam.

Po chwili przynoszą więzienną kurtkę. Do kogo należy? Czy do tej chorej? Czy do jakiejś zmarłej? Czy do zdrowej, która ją tu pozostawiła? Nie wiadomo.

— Gdzie to znalazłaś? Czy to na pewno jej?

Nikt nie wie, czy na pewno, lecz nie ma możliwości sprawdzenia i Todesmeldung zostaje wypisany. W ten sposób powstają nieporozumienia, w wyniku których rodziny dostają depesze o śmierci żyjących, a na nazwiska zmarłych przez długie miesiące napływają listy.

Jesienią wśród objętych epidemią tyfusu przeważają kobiety mające numer pięciocyfrowy. Są to transporty przywiezione do obozu u schyłku lata i na początku jesieni. Wiosną 1942 wydział polityczny Birkenau notuje siedem tysięcy kobiet, w ostatnich dniach lipca liczba osiąga trzynaście tysięcy, we wrześniu osiemnaście tysięcy, a jedenastego listopada 1942 przekracza już dwadzieścia cztery tysiące. Transporty wiosenne przeszły tyfus wcześniej, zostały przerzedzone. Nieczęsto widuje się kobietę noszącą na sukni numer czterocyfrowy. Teraz obóz przepelniony jest nowymi, oznaczonymi numerem pięciocyfrowym i tych najwięcej ulega tyfusowi plamistemu. Przechodzi go każda. Zdarzają się wyjątki, jeden na tysiąc, i to w wypadkach niedawno przebytego tyfusu. Epidemia jednak jest tak silna, że ulegają jej często również i te organizmy, które przebyły chorobę i są uodpornione. Nie robi się w obozie nic, żeby ten stan rzeczy zwalczyć (zresztą oficjalnie nie ma tu żadnej epidemii). Jest cały szereg warunków sprzyjających rozwojowi chorób. Przede wszystkim zaważenie, połączone z nadmierną gęstością zaludnienia.

Ludzie, którzy byli przywiezieni do obozu wcześniej, opowiadają, że zimą roku 1941/2 wyginęli w Birkenau jeńcy radzieccy w liczbie około trzydziestu tysięcy, jedni z głodu, inni wskutek epidemii, jeszcze inni od mrozu. Murowane baraki pozostały wtedy puste. Jednak zwyczajem lagrowym do samego końca, do stycznia 1945 roku stosowanym, nie zmieniono koców ani sienników po zmarłych. Na kojach zostały legowiska pełne wszy żyjących całymi gniazdami. Tyfus plamisty czeka na dalsze ofiary. Wczesną wiosną 1942 roku z przeładowanego obozu kobiecego w mieście Oświęcim przerzucone zostają do Birkenau tysiące Żydówek słowackich. W kilka miesięcy później wysłano tu Polki. Ukryta w kocach zaraza zaczyna się szerzyć na nowo. Nikt nie nazywa choroby po imieniu. Ponieważ w murowanych barakach pomarli zimą Rosjanie, mówi się, że jest to „rosyjska gorączka”.

Chorobliwe pragnienie towarzyszące zawsze tyfusowi plamistemu odbiera kobietom rozsądek. Niektóre posuwają się do picia wody z rowków ściekowych, z podesz-czowych kałuż, z dna biegnącej dokoła obozu fosy. Wtedy do tyfusu dołącza się czerwonka. Te dwie choroby występujące razem najczęściej sprowadzają śmierć.

Równocześnie szerzy się malaria.

Nieliczne lekarki usiłujące nieść pomoc w tych rozpaczliwych warunkach są zbyt często wprowadzane w błąd innymi, pobocznymi objawami. Kaszel i gorączka — to uważa się za silne przeziębienie, gdy tymczasem jest to tyfus połączony z przeziębieniem. Zbyt trudno odróżnić plamy tyfusowe od śladów pogryzień i licznych zadrapań. Oto doktor Garlicka, sama już wtedy gorączkująca, wymyka się z kartoflami, żeby obejrzeć chorą ukrytą przez koleżanki w ciemnym zakątku baraku. Jest półmrok, kobieta leży całkiem nisko, w cieniu. Doktor Garlicka ogląda brzuch. Jest za ciemno. Ktoś przynosi kawałek świecy. Przy jej blasku lekarka chyli się nad chorą, szukając na jej ciele oznak tyfusu. Wtem z trzaskiem

otwierają się drzwi i czyjś szept: — Aufseherin Hassę — płoszy wszystko. Ktoś zdążył przyrzucić kocem leżącą, stwarzając pozór pustego posłania, ktoś spostrzegł skrzynie pełne śmieci i szepnął:

— Wynośmy to.

Nie wiadomo, ile minie dni, zanim nadarzy się znów okazja nielegalnego opuszczenia pracy i odwiedzenia tej kobiety.

Na rozwój czerwonki wpływają klozety. Są to cementowe kadzie, mieszczące się w barakach tuż pod samymi drutami. Długość około dziesięciu metrów, szerokość dwa metry. Kadzie te są zawsze pełne i zawsze odkryte, ich brzegi oślizłe. W porach największej frekwencji, to jest przed apelem porannym i po apelu wieczornym, w klozetach jest zupełnie ciemno. Wtedy niejedna chora miewa tam ciężką przygodę.

Czy można wytepić epidemię czerwonki w tych warunkach? Czy można zwalczyć tyfus plamisty? Dodać należy, że Żydówki, to jest większość uwięzionych w Birkenau, nie mają prawa korzystać ze szpitala. To wpływa także na rozwój epidemii. Pozostałe, unikając rewiru dopóki są przytomne, na okres nieprzytomności i konania bywają jednak odnoszone do baraku szpitalnego. Dla Żydówek ta możliwość nie istnieje. One mają tylko barak mieszkalny dla żywych, a potem blok dwudziesty piąty. Widuję się pochody Żydówek niosących przez cały lager swoje dogorywające współtowarzyszki. W kocach pokrytych zeskorupiałymi plamami wloką gasnące szczątki ludzkie. Czasem zatrzymują się, położą swój ciężar i znów po chwili idą dalej. Krew i odchody mieszają się na kocach i odzieży z błotem.

Blok dwudziesty piąty ogrodzono murem, którego brama zawsze jest zaryglowana. Za tą bramą znikają chore. Nie wyjdą stąd nigdy, ich zwłoki zostaną wywiezione w ciągu ciemnych nocy. Ale natychmiast powracają koce, bielizna i odzież po konających i wkrótce będą przydzielone zdrowym. Bielizna bywa zanurzona w wodzie i wysuszona, koce powinny przejść przez komorę gazową, lecz najczęściej nie przechodzą i nowy transport przybywający do Birkenau dostanie je do przykrycia.

Konającym jest obojętne, czy ciągną je na blok dwudziesty piąty, oficjalny blok śmierci, czy do ambulansu, z którego zostaną przydzielone na blok dwudziesty czwarty, gdzie śmierć ma nie mniejsze niż na dwudziestym piątym żniwo.

W ambulansie „badanie” jest niezwykle uproszczone. Polega ono tylko na pośpiesznym zmierzeniu temperatury. Jeżeli ktoś gorączkuje bardzo, zostaje zatrzymany na rewirze. Chore nie gorączkujące (czerwonka) usłyszą niezmiennie:

— Ab! In den Block! (Precz (stąd)! Do bloku!)* — i nie wiadomo, kto snadniej uniknie śmierci; czy te, które przekroczą próg szpitalnego baraku, czy te, którym wypadnie „dekować się” i w czasie długich godzin apelu leżeć przed blokiem na ziemi.

Korowód ciężko chorych rozchodzi się więc w dwie strony. Z zupełną obojętnością wloką nogi po błocie zarówno te, które wychodzą za bramę szpitalną, jak i te, które tu mają

pozostać. Te ostatnie idą za kobietą w białym fartuchu. Jednym jak i drugim jest wszystko jedno dokąd idą, byleby tylko prędzej oprzeć gdzieś głowę, położyć osłabłe ciało. Pielęgniarka zatrzymuje się przed najbliższym barakiem, wprowadza kobiety do środka i poleca rozebrać się. Sama odchodzi. Opadają łachmany ukazując ciała brudne i czyste, bardziej pocętkowane punktami ugryzień lub mniej, aż do krwi podrapane albo tylko trochę — i wreszcie nieliczne poznaczone już czerwonymi plamami tyfusu, wychodzącymi na skórę brzucha i rąk. Jest cicho i pusto — rzecz w lagrze niezwykła. Wprawdzie przez szpary drewnianych ścian baraku wnika lodowatymi powiewami listopadowy wiatr, ale zimno jest w obozie rzeczą zbyt powszednią i nikt o nim nie myśli, choć blade ciała stopniowo stają się coraz bardziej sine. Nagie postacie pochylają się nad odzieżą i korzystając z wolnej chwili skwapliwie przeglądają szwy i zakładki. Czas płynie. Najbardziej zawszona kobieta zdążyła przejrzeć wszystką bieliznę i odzież, nawet sweter. Jesienne słońce znalazło się wysoko na niebie i z lekka przygrzewa południową stronę baraku. Chore pokuliły się, poprzykucwały na ziemi, posiadały na swojej odzieży, pookrywały plecy, czym która mogła, i czekają. Wreszcie na dworze rozlegają się głośnie kroki.

— Alles raus! (Wszystko precz) *

Rozpoczyna się przegląd. Należy wychodzić nago przed drzwi baraku, gdzie stoi SS-man w zielonym mundurze (podobno lekarz) i przygląda się z daleka każdej chorej. Wszystkie one mają już tyfus plamisty, ale nie wiedzą o tym. Nie u wszystkich jeszcze wystąpiły objawy. Kobietom, które nie mają czerwonych plam na ciele, stawia SS-man szybką diagnozę: Grippe. I to zanoto-wuje pielęgniarka w karcie chorej. Te pójdą na blok dwudziesty czwarty.

A dokąd pójdą kobiety mające już na ciele piętna tyfusu? Czy dostaną „zastrzyk wzmacniający”, po którym każde ludzkie serce przestaje bić, czy też pojedą autem do komory gazowej? Tajemnica przesłania sposób, jakiego użyto wobec nich, zresztą forma jest rzeczą indywidualną, zależną od rozkazu poszczególnego SS-mana, dokonującego w tym dniu przeglądu. Forma nie zmienia faktu, że jedyną metodą używaną przez władze obozu w Oświęcimiu w walce z tyfusem plamistym jest uśmiercanie ludzi, u których tę chorobę stwierdzono.

Blok dwudziesty czwarty jest przeludniony. Trzeba mieć wyjątkowe szczęście, żeby dostać miejsce jako druga w łóżku 7 inną chorą. Niektóre leżą nawet po cztery. W bloku jest zimno i przewiewnie. Nie ma jeszcze pieca, przednimi i tylnymi wrotami wieje wiatr i podmuchem porusza szpitalne zaduchy nie usuwając ich. Podsufitowa szpara szerokości dwóch dłoni przebiegająca wzdłuż całego baraku przysparza chłodu. Przekroczywszy te progi można znaleźć kobiety, które weszły tu dość dawno i nie wiadomo, czy żyją, a o nieżyjących można odnaleźć wiadomości. Tam, wciśnięta w ciasne łóżko chorej przeżywającej kryzys, leży doktor Garlicka. Miała kiedyś tyfus, więc będzie mogła teraz bezpiecznie spieszyć z pomocą innym, gdy tylko przejdzie jej grypa. Nie odgaduje, że za trzy tygodnie wyniosą ją z baraku na noszach razem z innymi zmarłymi. Umrze na tyfus powrotny.

Obok doktor Garlickiej niesie pomoc chorym doktor Kościuszko. Jej siwe włosy i wymizerowana twarz widoczne są ciągle wśród najciężej chorych. W iluż oczach zjawienie

się tej drobnej postaci budzi ciepły blask ufności i otuchy. W jej ruchach, postawie i wyrazie twarzy widać, że pełni tu swą świętą służbę. Wydała najwyraźniejsze instrukcje, że chce być obudzona o każdej porze nocy, gdy tylko ktokolwiek będzie tego potrzebował.

Chore wiedzą o tym. Czują się bezpieczne pod jej dobrotliwą opieką. Gdziekolwiek nocny krzyk świadczy o cierpieniu, wnet zjawia się dążąca w tym kierunku doktor Kościuszko. Mimo podeszłego wieku wdrapuje się na wysokie łóżka pod sufitem i ledwo wsparta czubkami butów i brzuchem, podejmuje swą pracę.

Doktor Kościuszko zna tajemnicę zdobywania lekarstw. Zawsze ma coś przy sobie, co może się przydać. Po wizycie swej pozostawia nie tylko dobre rady, lecz jakieś lekarstwo. O wiele lżej chorować, o wiele lżej umierać pod drżącymi z troski dłońmi takiej lekarki. Przychodzi jednak dzień, w którym śmierć zagarnęła dobrą doktor Kościuszko pozostawiając setki, tysiące wyczekujących jej daremnie.

Ktokolwiek zna tyfus plamisty, wie dobrze, jak straszne pragnienie towarzyszy tej chorobie. Przysłowiowy popiół w ustach i język stwardniały, czasem aż do utraty mowy, są stałymi objawami. Jakże smutne bywa przebudzenie po nocy, w ciągu której zjawiały się w marzeniach sennych kubeczki pełne gorącego lub zimnego mleka, misy z chłodnym kompotem, pachnące wody sodowe i owocowe, soczyste, upragnione, życiodajne owoce! Jest to jeszcze ciągle okres, kiedy nie wolno nadsyłać paczek do Oświęcimia. Chorobliwe pragnienie nie będzie rychło ugaszone. Nocą pragnie się twardo zasnąć, żeby jak najprędzej minął czas do porannego napoju. Rano, gdy wreszcie mdlący zapach ziółek rozchodzi się po sali, z każdego posłania wysuwają się dłonie z kubkami. Wiele nie patrzy na czynność dzielenia i doprawdy lepiej nie patrzeć. Brudna sztabowa przeciera dłonią kubek i zanurza go w upragnionej cieczy, a po jej dawno nie mytych rękach, którymi dopiero przed chwilą wyносиła nocne naczynia, płyną ziółka spadając z powrotem do kotła. Po cóż psuć sobie w ten sposób smak napoju, który ma zastąpić najlepszą herbatę. Każda z chorych dostaje nie więcej niż ćwierć, a w wypadkach Wyjątkowo szczęśliwych 1/3 kwaterki płynu. W dniach, w których wola jest naprawdę silna, macza się raz jeden w ziółkach usta, a później odstawia się kubeczek w róg łóżka za głowę i porcja płynu w nim zawarta musi wystarczyć do wieczora. Bywają jednak dni, w których głuchnie rozsądek, cichną przestrogi, gdy tylko wnętrzości wołają jednym krzykiem: pić, pić, pić! Wtedy dłonie porywają z drzeniem kubek i jednym szaleńczym haustem wlewają jego zawartość do ust. Raz zwilżyć całą jamę ustną, raz łyknąć pełnym gardłem! Jeden łyk, dwa, najwyżej trzy niepełne łyknięcia — i koniec. I rozpoczyna się dzień bez kropił płynu. W pobliżu leży jakaś niemiecka kryminalist-ka, która już nie doznaje straszego pragnienia, i można ją uprosić o sprzedanie kilku łyków z jej porcji. Wszystko wtedy oddałoby się za coś do picia, wiać oddaje się chętnie, gdy obdarzona potyfusowym apetytem rekonwalescentka mówi:

— Gib mir dein Brot und Wurst. (Daj mi twój chleb I kiełbasę)*

Czasem pracujące w kuchni przedrą się przez warty broniące wstępu na rewir i przyniosą kilka dzbanków czarnej kawy. To wypadki rzadkie, ale niesłychanie podnoszące na duchu. Jedna z takich cichych sanitariuszek to Hania Lewandowicz z Radomia. Zjawia się regularnie

co wieczór, narażając się na bicie, gdyby zauważono jej nieobecność przy pracy w kartoflami. Po raz ostatni przychodzi jeszcze w przeddzień własnego zgonu, by rozdać kawę.

Nocą stwardnienie ust budzi człowieka ze snu. Wargi i język poruszają się, daremnie usiłując uczuć trochę wilgoci. Są suche. Nieprzytomna myśl i zmacony wzrok szukają w pobliżu czegoś do picia. Ciemno. Ktoś jęczy, ktoś charczy w agonii, ktoś równo oddycha. Z mroku wyłaniają się zarysy belek podtrzymujących dach, kontury najbliższych łóżek, a w rogu jednego z nich widać wydłużony kształt To butelka! Tam śpi Niemka — funkcyjna, która co wieczór dostaje od sztabowej pełną miskę kawy i nalewa ją w trzy butelki. Pokusa i lęk walczą przeciwko sobie. Niemka śpi mocno, słysząc jej głośny oddech. W myślach zjawia się odgłos bulgotu wody, wody płynącej pod dostatkami. I drugi motyw — przerażenie i rozpacz: — Chcę kraść! - - Lecz to cichnie niemal zupełnie. Wody! Kawy! Pić! Ciało dźwiga się z wolna, ciężko wspiera się na łokciach zgiętych rąk i drży. Będę kraść — będę kraść! Wybacz! Wybacz! Brak sił. Butelka stoi w odległości metra. Teraz dopiero stwierdzić można, jak wielka niemoc ogarnęła organizm, skoro przy tak małym wysiłku nie jest się w stanie opanować śmiesznego dygotu rąk i całego ciała. Fala suchego gorąca przebiega wewnątrz piersi, czoło pokrywa się kroplami potu, w głowie wiruje, wiruje coraz większymi kołami, że trzeba płasko przylgnąć do posłania, żeby z niego nie spaść. Dłoń zwieszona za zagłówek łóżka napotyka wciśnięty między deski przedmiot. Kubek! Kubek z czymś płynnym tuż pod głową w szczelinie legowiska. Pachnie winem. Smakuje zupełnie jak zimne wino. Jest tylko trochę na dnie. Jeden łyk i dość — i noc widzi radosny uśmiech chorego. „Teraz mogę zasnąć” — myśli więzień otulając się drżącymi jeszcze rękami w koc i zasypia wiedząc, że może się napić, gdy zechce. Następne przebudzenie pełne jest rozmów. Chory przemawia szeptem do ciemności baraku:

— Pozwól mi raz jeszcze się napić, jeszcze jeden mały łyk.

— Napij się — odpowiada ciemność — to specjalnie dla ciebie przyniesione.

Więzień wolniutko macza usta i ogarnia go uczucie szczęścia, gdy czuje zimny, kwaskowaty smak. Ostrożnie odstawia kubek na miejsce, dłonie ciemności pomagają mu w tym. Potem gładzą jego oczy mrużące się do snu. Do rana odrobina płynu ratuje chorego, który budzi się, gdy mu zasychają usta i pije kilka kropel.

Poranek wraz ze światłem przywraca przytomność, dłoń szuka w szczelinie i odnajduje obozowy kubek, bardzo brudny, z odrobiną kawy, która skisła wskutek długiego stania. Przed kilkoma dniami ktoś go sobie tu ukrył, ktoś kto leżał w tym łóżku poprzednio. Popijał po trochu, a potem śmierć odjęła mu kubek od ust.

Pierwszy śnieg padający przez trzy dni jest istnym błogosławieństwem. Wprawdzie przy silniejszych podmuchach wiatru biała zadymka wpada przez otwór, trzeba więc strzepywać śnieg sypiący się na posłanie i trzymać koc, który często podrywają silniejsze powiewy — ale za to nie trudno uprosić rekonwalescentki próbujące już chodzić, żeby zgarnęły za progiem garść śniegu i podały. Taką śnieżną kulkę przechowuje się w kubeczku, mając w niej zabezpieczenie na cały dzień. Jakże jest użyteczna! Gdy usta twardnieją i pękają, można

zwilżyć je odrobiną śniegu. Można po roztopieniu zużyć wodę na kompres, wypłukać nią usta lub nawet umyć twarz.

Proszę sobie wyobrazić szpital bez wody. Barak, w którym ustawiono szachownicę trzypiętrowych łóżek. Na każdym pośłaniu co najmniej dwie chore. Każda z nich została przyjęta z temperaturą około 40 stopni. W łóżku siennik i ciemne, bardzo brudne koce, pod którymi uprzednio leżeli już inni ludzie. Kiedy zarzuci się koc nieco energiczniej, uczuć można sypiący się lekko pył, który tworzy nowe warstwy na skórze nie mytej całymi tygodniami. Obsługa chorych - - w tym okresie składająca się wyłącznie z niemieckich kryminalistek — zbyt jest opieszala, żeby robić jeszcze cokolwiek innego poza rozdaniem porcyj. Wodę zdobywa się z największym trudem w kuchni, narażając się na niespodziane szykany ze strony SS-manów. Rzecz prosta: personel baraku szpitalnego niezbyt często wybiera się po wodę. Czasem jednak można widzieć, że jakieś uprzywilejowane Niemki, zajmujące w lagrze wybitne stanowiska, dostaną miskę wody, w której myją się wspólnie po kilka. To budzi równocześnie obrzydzenie i zazdrość.

Zdarza się, że chora ledwie trzymająca się na nogach wstaje wieczorem, ubiera się z wolna, z przerwami, odpoczywając po każdym ruchu — a potem schodzi z pośłania i udaje jedną z ćwiczących się w chodzeniu. Zbliża się coraz bardziej do drzwi, aż wreszcie wymyka się z baraku w poszukiwaniu wody. (W tym czasie nie zabierano jeszcze chorym odzieży, co ułatwiało tego rodzaju wycieczki.) W ciemnościach przytulona do baraku czeka gdzieś na jeszcze inne, z którymi uprzednio zdążyła się porozumieć. Sama nie podoła ciężkiej wędrówce po drodze pełnej manowców i błotnych kałuż. Gromadką całą brną w kierunku kuchni, żeby zdobyć wodę. Spośród zaczajonych w cieniu wysuwa się jedna nie mogąca już dłużej opanować swego pragnienia. W jasno oświetlonej kuchni leży na ziemi gumowy wąż założony na kran wodociągowy i rozlewa po cementowej podłodze strumień czystej, świeżej wody. Tu i ówdzie przebiegają zgrzane kucharki, ruch jest dość duży, a dyżurujący SS-man odszedł w głąb magazynu. Udało jej się dobiec i klękawszy napełnić miskę. Ale w tej właśnie chwili dojrzał ją SS-man. Jego bystre oko natychmiast odróżnia wychudłą, brudną postać od ruchliwych kucharek. Jednym susem jest przy niej. Porywa z ziemi gumowego węża, błyskawicznie podchodzi do kranu i otwiera pełny strumień, a potem skierowuje go w twarz chorej. Kobieta wstała. W pierwszej chwili straciła oddech, za krztusiła się, lecz potem wyprostowała się, otworzyła usta i wargami poczęła chwytać upragnioną wodę. Całe jej ciało zdaje się z rozkoszą poddawać się temu gwałtownemu prysznicowi, którego nie miało od szeregu tygodni. SS-man z wyrazem rozbawienia na twarzy oblewa ją od góry do dołu, chora korzysta z tego, żeby się napić jak najwięcej. Przymrozek tej nocy nie jest wielki, lecz zdołał ściąć warstewką lodu odzież kobiety powracającej do baraku szpitalnego.

Ciężej chodzić w wieczory deszczowe i błotne, kiedy chmury przesłaniają gwiazdy i księżyc. Z dala, od drutów, płynie nikły blask elektrycznych lampek, bardziej rażąc oczy, niż oświetlając. Takiej deszczowej nocy przyniesiono jedną z chorych, którą znaleziono w niemieckim klozecie. Okazało się, że to Polka. Brnąc w stronę kuchni, wpadła do rowu pełnego nieczystości. Wyszedłszy stamtąd po błotnistym zboczach, zawlokła się do niemieckiego klozetu, gdzie z czarnej rury bez przerwy spływa woda dla spłukiwania kanału.

Tam umyła ręce i odzież, ale w zetknięciu z wodą zapomniała o swojej wysokiej gorączce, o grożącym jej niebezpieczeństwie. Zaczerpnęła oburącz, wtedy nie była zdolna odejść, tylko piła łapczywie, dopóki nie padła na ziemię bez sił. W kilka dni później dostała zapalenia płuc i czerwonki.

Nie zawsze wędrującym starczy przytomności umysłu własnej świadomości, żeby swoją drogę odbyć szczęśliwie. Bywają wypadki, że chora, powodowana gorączkowymi majakami, błąka się po lagrze, kogoś szuka, kogoś woła, do kogoś chce iść za bramę, prze-konywając Niemców z wartowni, że musi iść. Jeżeli wie, z którego jest bloku, odprowadzą ją z powrotem do szpitala, gdzie zostanie zbita ciężko, czasem śmiertelnie. Jeśli jednak przypadek zawiedzie ją do któregoś z bloków, w którym rozdziela się właśnie miejsca nowo przybyłym, to wmieszana w tłum nie znających się nawzajem kobiet pozwala bezwolnie wypędzać się na apel i wtedy blokowa daremnie usiłuje odgadnąć, dlaczego apel się nie zgadza, daremnie usiłuje wykrzyć omyłkę w liczeniu. W takich wypadkach w całym obozie kobiecym godzinami stoi apel, dopóki nie wynajdzie się nieprzytomnej lub obłąkanej, bijąc ją za ukrywanie się. Przestępczynie tego rodzaju, które oskarżono o uchylenie się od apelu albo stawanie z ludźmi innego bloku, są natychmiast odprowadzane na blok dwudziesty piąty.

Nie wszystkie chore mają siły na wymykanie się poza barak, nawet na schodzenie z łóżka. Jest to możliwe zaledwie w trzecim lub czwartym tygodniu trwania tyfusu plamistego, to znaczy, na krótko przed opuszczeniem szpitalnego bloku. Większość leży bez ruchu, cicho i biernie przeżywając największe nasilenie gorączki. Te chore są bezradne. Nie przychodzi do nich nikt, nikt ich nie odwiedza ani nie pielęgnuje. Dzień ich jest przesłonięty mgłą, noc pełna zjaw. Bezładne ciało poddaje się z wolna zanikowi. Zatracić się, zapomnieć, odejść — czy może być coś bardziej upragnionego wśród cierpień i upokorzeń?

Z wolna śmierć chyli się nad posłaniem. Swą dłoń kojącą zatrzymuje bez ruchu nad żyjącym ciągle jeszcze ludzkim sercem, które nie wie, nie odgaduje nawet, że za chwilę jedno lekkie dotknięcie przemieni je i cały organizm, jego pracą ożywiony, w martwą bryłę. Tymczasem, kiedy dłoń śmierci swym cieniem przesłoniła już ludzkie serce, nad głową konającego zjawia się promiennie uśmiechnięte życie, żeby złożyć na jego ustach pocałunek. Chyli się nisko nad brudnym posłaniem i samą mocą swej obecności zmienia je w białą pościel rodzinnego domu. Potem siada beztrosko u wezglowia i splótłszy swe piękne dłonie nad głową zaczyna snuć pożegnalną bajkę. Czasem to tylko muzyka, cicha, tkliwa, zagubiona w pamięci melodia, nucona niegdyś w odległych czasach przez najbliższą istotę, przez matkę, która pochyliła się starością ku ziemi, siwizną okryła i znów jak dawniej śpiewa cichą pieśń dla swego dziecka.

Czasem jest to tylko wołanie. Poprzez gwar przepelnionego baraku, przez jego drewniane ściany, przez lagry i nieprzekraczalne druty, przez opustoszałe okolice, przez setki kilometrów i setki nieznanych wydarzeń dociera do uszu konającego znany głos, wymawia jego imię tuż nad nim, budząc go z martwoty.

Czasem są to obrazy, w których jawią się oczom łąki pachnące sianem, tonące w słońcu zbocza gór, nadmorskie piaski rozbrzmiewające radosnym gwarem. Wspomnienie tego, co było, przychodzi raz jeszcze, aby ożywić stygnące serce. Czasem życie pozwala spojrzeć, jak

w zaczarowany kalejdoskop, w przyszłość. Dzień za dniem, krok za krokiem ukazuje się i to wszystko, co byłoby — co będzie — dla osiągnięcia czego koniecznie trzeba chcieć żyć. Jeżeli chory z niechęcią odwraca twarz od tych obrazów, jeżeli nie chce ich widzieć i pragnie tylko zanurzyć się w nicość, wtedy śmierć łagodnie kładzie dłoń na słabnącym sercu i przerywa jego bieg. Potem przesuwając palce po jego twarzy, pokrywając rysy powłoką wiecznej martwoty.

Niekiedy zdarza się jednak, że opowieść, którą snuje życie, budzi w leżącym taki ból, burzę, protest, przepelnia jego serce takim płaczem rozpacz i żalu za tym, co najbardziej umiłowane, że każe mu gestem niecierpliwiej tęsknoty wyciągnąć ramiona i wołać:

— Ja chcę żyć!

Każe mu splekanymi od pragnienia ustami szeptać swą jedyną prośbę:

— Ja chcę żyć! Ja chcę żyć!

Każe mu zebrać całą wolę, skupić wszystkie siły organizmu, każe mu uchwycić się życia i trwać najbardziej nieprawdopodobnym wysiłkiem. Śmierć nie cofa wprawdzie swej niewidzialnej ręki, lecz jej też nie zbliża. Tymczasem życie ujmuje w swą dłoń gasnące serce człowieka i powoli napelnia je własnym ciepłem. Pierwszym doznaniem chorego jest cierpienie. Jeszcze nie ocknął się po męczących, gorączkowych zjawach, a już czuje, że boli tu głęboko, koło serca. Tak jakby jakaś dobra, kochająca ręka ścisnęła biedne serce z czułością, nie pamiętając, że to może boleć.

Gdy ciało wyschło aż do kształtów dziecięcych, gdy ręce i nogi są jak patyczki, gdy usta pełne są tyfusowej suszy, a każdy kęs pokarmu powoduje wznowienie się czerwoności, gdy sam zapach lagrowej zupy budzi mdłości, kiedy nie ma żadnej pomocy, opieki, lekarstw — skąd bierze się, gdzie się rodzi, w jakim zakątku organizmu pęcznieje i rozkwita zaczarowana chęć życia, tak mocna, że potrafi zwyciężyć wielopostaciową śmierć? Skąd bierze się owa niezłomna siła woli w stosowaniu środków samoobrony?

Jest któryś dzień listopada. Żadna z sąsiadek nie jest na tyle zdrowa, żeby myśleć, wiedzieć, pamiętać, który to dzień. W pamięci tak trudno rozmieścić cokolwiek, wszystko na nowo obraca się w chaos. Nie można myśleć, bo ból obejmuje skronie, ciemność znów pada na oczy, na myśli, pochłania wszystko. I głowa ciężka, ogromna, obca, z wolną zapada, wpiera się swym ciężarem w zagłówek, zrobiony z drewnianych butów i zwiniętej odzieży. To wywołuje ból w czaszce i mdłości. Daremnie współprzymiotne ręce robią wielki kłębek z koca i wsuwają pod głowę — nic to nie pomaga i nie usuwa gorączkowej złydy: rozpalone czoło w dalszym ciągu jest niżej niż całe ciało, a nogi na pewno są bardzo wysoko, skoro wyczuwa się tak wyraźnie, że wszystka krew zbiega do mózgu. Za każdym uderzeniem pulsu coraz pełniejsza jest głowa, nie można już myśleć, mówić ani patrzeć, krew rozsadza skronie. Jakiś dziwny obłok ciemności spływa na myśli, przynosząc ulgę i równocześnie ból serca. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Po pewnym czasie jasność razi powieki. Ostatnim wysiłkiem woli rozchylają się oczy podrażnione blaskiem. To szpara pomiędzy ścianą a sufitem. Jest niemal tak szeroka jak twarz dorosłego człowieka. Przez tę szparę, jeżeli

się usiądzie na łóżku, można zobaczyć fragment lagru z sąsiednimi barakami. Teraz jednak widać lazur zimowego nieba jaskrawo oświetlony słońcem. Oczy mrużą się od nadmiaru światła, którego nie mogą w sobie pomieścić, i od nadmiaru radości, jaka bije z tej słonecznej pogody. Budzące się skrawki myśli rwą się natychmiast. A oto na brzeżku dachu widoczny dobrze przez szparę lśni jasno w słońcu lodowy soplek. Słońce czyni z niego przedmiot piękny, a oczy patrzące nieruchomo czynią zeń przedmiot upragniony. Czas płynie i przemija, a tu oto toczy się dziwna walka. Niemoc przykuła ręce i nogi do miejsca, głowę wbiła w dół, z którego ruszyć jej niepodobna. A jednak jakaś moc nieprzeparta każe patrzeć na jaśniejący wśród błękitu i słońca przejrzysty soplek, każe patrzeć tak długo, dopóki ramię nie zbierze w sobie siły, żeby się dźwignąć i wychylić przez szparę na zewnątrz. Zimne dotknięcie jak prąd ożywczy mknie przez rozpalone ciało, dłoń pieczołowicie niesie swą zdobycz do czoła, oczu, skroni. Znów skurcz serca, znów ból, a potem zupełny powrót świadomości. Zbolałym od gorączki oczom ukazują się teraz czerwone cętki widniejące na skórze ramion. Uśmiech zrozumienia. „Grypa” jest jednak przecież tyfusem plamistym.

Nadchodzi doktor Zbozeń, więzień-Polak, przychodzący codziennie z obozu w Oświęcimiu. Powinien głównie zajmować się Niemkami, lecz to człowiek rozumny i nie formalista.

— Ależ tak, proszę pani, grypa, grypa.

— Panie doktorze, proszę powiedzieć mi prawdę.

— Po co to pani wiedzieć?

— Bo chcę umieć uniknąć selekcji krematoryjnej. Boja chcę żyć, panie doktorze.

Doktor przewraca kartki notesu.

— Widzi pani? Co tu napisane?

— Grippe — i obok tego moje nazwisko.

— Tak jest. U mnie w notesie ma pani grypę. A tu -mówi zakrywając pocętkowane ramiona chorej - - tego nie musi nikt widzieć. Może będzie pani miała szczęście, że nie zarządzą selekcji. Ale nie radzę leżeć długo. Gdy tylko wrócą trochę siły, radzę wiać stąd.

...Gdy wrócą siły. — Świadomość, że tyfus plamisty minął, powoduje radość zresztą złudną i pochopną, gdyż niejednokrotnie okres rekonwalescencji trudniejszy jest do przeżycia niż sama choroba. Czyje serce przetrzyma wysoką gorączkę tyfusu, ustaje czasem w drobnym przypadku przeziębienia. Teraz jednak radość napęłnia całą istotę.

Z wolna ciało odzyskuje zdolność odczuwania: swędzenie nóg, brzucha, pleców daje się we znaki. Niedołężne palce szukają przyczyn tego. Znajdują na ciele małe zakrzepłe strupki, powstałe z zadrapań. Ciągłe swędzi i łaskocze. Nagle swędzenie na piersiach staje się palące i ześrodkowuje się w jednym miejscu. Dłoń szybko uchyla koszulę i oczom ukazuje się wesz w dziwnej pozycji. Wpiwszy się w ciało stoi prostopadle do skóry z odwłokiem uniesionym ku

górze. Należy ją natychmiast schwycić, bo odzieżowe są szybkobiegacz-kami. Jest jasna, przez jej skórę prześwieca czerwono-żółty przewod pokarmowy, pełen ludzkiej krwi. Krew tryska małą kroplą w momencie, gdy wesz ginie pod naciskiem paznokcia.

Chora podnosi wzrok pełen wstydu. Lecz naokoło zauważyć można, zwłaszcza jeśli dzień jest słoneczny, wychudłe ręce podnoszące ku światłu nad bezwładną głową części odzieży albo brudne kocy. Tępienie wszy to jedyne zajęcie powracających do zdrowia. Zaczyna się od najwcześniejszego świtu, gdy jeszcze jest trochę szaro i nawet źle widać. Ale wszy gryzą tak, że nie podobna już wytrzymać i niezwłocznie trzeba zacząć. Najlepiej zdjąć z siebie wszystko, zawinąć się szczelnie w koc i przegłądać po kolei. Wprawdzie jest zimno, bo od szpary pod dachem wieje lodowaty wiatr, a niepodobna uniknąć uchylenia koca przy wykonywanych ruchach, zwłaszcza że ciało jest jeszcze słabe i trzeba ciągle zmieniać pozycję z siedzącej na półleżącej i opierać się łokciem o posłanie. Ale człowiek byłby skłonny zrzucić wszystko i siedzieć nago przez wiele godzin, byleby tylko pozbyć się tej żywej plagi pijącej krew. Głód i zimno są niczym w porównaniu z wszami.

Codziennie powtarza się to samo. Koszula wieczorem była bez wszy. Skąd się wzięły te wielkie, grube okazy, pomykające szybko po płótnie przed ścigającymi je palcami albo siedzące po dwie wśród świeżo złożonych gnid i ekskrementów. Jakże się szybko rozmnażają! Wczoraj nie została tu ani jedna gnida, dziś całe mnóstwo ledwo dostrzegalnych żyjatek widnieje na białym tle. Małeńkie są, ale wszystkie pełne krwi. Te gryzą najdotkliwiej. Dlatego koszula paliła tak ciało, gdyż pojawi-o się w niej mnóstwo małych wszy. Oczyszczenie bielizny zabiera najwięcej czasu. Zwykle insekty trzymają się najchętniej tej części garderoby, którą nosi się bezpośrednio na ciele. Trzeba dużo cierpliwości, żeby wybić to wszystko. Wytężone wysiłkiem oczy boją, a gdy je zamknąć na chwilę, wirują pod powiekami obrazy wszy, pcheł, gnid. Powstaje z tego zawrót głowy i mdłości tym silniejsze, że całe ciało zbyt jeszcze jest osłabione i pozycja siedząca męczy je bardzo. Duże palce, a zwłaszcza ich paznokcie, pokryte są krwią i poprzysychanymi łuskami, a to dopiero koszula została oczyszczona. Najgorszy jest pulower, w którego wełnianych otworkach wszy mają doskonale schowanie. Tylko wtedy, gdy silne światło słoneczne wpada przez szczelinę do baraku, można dość dobrze oczyścić pulower, rozciągając go ł patrząc pod światło, czy nie lśni obce ciało w puszystości wełny. Przeglądać trzeba wszystko, nawet leżące pod głową pończochy, z którymi sprawa przedstawia się podobnie jak ze swetrem.

Dźwięk metalowych kotłów z obiadową zupą zastaje zwykle kobiety przy ostatnich częściach garderoby. Rzecz prosta, nie można umyć rąk po tej czynności, a więc poprzestaje się tylko na wytarciu skrwawionych paznokci i można, wyjąwszy łyżkę ze szczeliny w dachu ponad łóżkiem, zabrać się do obierania ze skóry pięciu ziemniaków. Po obiedzie z przyjemnością wkłada się na siebie świeżo przejrzaną i oczyszczoną z wszy odzież Wycieńczony tyfusem i głodem organizm domaga się snu. Lecz wszy nie śpią. Z brudnych koców, z jakichś zakamarków łóżka wyłażą nowe ich tysiące. Po dwugodzinnym odpoczynku ubranie jest tak usiane, jak było rano i teraz trzeba zacząć przegląd na nowo, jeżeli chce się zapewnić sobie choć kilka godzin snu w nocy. Beznadziejność wysiłku budzi zniechęcenie, tym głębsze, że poparte bólem kręgosłupa, straszliwym przemęczeniem wysiłających się oczu i

obrzydzeniem. Głęboki sen człowieka wracającego do zdrowia jest jedynym ukojeniem i przerwą w poszukiwaniach. Lecz nawet wtedy ręce błędzą nerwowo, drażnione bólem ugryzień. Czasem słyszy się senne słowa:

- Muszę zabić tę wielką, która mnie gryzie na plecach.

Niemki, które przechodzą długą rekonwalescencję aż do zupełnego wyzdrowienia, są już dość silne. Całymi dniami i wieczorami grają na ustnej harmonijce i śpiewają głośno sentymentalne walce. W skołatanej głowie wiruje wszystko w takt chóralnych pieśni, które huczą głośno w baraku, nużąc ciężko chore.

Codziennie przychodzą do szpitala nowe kobiety i bez względu na to, co jest przyczyną ich gorączki, zostają umieszczone z tyfusowymi. Wszystkim jednakowo każdego wieczoru sztabowa podaje porcję chleba, którego większość chorych nie może jeść. Chleb w Oświęcimiu bywał różny, lecz wszyscy przyznają, że w listopadzie 1942 był najgorszy. Z uwagi na to, że i tak mało kto w wielkim lagrze jest zdrow i może jeść, robi się takie oszczędności. Łatwiej zmusić się do zjedzenia gęstej, palącej wnętrzości zupy lub ziemniaka gotowanego w łupinie, lecz chęć zjedzenia chleba kończy się na tym, że się go gryzie, żuje — nie mogąc jednak przełknąć. Kromki leżą i obsychają, czekając powrotu apetytu chorych, które tymczasem przymierają głodem. W tej porze wyrzuca się na rewirze całe nosze ponadgryzanego, pleśniącego chleba.

Mężczyźni, przychodzący czasem do prac murarskich lub do pokrywania dachów, są głodni. Porcja chleba zbyt mała dla kobiet jest tym mniej wystarczająca dla pracujących fizycznie mężczyzn. Podkradają się więc, gdy SS-man nie patrzy, i wyszukują sobie na noszach mniej spleśniałe kromki.

Co wieczór nowa porcja zjawia się na brzegu łóżka i co wieczór chora zasypia głodna lub dostaje bóleści po mozolnym przełknięciu kilku kęsów.

Warunki higieniczne szpitala gorsze są niż w całym obozie, odżywianie bardziej skąpe. Jedyną szansą rewiru jest możliwość leżenia i brak apelów. Gdy w całym obozie gwizdki i nawoływania wzywają na „Zellappel”(apel obozowy — liczenie więźniów)*, chore z dreszczem kulą się pod kocami. Jeszcze ich to nie obowiązuje. Przez kilka dni, może przez kilka tygodni unikną tego.

W okresie, gdy barak pełen ludzi ma w obozie mniejszą wartość niż worek napęczniony śmieciami (bo ze śmieci można wybrać garść szmat i odesłać do fabryki papieru), opowiadania o tym, że wkrótce rodziny więźniów będą mogły wysyłać paczki żywnościowe do Oświęcimia, wydają się fantastycznymi bajkami List i — bez względu na wysyłaną więźniowi sumę - - bon na czterdzieści marek miesięcznie — to wszystko, co wolno otrzymywać. Sprawę wysyłki pieniędzy z Generalnego Gubernatorstwa znają dobrze ci, którzy je wysyłać usiłowali. Kto dostaje bony zastępcze, może za nie kupić w kantynie: reńską wodę mineralną, chemicznie przyrządzony sok, blankiety listowe, znaczki, papier higieniczny, ołówki, niemieckie samouczki — czasem ślimaki, rzadziej sałatkę jarzynową

albo zupeł. Większość jednak nie dostaje bonów i list jest jedyną rzeczą, jaka przychodzi „z wolności”.

Wolność to jest jakaś kraina czy planeta niesłychanie piękna, na której każdy z więźniów żył przez pewien czas. Opowiadają sobie o niej. Wspominają. W długich, bezsennych godzinach marzą o każdym wydarzeniu, które było, przeżywają je znów intensywnie, prowadzą urojone rozmowy z ludźmi, którzy tam pozostali. Proszą ich, żeby czekali na powrót więźniów. Każdy hodoje w swoim sercu ów utracony kraj. Każdy w swym jasnym laboratorium myślenia destyluje fakty, które kiedyś przeżył. Stają się piękniejsze jeszcze, niż były. Stają się blaskiem jakimś owiane i tak zupełnie inne niż tutejsze otoczenie, że na myśl o powrocie krew ścina się w żyłach. Bo trudno uwierzyć, żeby tęsknota do dalekiej planety mogła być zaspokojona. Gdy nocą ponad barakami chyli się Orion, Wielka Niedźwiedzica, Polaris Stella i inne gwiazdy, gdy ciszę śpiącego obozu przecina świst lokomotywy — długi, przeciągły, uciekający w dal — wzrok szuka wśród gwiazd tej, która jest ową utraconą. I można byłoby uwierzyć, że to ludzka fantazja stworzyła bajkę o tym, że tam gdzieś naprawdę kwitną drzewa, że dzwonią tramwaje, że śmieją się dzieci, a ludzie na ból umieją reagować płaczem. Lecz co pewien czas przychodzi z dalekiej planety znak. Przychodzi list. Małeńki skrawek papieru, który jest ulotką stamtąd. Ktoś pisze o tym, że jest ten sam dom, ta sama ulica, ta sama podłoga w pokoju... Czytając (choćby się odczytywało kilka razy) trzyma się zawsze fikcyjną tubę słuchawki przy uchu i słyszy się mowę dalekiej Wolności. Dlatego chętnie czyta się po cichu i głośno, samotnie, a potem wspólnie z innymi. Buduje się ponad tymi słowami architekturę serdeczną, wznosi się łuki domysłów i odgadnień. Wchłania się dziwną witaminę przenikającą z tych kartek.

A potem przychodzi dzień odpisywania. Jest to wielkie święto, którego nie chcą się wyrzec nawet najciężej chore. Oto chora na tyfus, która po raz pierwszy w dniu pisania listów zdecydowała się zejść ze swego piętrowego łóżka. Od ziemi dzieli ją przestrzeń dwóch metrów.

Widać z jej przerażonych oczu, rąk trzymających kurczowo brzeg pryczy i drżących nóg, że nle jest jeszcze mocna. Schodzi, już jest blisko ziemi, już stopami dotyka gliny. Pielęgniarka jednak nie lubi, gdy ktoś kręci się, zwłaszcza w tym korytarzu, gdzie leży funkcyjna Niemka specjalnie pielęgowana. Podbiega do schodzącej i pięścią bije ją w głowę.

Za chleb z margaryną można kupić blankiet listowy ze znaczkiem. Taka jest taksa. Kto dostaje już marki wysyłane przez rodzinę, ma prawo korzystać z kantyny. Inne — mogą sobie kupować za chleb.

Na wszystkich piętrach łóżek siedzą zgarbione postacie i piszą listy do domu. Na kolanach trzymają miski odwrócone dnem do góry, na nich kładą blankiety i kaligrafując starannie usiłują opanować drżenie rąk. Tam kobieta słabsza od innych pisze leżąc na boku. List oparła na dnie kubeczka i wolno kreśli bezwładną ręką litery. Co chwila pada bez sił, odpoczywa i znów zaczyna swą pracę. Tam, na wysokim łóżku podsufitowym, chora utkała otwór w ścianie kocem i pisze. Co chwila wicher wyrywa koc i zdmuchuje blankiet listowy. Ona zapycha otwór na nowo, prócz koca umieszcza w szczelinie swoje zawiniątko z chlebem. Po

zewnątrzniej stronie baraku stoją drabiny. Mężczyźni naprawiają dach. Jakaś wychudła ręka zjawia się w podsufitowym otworze, chwyta zawiniątko i znika błyskawicznie. Dalej kobieta, która z nadmiernego wysiłku bez przerwy dostaje mdłości. Gdy fala wymiotów przechodzi, pisze dalej.

Spod rąk ich wychodzą słowa o zdrowiu: „Ich bin gesund und f u h l e mich gut” — „Jestem zdrowa i czuję się dobrze”.

„Und, Gott sei Dank, fiihle ich mich sehr wohl” — „I, Bogu dzięki, czują się bardzo dobrze”.

„Ich habe gute Arbeit und bin immer lustig” — „Mam dobrą robotę i zawsze jestem wesoła”.

Czasem zjawia się w myśli pytanie, co nadeszłoby w pierwszej paczce żywnościowej, gdyby to istotnie była prawda. Snuje się domysły, fantazje głodowe, układa się jadłospisy. Tymczasem wizja głodu i lęk przed utratą sił fizycznych jawią się, niejednokrotnie odbierając otuchę. Powodują godziny bezsenności, długie godziny nocne, w ciągu których barak pełen jęków zmienia swój wygląd. Z ciemności wyziera strach.

Od kiedy zabrano Danutę Terlikowską, żeby wykonać wyrok śmierci nadesłany przez wydział polityczny, budzi się zwątpienie w celowość walki z własną niemocą. Była już po kryzysie, lecz jakże jeszcze osłabiona. Tyfus plamisty powoduje całkowity bezwład nóg, trzeba stopniowo uczyć się chodzić tak jak małe dziecko. Gdy wieczorem wywołano jej nazwisko i imię dodając, że wzywa ją wydział polityczny, zrozumiała, po co idzie. Jej spokój pokrywał dramatyczny kryzys, jakiemu ulega każdy człowiek w chwili zetknięcia się ze śmiercią. Miała siłę opanować wzburzenie, nie mając jeszcze siły iść bez czyjejs pomocy. Twarz Danuty Terlikowskiej wryła się w pamięć chorych. Żadna z nich nie słyszała wystrzału, żadna nie słyszała śmiertelnego krzyku skazanej. Wiedziały tylko, że Danką nie wróci. Wiedziały też, że kobiety aresztowane „politycznie” w każdej chwili muszą się spodziewać podobnego wezwania. Myśl o tym to jeden z wielu nocnych strachów.

Strach budzą sunące cicho szczury, które wylazą z dziur i kanałów, gdy tylko zapadnie zmrok. Są ogromne i tłuste, utuczone najrozmaitszym żerem, którego dostarcza im obóz. Jest rzeczą wiadomą, że na dwudziestym piątym bloku szczury odgryzają zmarłym palce, wyjadają części twarzy, napadają nawet konających.

Rozzuchwalone swą siłą podchodzą coraz bliżej leżących. Czasem z dolnych łóżek rozlega się nagły krzyk: -Szczur, szczur! — Tłuste jak wałki śmigają szybko, zostawiając za sobą długi cień. Jest ich tak dużo, że rozgorączkowany mózg człowieka myśli o nich jak o niezmiernie wielkich bakteriach którejs z szerzących się w obozie chorób. Przez całą noc rozlegają się ich skoki, tupoty i głośne piski.

Około godziny dziewiętej wieczorem odgłosy szczurów zagłusza inny hałas, dochodzący od strony budki stojącej za blokiem dwudziestym piątym. Dalekie, ponure dudnienie auta stękającego pod ciężkim ładunkiem. To karetka ze zmarłymi już kursuje. Czasem przejeżdża raz tylko, kiedy indziej przebiega drogą prowadzącą pomiędzy lagrami do krematorium

niezliczoną ilość razy budząc ze snu i siejąc grozę. Kobiety pragną przespać tę porę, przeważnie jednak bezsennie wsłuchują się w ciemności, w których jak zły duch udający miłosierdzie przejeżdża karetka samochodowa z wymalowanym na niej czerwonym krzyżem. Dręczące pytanie, kiedy nadejdzie kolej tych, które tu leżą walcząc z ciężką niemocą, zjawia się i spędza sen z powiek. Nikt z tych ludzi, dla których właśnie w tej chwili najpotrzebniejszą instytucją byłby Czerwony Krzyż, nie łądzi się, co do roli auta. Nikt nie życzy sobie przejażdżki nim, wiadomo bowiem, że byłaby to podróż ostatnia. Gdy wreszcie dudnienie karetki samochodowej cichnie i zmęczenie skłania do snu, gdzieś w głębi baraku zaczyna się monolog obłąkanej. W ciszy jej słowa i krzyki rozbrzmiewają donośnie, budząc chore.

Czasem wśród nocy ryk syren otaczających obóz oznajmia alarm lotniczy. Naloty są witane radośnie, oznaczają bowiem, że wojna nie ustaje, że ktoś walczy przeciw Niemcom, że ktoś ich nęka. Wszystkie serca więźniów biją mocnym rytmem nadziei, gdy eskadry zniżają się ponad niemieckimi terytoriami. Noc jasna,

odblask śniegu wdziera się przez drobne szybki w dachu. Światło księżyca oblewa łóżka i wiązania belek podtrzymujących dach.

W tym białym niebieskim świetle jesiennej nocy podnosi się na jednym z łóżek wychudła postać. Szerniała i brudna jak wszystkie tu, lecz w ruchach jej jest jakiś rys odróżniający ją od innych. Obejmując wychudłymi ramionami słup, wchodzi na krawędź łóżka i stojąc tak pod samym dachem przegięta do tyłu odciąga zasuwę jednej z szyb. Uchylone okno ukazuje rozmigotaną przestrzeń gwiazdną, na której tle rysuje się wyraźnie ogolona głowa chorej. Kobiety nieruchomieją, patrzą w milczeniu. Nie można przemówić słowa, żeby nie sprowadzić którejś z Niemek. Przez uchyloną szybę wraz z falą mroźnego powietrza, rzeźwiąco wpadającego w ciężki odór baraku, wnika odległy śpiew syren. To Śląsk ostrzega o ataku lotniczym. Ciemna postać wspina się po żebrowaniu belek i wydostaje się na dach. I znowu cisza. I dalekie, wibrujące w powietrzu głosy syren. W pewnej chwili daje się słyszeć zdławiony, nagły krzyk chorej, pełen triumfu czy lęku. W ciemnym prostokącie szyby, na tle gwiazd, jaśniejących nieruchomo, zjawily się, jak nowa konstelacja, światełka wolno płynące po niebie. Jak latające gwiazdy płyną mijając obłoki. To eskadra naszych przyjaciół. Oczy więźniów spotykają się na tych światłach. Może to dziś będzie ten wielki dzień, który przyniesie wolność, a jeżeli nie, to wielkie bombardowanie, albo lager zostanie zasypany ulotkami, których treść doda mocy i uczyni śmierć lżejszą. Może ktoś z naszych rodaków w państwach nie objętych niemiecką okupacją albo któryś z narodów wrogich Niemcom przyjdzie nam z pomocą.

Tymczasem na dachu baraku kobieta posuwa się w kierunku ruchliwych świateł lotniczych i woła głosem donośnym, niosącym się daleko wśród ciszy:

— Ameryka! Ratuj dzieci! Amerykanie! Ratujcie dzieci! Matki Amerykanki! Ratujcie małe dzieci, ratujcie polskie dzieci!!!

Jej krzyk rozlega się długo w różnych punktach dachu. Na sali uczyniła się cisza jeszcze zupełniejsza, jakby magiczną siłą tego głosu przekonane kobiety czekały, czy przestwór istotnie odpowie. Strzelanina artylerii przeciwlotniczej, a potem dalekie detonacje bombardowania głuszą głos chorej i odrywają od niej uwagę. Dopiero po syrenach odwołujących alarm daje się ponownie słyszeć jej gwałtowne nawoływanie:

— Ameryka, ratuj dzieci!

Po skończonym alarmie następuje niejaki odprężenie, tu i ówdzie w mroku baraku rozlegają się ściszone głosy:

— Ameryka tego nie usłyszysz.

— Ameryka nigdy nie dowie się prawdy.

A jakiś głos niezmiernie znużony i pełen przygnębienia rzekł, stłumiony chrypką:

— A jeżeli się dowie, to nie uwierzy.

Głucha na wszystko, niepomna na niebezpieczeństwo ponawia chora swoje wezwanie. Ogień buchający z najbliższego krematorium oświetla czerwoną łuną jej postać. A ona nie widzi już nic, nie rozumie, nie wie. Obłąd ogarnia jej umysł zabierając wszystko prócz wiary w państwo, do którego kieruje swe okrzyki:

— Ameryka, ratuj dzieci! Ameryka, ratuj dzieci! Ameryka, ratuj dzieci!

Co rano, w porze wydawania kawy, przychodzi kolumna Żydówek zatrudnionych na stałe przy wynoszeniu zmarłych. W końcu baraku, w ostatniej „sztubie” składa się na ziemi nagie ciała i rano Żydówki zabierają je na nosze. Te małe konduktory pogrzebowe posuwają się w stronę komórki za dwudziestym piątym blokiem.

Wszyscy, lęk przed selekcją i chęć uniknięcia innych epidemii skłaniają chore do rychłego opuszczenia szpitala. Niektóre z nich są jeszcze bardzo słabe. Ledwo trzymając się na nogach ustawiają się do wyjścia. Wiele z nich przeszło tyfus plamisty w ciągu trzech tygodni i ma jeszcze gorączkę, wiele nie może stać wskutek osłabienia mięśnia sercowego. Niejedna cierpi na czerwonkę. Większość straciła w czasie nieprzytomności swą nędzną odzież i wychodzi w jakimś łachmanie.

Wokół baraków śnieg razi oczy swą bielą. Pod ścianami leżą zmarłe. Garstka rekonwalescentek przechodzi obok nich całkiem blisko.

Kto opuszcza rewir, jest znów tak samo bezdomny jak w pierwszym dniu pobytu w obozie. Wchodząc do szpitala traci się bezpowrotnie swoje dotychczasowe miejsce w baraku zdrowych, swoje koce, nawet miskę. Wychodząc dostaje się nowy przydział na blok. Tymczasem Polki z jedyńki zostały przeniesione do sąsiedniego bloku nr 7. Wszystko, co było, co z trudem stworzyło się do czasu choroby — kąt na koi, który zastępować miał dom, najbliższe otoczenie, które było jedyną rodziną — zostało zmiecione podmuchem wydarzeń.

Na nowo trzeba będzie szukać miejsca wśród zdrowych, budząc ich niechęć, trzeba będzie starać się o koce i zająć się przede wszystkim oczyszczeniem ich. Warunki wymagają od rekonwalescentek niepomiernej więcej energii niż od zdrowych. Na niepewnych nogach, zataczając się, blade i niezupełnie przytomne idą od strony szpitalnych baraków. Wychodzą poza furtę rewiru. Dołączają się znów po raz pierwszy od długiego czasu do apelu stojącego w obozie. Rozglądają się. Innymi oczyma patrzą na świat. Są o wiele słabsze i mniej odporne niż przed tyfusem. Otoczenie wydaje im się o wiele groźniejsze, niż było.

Pod barakami stoją kolumny ustawione w piątki. Daremnie wzrok szuka wśród nich znajomych twarzy. Żadnej z tych, które tu stały przed miesiącem. Daremnie szuka się numerów z letnich i jesiennych transportów. Nie widać ich. Wśród stojących przeważają numery sięgające już trzydziestu tysięcy. Jakaś pustka bolesna wieje od równo ustawionych piątek. Kogoś wśród nich brak. Wydaje się, że lada chwila zjawią się, nadejdą od strony bramy obozu, jak wracały przed miesiącem, opalone wiatrem, zmęczone całodzienną pracą w polu. Wydaje się, że muszą wrócić ze szpitalnych baraków, do których zapędziła je epidemia. Niewątpliwie lada chwila rozewrze się furta i wyjdą z niej wszystkie — wyjdą trzynastotysięczne (transport z Radomia, Częstochowy, Piotrkowa, Kielc). Wyjdą osiemnastotysięczne (transport z Pawiaka), wyjdą dwudziestotysięczne (transport z Krakowa). Wrócą, żeby dalej walczyć ze śmiercią.

Oto furta rozwiera się. Lecz któż to idzie? Wolniutko wysuwa się pierwsza postać z dłońmi przywartymi do drążków noszy, które wychylają się za nią, trzymane przez postać drugą. Na noszach zwłoki. Ze szpitala wychodzi korowód Żydówek niosących zmarłe. Nosze za noszami płyną nieprzerwanie, a na nich leżą nieruchome ciała kobiece. Będą policzone na bloku dwudziestym piątym. To będzie ich apel ostatni, ostatni dzień w obozie.

Rozdział trzeci PIERWSZE WIELKIE ODWSZENIE

Nieszczęściem Oświęcimia jest różnorodność jego więźniów. Obok aresztowanych politycznie o wszelkich od cieniach spraw, od chłopca, który gwizdząc polski hymn państwowy szedł ulicą, poprzez bardzo poważne sprawy z bronią w ręku aż do manifestujących przeciwko wojnie kobiet i posądzonych o komunizm przeciwniczek reżimu hitlerowskiego — przywozi się do Oświęcimia także więźniów innego autoramentu. Długoletni kryminaliści, starzy przestępcy, karani czasem ponad trzydzieści razy za kradzież, fałszerze banknotów, eleganccy złodzieje hotelowi, bandyci, zboczeńcy, nierządnicę, właściciele domów publicznych — ci przyjeżdżają razem z politycznymi, razem z nimi żyją, razem idą do pracy i razem kładą się spać.

W momencie wchodzenia do obozu zniweczono wszelkie cechy zewnętrzne, odróżniające ludzi nawzajem od siebie. Głowy są ogolone, odzież jednakowa, pod warstwą brudu twarze szare i nieodgadnione. Człowiek stoi przy człowieku milcząc — bo jest rozkaz, że przy pracy rozmawiać nie wolno — i nie wiadomo, czy to przyszyły przyjaciel, czy wróg. Jednakże jest ich znużenie i jednaka niedola. Jak galernicy razem skuci muszą oni zawsze trwać obok

siebie. I dopiero wówczas, gdy odejdzie poganiacz, jeden z nich otworzy usta i zacznie mówić plugawymi słowami uśmiechając się na widok zdziwienia drugiego. Albo niespodzianie uderzy go w twarz, albo plunie w jego jedzenie na znak wzgardy. Albo nocą wyciągnie buty sąsiada i sprzeda drugiemu więźniowi, a potem powie ze śmiechem, że tak, zrobił to i niech ktoś spróbuje się na niego poskarżyć! Wie on też coś niecoś o swoich sąsiadach, czego zawsze może użyć jako broni przeciwko nim.

Smutno jest odczuć, że ludzie pracujący przy sobie w ciągu dnia i w nocy układający się obok siebie na spoczynek przemawiają jak ludzie z różnych planet, daremnie usiłując się porozumieć.

Zewnętrznie są tacy sami. Odróżnia ich tylko „winkiel” — trójkąt na piersiach przy numerze, u politycznych czerwony, u złodziejów, oszustów, fałszerzy — zielony, u bandytów i kobiet publicznych — czarny.

Oni jednak, przestępcy, umieją szybko poznać się nawzajem po znakach dla reszty otoczenia nieuchwytnych. Inni, zanim się zorientują, stają już wobec grupy zorganizowanej, cicho solidaryzującej się z sobą. Bywają słowa żargonowe, pewne nazwy, określenia, które zastępują wzajemną prezentację. Bywają też znaki bardziej niezawodne.

Któregoś dnia zwrócono moją uwagę na niebieską plamkę — kółeczko o średnicy trzech milimetrów — na policzku jednej z kobiet. Wyglądało to tak, jakby plamka była świeżo zrobiona chemicznym ołówkiem. Po kilku dniach obserwacji okazało się, że punkcik ten nie ulega działaniu wody, mydła ani czasu. W tłumie dało się zauważyć więcej twarzy oznaczonych niebieskim piętnem. Wedle objaśnień, jest to znak tatuowany recydywistom, po którym poznają się nawzajem złodzieje gotowi iść sobie z pomocą w swym rzemiośle. Jest to podobno znak międzynarodowy, pozwalający zawodowemu złodziejowi liczyć na współpracę w nieznanymi miastach, w wielkich portach, wśród ludzi zupełnie obcych. Obóz nie jest dla nich niczym innym jak jednym z terenów pracy. W walce z nimi człowiek obdarzony wrażliwością sumienia przegrywa. Wydział polityczny Oświęcimia, decydujący o barwie trójkątów, dał wielu przestępcom „winkiel” czerwony. Tym trudniej odróżnić ich w nieznanym tłumie. Lecz oni sami znają się nawzajem i tworzą zorganizowany klan. Oni szybciej wypłynęli na powierzchnię życia, chwycili sytuację za kark, bez wahania zdecydowali się spełniać rozkazy SS-manów, choćby godziły one w dolę więźnia. Oni to w mrowiu ludzi poganianych zostali poganiaczami.

Ze współpracy ich z SS-manami wynikły dla obozu fatalne rezultaty. Oni wytworzyli swoją moralność i swoją opinię, w zetknięciu z którą niemal zawsze ginął ten, kto jej nie uległ. Oni spacyli ową słynną „organizację” oświęcimską. „Zorganizować” w mowie więźnia politycznego znaczy: zdobyć rzecz potrzebną nie krzywdząc przy tym nikogo. Przykłady: zabrać koszulę z magazynu pełnego bielizny butwiejącej i gryzionej przez szczury, a nie wydawanej więźniom wskutek sknerstwa capo tego magazynu — znaczy zorganizować. Zabrać koszulę upraną przez kogoś i suszącą się na trawie — to nie znaczy zorganizować, lecz ukraść. Gdy pracownik magazynu chlebowego wyda współwięźniom kilka bochenków nadliczbowego chleba pleśniejącego w magazynie — to organizacja. Gdy blokowa wydaje

współwięźniom w nagrodę za jakieś dodatkowe usługi kilka bochenków z ilości przeznaczonych na całodzienne porcje — to kradzież. W obozie jest bardzo wiele baraków magazynowych pełnych wszelakiego dobra. Ich zawartość bywa wysyłana od czasu do czasu w głąb Niemiec. Umieć niepostrzeżenie znaczną część rozprowdzić po obozie, ułatwiając drobiazgami codziennej potrzeby życie towarzyszących niedoli, znaczy w Oświęcimiu: umieć organizować. Niestety, dla wielu mieszkających pojęcia wyciągnąć nocą spod głowy śpiącego parę butów, wyjąć coś z paczki, zabierać margarynę z kotła z zupą — nazywa się również organizować. Mentalność pewnego typu przestępczego nie pozwala recydywistom, oszustom, zabójcom widzieć różnicy między kradzieżą a organizacją. Długo miała ta kasta władać obozem i niemal do końca zostanie zwycięska, gdyż nigdy nie zawaha się przed użyciem metod bestialskich. W tym okresie przyznać, że jest się „inteligentem”, znaczy zginać. Ta kasta uprawnionych tyranów spełnia skrupulatnie wszelki rozkaz, gorliwością swoją utrzymując się przy władzy. SS-mani wkrótce przestają wnikać w wiele spraw widząc, że są one przeprowadzane z najzupełniejszą bezwzględnością. Stopniowo władza ich przechodzi na „Funktionshaftlinge” (funkcyjni więźniowie)*. SS-mani obdarowują wielkim zaufaniem Niemkę, Marię Imiołę ze Śląska, długoletnią więźniarkę, aresztowaną na kilka lat przed wojną za uwięziony powodzeniem zamach z bronią w rękę na policjanta, która w obozie wywiązuje się najbardziej służbiście ze spraw jej powierzonych. Długi czas jest surową blokową, znającą ustępstwa tylko w wypadku ofiarowania jej dobrych rzeczy z paczki żywnościowej, potem awansuje na Lager Alteste i funkcję tę pełni nadzwyczaj gorliwie. W swym czarnym fartuchu, z czarną opaską i białymi literami LA na ramieniu, zawsze z kijem, wychudła z nadmiaru pracy, krąży bez przerwy pomiędzy barakami budząc postrach. SS-mani nie potrzebują zaglądać tak często do obozu mając takie jak Maria wyręczycielki. Czego nie dostrzeże oko SS-mana, wytropi na pewno wzrok Marii. Blockführerstuba wie doskonale o wszystkim, co dzieje się w obozie. Wie więcej, niż chce wiedzieć w swym pijackim znużeniu.

Smutna to prawda, lecz stwierdzić ją trzeba, że funkcyjni wyrządzili więźniom Oświęcimia co najmniej tyle złego, ile wszyscy SS-mani razem wzięci, gdyż oni właśnie byli owym ślepym mieczem zadającym każdy ledwo zamierzony przez SS-manów cios. Każdy z nich nosi na ramieniu opaskę z napisem — czerwoną, żółtą, czarną — w zależności od funkcji.

Każde większe wydarzenie w obozie poprzedza tajna konferencja SS-manów z „Funktionshaftlingami”. O wynikach rozmowy, o planach na dzień następny policja wewnętrzna nie ma prawa mówić swoim współtowarzyszom pod groźbą srogiej kary i utraty władzy. I nie powie. Zbyt skwapliwie chce utrzymać swoje prerogatywy. Późnym wieczorem w przeddzień odswenszenia widuje się „Lauferin” (dziewczyna goniec)* zwołujące funkcyjne na naradę. Tam, na tych obradach SS-mani dowiadują się wielu tajemnic, wielu spraw, które więźniowie chcieliby za wszelką cenę ukryć. Noc ciemna jest świadkiem, jak więźniowie funkcyjni zdradza więźnia zwykłego. Padają raporty. O tym, że nawet w mydle, nawet w chlebie mogą ukryć coś, co należałoby im odebrać. Że należy pozbawić ich wszystkiego, co posiadają. Padają podszepty o chorych, przypomnienia rzeczy, o których pijani SS-mani mogliby zapomnieć. Ustala się plan pracy na dzień następny. Gdy ciemną nocą funkcyjne wracają do siebie, obóz śpi. Czasem ktoś zbudziwszy się i wyszedłszy spotka przypadkiem w kłozecie

służącą którejs z funkcyjnych. Jeżeli ją zna i ma odwagę przemówić do istoty niepomiernej przewyższającej go w tutejszym społeczeństwie, dowie się o mających jutro nastąpić wypadkach. Służące te są na ogół gadatliwe, a klozet jest miejscem, gdzie spotykają się wszystkie kobiety, i dzięki temu tu powstają wszelkie plotki, tu kwitnie życie społeczne i towarzyskie. Nic dziwnego: klozet jest jedynym miejscem w obozie, gdzie można usiąść na chwilę i swobodnie porozmawiać, a mieści około dwustu kobiet równocześnie. Jesienny wichur zrzucił dach z klozetu Polek i odtąd często mokną, lecz mimo to jest tu zawsze pełno i wiadomość o odwszeniu, rzucona tu, rozejdzie się do rana po wszystkich blokach.

Przedświtowe zimno spadło na ludzi mocnym snem. Nikt nie chodzi, śnieg zasypał od wieczora ślady stóp. W ciszy skrzypiące wrota baraku rozchylają się ostrożnie i wysuwa się z nich ciemna postać. Rozgląda się dokoła i stąpając na palcach idzie w kierunku stosu cegieł leżących za barakiem. Tam klęka, wydobywa spod sukni małe zawiniątko i rozwija je. To jest wszystko, co posiada, wszystko najdroższe, z czym pragnie nie rozstawać się. Zniszczona fotografia z pozaginanymi rogami, kilka listów — to wszystko. Udało jej się zachować te drobiazgi w momencie wchodzenia do obozu. W baraku dezynfekcyjnym podała je jakiejś nieznajomej prośbę o przechowanie. Gdy oddała wszystkie swoje rzeczy do depozytu i stała już ubrana w odzież obozową, nieznajoma zjawiała się sama. Podeszła z uśmiechem i podała paczuszkę. Odtąd przy wszelkich rewizjach udawało się jakoś te skarby uchronić.

Teraz kobieta zawija szmatkę, wiąże mocno supły i pochyla się nad stosem. Ostrożnie zdejmuje cegły uważając, żeby nie strząsnąć z nich śniegu, chowa w szczelinę swoje zawiniątko i przykrywa cegłami. Skończyła i zdążyła odsunąć się w chwili, gdy skrzypnęły drzwi baraku. Z obojętną miną przechodzi obok wychodzącej, poprawiając na sobie odzież, a potem wszedłszy do baraku staje za drzwiami i przez szczelinę śledzi ją. Żeby tylko nie szła do cegieł. Tamta niesie w jednej ręce łopatę, w drugiej tobołek. Zatrzymuje się w pobliżu cegieł i mozolnie kopie dół. Potem układa na jego dnie swój węzełek, przysypuje gliną i wraca. Od pracujących w magazynie odzieżowym dostała zmianę czystej bielizny i boi się, żeby nie stracić jej podczas odwszenia.

Z drugiej strony baraku mignęła przebiegająca postać, zatrzymała się przy ścianie i w szparę między deskami chowa łyżkę, nóż i szczotkę do zębów.

Zaczyna się stopniowo coraz większy ruch. Kto nie zdążył wstać wcześniej, zrywa się teraz i gdziekolwiek — za belką, między kojami, w kącie za drzwiami, usiłuje schować swoje rzeczy. Na dworze już nie można ukryć nic, gdyż nadeszli właśnie zajmujący się odwszeniem SS-mani. I od razu, przynaglając do wychodzenia z baraków, krzyczą donośnie:

Raus! Alles wegschmeissen! *(Precz! Wszystko rzucić!)

Należy mieć próżne ręce. W baraku pozostają koce, pozostaje wszystko, co kto miał.

Sytuacja dzisiejsza gorsza jest od zwykłych zdarzeń obozowych, bo kryje w sobie zło nieznane, w odróżnieniu od dni pracy, których przebieg i ewentualne niebezpieczeństwa można przewidzieć. Kobiety starają się przygotować na wszelkie wypadki, wytworzyć w

sobie odporność silną jak tkanka żywotna, która chroni przed każdym rodzajem ciosu i odradza się ciągle na nowo. Lecz w wielkim, mrówczo licznym tłumie zniecka opada najmężniejsze serca poczucie samotności. Wprawdzie Jugosłowianka wspiera Polkę, staruszka obejmuje młodą dziewczynę i lubi, żeby ją nazywać babcią — lecz to poczucia samotności nie gęszy. To je pogłębia. Człowiek jest sam.

Zostawiwszy w baraku koce, kobiety zabrały ze sobą wieczorny chleb i dodatkową porcję kielbasy, którą wydano wczoraj. Wprawdzie trudno cokolwiek przewidzieć, bo jest to pierwsze odwszenie i nikt z więźniów nie wie dokładnie, jak się ono odbędzie, lecz jedno jest pewne, że trzeba będzie długo stać. Dlatego wczoraj zjadły mało, żeby zrobić zapas na dziś. Mają również miski, bo nie było ich gdzie schować.

Tymczasem pomiędzy szeregi wpada umundurowany lekarz SS, Kónig. Wyrywa im z rąk wszystko, cokolwiek mają, i rzuca w rów. Poleciały z brzękiem miski i łyżki, poleciał chleb, porcje margaryny albo kielbasy, co kto miał. Nie wolno zwrócić się w stronę rowu. Lekarz jest wielki i tęgi, ma ciężką rękę.

Spoza murowanych baraków wyzierają brudne Cyganki i skradają się. One nie zostały dziś jeszcze objęte odwszeniem. Zwinnie dopadają rowu, w mgnieniu oka porywają rzecz upatrzoną i zmykają. Lekarz bije mocno, lecz ruchliwe Cyganki przemykają pod ciosami jego rąk. Rów pustoszeje. To, co było własnością kobiet stojących w piątkach, przeszło na własność krzątających się pomiędzy barakami.

Odwszenie odbędzie się w obozie męskim, ponieważ barak dezynfekcyjny w obozie kobiecym nie jest przystosowany do szybkiego obsłużenia takiej ilości ludzi. Nie ma w nim jeszcze urządzeń kąpielowych.

Przybywające do obozu nowe przechodząc przez ten barak są zmuszone do mycia się w małej, wspólnej wanience. Pracownicy biura ewidencyjnego (tak zwana Schreibstuba) „kąpią się” co tydzień w ten sposób, że dostają po wiadrze wody gorącej na osobę i każda z nich w swoim wiadrze myje ciało i głowę.

Jest to w obozie przywilej niedostępny dla pracujących w polu.

Pracownicy kuchni, o których higienę dba się specjalnie, kąpią się od czasu do czasu w cementowych basenach, używanych do płukania brukwi i ziemniaków.

Podczas gdy większość kobiet stoi przygotowana do przekroczenia bramy obozu męskiego, reszta robi porządki. Żadna ze stojących nie wie, na czym to sprzątanie polega, lecz wszystkie pamiętają, kto je będzie robił. Spodziewają się, że przepadnie wszystko, co pozostawiły w barakach, i z ukrywaną radością spozierają w stronę swoich „sezamów” pod cegłami, wśród rur betonowych czy wprost w ziemi. Może to nie wpadnie w ręce „czarnych i zielonych winklów”.

Gorliwe „czarne winkle” biorą się energicznie do pracy. Już widać stosy rzeczy wyniesionych z baraków, już widać, jak ktoś przetrząsa sienniki, wyciągając z nich, co znajdzie: flaszeczkę z lekarstwem, szczotkę do butów, kawałek książki.

W chwilę po wyrzuceniu wszystkich misek Lagerarzt *(lekarz obozowy), odprowadzony do bramy przez swięte funkcyjnych, opuszcza obóz. Wkrótce potem zjawiają się kotły z zupą i ktoś woła donośnie: — Mittag! *(obiad) (Wprawdzie jest zaledwie rano, ale zupa już gotowa, więc wydaje się ją od razu.) Nikt nie ma naczynia ani łyżki. Zaledwie kilku wyjątkowo sprytnym udało się ukryć jakieś małe kubeczki. Pożyczają je wszystkim. Ale dzielenie obiadu nie trwa długo. Wnet kotły zostają zamknięte. Zawartość ich będzie prawdopodobnie wylana w klozecie. Ważne jest to tylko, że kuchnia wydała przepisowo więźniom tyle kotłów, ile wyznaczili SS-mani. Czy ludzie zjedli, o tym nikt nie myśli. Rozżalona i głodna gromada stoi dalej w piątkach między barakami czekając rozpoczęcia odwszenia. Ponad kąpieliskiem (tak zwaną Sauną) w męskim obozie unoszą się smugi dymu sunąc powoli na tle chmur. To jakieś nieznanne przygotowania.

Jest szósty grudnia, dzień św. Mikołaja. Śmieszne jakieś i niepotrzebne wspomnienia błakają się w myślach. Tymczasem daleko, tuż pod bramą obozu męskiego stojące piątki zostały przeliczone przez SS-mana. Rozwarła się żelazna krata drzwi i pierwsza część kobiet wchodzi. Widać, jak zbliżają się do baraku kąpielowego, jak znikają w jego głębi. A potem przez długie godziny nic.

Dym nad kąpieliskiem bucha bez przerwy. W kobiecym obozie stoją dalej w nieładzie piątki czekając swej kolejki. Wreszcie koło południa pierwsza grupa odwszonych ukazuje się stojącym. Powiewają białe chustki na głowach. Skulone postacie z daleka nawet wyglądają na zziębnięte. Mają na sobie pasiaste sukienki z długimi rękawami i nic poza tym. SS-man wyprowadza je na drogę pomiędzy obozem żeńskim a męskim. Widocznie ustawiono je tam dlatego, żeby nie stykały się z „brudnymi”. Wedle planu ustalonego w nocy mają tam pozostać do końca odwszenia, dopóki wszystkie nie przejdą przez kąpiel i dezynfekcję. Wychodzące z baraku dezynfekcyjnego grupy mają się do nich dołączyć i gdy już wszystkie kobiety będą odwszone, dopiero wtedy wejdą razem do oczyszczonego obozu. Ten plan mieści się w ramach jednego dnia. Tymczasem, gdy wieczór zapada, zaledwie część kobiet odwszonych stoi drżąc z zimna na drodze pomiędzy obozami. Reszta ciągle jeszcze w obozie kobiecym czeka pod bramą. Jest już gęsty mrok, gdy znów, po raz któryś z rzędu, otwarto drzwi z żelaznej siatki. Lager-capo, niski, z żółtą opaską na ramieniu, asystuje SS-manowi. Poprawny i gotów do usług nie spuszcza wzroku z postaci Niemca. Ma go bez przerwy na oku, czujny jak zwierzę obserwujące swego pogromcę. Gdy SS-man obejrzał się, Lager-capo zdołał wyzyskać ten moment. Nie odwracając twarzy spojrział rzutem oczu na przelękłe i szare z zimna kobiety i rzekł szybko po polsku:

— Nie bójcie się nic. Wszystko musi być dobrze.

Jest bardzo zimno po dniu spędzonym niemal nieruchomo. Zmrok przyniósł chłód jeszcze dotkliwszy. Barak jaśniejący elektrycznością i buchający parą wydaje się wybawieniem.

Obojętne jest wszystkim, co zacznie się za jego progami. W tej chwili rzecz najważniejsza, żeby tam wejść. Już ktoś otwiera. W smudze światła zjawia się SS-man:

Zuriick! Ist schon zu spat heute! — Z powrotem! Dziś już za późno!

Jaka szkoda! O wiele lepiej byłoby mieć to wszystko już poza sobą. Tymczasem nazajutrz zacznie się znów czekanie. Widać w ciemności, jak białe chusteczki świeżo odwyszonych kobiet posuwają się drogą wzdłuż drutów aż do następnej bramy. Tamtędy są wpuszczane. Będą już spały tej nocy w świeżo wygazowanych barakach. Ktoś mówi, że bez sienników i koców, wprost na deskach kój spędzą tę noc. „Brudne” — nie odwieszone nie mogą zetknąć się z nimi i w tym celu będą zaprowadzone do baraku dezynfekcyjnego w obozie kobiecym. Tam tłum ten krąży po sali, której podłogę stanowi cement pełen otworów ściekowych. Zbyt zimno jest, żeby można było na tym siedzieć. Powtarza się komedia rozdawania kawy. Tak jak rano nikt nie ma naczyń. Przemęczenie i senność biorą górę nad zimnem i głodem. Co chwila ktoś słabnie, pada, podwija nogi, głowę wspiera o ścianę. Matka znanego aktora Zacharewicza piastuje na swych kolanach zemdloną młodą kobietę czyniąc jej w swych ramionach wygodną kołyskę. Czas płynie. I nagle wśród nocy krzyk:

Raus, raus, aber schon! —Precz, precz, ale już!

Gromadny bieg przez ciemny obóz. Nikt nie wie dokąd. Jakies wrota, jakiś barak. W ciemnościach wyczuwa się zacisza. Wiadomo już, że tu będzie można spać. Dłonie po omacku szukają miejsca. Jest. Jest całe mnóstwo pustych prycz drewnianych. I sienniki, i nawet koce. Ach, obojętne, kto tu spał wczoraj. Byleby ;nożna było lec i zasnąć. Obfitość koców. A każdy z nich ,-niękki jak mech, włochaty, lekki. Można się otulić ze wszystkich stron, tak że nigdzie nie wieje — i można ;pać. Ktoś wykrył w ciemnościach cały kocioł obiadowej i stos misek. Wynoszą przed barak, przy świetle płynącym od strony drutów dzielą skrzepłą bryję, w której widać kawałki makaronu włoskiego. Wspaniała zupa! Wzajemnie namawiają się do jedzenia. Przynoszą pełne miski i podsuwają zasypiającym. Sen mocny, ciężki spada szybko na leżące kobiety. Przebudzenie pełne jest bólu. Znużenie przyszło w pełni do głosu dopiero w ciepłe i wygodzie. Światło poranka wydobywa z mroku szczegóły baraku. Widać teraz, jak bardzo różni się ów niedostępny „zielony barak”, wzniesiony z drzewa, od murowanego. Wprawdzie był on również przeznaczony na stajnię, lecz wprowadzono tu pewne udogodnienia. Środkiem biegnie niski, płaski piec, długi na kilkanaście metrów. Szpary w dachu nie grożą deszczem, bo jest tu sufit. Ziemię pokrywa posadzka z czerwonej cegły. Tu i ówdzie w poprzek przez piec ustawiono stoły. Przestrzenie między pryczami dość duże.

To blok należący do Niemek Ober-capo i capo. Z żalem opuszczają go kobiety, żeby wyjść na chłód grudniowego poranka i znów zacząć wyczekiwanie pod bramą obozu męskiego.

Tym razem jednak nie trwa to już długo. Pierwsza część piątek zostaje wpuszczona do wnętrza „Sauny”. Wilgotny korytarz z betonową podłogą, w której biegą wąskie rowki ściekowe. Zatrudnieni tu mężczyźni stoją obok kilku „Aufseherinnen” i SS-manów. W ich obecności należy się rozebrać i oddać swoją odzież do odwieszania. Kobiety rozbierają się

szybko. Żadna z nich nie chce być ostatnia, żadna nie chce zostać na końcu, żeby na jej postaci nie skupiły się spojrzenia stojących. Każda chce swą nagość ukryć w tłumie innych nagich. Mężczyźni tymczasem przynoszą kawałki drutu, rozdają kobietom i pouczają, jak należy powiązać odzież. Bystre oczy SS-manek oglądają każdą nagą postać, wchodzącą do kąpieliska, kij udaremnia próby zabrania z sobą ręcznika lub mydła. Człowiek jest nagi, ręce musi mieć próżne.

Ktoś idzie z dłonią zwiniętą w pięść.

-Was hast du denn da? — Cóż to masz tutaj? *

Uderzenie kijem w palce zmusza dłoń do rozchylenia się, na ziemię spada srebrny medalik.

— Heilige Theresia (święta Teresa)* — woła Niemka. Stojący obok mężczyźni wybuchają głośnym śmiechem. Czubkiem buta spycha SS-man drobny ten przedmiot do kanału. Naga postać z ostrzyżoną głową kuli swe wychudłe ciało i odchodzi. Za drzwiami prowadzącymi do kąpieliska stoją znów mężczyźni. Należy podejść do nich, pochylić głowę, żeby obejrzeć, czy nie ma wszy, a potem wejść na stołek, podnieść ręce do góry i czekać na strzyżenie miejsc owłosionych.

Większość kobiet do istoty tak bardzo słabe lub chore, że troska o utrzymanie się na nogach do końca dnia absorbuje najzupełniej ich myśli. Wstyd i udręki moralne nie wszystkim dokuczają. I to jest znacznie lepiej. Po długiej i gorącej łaźni parowej kobiety idą pod zimny prysznic. Dla wielu jest to pierwsza kąpiel od kilku miesięcy, pierwsze swobodne zetknięcie się z wodą. Wprawdzie nikt nie ma mydła, lecz ciało pod dotknięciem wody doznaje ulgi po swędzeniach i pogryzieniach. Z szumem spadają lodowato zimne strumienie otaczając kręgiem stojącą w środku postać. Palce nóg i dłonie kostnieją z zimna, kręgosłup przenika miazdzący wstrząs, brak tchu. Chciałoby się uciec, lecz szkoda upragnionej wody, która w takiej ilości nie zjawi się znów długo. Prysznic bucha jak wodospad górski, dławiąc w ustach krzyk i sięgając lodowatym zimnem aż do serca. Jest to jak gdyby średniowieczna próba, jak zasadzka ustanowiona dla sprawdzenia życiowej odporności. Kto się nie cofnie — wytrwa. Nie można nacieszyć się tym szumiącym, rześkim strumieniem rozpryskującym się od sufitu.

Już SS-manki popędzają. Przed bramą zostały jeszcze tysiące piątek, czekających od wczoraj. Prysznic zamknięto. Przez całe ciało, od jego głębi po naskórek, przechodzi mrowiące zimno i ledwo obudzone gorąco. U wielu przejdzie to w gorączkę. Bywają jednak takie — nieliczne — które po tej kąpieli będą zdrowe.

Wybiegającym do następnej sali kobietom zastępują znów drogę mężczyźni z rozpylaczami pełnymi jakiejś cuchnącej cieczy. To dezynfekcja miejsc po ściętych włosach. Wreszcie zjawia się otyła Niemka i podaje ręcznik. Tym ręcznikiem mają się wytrzeć wszystkie wykąpane. Jest on ciemny od brudu i lepki. Przechodzące przez odwshenie setki kobiet wycierają się nim albo pozostają mokre. Teraz prawdopodobnie przyniosą odzież. Nagie kobiety stoją skulone, drżąc z zimna. W tej sali jest przewiew, przez nie oszklone okna dmucha lodowaty wiatr. Zapewniano, że w czasie gdy ludzie będą się kąpali, ubrania

dezynfekować się będą w komorze gazowej i w parowym kotle. W praktyce okazało się, że zatrudnieni przy gazowaniu nie są w stanie nadażyć. Trzeba poczekać godzinę stojąc nago w wielkiej hali. Po godzinie czekającym jest już zimno, lecz przyniesiono właśnie pierwszą garść wygazowanej odzieży. Wywołują po numerach naszytych na sukni. Nikt się nie zgłasza. Okazuje się, że to numery Niemek, które były w odwszeniu wczoraj. Widocznie dostały ubrania nowe, a należące do nich wygazowano dopiero dziś i rozdają je Polkom. Przepocona, cuchnąca innym człowiekiem bielizna, pełna plam i śladów po pchłach. Poczucie własnej odrębności niknie i ztraca się coraz bardziej. Zdawać się może, że wraz z ostatnim drobiazgiem osobistym, który tu przepadł w odwszeniu, zginął widomy znak tożsamości, zginęła możliwość udowodnienia sobie w chwilach zwątpień, że się jest jednak tym samym człowiekiem, jakim się było. Tamten człowiek odszedł. Pozostał nędzarz. Pozostał człowiek nagi, nie posiadający nic, odziewający skwapliwie mimo wstrętu swe zziębłe ciało w czyjaś przepoconą odzież.

Bielizna składa się z dwóch sztuk, a na to pasiasta suknia i pasiasty kaftan. Luźne suknie po tęgich Niemkach wiszą na wychudłych postaciach. Na nogach pończochy nie do pary, czasem jedna czarna, gruba, druga cieniutka, z naturalnego jedwabiu, od góry do dołu podarta. Na głowie trójkątna chusteczka z płótna. Nic poza tym. Nie ma nawet kawałka sznurka, żeby umocować pończochy.

Należy stać i czekać na resztę kobiet nie mających jeszcze ubrania. Stopniowo ciało rozgrzewa się i pod wpływem ciepła zaczynają się ruszać ukryte w szwach bielizny wszy. Lekkie gazowanie nie zaszkodziło im. Wyłażą, by napić się krwi.

Ktokolwiek wspomni o tym, dostanie porządnie po głowie. I groźbę, że owszem, od jutra odwszenie może się zacząć od początku. Tego nie życzy sobie nikt. I nikt do tej sprawy nie wraca. Jeżeli znajdzie ktoś wesz, zabija ją ukradkiem. Barak dezynfekcyjny jest jedynym miejscem, gdzie łapanie wszy odbywa się potajemnie.

Przed wyjściem trzeba mieć swój numer na sukni. Lecz razem z całym ubraniem płócienne naszywki przepadły gdzieś w kotłach i komorach gazowych. Kto nie ma numeru, jest bity i musi czekać. Wreszcie koło południa grupa kobiet opuszcza kąpielisko.

Fikcyjne odwszenie zostało dokonane. Przed bramą stoją nieprzeliczone tłumy. Przejdą tak samo przez kąpiel jak ich poprzedniczki i tak samo wyjdą zawszone.

Baraki są jeszcze zamknięte. Poprzez szczeliny wydobywa się z nich woń gazu. Na wrotach umieszczono napisy: — „Eine Laus — dein Tod”.(wesz to twoja śmierć) * Nic nie pozostało w barakach. Na pustych kojach nie ma nawet sienników.

Noc zapada, gdy nadjeżdża wóz z wygazowanymi koca mi. Wskutek działania gazu wszy wyszły na wierzch i wystawiły odwłoki do góry. Jest ich mnóstwo. Lecz gaz był za słaby, ich skórki nie pękły. Są nieruchome, lecz żywe. Kto dostał już koce, może wyskubywać insekty siedzące za każdym włoskiem wełny. Lecz kobiety, które nie powróciły jeszcze z odwszenia,

późnym wieczorem po ciemku przykryją się kocami i własnym ciepłem przywrócą do życia znieruchomiałe wszy.

Gdy noc zapada, niespokojne cienie wysuwają się z baraków i zdążają do swoich „sezamów” pod cegłami, pod betonowymi rurami albo w ziemi. Lecz sezamy są puste. Był tu ktoś, kto nie próżnował, nie wiadomo, czy zrobiły to gorliwe blokowe, czy zachłanne Cyganki, czy zawistne złodziejki. Tu i ówdzie samotna postać stoi przez chwilę nieruchomo nad pustym schowkiem. Patrzy. Przygląda się śniegowi, który grubą warstwą pokrył cegły. Uśmiecha się bolesnym skrzywieniem twarzy i stara się zrozumieć, że nie ma już i nie będzie tego jedyne go przedmiotu, listu, fotografii, jedynej pamiątki, którą chciało się mieć przy sobie, w chwilach najcięższych, w godzinach śmierci może.

Nie dla wszystkich kobiet odwszenie połączone jest z dwudniowym stanem na mrozie i z utratą rzeczy. Pracownice kartoflami skryły swoje woreczki pomiędzy stosami ziemniaków. Kucharki zrobiły to samo. „Efingerki” nie poszły wcale dzięki zarządzeniu szefa Efingera, który na własną odpowiedzialność nie posłał ich do odwszenia.

W takich dniach ciężkich, w takich kataklizmach obozowych jak odwszenie, połączone z ruiną dotychczasowego prymitywu życiowego, ujawniają się dodatnie strony pracy wewnątrz obozu. Kobiety z pola patrzą na to z podziwem. Móc gdzieś, w jakimś bezpiecznym kąciuku schować swoje rzeczy! One już zapomniały, że tak może być. One mają tylko to, co na sobie. Przepisowa odzież, tj. jeden sweter zimą, bez swetra wiosną, latem i jesienią. Co wezmą z sobą, zginie im w czasie którejś rewizji w bramie obozu. Co ukryją choćby najgłębiej w sienniku, wyszuka gorliwsza niż dłoń SS-mana ręka blokowej. Dla kobiet pracujących w polu obóz jest bezwzględny. Dla nich nie istnieją sposoby uchylecia się, uniknięcia rozkazu. Gdy wracają z pola, wprost po pracy ustawiane bywają do rewizji lub odwszenia, z których wychodzą nędzarkami, żeby znów, przez czas długi, zdobywać rzeczy najpotrzebniejsze za swoją porcję chleba.

Odwszenie F. K. L.-u (obozu kobiecego) wbrew planom „błyskawicznego”, jednodniowego wykonania, ciągnie się dwa tygodnie. Po jego zakończeniu następuje odwszenie chorych przebywających w szpitalu. Ma ono przebieg nieco odmienny. Na ten dzień wyjątkowy przywożą z kuchni kilka kotłów ciepłej wody i wlewają ją do niewielkiej, metalowej wanny ustawionej na przodzie baraku. Woda zaprawiona jest szarym mydłem. Po wykąpaniu się w niej pierwszych kilku jest już gęsta i nieprzejrzysta. Kolejno chore schodzą z łóżek i nago stoją nad wanienką. Teraz widzieć można całą nędzę, którą kryły koce i łachmany. Chudość tych ciał sprawia, że wiązania kości są jedynymi miejscami wypukłymi, reszta to zagłębienia szkieletu pokryte zwiotczałą skórą. Dręczone przewlekłą czerwonką, oblepione zastarzałą warstwą przyschniętych odchodów, chwieją się na nogach, popychane w stronę wanny. Niektóre ciała obsypane są świerzbem jątrzącym się, rozdrapanym aż do stadium strupów. Wiadomo, że wiele kryminalistek choruje wenerycznie. Idą również do wanny, robiąc następnie miejsce innym. Ciała owrzdzone, ciała pokryte ranami zostają dłońmi Niemek odarte z bandaży, popchnięte do wody. Niektóre mają zapalenie płuc, wysoką gorączkę, lecz nikt nie może uniknąć kąpieli. Wśród tych wielu zdarza się czasem ciało czyste, żadnym pryszczem ani krostą nie splamione. I zdarza się, że chora nie chce wejść do obrzydliwej

wanny. Lecz wtedy wpada głową w dół, uderzona kilkoma ciosami pięści Niemek. Równocześnie wszystko, co pozostało na łózkach, prócz butów, zostaje zrzucone na dół i odesłane do gazowania, skąd nie powróci na rewir.

Każda z chorych po wyjściu z owej kąpeli zostaje wytarta wspólnym, przeznaczonym na ten cel, prześcieradłem. Następnie, wsunąwszy nogi w buty, z kocem zarzuconym na głowę, wychodzi poza barak.

Jest odwilż. Błoto, owo szczególne trzęsawisko tutejsze, wchłania nogi. Kobiety nie mogą iść, mimo pomocy pielęgniarek. Ciągną się z trudem poprzez bagnisko jakby wlepiając się w nie każdym krokiem. Wiatr hula i zrywa z nieporadnych istot koce, którymi je okryto, obnaża je, smaga wilgotnymi podmuchami te zjawy, do ludzi żywych niepodobne. Nie idą daleko. Lecz kto szedł kiedykolwiek przez błoto Birkenau, ten wie, jak to jest uciążliwe i jak długo trwa. Koce zrywane przez wiatr nurzają się w błocie, bywają przydeptane, spadają całkiem. Chore wchodzą do sąsiedniego baraku, w którym wcześniej przeprowadzono dezynfekcję. Siadają na niskim, kamiennym piecu biegnącym jak długa ława i nagie czekają przydziału łóżek i koszul. Koce tymczasem odniesiono już z powrotem, żeby następne mogły okryć nimi swą nagość i przejść z brudnego bloku. Po tym odwszeniu, które licząc razem, trwało od 6 grudnia do Wigilii, jest nieco mniej wszy, lecz wzrosła śmiertelność. Zapowiedziano, że na przyszłość odwszenia będą się powtarzać co cztery tygodnie, i obietnicy dotrzymano.

Od owych dni stanie się ono klęską co pewien czas spadającą na obóz jak szarańcza. Stwarza się nie tylko problem utraty rzeczy lub zagrożonego zdrowia. W czasie odwszenia człowiek jest nagi przez wiele godzin wśród innych nagich ciał. A obok przelatują przez komory gazowe lub przez parowe kotły stopy odzieży zmieszanej razem, bezpieczeństwa, niczyjej. Człowiek nie różni się tu od fartucha, kurtki albo koszuli. Im silniejsza jest jego indywidualność, tym trudniej mu pogodzić się z tym, że nie on kieruje wydarzeniami, lecz że jest biegowi zdarzeń podległy. Odwszenie, tak drobna, tak przyziemna rzecz, przywodzi człowieka na krańce zamyślenia, tam gdzie czeka go, wśród wielu innych pytań, również i takie: co należy do ciebie?

To, co miał, do czego zdołał przez dłuższy czy krótszy okres czasu przywyknąć, przepada. Ginie bezpowrotnie, wymieszane z milionami innych drobiazgów należących do ludzi, którzy jeszcze żyją, lub — częściej — odeszli okazawszy się mniej trwałymi niż ich odzież i rzeczy przez nich używane. Człowiek pozostaje nagi, jego ręce są próżne. Jeżeli miał jakieś wartości, które umiał ukryć w sobie samym, w tętnie pulsującej krwi, w niedostępnych, szczelnymi zaworami od świata odgradzonych myślach, jeżeli otulił je pieczywą wewnętrznego ukochania i otoczył półmrokiem przymrużonych powiek — to je przeniesie. Przeniesie je zwycięsko przez wszystkie rewizje i odwszenia, w momencie najcięższych szykan świadomość posiadania ich da mu potrzebną siłę. W okresach, gdy obóz obrośnie go zewsząd realizmem baraków, pasiastych ubrań, trepów rozgniatających błoto w pośpiesznej pogoni za porcją chleba — usłyszy czasem cichą muzykę dolatującą ze szczelin życia, od strony rzeczy niedostrzegalnych. Wtedy iść będzie po „Lagerstrasse”, wśród tysięcy zabłoconych nóg, wybiegając myślą lotną ponad baraki, ponad obręcz drutów i bram, przemierzając raz jeszcze drogi kiedyś już przebyte i szukając nie poznanych

jeszcze. Im szersze są jego horyzonty, im dłuższe gościńce, tym więcej narasta w nich siła, krążących jak soki w roślinie. Wystarczy ich na to, żeby przeskoczyć bez trudu kamienie leżące pod nogami.

Lecz, jeżeli tylko to kochał, co niósł w rękach, jeżeli nic innego nie pragnął uchronić krom tego, co w dłoniach — wszystko utraci. Będzie stał nagi wśród nagich, nad wszelki wyraz biedny. W każdej rewizji, w każdym odwszeniu ponosić będzie straty, coraz bardziej zniechęcony, coraz mniej mający siła. Pozna, że nie ma miejsca w obozie, gdzie by się człowiek mógł ukryć, gdzie by przechować mógł cokolwiek.

Jak wichur wiejący ze wszech stron idzie rozkaz porywając to wszystko, czego człowiek nie umie ukryć w głębi serca.

Rozdział czwarty SZEFEFINGER MA HUMOR

Nie wszystkie kobiety chodzą do pracy w pole. Jest wiele baraków w obrębie drutów, do których co rano idą wybrane grupy. Są to baraki zamknięte przez cały dzień. Ciekawy przechodzień usłyszy niezmiennie: „Hau abl” (uciekaj)* od capo, gdy zechce zajrzeć do środka. Gdy pada deszcz, gdy sypie śnieg lub grad, marzenia wielu zziębniętych w otwartym polu ludzi kierują się do tych zajęć. Pod obozem w Oświęcimiu są wielkie składy odzieży po zamordowanych. Tak jak zebrano je w kamerach dezynfekcyjnych, zwieziono wozami i autami ciężarowymi. Nikt tego nie przeglądał gruntownie. Pod sam dach, jak ogromne sterty siana, wznoszą się różnokolorowe stosy. Obok bielizny zwiniętej przy pośpiesznym rozbieraniu w krematorium leżą podróżne worki napełnione równiutko ułożonymi batystami, koronkami, nansukiem. Obok palt, sukien najnowszego kroju, męskich garniturów błąka się gdzieś samotny but dziecka lub jedna pończocha, od której para dostała się może do innego baraku lub do ognia. Na każdym plecaku, na kocu, na walizie umieszczony jest adres i nazwisko, czasem data urodzenia. Niekiedy uśmiechnie się z rozsypanych fotografii czyjaś twarz. Obok spodni narciarskich, obrusów, bielizny pościelowej zjawia się czasem wrzuszający try-kocik niemowlęcia, które już nie żyje, tak zresztą jak większość właścicieli tych gór bogactwa.

Do tych budynków w Oświęcimiu, zwanych „Kanada”, chodzą co rano Polki i Żydówki z Birkenau. Tam sortują i składają odzież. Czasami mijając mężczyzn w marszu na trzykilometrowej drodze z Birkenau do Oświęcimia zauważą kogoś bliskiego: męża, ojca, brata.

Birkenau ma również podobne składy. Oddzielnie w baraku czwartym zmagazynowano rzeczy kobiet żyjących zatrzymane w depozycie i czekające w papierowych workach na chwilę zwrotu, która nigdy nie nadejdzie. Pożar w 1943 r. zniszczył te składy. Natomiast barak szósty to skład odzieży zabranej przybywającym do obozu Żydom. Zwie się „Entwesungskammer”(komora gazowa służąca do dezynfekcji i tępienia insektów w odzieży) *. Szefem tego „Kommando” jest SS-man Efinger. Gdy tyfus przetrzebi pracownice,

Efinger wybiera sobie spośród chodzących w pole potrzebną liczbę nowych. Wzrok SS-mana przesuwają się po brudnych twarzach, po zniekształconych łachmanami postaciach. Nikt nie mówi kobietom z góry, do jakiej pracy będą użyte. Capo stojąca przy szefie zapisuje numery. Wybór pada wyłącznie na dziewczęta młode, silne, wyróżniające się czystym i zdrowym wyglądem. Od tej chwili zaczynają się ich przywileje. Przenoszą się z murowanego baraku siódmego do drewnianego dziesiątego, gdzie każda z nich spać będzie w łóżku. „Dziesiątka” to w roku 1942 jedyny drewniany barak dostępny dla Polek, mających lepsze warunki bytu ze względu na swą bardziej odpowiedzialną pracę. Mieszkają tu wszechwładne kucharki oraz brudne kobiety z kartoflami, które w nocy zaczynają i następnej nocy kończą swą pracę. Sypia „Schreibstube” (biuro ewidencji i korespondencji). Mieszka wydział polityczny i „Entwesungskammer” (gazowanie, sortowanie, składanie odzieży). Mieszka „Efektenkammer” (depozyty) i „Brotkammer” (magazyn chlebowy). Zaznaczyć należy, że w tych działach pracują wyłącznie Polki albo Polki z Żydówkami. Tam gdzie trzeba myśleć i pracować, nie zatrudnia się Niemek. One nadają się najbardziej tam, gdzie trzeba dobrze bić.

Nastrój „dziesiątki” różni się zasadniczo od nastroju baraków murowanych. Tu nie ma chorych. Chora zostaje natychmiast usunięta z pracy i odchodzi „na rewir”. Miejsce jej zajmuje inna, szczęśliwsza. Tu nie ma przykrych scen wypędzania z łóżek, bicia, ukrywania się. Do pracy biegnie się chętnie, bo każdy dzień spędzony pod dachem po dniach w polu, na słońcu, wydaje się błogosławieństwem. Zwłaszcza efingerki nasłuchują pilnie pierwszego gwizdka na wstawanie, żeby się zerwać i ubierać pośpiesznie, one bowiem wychodzą przed apelem. Są ubrane bardzo cienko. Drżąc biegną szybko w ciemnościach. Po drodze zabierają spod kuchni mały kocioł kawy dla siebie. Z chwilą gdy wchodzi do baraku pracy, zrzucają z siebie przepisową odzież pasiastą. Każda z nich pracuje w kombinezonie, pod który włożyć może, ile zechce i zmieści ciepłej bielizny i swetrów. Szczupłe kładą nawet pod spód spodnie narciarskie. W baraku jest zimno.

Teraz pod okiem szefa i capo zaczynają nosić przygotowane wcześniej tzw. „pinkle” (tobołki z odzieżą) do gazowania. Jest jeszcze ciemno. W obozie męskim zaczyna się poranny gwar i dolatuje tu wyraźnie. Trzeba się śpieszyć. Jeżeli chce się gazować dwa razy w ciągu dnia, trzeba koniecznie napełnić komorę przed porannym apelem. Dziewczęta, popędzane ciągle, biegają jak w tańcu. Każda z nich na swych smukłych, opiętych kombinezonem plecach dźwiga ciężki worek, drugi mniejszy w ręce. Capo niknie w ciemnościach, by zjawić się niespodziewanie i zaskakiwać te, które ustają na chwilę. Nosi z sobą wodę, żeby polewać zatrzymujące się. Lecz obecność capo nie przeszkadza dziewczętom. Ona jest jedna, ich pięćdziesiąt, połączonych czułą sprężyną porozumienia. Słowo, grymas, gwizdnięcie mają swoje szczególne znaczenie w ich mowie obronnej. Umieją przeprowadzić wiele, osłaniane grupową solidarnością. Ich droga z baraku do komory gazowej prowadzi obok niemieckiego klozetu. Na tej trasie odbywają się spotkania ściśle umówione. „Każdy druh ma swego druha”, każda z efingerek ma jakieś bliskie sercu istoty, które chodzą w pole moknąc i marznąc. Mówi więc na przykład tak, gdy późnym wieczorem odwiedzi którąś z mieszkających w „siódemce”: — Mam dla ciebie sweter, przyjdź jutro przed apelem. I rano nosząc „pinkle” wypatruje, czy w ciemnościach nie zjawi się znajoma postać. Gdy jest, efingerka wyciąga z jednego z tobołków obiecany sweter i rzuca go w mrok, w stronę

czuwającej. Tamta chwyta, wypycha nim sobie bok pod kaftanem i unosi swą zdobycz, unikając zarówno SS-manek jak zawistnych niemieckich kryminalistek.

Gdy podłoga komory gazowej pokryta już jest pinklami z odzieżą, zaczyna się wieszanie. Jest upał. Zdyszane płuca oddychają szybko, wchłaniając nie znikający tu nigdy gaz. Najniższe pracownice stojące na belkach pod-sufitowych odbierają od najwyższych tobołki i rozwijają je. Kurz, piasek, brud, wszy sypią się na głowy, oczy usta. Ciepło ubrane ciała szybko pokrywają się potem. Serca biją nadmiernie mocno. Każda część garderoby musi być powieszona oddzielnie. Tylko mistrzynie oszustwa umieją umieścić tak na gwoździu cały, nie rozwiązany toboł, żeby go nie było widać. Gdy komora gazowa jest napełniona, dziewczęta odchodzą do składu odzieży, pozostają tylko dwie obsługujące, które pozamykają piece, wentylatory i drzwi, rozsypawszy uprzednio grudki cyklonu. Tymczasem w całym obozie zaczyna się odbieranie apelu. Efmgerki ustawiają się na chwilę wewnątrz baraku i na tym kończy się liczenie ich. Tak samo o tej porze kucharki stoją przy swych kotłach, a zgarbione kobiety w kartofłami nie przestają obierać ziemniaków. One nie wychodzą na apel i ten walor czyni prątę tu upragnioną przez wszystkie inne.

Teraz efmgerki znoszą do przodu baraku naręcza jeszcze nie przejranej garderoby i zaczynają swą pracę. Każda z nich ma w kieszeni kombinezonu nóż albo nożyczki. Przede wszystkim należy z odzieży wierzchniej odpruć i wyrzucić żydowską gwiazdę, wszelkie naszywki z nazwiskiem, adresem itp. Potem trzeba przeszukać szwy i zgrubienia, czy gdzieś czego nie zaszyto. A wreszcie wiąże się suknię lub koszulę w rodzaj worka, który wypełnia się przejrzaną odzieżą. Pinkiel gotów. Efmgerki umieją pracować w obozie. Tną gwiazdę na drobne strzępki czasem trzy kwadransy lub godzinę. Potem dla zabawy odcinają wyszycia na sukni, robią coś, żeby zatrudnić ręce i uspokoić patrzącą spod pieca kapo Ingę. Mistrzostwo polega na tym, żeby przygotować przez cały dzień jeden pinkiel, a potem pod wieczór niepostrzeżenie rozwiązać go i wysypać z powrotem do nie przejranej odzieży. To jest niewinny sabotaż, który ma przyspieszyć koniec wojny o kilka sekund. Sabotaż polega też na niszczeniu futer przeznaczonych dla frontu. Po wypróbowaniu, czym najlepiej wypychać buty zawsze mokre w obozowym błocie, okazuje się, że skunksy nadają się do tego cudownie. Foka jest ciepła, lecz zwija się zbyt szybko, skunksy są niezastąpione. Więc kurtka futrzana zamiast być wysłana gdzieś na wschód dla walecznych żołnierzy niemieckich, bywa wyzyskana inaczej. Nisko, pomiędzy stosami spiętrzonych odzieży rozciągają ją na ziemi zwinne ręce sabotażystek. Jedna dla reprezentacji siedzi nieruchomo i coś robi patrząc bez przerwy na capo. Za wartowanie dostanie wkładki do butów. Rękawy odpruwa się i w pasie odcina się dolną część futra. W ten sposób powstaje serdaczek, który przyda się bardzo jakiejś starszce chodzącej w pole. Pozostałe kawałki szybko dzieli się na wkładki. Teraz gotowe produkty swej przedsiębiorczości dziewczęta chowają pod stosy ubrań czekając okazji wyniesienia ich z baraku. Dwa razy dziennie capo woła donośnie: „Austreten”! (wyjść, wystąpić) * Sama nie wychodzi razem z pracownicami i to jest właśnie doskonała okazja. Okoliczność sprzyjającą stanowią szerokie nogawki kombinezonu ściągnięte u dołu mocną gumką. Ileż chusteczek, bandaży, koszul, pończoch i rękawiczek wnoszą efmgerki w ten sposób! Wprawdzie w klozecie zawsze siedzą złowrogie niemieckie kryminalistki, lecz kilka papierosów czyni z nich uniżone sługi. Jeżeli w tym czasie są w pobliżu znajome, to po chwili

wychodzą grubo obłożone „wszelką galanterią”. Wieczorem nastąpi sprawiedliwy podział rzeczy, które już jutro rano ogrzewać będą ciała idących w pole. Gdy dziewczęta wracają z „Austreten”, oczy ich lśnią jak oczy graczy po dobrej partii. „Organizacja” to narkotyk obozu. Efmgerki nie mają dobrego humoru, dopóki czegoś nie zorganizują. To jest jedyny sport uprawiany tu w obozie, w którym jedne zdobywają już mistrzostwa, inne dopiero początkują. Pochłania myśli. Czyni dni krótszymi. Nadaje życiu sens i barwę. Planuje się tylko, c o zorganizować, komu wydać i j a k to przeprowadzić. W ten sposób myśli odrywają się bez trudu od otaczających faktów i czasem tylko powracają niechętnie, przykute nowymi wydarzeniami.

Bywa niekiedy, że Inga woła krzycząc swym przeraźliwym głosem:

— Loos! Die Wasche holen! *(Jazda! Bielizną nosić!)

To znaczy, że znów przybywają nowe do obozu. Efmgerki wychodzą i ciekawie zbliżają się do kolumny idącej od strony bramy. Czasami są to Żydówki z Holandii, ubrane z narciarskie stroje, noszące jeszcze na wylekłych twarzach opaleniznę śniegu i północnego słońca. Młode dziewczęta, odziane w puszyste wełny, mające na rękach przewieszzone grube holenderskie koce. Czasem są to wytworne Żydówki belgijskie, noszące urocze pantofelki, niezwykle futra i lekkie woalki na kształtnych kapeluszach. Czasem są to pełne kokieterii Żydówki z Francji, pachnące dobrymi perfumami. Nie ma wśród nich niedorosłych, nie ma też starych. Są same młode, dorodne: „gut gebaut”.(dobrze zbudowane)* Szeroko rozwartymi oczyma patrzą dokoła pytająco. Nie ufają tym postaciom z ogolonymi głowami, które kręcą się tu w pobliżu w więziennych strojach. Niekiedy pytają tylko, gdzie rodzice, którzy z dworca w Oświęcimiu odjechali samochodami. One przyszły piechotą. Lecz gdzie są ich rodzice? Wiadomo, że nieliczna tylko część każdego transportu, przeznaczona na wejście do obozu, idzie pieszo. Autami jedzie się do krematoriów. Obce dziewczęta rozglądają się szukając oczyma swoich matek. Tymczasem z komina krematoryjnego bucha ciemny dym i efmgerki wiedzą dobrze, gdzie są matki stojących przed nimi rówieśnic. Nowo przybyłe tymczasem zmieniają wygląd. Są już nagie i stoją w kąpieliskowym przedsionku czekając na swą kolej. Przez wybite szyby wnika mróz i czyni z ich białych ciał sine, pokryte gęsią skórką Z ich wykwintu pozostały już tylko manicure, loki, noszące na sobie ślady ręki pierwszorzędných fryzjerów. Ruchy mają już nowe. Kuląc się w sobie, garbiąc plecy, ściskają kolana, drżą i przytupują. Nogi ich obute już w drewniaki zmieniły się natychmiast w kończyny dziwnie niemrawe. Ich odzież, ciepła jeszcze i tchnąca wonią człowieka, który z niej wyszedł przed chwilą, leży u ich stóp. Efmgerki mają obowiązek zbierać to wszystko i znosić do baraku. Gdy wychodzą, mijają w drzwiach pierwsze ostrzyżone. To już nie tamte śliczne dziewczęta. To małpoludy sine, zgarbione, o głowach wygolonych nierówno, o twarzach napiętnowanych zwierzęcym strachem.

Ich piękna odzież, ich wykwintna bielizna zostają zabrane do baraku „Entwesungskammer”. Tam ruchliwe palce pięćdziesięciu pracownic przeszukują każdy szew. Czasem płaszczyk przybrany futerkiem na kieszeniach kryje po tysiąc papierowych dolarów, zaszytych między futro i materiał. Czasem w rogu kołdry czy koca wyczuwa się twarde zgrubienie. Brylant osadzony w pierścionku ze złota cyzelowanego, wykonanym kunsztowną robotą jubilerską.

Pruć trzeba wszystko, nawet na-ramienne wyściółki najędzniejszych palt i kurtek. W wacie, zaszyte w skrawki materiału, kryją się złote monety dwudziestodolarowe. Wypadają na podstawioną dłoń jak małe słońca amerykańskie. Data wypisana na nich świadczy, że są stare. Kolor ich ciemnawy jak złota dukatowego, rysunek po obu stronach i na brzeżkach piękny. W dłoni leży dość duży majątek. Majątek ten jednak nie ma tu żadnej wartości. Nic tu nie można kupić za złoto - - chyba śmierć lub ciężką jakąś karę, gdyby się zatrzymało je w ręku. Złoto należy oddać Efingerowi — a można też wyrzucić je w głębokie błoto Birkenau albo przekazać mężczyznom na nielegalny wykup skazanych na śmierć mocą dziesiątkowania. Są jeszcze jakieś inne, nieznanne możliwości. Gdy efingerki przebiegają z baraku do komory gazowej, kapiący rów Żyd mówi pod nosem, niby do siebie: — Kilo cebuli za złoty zegarek. — Lecz Efinger przeniknął tajne arkana obozowej organizacji. Umie zapobiegać jej wśród swych pracownic. Od czasu do czasu opowiada o karze śmierci stosowanej wobec mężczyzn za handel złotem. Kara śmierci! A życie tu, w tym kręgu zagłady, ma nadzwyczajną, ponadmysłową wartość. Tymczasem złoto w obozie splugawione jest krwią ginących w sposób haniebny. Zdaje się palić ręce. Gdy przyjeżdża nowy transport, Efinger staje przed pracownicami, opiera łokcie o barierę i patrzy, czy między palcami nie mignie błysk klejnotu. Wąskie jego oczy rozlśniewają wtedy łakomym blaskiem. Wyciąga chudą dłoń. — Komm, komm! No ja, schön...*(chodź, chodź! No tak, pięknie...) Ogląda, taksuje wzrokiem. Powinien oddać komendzie obozu. Lecz sprawki szefa Efingera znane są pracownikom. Ma on ukryty w baraku stos waliz. W jednych przetrzymuje tabliczki czekolady, zapasy kawy i herbaty, puszki sardynek, wina, owocowe konserwy. W innych są same przedmioty skórzane. W szczególności wielkich — futra. A oddzielnie kosztowności. Stopniowo wywozi to w głąb Niemiec. Ponieważ jednak urlopy dostaje niezbyt często, a nie wszystko może zabrać na raz, przechowuje swoje skarby pod opieką pracownic. One są dyskretne, nie mówią o tym nikomu. Choć czasem zaglądną do jego waliz, nigdy nic nie zabierają z rzeczy należących do szefa, a nawet, na wypadek rewizji, wiedzą, że należy walizy te przysypać stosami odzieży. Szef to ocenia. W karach stosowanych wobec dziewcząt nie wykracza poza własną kompetencję, nigdy, z najpoważniejszego powodu, nie składa meldunku karnego władzom obozu. Więcej, Efinger dba o swoje pracownice. Stacza najcięższe awantury z Niemką, tak zwaną „Puffmutti” (właścicielka domu publicznego w Niemczech), która pełni w obozie funkcję capo kąpieliska. W wyniku tych kłótni robi sobie śmiertelnego wroga ze zdeprawowanej kryminalistki, lecz jego pracownice kąpią się po swej brudnej pracy co sześć dni. Władze obozu nie pozwalają efingerkom nosić bielizny cywilnej, tylko obozową, i Efinger posyła regularnie do Frau Schmidt (podobno sekretarki Benesza), pełniącej funkcję capo „Bekleidungskammer” *(magazyn odzieżowy, jednocześnie nazwa kolumny robotniczej zatrudnionej w nim.), po świeżą bieliznę. Frau Schmidt, zwana popularnie „królową lumpów”, znana ze swego sknerstwa, najczystsza, nową odzież chowa w głębi półek, a więźniom wydaje tę, która nadaje się już do wy sortowania. Może to zresztą wina AufseherIn Brandel, zarządzającej surowo tą grupą pracy. Efinger ogląda bieliznę, jaką przyniesiono dla jego pracownic. Chwyta pas, czapkę. Wybiega. Za pół godziny przychodzi śmiejąc się złośliwie. Zabiera kilka dziewcząt i po chwili sprowadza do baraku nie używaną jeszcze bieliznę, nowe, nie noszone fartuszki i śnieżnobiałe chusteczki. Jest dumny z siebie. Siada przed fotografią swej żony, podpira głowę rękami i patrzy. Może tak siedzieć długo. Czasem mruknie w stronę dziewcząt: — „Ruhe da”,(Cisza tam!) * czasem znów, nie zmieniając pozy

ani wyrazu twarzy, rozkazuje: — „Singen, polnisch singen”. (Śpiewać, po polsku śpiewać) * Wysła kogoś na wartę poza barak, a sam zachęca, żeby głośniej (śpiew polski należy do rzeczy najbardziej zakazanych). Niektóre piosenki zdobywają sobie stałą pozycję w repertuarze. Do tych należy „Rozszumiały się wierzby płaczące”. Niektóre podobają się tak Efingerowi, że każe je sobie śpiewać wiele razy, dopytuje się, co znaczą słowa, łagodnieje na ich dźwięk. Potem podnosi się, opiera łokciami o barierkę i patrzy po śpiewających. Błądzi oczyma z twarzy na twarz, z jednej pochylonej nad pracą głowy na drugą. Patrzy długo, a przez oblicze jego przebiegają zmienne grymasy. Wreszcie kiwa głową i mówi z gorzkim uśmiechem:

— So wie so Krematorium, so wie so Brzezinka.

Wie to każdy w obozie, że w walce z efingerkami spotkać się musi z Efingerem. Dlatego sytuacja ich jest lepsza niż którychkolwiek innych pracowników. Ich zgrabne granatowe kombinezony znane są wszystkim i wszędzie otwierają im wstęp. Nie zdarza się, żeby ktoś odważył się uderzyć efingerkę. Gdy idą w południe po zupę dla siebie ani szef, ani capo kuchni nie dostrzegają, że przy okazji zniknęło kilka główek kapusty, woreczek ziemniaków albo kilka kalarep. Efingerkom to wolno, zresztą mówi się, że to „dla szefa”. A od szefa wielu potrzebuje różnych rzeczy. W kantynie, na rewirze, u dentystki, wszędzie „Entwesungskammer” ma pierwszeństwo. W swych nowiutkich kombinezonach (osobiście przez szefa wybranych i zorganizowanych w magazynach oświęcimskich) , w jasnych kołnierzykach, przewiązane skórzanymi paskami, z paskowymi lampasami na spodniach, z furkotem białych chusteczek wokół głowy, wiązanych na życzenie szefa inaczej niż w całym obozie, idą efingerki. Ich czystość i zdrowie biją w oczy, odróżniając je od tłumu innych i zyskując uznanie szefa. Lecz niechby złapał którąś z nich przemykającą pomiędzy barakami z pękiem zorganizowanych rzeczy! Wydawać by się mogło, że kary swoje stosuje nie za samą organizację, lecz za nieumiejętne przeprowadzenie jej. Jeżeli w dniu kary pada deszcz lub śnieg, tym lepiej. Przed barakiem leżą betonowe rury, a dalej ciągnie się głęboki rów o spadzistych brzegach. Najczęściej karane są wszystkie, bez względu na liczbę winnych. Należy skakać na czworakach jak żabka, wchodzić w zabloconą rurę i wyskakiwać po drugiej stronie. Młody szef stoi w drzwiach baraku. Opiera się plecami o drzwi, ręce założywszy na piersiach. Z jego twarzy nie znika wyraz rozkoszy, uśmiech aż bolesny przesłania bielmem zwężone oczy. Patrzy na skaczące kobiety, dręczy je nowymi rozkazami. Teraz, ciągle na czworakach, należy wskoczyć do rowu, a potem wychodzić po jego śliskim zboczu. W całym obozie wiadomo, że efingerki mają „sport”; strach pada na obóz, bo inni SS-mani pójdą w ślady Efingera. Po godzinie lub dwóch takiej zabawy, gdy już zaniepokojona Inga prosi: — „Herr Chef, ge-nug!” (Panie szefie, dosyć! (wystarczy!))* - dziewczęta wchodzi do baraku. Są brudne, umazane, zbryzgane błotem. Lecz niech któraś z nich odważy się nie oczyścić natychmiast swej odzieży! Szef co wieczór asystuje przy rewizji, którą przeprowadza Inga, a potem sam sprawdza czystość. Po całym dniu pracy w gazowej komorze i w zawszonym baraku, po powtórny gazowaniu garderoby w porze, gdy apel wieczorny stoi w całym obozie, efingerki przygotowują się do wyjścia. Teraz muszą się ubrać przepisowo. A więc zdejmują kombinezony i ciepłe swetry, a wkładają więzienną koszulę z białego płótna, pasiaste luźne reformy z perkalu, sukienkę, fartuch, kaftan i

chusteczkę. W okresach kary nie nosi się swetra; w czasach zwykłych wolno mieć jeden sweter. Nie wolno nosić staników, szalików ani skarpet. Rękawiczki najbardziej znoszone i nie do pary. Zakazy te mają uniemożliwić wydawanie przez pracownice czegokolwiek innym kobietom. Gdy w całym obozie jest już po apelu, Inga zaczyna kontrolę osobistą, przeprowadzaną bardzo gruntownie, czasem nawet zaglądając w węzeł chustki na głowie. Szef obecny jest przy kontroli. A potem każda z pracownic podchodzi do niego. On mierzy zagadkowym wzrokiem jej postać. O tym, żeby brakowało guzika u pasiastego kaftana lub żeby drewniane buty nie były wyczyszczone czarną pastą do połysku, mowy nie ma. Lecz szef swoimi zwężonymi oczyma wypatrzy zawsze coś, od czego zaczyna rozmowę. Może jest to guzik przyszyty za słabo, który po szarpnięciu pozostaje w ręku SS-mana. Może to jest miska, w której po kryjomu gotowało się coś, niezbyt starannie wyszorowana. Albo palec szerniały od obierania ziemniaków. Szef zatrzymuje nawet za szczotkę do zębów, w której włoskach oglądanych pod światło widać skrzące resztki pasty. Nawet za grzebień do włosów, jeżeli nie jest idealnie czysty. Posuwa się nie tylko do oglądania uszu, lecz nóg pod podszewkami. Tylko nieliczna garstka szczęśliwych odchodzi! Większość pozostaje, żeby odbyć swoją karę. Zaczynają się znów „sporty”, biegi dokoła baraku, karne szorowanie naczyń itp. Czasem obóz już śpi od dawna, gdy zmęczone efingerki powracają wreszcie na swój reprezentacyjny dziesiąty blok.

Bywają dni, gdy Indze udaje się w sposób tajemniczy zdobyć artykuły żywnościowe niedostępne dla wygłodniałych dziewcząt. Są drogi, okryte najzupełniejszą tajemnicą, którymi w zamian za kosztowności uzyskać można żywność. Oto dzień pamiętny, w którym Inga piecze całą kurę. Praca jest już skończona, lecz dziewczęta nie mogą jeszcze odejść, gdyż ich obecność jest potrzebna na wypadek wizyty któregoś z SS-manów. Stoją więc w piątkach i czekają, aż Inga skończy. Zapach pieczenia rozchodzi się smakowicie od strony piecyka, drażniąc apetyt wygłodzonych, słynny potyfusowy apetyt. Ociekające tłuszczem boki kury stają się coraz bardziej rumiane, skwierczenie rozlega się głośno w ciszy baraku.

Nie nadchodzą jeszcze paczki. Od dnia swego przyjazdu kobiety dostają dziennie porcję zupy z brukwi i porcję czarnego chleba, w który wmieszane bywają zmielone kasztany i posiekane drobiutko trociny drzewne. Do tego dodatek w postaci małej łyżeczki marmolady buraczanej lub łyżki margaryny, albo plasterka kielbasy z koniny. To wszystko. Głód, objawiający się w różnych fazach rozmaicie, jest im wszystkim znany. Pierwszy, naturalny, nieszkodliwy dla organizmu, dający się zaspokoić kilkoma porcjami zdobytej dodatkowo zupy z brukwi albo dużą ilością chleba, ofiarowywanego chętnie zdrowym przez chore. Późniejszy głód objawia się w wyniku długotrwałego wycieńczenia bólem głowy, ustawiczną czczością, skurczem żołądka, skulieniem i zziębnięciem. Po takim okresie wszelki pokarm gotowany, a nawet sam zapach jedzenia budzi mdłości. Kobiety stoją i patrzą łakomie. A jest to właśnie popołudnie wigilijne. Inga odstawia gotową pieczeń. Teraz ustawia na piecyku duży garnek z ziemniakami, drugi z rosółem. Czas płynie. Kilka cebul pokrajanych drobno będzie się smażyć na patelni, w margarynie. Cebula jest rzeczą upragnioną. Łatwiej zjeść chleb z margaryną, mając maleńki choćby skrawek cebuli. Nie wiadomo, czy to wpływ tyfusu, czerwionki czy też głodu, lecz wszystkim znane jest w obozie pragnienie czegoś kwaśnego, słonego, mającego ostry smak w odróżnieniu od monotonii zupy i chleba. Capo wesoła, pełna

uśmiechów, krząta się przy piecyku. W uczcie weźmie udział szef. Co chwila Inga zwraca się z uśmiechem w stronę stojących ponuro kobiet, szukając u nich poklasku dla swych przygotowań. Wreszcie rozkazuje: „Singen, schön, lustig singen!” (Śpiewać, ładnie, wesoło śpiewać.)*. Trzeba śpiewać. Jest popołudnie wigilijne, takie samo jak każdy inny dzień w obozie. I tego najbardziej życzyły sobie od dawna kobiety, żeby dzień ten przeszedł zwyczajnie, niepostrzeżenie, żeby nie stał się torturą tęsknoty i żalu. Są tak samo jak każdego innego dnia głodne, a jednak dziś głód ten dokuczył im z większą niż dotychczas ostrością. Najzupełniej niepotrzebnie przypomina im się, że o tej porze ludzie robią przygotowania do wieczery wigilijnej. Nagle Inga stwierdza, że ma znacznie mniej margaryny w swych zapasach, niż jej się wydaje, że powinna mieć.

— Jemand hat mir gestohlen! (Ktoś mi ukradł!)* — krzyczy i patrzy badawczo po stojących kobietach. Tłumaczy jej, że zużyła pewnie do innych potraw (wszystko, co przyrządza sobie Inga, pływa w tłuszczu), że żadna z pracownic nie zbliżyła się nigdy w stronę kąta, gdzie Inga chowa swoje zapasy. Nic nie pomaga. Capo krzyczy coraz donośniej, sama się swym krzykiem podnieca i w końcu zaczyna wierzyć w to, co mówi. W rezultacie zarządza rewizję osobistą. O ile codzienną rewizję kobiety znoszą spokojnie, jako coś, co jest częścią zajęć, o tyle ta nadzwyczajna, wywołana posądzeniem o okradanie współwięźniarek, budzi rozgoryczenie. Gdy Inga przegląda już ostatnie kobiety, rozwierają się drzwi baraku i w śnieżnym odbłasku staje młody mężczyzna w więziennej odzieży. Na jego ogolonej głowie pasiasta czapka włożona z lekka na bakier, co tu w obozie jest wyrazem dbałości o wygląd zewnętrzny. Tak zwany „łach-myta ponury” (więzień zaniedbany) nosi najczęściej zmięte czapczyisko, wciśnięte głęboko na czoło. „Muzułman” (człowiek wychudły, szerniały, ostatnia kategoria więźniów) często zamiast czapki nakrywa głowę szmatą. Czysta, starannie nałożona czapka jest wyrazem postawy więźnia.

Przybysz zapytuje o szefa, zamienia z nim kilka słów w sprawie instalacji elektrycznej, ogląda przewody, kręci się tu i tam w poszukiwaniu stołka lub drabinki. Trzeba znać na wskroś obóz i jego sprawy, żeby zrozumieć, że reperacje są tylko pretekstem do załatwienia jakiejś sprawy swojej czy cudzej, znacznie ważniejszej niż elektryczność w baraku. Niewtajemniczony obserwator nie zauważy gestu trwającego ułamek sekundy, potrzebnego na wykonanie misji, w jakiej do tego baraku wszedł młody więzień. Może przyniósł jakiejś kobiecie list, tak zwany „gryps”, od najbliższego jej mężczyzny. Może taki list chce z baraku zabrać od którejś z kobiet i zanieść koledze, nie mającemu powodów służbowych do przekraczania bram obozu kobiecego. Może przyniósł zdobyte z narażeniem życia lekarstwo dla kogoś ciężko chorego albo trochę żywności na dni świąteczne. Nie wiadomo. Skończył i chce wyjść. Kłania się i mówi w stronę kobiet:

— Życzę wypoczynku świątecznego.

Tymczasem zatrzymuje go Inga. Ona dobrze wie, że to Polak. I zbyt dobrze rozumie, po co tu przyszedł. A więc wytacza przed nim sprawę swych dwu półkilowych kostek margaryny, dodając, że to któraś z pracownic okradła ją podstępnie albo zrobiły to wszystkie razem w zmowie. Mówi dużo piskliwym głosem, gestykułując i pokazując ustawicznie na kobiety. Młody więzień spogląda na nie również długo, ponuro, spod czoła, które pochylił słuchając

Ingi. Dowiaduje się, że Inga powie szefowi, że szef sam przeprowadzi rewizję i da każdej dwadzieścia pięć kijów albo zarządzi „sport” przez trzy dni. Więzień słucha i patrzy. W miarę słów capo i w miarę jak wzrok jego przenosi się z jednej na drugą posadzoną, na jego twarzy poczynają się ujawniać uczucia: upokorzenie ustępuje buntowi, potem zjawia się duma, która dźwignęła jego głowę do góry, kazała się wyprostować postaci. Uśmiech znów opanował twarz, cichy, ironiczny, pełen skrytych przemyśleń grymas warg.

— Poczekaj — mówi do Ingi — ja oddam ci tę margarynę, którą, jak powiadasz, one ci ukradły.

Wychodzi. Żal i upokorzenie działają przygnębiająco na pracownice. Żal, że właśnie w wigilijne popołudnie zdarzyło się to. Tymczasem wrócił młody więzień. Lekceważąc niebezpieczeństwo, jakby to nie było w obozie, sięga do kieszeni i wydobywa z nich dwie kostki margaryny. Gestem pełnym pogardy rzuca je z trzaskiem na stół i pyta Ingę: — Na, ist das schon genug? (No, czy to już dosyć?)* — Potem składa głęboki ukłon w stronę milczących kobiet i wychodzi. Gdzie, jakim sposobem zdobył margarynę? Nikt nie wie. Zdobył ją i rzucił zachłannej Niemce, żeby w dzień Wigilii oszczędzić pięćdziesięciu Polkom dodatkowej przykrości.

Bywają dni, gdy szefa nie ma. Znika rano zamykając barak na kłódkę. Wtedy zaczynają się najmiłsze zajęcia.

Niewielki haracz zmienia Ingę w miłą istotę, która pozwala sobie składać dowody sympatii. Z zakonspirowanych sezamów wychodzą garnki, rondelki, patelnie. Ktoś ma ziemniaki. Ktoś ma porcję margaryny. Inny cebulę albo łyżkę mąki na sos. (Mąkę, cebulę, kwasek cytrynowy znaleźć czasem można w minimalnych ilościach w kieszeniach sortowanej odzieży. Całą żywność odbierają przybywającym wprost na dworcu pracownicy krematoryjni.) Tworzą się spółki, wspólne kuchnie. Na płycie małego piecyka mieści swoje gotowanie pięćdziesiąt kobiet! Pracują w zgodzie i cicho. Inga próbuje każdej potrawy i nie ma nic przeciwko zmianie zajęć. Kto nie ma nic do gotowania, przypieka na kuchni plasterki chleba. Pieczenie ziemniaków w popiele jest również bardzo w modzie, choć to trwa długo. Gdy pobrząk roweru szefa rozlega się pod barakiem, garnki zostają momentalnie uniesione i umieszczone w schowkach. Szef nie zawsze wraca zupełnie trzeźwy ze swych wycieczek. Czasem od razu kładzie się spać i wtedy można kończyć gotowanie. Niekiedy jednak wypadnie zjeść potrawy na wpół surowe. Pewnego razu zdołano porwać zaledwie kilka garnków z rozpalonego piecyka. Na samym środku została odkryta menażka pełna ledwo zagotowanych ziemniaków. I na to wszedł szef, poprzedzany przez postrach obozu, Aufseherin Drechsler. Jej złe oczy i sterczące zęby zwróciły się natychmiast w stronę piecyka. Lecz Efinger patrzy bez przerwy w twarz Drechsler. Zmusza ją wzrokiem, żeby zaprzestała patrzenia na kartofle, i Drechsler posłusznie staje tyłem do garnka z ziemniakami, a dla ratowania swej pozycji mówi donośnie po niemiecku:

— Zwracam uwagę pana, że nie mogłabym tolerować w swoim obozie gotowania ziemniaków organizowanych (SS-mani przejęli zwrot ten od więźniów) pod kuchnią. Co innego odgrzewanie zupy brukwiowej. Tak, to jest dozwolone.

A na to Efinger:

— Ja, ja. Das ist die Lagersuppe. Es stimmt, Fraulein Drechsler! (Tak, tak. To zupa obozowa. Zgadza się,)*

Któregoś dnia podczas nieobecności szefa gwałtowne stukanie we wrota baraku przerwało spokojne gotowanie. Poprzez deski rozlega się głos blokowej: — Chodźcie natychmiast po swoje rzeczy, bo dostałyście teraz inny blok. Na wasze miejsce przychodzą Niemki i zaraz wam wszystko wyrzucą. Wy będziecie mieszkać na piętnastce, to taki sam jak siódemka. Przyjdźcie, jak tylko wróci szef.

Odeszła. Po dwóch godzinach wróciła.

— Dziewczęta! wszystko wam poginie! Wasze sienniki i koce leżą na ziemi i kobiety z innych bloków zabierają je. Na waszych łózkach śpią już Niemki. Ja nie mogę pilnować, bo mam zajęcia. Czym wy się przykryjecie w nowym baraku, jak wam baby koce rozkradną?

Szef powrócił późno. Ale nie mógł od razu wypuścić pracownic, bo na ten wieczór wyznaczony był „sport”.

Gdy dziewczęta wychodzą z pracy, śnieżna zadymka gna podmuchami równoległe ponad ziemią. Drogi pomiędzy barakami są zgubione w zaspach. Nogi brną niepewnie w stronę płonącej odbłaskiem elektrycznych świateł dziesiątki. Lecz tu nie ma już czego szukać. Jest późno. Niemki leżą w łózkach. Po listach z domu, drobiazgach, nawet przyborach do pisania nie ma śladu. Skończyły się dobre czasy. Efingierki wychodzą w ciemność i patrzą w stronę bloku piętnastego. Nie rozświetla tej strony obozu żaden płomyczek. Z murowanych baraków tonących w ciemności huczy nie milnący gwar. Dziewczęta idą w tę stronę. Na piętnastce cicho. Gdy weszły do środka, słyszą tylko przejmujący poświst wiatru, który gra w ściennych szczelinach, i szmer przelatującej po dachu śnieżnej zamieci. Poprzez wybite okna wiatr naniósł śniegu do wnętrza i pod ścianami poczynił bielejące w ciemnościach pasma. Blok jest pusty. Liczne koję wyglądają jak dziury w ścianach, w które ma się wkręcać człowiek. Te same koję, które wielu osobom ukazywały się w tyfusie w dręczących, gorączkowych snach. Mieszkały tu Żydówki. Ich gwar, ich ruch napełniał sobą cały barak jeszcze kilka tygodni temu. Dziś pozostała po nich pustka i zionące ciemnością koję. Dłoń po omacku natrafia na gołe belki. Nie ma koców ani sienników. Jakieś rozsądne organizatorki z sąsiednich baraków zabrały wszystko, co dało się zabrać, miejscami nawet wydłubały deski na opał. Wiatr przewiewa i porusza chusteczki stojących, które wczoraj mieszkały w najlepszym baraku, a dziś są bezdomne. W obozie sytuacje podobne zdarzają się często.

Po którymś urlopie Efinger powrócił smutniejszy niż zwykle. I odtąd przestał już zbierać kosztowności do walizek. Odtąd co mógł, wymieniał na wódkę. Chodził pijany, zapominał o świecie, przewracał się i spał snem kamiennym długie godziny. Pozostała mu tylko fotografia stojąca na biurku. Zastał gruzy na miejscu zbombardowanego domu, żona zginęła pod rumowiskiem. Efinger pił. A w rzadkich momentach ocknięć świadomości porywał się do czynu i wtedy był prawdziwie niebezpieczny.

Oto któregoś dnia wybiega na środek baraku i strzela z rewolweru w stronę tylnych wrót. W tamtej stronie za szmatami ktoś pracuje. Efinger jednak jest głuchy i ślepy na wszystko. Napełnia magazynek nowymi kulami i strzela dalej. Przybiega Aufseherin Drechsler i woła z daleka:

— Kto tu strzela w moim obozie?

— To ja strzelam w moim baraku! - Dlaczego pan strzela? To jest zabronione.

— Poluję na szczury!

— Schiessen sie weiter * (niech pan strzela dalej)—mówi z irytacją Drechsler i wychodzi. Efinger rzuca za nią ironicznie:

— Schiess im Wind! * (strzelaj do wiatru, przenośnie: leć w wiatr.)

I w dalszym ciągu tropi szczury. Zasiada w kącie baraku, rozkazuje pracownikom sprawować się jak najciszej, ładuje rewolwer i czeka. Z uporem trwa na swoim stanowisku przez dwie godziny, aż wreszcie rozlega się strzał. Efinger wynosi na haczyku wielkiego szczura. Podniecony, z błyszczącymi oczyma, otwiera piecyk i rzuca swoje trofeum na rozpalone węgle. Bucha płomień i śwąd. Efinger skacze nad ogniem, haczykiem przegarnia, śmieje się szaleńczo i krzyczy:

—Krematorium! Brzezinka! Hop są, są, Brzezinka!

Wzrokiem dzikim rzuca po twarzach kobiet i znów śmiejąc się podśpiewuje:

— Krematorium! Brzezinka, Krematorium! Szaleństw jego nikt nie może ukrócić. On dziś jeszcze

jest niedosięgalny.

Lecz dzień jego klęski jest już coraz bliższy. Zanim nadejdzie jednak, Efinger czyni wysiłki utrzymania swych pracownic w ryzach. W czasie rewizji zabiera jednej z dziewcząt pudełko zapalek, wysypuje i znajduje kawałeczek złota. Po długich śledztwach i zeznaniach oznajmia jej, że spotkają kara śmierci. Bo przecież mówił niejednokrotnie — i całemu Kommando jest to wiadome — że za organizowanie złota grozi kara śmierci. On sam wykona wyrok. Skazana zostanie zastrzelona za godzinę. Teraz niech się umyje i ubierze przed śmiercią.

Dziewczęta obserwują wypadki. Siedzą cicho, skamieniałe z nerwowego napięcia i z poczucia własnej bezsily.

Gdy skazana jest już gotowa, Efinger pyta ją, czy ma kogoś bliskiego, kogo chciałaby zawiadomić. Tak, ma rodziców i narzeczonego. Efinger oznajmia, że żal mu bardzo jej młodości i na dowód współczucia pozwala jej napisać dwa listy pożegnalne. On sam je wyśle. Dziewczyna pisze, czując ciągle oczy SS-mana skierowane na zegarek. Gdy wreszcie kończy, SS-man ustawia ją twarzą do ściany, sam cofa się i wydobywa rewolwer. Powoli nabija,

odbezpiecza, potem każe jej klęknąć i zmówić ostatni pacierz. Następnie poleca dziewczętom wyjść poza barak i czekać. I nagle rozlega się strzał. Drzwi otwierają się i Efinger wpuszcza z powrotem pracownice. Strzał był w powietrze. Szef śmiejąc się pyta:

— Na, bicit du schon tot? *(No, czy jesteś już martwa)

Nie, nie umarła. Nie umiera się tak szybko.

Dni płyną powoli. Niemal codziennie jest „sport”. Każda z dziewcząt pragnie teraz, żeby wyrzucono ją z pracy. Tymczasem capo kąpieliska czuwa. To owa odrażająca „Puffmutti”, którą Efinger pozbawia lwiej części zysków zrabowanych nowo przybywającym do obozu kobietom. Ona ma w obozie duże wpływy; choć jest więźniem, jej władza równa się niemal władzy SS-manów. Czeką na dzień popisowy Efingera i nie czeka daremnie.

Nigdy jeszcze Efinger nie spał tak, jak tego dnia. W stanie zupełnej nieprzytomności wszedł do baraku, lecz Inga poradziła mu, żeby poszedł do komory gazowej. Zgodził się i kreśląc nogami niepewne spirale szedł mijając kąpielisko i siedzącą w drzwiach „Puffmutti”. Dyżurujące efingerki wytłumaczyły mu, żeby poszedł spać.

Do gazowej komory, po drugiej stronie korytarza, przylegają dwie izby. W jednej leży węgiel i koks, a w drugiej stopy wygazowanej odzieży. W tej drugiej ułożył się Efinger i zasnął od razu. Tymczasem do baraku wchodzi grupa SS-manów i SS-manek z Lager-kommandantem, Oberaufseherin, Raportführerin i Arbeitsführerem na czele.

— Wo ist der Chef? *(Gdzie szef?)

— Ist nicht da.* (Nie ma go tu.)

— Wo ist er? *(Gdzie on jest?)

— Leider, wir wissen nicht.* (Niestety, nie wiemy.)

Poszli. Obejrżeli z zewnątrz komorę gazową, która właśnie była w trakcie działania i silny odór przedostawał się poprzez drzwi. Zajrzeli do izby z węglem — nie ma. Zajrzeli do sąsiedniej, ciemno.

— Was für Wasche ist da? Tst hier kein Licht? — Co to za bielizna? Czy nie ma tu światła?*

— Nein, hier ist immer dunkel. Hier haben wir bloss schmutzige Wasche, mit lebendigen Lausen. —Nie, tu jest zawsze Ciemno. Tu mamy tylko brudną bieliznę z żywymi wszami *

Cofnęli się. Odeszli w stronę bramy. Wtedy zmuszono szefa do wstania. Znow, zataczając się gorzej jeszcze niż poprzednio, przedefilował przed oknami kąpieliska i przed izbą „Puffmutti”. Wszedł do baraku i zaczął kląć na wszystkich, którzy go szukali. Następnie pchnął drzwi swojego pokoju, upadł w progu i rozkrwawił sobie nos. Nie tamując krwi zamknął się na klucz i za chwilę zasnął. Przez okno było widać jego fatalny stan i słycać donośne chrapanie. Ale nie spał długo. Wrota baraku rozwarły się na oścież, wpuszczając

blask zimowego słońca. W progu stały wszystkie najwyższe władze obozu. Dziewczęta bardzo gorliwie zajęły się pracą. SS-mani stukali, prosili i grozili — Efinger spał. Oburzenie ich rosło. Na przemian zaglądali w okno podniecając swój gniew widokiem rozbitego nosa, krwawych plam na podłodze, pozy i beztroskiego snu Efingera, to znów szli do drzwi szarpiąc je coraz mocniej. Wreszcie twarze ich nabrzmiały czerwienią, wparli się w drzwi, nacisnęli całym wysiłkiem mięśni — cicho było wśród dziewcząt, lęk padł na wszystkie. Każdy z nich w gniewie zdolny był zabić, każdy z nich wrył się w pamięć okrucieństwem swych czynów. Drzwi z trzaskiem ustąpiły. Efinger zerwał się i raz jeszcze z łoskotem bezwładne jego ciało jak wielki wór zboża rozciągnęło się na podłodze. Wtedy podniósł się krzyk wszystkich obecnych, pełen oburzenia i pychy wielogłos niemiecki. Powtarzały się w nim wzniosłe słowa: Heimat, Deutschland, Fiihrer.

Trwało to długo. Wzmagало się i cichło. Wreszcie, niespodziewanie silny i trzeźwy, rozległ się ponad hałasem głos Efingera. Mówił. Mówił, co myśli o swojej roli. O obozie i o tych, co przed nim stali. O Trzeciej Rzeszy. A każdą myśl swoją kończył jak mówca toastem, okrzykiem donośnym, jakby dla szerszej publiczności przeznaczonym:

— Schisse Birkenau und Auschwitz! Scheisse Deutschland! Und Fuhrer! Und euch auch dazu! Arbeit macht frei durch Krematorium drei! — Sram na Birkenau i na Oświęcim! Sram na Niemcy! I na wodza (fuhrera)! I na was także do tego! Pracując wolni wyjdziecie przez krematorium trzecie!*

SS-mani cofnęli się. Twarze ich z pąsowych stały się blade. Nieruchome ich pozy zapowiadały zbliżający się wybuch. Wtem skrzypienie otwieranych drzwi głąszy na chwilę wszystko. Wóz z Oświęcimia zabiera wyga-zowaną odzież. Więzień-woźnica i SS-man z karabinem wchodzą do baraku. W tej chwili silne dłonie Niemców porywają Efingera jak ciężki worek, kołyszą kilka razy w powietrzu dla nadania rozmachu i rzucają na wóz. I wszyscy równocześnie krzyczą:

— Nach Auschwitz! Nach Auschwitz! (Do Oświęcimia)*

Pod wieczór, w porze gwizdków apelowych, w otwartych drzwiach baraku zjawiła się raz jeszcze, po raz ostatni, postać Efingera. Ze spuszczoną głową, jakby nieco zawstydzony swoją sytuacją, wchodzi i patrzy. Przygląda się uważnie pracownikom, a uśmiech ironii nie znika z jego twarzy. Wreszcie macha ręką i idzie do pokoju mrując:

— Przyszedłem po swój sznaps. Gdzieś tu miałem schowane pół litra. To niedużo, ale w bunkrze przyda mi się bardzo.

To był jego ostatni występ.

Wkrótce potem gazowa komora uległa spaleni i efingerki, przez pewien czas pozostające pod zarzutem sabotażu, poszły na „aussen" (w pole).

Po Efingerze zaginął ślad. Różne wersje o jego losach krążyły długo jeszcze w obozie. Jedną z nich usłyszałam na krótko przed ewakuacją.

W pierwszych dniach stycznia 1945 przyjechali do Birkenau więźniowie z warsztatów przemysłu wojennego w Bunie. Widocznie potrzebowali czegoś z obozu i zjawili się pod pozorem zabrania załatanych przez kobiety koców. Byli to Żydzi i Niemcy. Jeden z nich oświadczył, że razem z nimi pracuje więzień Efinger, który podobno kiedyś był szefem Entwesungskammer w Birkenau.

Przez ostatnie dni bez przerwy padał śnieg, a dziś w nocy mróz położył kres wilgotnej zadymce i biel znieruchomiła. Pod śnieżnymi okapami, z białymi nalotami na wrotach i belkach, baraki przypominają wiejskie stodoły. Śnieg łagodzi surowość obozowego krajobrazu, otula okoliczne łąki i tylko gdzieś wyżej kępka trawy ukazuje swe żółkłe źdźbła. Dziś jest szczególnie dzień i śnieg jest jakby pięknym upominkiem złożonym przez naturę więźniom Oświęcimia. Jest dziwnie cicho w obozie, jakby wzruszenie, silniejsze niż wszystko dotychczas, ścisnęło gardła i nakazało milczenie. W tej jasności i ciszy słychać wyraźniej niż kiedykolwiek mowę tęsknoty. Kolumny wracają z pola. Z pochylonymi głowami brną przez zasy niosąc z sobą do obozu nieodstępny swój smutek.

Jest wczesne popołudnie. W obozie trwa apel. Szeregi piątek, ciasno zbite bryły geometryczne szarzyzny, trwają w bezruchu. Przeraza i odejmuje mowę myśl, że oto nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia, a nie ma żadnych zmian.

Pomiędzy barakami i poza nimi aż po druty widnieją na śnieżnej przestrzeni ślady stóp. Napełnia je niebieskawą barwą przedwieczorny cień. Cisza niezmacona — z gór, z opustoszałych pól, z pobliskich łąk — zesłała dziś pomiędzy baraki wyzwalając ludzkie wzruszenie. Stoją pasiaki, pasiaki, pasiaki i numery naszyte na lewej piersi. Twarze jednakowo wybladłe i obrzękłe, podobne do siebie nawzajem, zatraciły dawne cechy indywidualne. Każda z kobiet jest atomem wielkiego, nie skoordynowanego tworzywa, zwanego obozem. Atomem, który, gdy zniknie, jest automatycznie zastępowany przez inny. Widniejące na śniegu ślady mają w sobie wyraz ruchliwości, są liczne, znaczne w tłumie, w biegu, w przeskokach przez rowy, w pośpiechu. Teraz zamarły. Odeszły stopy, które je znaczyły. Odeszły, by stać nieruchomo w apelu, frontem do krematorium, by stwarzać złudzenie, że nie ma już tych licznych stóp, które przebiegły dziś rano po śniegu. Jest cisza. W przejrzystym powietrzu widnieją po południowej stronie horyzontu góry. Wiatr przewiał nawałnicę śnieżnych chmur, oczyścił niebo, rozdarł mgły i wyłonił spośród nich ciemnogramatowy, doskonale widzialny kontur. Białe płachty śniegu leży na nim tej nocy jak święteczna nowina.

Od dawna, od kiedy wzrok po raz pierwszy ujrzał góry, dalekie, w niektóre dni ledwo widoczne, budzić się zaczęła coraz boleśniejsza, coraz bardziej radosna i niespokojna nadzieja powrotu.

Tam po leśnych zboczach i słonecznych gołoborzach, po skalnych upłazach, piargach i żlebach chodzi utęskniona swoboda. Stamtąd, z daleka, przez druty, przez pustkę i śmierć przerzuca się tchnienie radości, chęć życia i upór przetrwania.

W ciszy wigilijnego popołudnia góry grają swą śnieżną pieśń.

Stoją tysiące kobiet wsłuchanych w ciszę i w rytm wydarzeń, jakim ulegają. Lęk ogarnia i nie pozwala myśleć w ten sposób:

„Co będzie za kilka miesięcy, gdy wiosna otoczy zielenią obóz — co będzie po upływie roku, gdy znów ziemia rozświetli się wigilijnym śniegiem?”

Ten apel jest właśnie dlatego tak bardzo bolesny, że nie można podczas niego rzucić się myślą w żadną stronę, w przeszłość ani w przyszłość, że nie można snuć marzeń w żadnym kierunku. Tak, jakby cała egzystencja obozu, cała teraźniejszość tysięcy zakrzepła na kształt roślin na dnie jeziora, którego powierzchnię ściała grubą taflą lodu. Ani wzrokiem, ani wysiłkiem młodych ramion, ani myślą najjaśniejszą niepodobna przebić owej tafli lodowej, która rozpostarła się nad życiem. Nie ma takiej pięści, pod której uderzeniem przeszkoda pęknie.

Jak muł na dnie stawu snuje się wokół myśli bezprzedmiotowa złuda, w którą nikt nie wierzy.

Rośnie w obozie męskim jedyne drzewo, wysoki dąb. W wielu przepowiedniach i politycznych wróżbach dąb ten występuje jako miernik czasu. „Gdy liście pozółkną, będziemy w domu”. Ileż razy myśl zatrzymuje się w czasie długiego apelu przy tym drzewie. Wzrok bada kolor jego liści. Dni płyną. Jest coraz zimniej, apele są coraz dłuższe. Liście dębu żółkną, stają się rdzawe i pokurczone jak blaszki żałobnego wieńca. Znowu czyjaś prosta wiara podsuwa innym: „Gdy liście opadną, wrócimy”.

Codziennie oczy wielu patrzą, jak wiatr zrywa z gałęzi zeschnięte liście i roznosi je pomiędzy barakami, codziennie konary stają się bardziej gołe. Dziś dąb jest nagi. W gałęziach jego hula wiatr i nie natrafia już na liście. Oczy więźniów z przyzwyczajenia zatrzymują się na огоłoconym drzewie i nie ma w nich nadziei.

Poza sylwetką dębu, poza drutami obozu męskiego zachodzi słońce jak wielki, opalizujący klejnot, który z wolna zapada w śnieżną biel. W jego świetle góry stały się jaskrawogranatowe, a wielkie płachty śniegu leżące na nich lśnią silnym blaskiem. Wydają się być bliżej niż zwykle, zda się, że idą ku drutom, aby swą zaklętą swobodę, kryjącą się we wszystkich górach, swą legendarną zbójcecką swobodę ofiarować stojącym. Są tak blisko. O trzydzieści kilometrów od Birkenau. To tyle, co sześć godzin marszu. To tyle, co dłoń wyciągnąć. Są tuż.

Wczesny zmrok pada na baraki, na szare kolumny stojących kobiet. Pasma gór szarzeje w tym zmroku i staje się podobne do przedwieczornej chmury, która wychyla się spoza horyzontu.

Stojące postacie roztapiają się w śnieżnym zmierzchu. Jeżeli czegoś pragną, to tylko tego, żeby można było wejść do baraku, zjeść dwie kromki chleba ze swej porcji, a potem zasnąć i zapomnieć.

Część druga

ROK 1943

Rozdział pierwszy KOMMANDO 117

Pierwsze miesiące roku 1943, a nawet ostatnie dni grudnia 1942 przynoszą zasadniczą zmianę w sytuacji kobiet. Zmianę na gorsze. Wśród srogiej zimy ogłoszono pewnego poranku grudniowego ogólne formowanie się do pracy połączone z apelem. Okazało się owego fatalnego dnia, że na samej tylko „siódemce”, zajętej wyłącznie przez Polki, „dekuje się” około trzystu kobiet, a więc 20%. W innych blokach sprawa przedstawia się z mniejszymi lub większymi odchyleniami tak samo. Władze lagru uznały to za skandal i wkrótce zarządzenia wpłynęły na zmianę sytuacji. Wraz z blokowymi obliczono, ile kobiet nieodzwonnie musi pozostać w baraku ze względu na zarząd, sprzątanie, przygotowanie porcji chleba itd. Do tego dodano liczbę zatrudnionych w obozie. Reszta musi chodzić z każdego baraku „na aussen” (na zewnątrz), w ilości ściśle wyznaczonej.

Co rano obóz przedstawia szczególny widok. Na chwilę przed ukończeniem apelu sztubowe i zaufane blokowej ustawiają się dokoła kobiet, stwarzając gęsty kordon, przez który nie przemknie się nikt. Oddzielnie stoi grupa tych, które wczoraj wieczorem zostały uznane przez blokową za nadające się do zaprowadzenia na rewir. Są to gorączkujące. Bez gorączki nikt nie może być zaliczony do chorych. Przeznaczone na rewir nie są w lepszej sytuacji niż idące do pracy. Jest to okres, gdy tyfus dziesiątkuje obóz, a władze w celu położenia kresu epidemii częściej i surowiej niż dotychczas przeprowadzają selekcję. Ciężko chore, którym udało się dotychczas kryć w baraku, szczęśliwie unikając chodzenia w pole, zostały mocą ostatniego zarządzenia wyprowadzone na światło. Boją się. Ich spojrzenia lękliwie przelatują po postaciach zdrowych, stojących obok. Lecz wśród idących w pole zdarzają się również ciężko chore, ślaniające się, ledwo trzymające się na nogach. Te boją się rewiru, tak jak tamte obawiają się „aussen”. Liczą na pomoc towarzyszek, na to, że uda im się przetrwać najcięższe dni niemocy w świeżym powietrzu pól. Z chwilą gdy kończy się apel, biegną liczne capo po ludzi. Nie pozwalają nikomu wyjść z piątek, lecz pośpiesznie przeliczają i wyprowadzają w stronę bramy. Jednak więcej przewidziano do pracy, niż ich wśród zdrowych znaleźć można. Pozycja capo zależy od jej sprawności. Gdy brakuje jej ludzi, błyskawicznie uzupełnia liczbę chorymi. Kilkoma szturchańcami potrafi je zmusić do szybszych ruchów, do równego marszu. Byleby tylko przeszły poprawnie przez bramę, to jest dla capo najważniejsze. Idą w piątkach. Siedemdziesięcioletnie babulki i piętnastoletnie dziewczęta, a wśród nich ileż gorączkujących idących w pole dobrowolnie lub wyciągniętych spod rewirowej furty. Ukryć się w tych warunkach jest niemal niepodobieństwem. A jednak zdarza się, że ktoś upatrzy sobie moment, skoczy przez rów i biegnie pomiędzy baraki, w stronę klozetów, ochlapując się błotem. Rzadko próby tego rodzaju kończą się powodzeniem, najczęściej krzyki zainteresowanej capo alarmują inne Niemki, które chętnie przychodzą z pomocą. Wkrótce kobieta leży w błocie, a na jej głowę i całe ciało spadają ciosy rąk i nóg. Potem zaś musi się podnieść i wrócić na swoje miejsce w piątkach. Czasem ucieczka udaje się, lecz nigdy nie

przedsiębiorą jej te, które by jej najbardziej potrzebowały, bo one są zbyt słabe, żeby zwinnie biegać. Zanim wszystkie capo uzbierają sobie odpowiednią ilość ludzi, mija sporo czasu. Kolumny stoją pod bramą. Mróz jest najdotkliwszy o tej właśnie porze, przed wschodem słońca. Szczególnie dokucza, gdy wieje wiatr i sypie wilgotny śnieg. Kto nie zdołał zdobyć rękawiczek, owija dłonie w kawałki koca, starannie kryjąc swój sabotaż. Moment otwarcia bramy witany jest westchnieniem ulgi. Przechodzą piątki. Kto przekroczy bramę rano, nie może wrócić, aż dopiero wieczorem, choćby padł. Blok 7 chodzi do pracy w kolumnie 117 na Budy, odległe o 8 km od Birkenau. Szybki marsz po grudzie zrywa mięśnie, opuchnięte po tyfusie stopy bolą i obrzmiewają jeszcze bardziej. Każdy krok — to ból. Ale każdy krok to rozwierająca się przestrzeń, zmienna, coraz nowymi krajobrazami przemawiająca do oczu, w które od miesięcy wrasta widok baraków, drutów i obozowej szarzyzny. Tuż blisko za obozem, od bramy na prawo ukazuje się idącym rozłożysta polna droga, przy której wznoszą się czarnymi sylwetami wierzby. Drzewa stare, o tej porze roku bezlistne, stoją nieruchomo, każde o innym kształcie, każde inaczej splata swe ramiona, każde ma odmienne rysy i rany na swej chropowatej korze, każde w innej pozie zamarło i trwa przy drodze, którą idą szare kolumny ludzi popędzanych przez psy. Więźniowie znają te drzewa, witają je jako etap swej uciążliwej wędrówki. Droga w skrętach i zawrotach prowadzi do pięknego pałacu, jaśniejszego bielą wysokich ścian pośród starego parku. To Harmense. Gdy widzi się po raz pierwszy tę rezydencję, gdy słyszy się rzenie koni, gdy wyczuwa się silniejszy niż zapach iglastych drzew odór stajenny, gdy od strony stawów dolatuje gęganie i przeciągły, wołający krzyk gęsi, które wytaczają się i idą kołochliwie, do białych łódeczek podobne, spokojne spokojem natury, nic nie wiedząc o burzy szalejącej nad światem — ulega się zniewalającemu złudzeniu, że tu mieszkają ludzie. Że za chwilę zobaczy się kogoś, pędzącego życie normalne, że będzie się miało wielką przyjemność ujrzenia z bliska ludzi wolnych, których więźniowie nie widują od dawna. Kolumna idzie naprzód, skręca przed wyniosły fronton pałacu i oto nagle rozwierają się boczne drzwi. Stado gęsi chmurą hałaśliwą rzuca się w tę stronę, skąd, z koszem paszy w ręce, idzie kobieta-więzień. Za nią wysuwa się nieodstępna sylwetka SS-manki. Więc tu też. Obóz koncentracyjny, jak nowotwór, rozpostarł się po okolicy i daremnie oczy wypatrywałyby tu normalnego życia ludzkiego.

Harmense jest fermą hodowlaną, prowadzoną przez kobiety. Jesienią w roku 1942 odbył się w Ravensbriick ochotniczy kurs hodowli drobiu i królików. Po skończeniu czekała ochotniczki droga do Oświęcimia. Zgłosiły się głównie te, które miały swoich bliskich w obozie oświęcimskim. Przyjechały w pierwszych dniach października. Wiele z nich po długich staraniach i wysiłkach zdobyło wiadomości o śmierci ludzi, dla których tu przyjechały.

Kommando 117 przechodzi codziennie przez Harmense, przenosząc ostrożnie skąpe wiadomości pomiędzy obozem a zatrudnionymi tu kobietami.

Warunki życia na Harmense są niepomniernie lepsze niż w Birkenau. Mieszka się tu w pokojach pałacowych, mając jadalnię, szafki na swoje rzeczy i, co najważniejsze, możliwość kąpieli. Birkenau przysyła co pewien czas na Harmense czystą odzież i bieliznę (capo odpowiednich magazynów biorą za to opłaty w postaci jaj, kur i królików).

Kolumna mija Harmense i idzie dalej prostą aleją grabową. Po obu jej stronach na łące wznoszą się kurniki i otoczone drucianą siatką kojce.

A dalej widać już stawy falujące pod uderzeniami wiatru i nadbrzeżne szuwary kołyszące się w głębokich pokłonach. To najpiękniejsza część drogi. Długa kolumna szarych postaci przechodzi tędy w chwili, gdy spoza stawów podnosi się wschodzące słońce i napełnia barwami zorzy drżącą wodę.

Na brzegu gdzieś widnieje płaski pień ściętego drzewa, kamień albo wygięty przez naturę konar, tworząc miejsce wygodne, gdzie mógłby usiąść przechodzący tędy człowiek. Ale człowiek idący jest częścią kolumny, której nie wolno mu opuścić. Nogami zbolałymi wrósł w rytm setek nóg odmierzających czas. Oczyma tylko obejmować może rozrzucone tu hojnie bogactwo natury, chłonie czar krajobrazów, które śnić mu się będą po nocach, spotyka gołe pędy i kolce polnych róż rosnących przy drodze. Gdy idzie tak zapatrzony, nogi jego uderzają w twardą grudę wywołując ostry ból przy każdym kroku. Ciężkie nogi, spuchnięte w kostkach, omotane zwojami szmat i dźwigające z trudem buty na drewnianych podszewkach. Jedni zginęli w tyfusie i nie męczą się już więcej, inni żyją dalej i, jak Syrena w Andersenowskiej bajce, za cenę przejmującego bólu nóg od palców aż po pachwiny, czasem nawet po biodra, mają prawo patrzenia na świat, prawo życia, prawo czucia, na czas — nie wiadomo, czy długi.

Grobla staje się coraz węższa, rosnące na jej brzegach krzaki jeżyn i dzikich róż chwytają kolcami pasiastą odzież więźniów, jakby ich pragnęły zatrzymać przy sobie. Lecz omotane szmatami nogi idą nieprzerwanym rytmem naprzód.

U wylotu grobli wznosi się ponad huczącą wodą stary młyn, przy którym z wielu piersi wrywa się westchnienie ulgi. Połowa drogi została już odbyta. Nie zatrzymując się kobiety idą naprzód. Trasa jest teraz uciążliwa, pomiędzy stawów wznosi się ku górze, na grunt piaszczysty, w którym wprawdzie mięśnie nóg nie odczuwają szarpnięć każdego kroku, lecz stopy grzęzną głęboko i z trudem brną naprzód. Na rozstaju, pod czterema kasztanami, stoi biała kapliczka z Męką Pańską. Oczy witają ją z oddali i mają w niej, tak jak w starym młynie, jeden z etapów wędrówki.

Jest tyle rzeczy, o których można myśleć idąc tak wśród pól. Cisza panuje w brnącej przez piaski gromadzie, utrudzenie pochyliło ludziom czoła i sperliło je kroplami potu. Lżej iść w zamyśleniu, łatwiej zapomnieć o bólu, łatwiej zapomnieć o głodzie.

Na horyzoncie wyrasta ściana lasu. To już Budy. Pragnie się, żeby droga trwała jak najdłużej, bo to skraca czas pracy od chwili przyjscia do obiadowej przerwy, lecz zarazem chciałoby się odbyć ją jak najprędzej, żeby położyć kres bólowi nóg, zrywających się w trudnym marszu.

Pod lasem, na obszarze otoczonym drutami, wznoszą się baraki, obok których krzątają się mężczyźni. To filia obozu, tak zwane S.K. (Strafkommando) (kamy oddział)*, miejsce zsyłki na karne roboty.

Znacznie dalej, na skrócie drogi wiodącej w las, widać wiejskie chaty, w których żyją, również otoczone drutami, kobiety z S. K. skazane przez władze obozu na gorsze warunki niż w Oświęcimiu i Birkenau. Kommando 117 mija karny obóz, z którego przez druty patrzą twarze odosobnionych, i posuwa się dalej w stronę lasu.

Szumia sennie sosny kołysząc wonnymi koronami. Żywiczna woń rozciąga się nad drogą. Wszystkie znane lasy zbiegają się w ten jeden, wszystkie radości wyzieraają z puszystego mchu, spoza omszałych pni, spod krzaków jałowca. Cisza kojąca i błogosławieństwo spokoju owiewa na chwilę idącą grupę ludzi. Nawet głosy SS-manów tracą tu swą grozę, bo podchwytuje je leśne echo i roznosi łagodnymi okrzykami w zielonych głębiach. Nawet woda przydrożnej sadzawki piękna jest przez zielone konary świerków, które odbijają się w jej powierzchni.

Lecz drzewa rzędą, las pozostaje po prawej stronie, a droga przebiega przez tunel pod torem kolejowym. Do toru sięgają tereny obozu, na które nie wolno wchodzić cywilom. Głosi tu ustawiona tablica z napisem w języku niemieckim:

K. L. AUSCHWITZ, LAGERRAUME'. BETRETEN STRENG YERBOTEN. *

Obóz Koncentracyjny Oświęcim, tereny obozowe. Wstęp surowo wzbroniony.

Za torem widnieją domki zamieszkałe przez ludzi. To jest miejsce pracy kolumny 117. Kopie się rowy. Od kiedy założono obóz w Oświęcimiu, kopało się rowy. W różnych miejscach, w różnych kierunkach, wzorowo wykonane, szerokie dwa metry, głębokie dwa metry. Na Budach jeden rów biegnie przez łąkę w stronę pól, drugi — aż do samego nasypu kolejowego, a trzeci do gościńca, którym jeżdżą auta i chodzą ludzie. Dla tych, którzy tu nie pracują za karę, Budy mają wiele uroku. Widok ludzi krzątających się wokół swych gospodarstw, gaworzenie małych dzieci, przytulna zacisza czystych podwórek, gdzie na omszałych dachach spacerują gołębie, zapach krów i mleka dolatujący w przejściu - - to stwarza nowe marzenia, budzi tęsknotę i koi ból. Ponadto droga i nasyp kolejowy są wspaniałymi obiektami do obserwacji. Tędy idą i jadą ludzie wolni. Po drodze, zwłaszcza w piątek, zdążają na targ obciążone kosztami gospodynie, gospodarze na wozach, dzieci z książkami do szkoły. Gdy spotykają spojrzenia więźniów, odwracają lekko głowy. Ci w pociągu są odważniejsi. Unoszeni pędem w dal, nie wahają się wychylić z okna i pozdrowić gestem dłoni. Przejżdżają, odprowadzani wzrokiem. Może pojedą do tych miast, do których najsilniej rwie się tęsknota, może przygodnie mówić będą z kimś bliskim. Czasem cicho i wolno suną pociągi z rannymi. Okna ich są zasłonięte bielą, wagony luksusowe. Czasem przejeżdża długi, nie kończący się pociąg towarowy. To jedzie nasz śląski węgiel albo nasza nafta zrabowana przez wroga. Czasem znowu wróg przewozi z frontu połamane zabawki wszechwładnej wojny: uszkodzone bombowce, kolosalne, trójmotorowe kadłuby z połamanymi skrzydłami, popsute auta, czołgi i działa. Długo i ciężko, ze zgrzytem żelaza jedzie taki pociąg. Dla skrócenia czasu ktoś oblicza, ile szkół, bibliotek, szpitali można byłoby stworzyć za cenę tego zmarnowanego żelastwa.

Czas płynie. Dzień podobny jest do dnia bardziej jeszcze niż więzień do więźnia. A jednak ileż mają wewnętrznej treści, ile świadomej woli, ile uważnego planowania!

Człowiek stojący z łopata w ręce nad rozkopanym rowem ma swój rozkład dnia, którego trzyma się ze ścisłością. On wie, że jego zagładę spowodować może cały szereg okoliczności wywołanych zarządzeniami albo przypadkami, ale szansę uniknięcia śmierci istnieją i wygrana leży w jego własnych rękach. Dlatego stwarza sobie jak najwięcej zajęć, które pomagają mu przewyciężyć czas. Obserwowanie wszystkiego, co dzieje się w zasięgu wzroku, rozmowy, przemyślenia, to główne zajęcia więźnia schylającego się w milczeniu nad łopata. Czas podzielony na części łatwiej ujmować w ręce i popychać naprzód. Jeżeli ma się coś do zjedzenia, stwarza się z tego również sprawę dnia, mówiąc sobie na przykład: gdy przekopię stąd dotąd, zjem jedną kromkę. Długi marsz, dla wycieńczonych rekonwalescentek bardzo nużący, budzi wielki apetyt. Na szczęście, po miesiącach głodu, zaczynają zjawiać się paczki. Przynoszą one wiele przyjemności i pożytku, lecz jakże dużo kłopotu! Chciałoby się żywność w nich zawartą podzielić na porcje, mające ratować od wycieńczenia aż do nadejścia paczki następnej. Tymczasem nie ma ich gdzie przechowywać. Schylony nad rowem człowiek myśli o tym, że oficjalne prawa, takie jak prawo otrzymywania paczek albo pieniędzy, przyznawane więźniom przez władze obozu, zostają przez te same władze niweczone złośliwymi zarządzeniami, co powoduje chaos wychodzący zawsze na szkodę więźnia.

Paczki przysyłać do obozu wolno i wolno podjąć je w paczkami, lecz mieć paczki nie wolno. Więzień nie nosi z sobą nic, prócz miski i łyżki. Żadnych woreczków, żadnych zawiniątek. Więc co zrobić z paczką, którą dostało się poprzedniego wieczora? Niech kto spróbuje zostawić ją na swoim posłaniu odchodząc do pracy. Po powrocie nie znajdzie ani śladu. Znacznie lepiej postępować nielegalnie i wynosić część żywności z sobą w pole. A więc przygotowuje się wieczorem płaską paczuszkę szczelnie zawiniętą w papier, drugą podobną daje się najbliższej towarzyszce niedoli i, korzystając z chudości, z łatwością przenosi się to rano przez bramę. A na Budach, gdy czas powoli płynie, gdy wiatr daje się dotkliwie odczuć i zadymka śnieżna mrozi ręce przywarte do szpadla, przyjemnie jest w świeżym powietrzu gryźć czerstwy kawałek bułki, odczuwając nie tylko jej smak i zapach, ale nawet kształt i barwę.

Pociągi huczą po szynach przemierzając czas-, przed jedenastą przelatuje niezmiennie pośpieszny z Katowic, po którym się poznaje, że za półtorej godziny dadzą zupe. Udając, że roztrząsa łopata piasek po zboczu rowu, zbliża się od drugiego odcinka pracy chuda Wiesia, dziewczyna siedemnastoletnia. Jej matka zginęła w więzieniu, ojciec jest w obozie oficerskim, skąd przesyła swej córce paczki i serdeczne listy. Idzie śmiesznie w swych olbrzymich drewniakach, w których szmaty chroniące od zimna zajmują więcej miejsca aniżeli stopy. Piszczelowate nogi stąpają niezbyt pewnie. Ogolona głowa sprawia, że wielkie oczy wydają się za duże. Nie przestając manipulować łopata mówi z uśmiechem, nie podnosząc oczu, jakby się zwracała do górki piasku:

— Masz nóż? Może byśmy coś zjadły.

Potajemnie kryjąc się przed capo, która chętnie ciosem kija przerywa sjęstę, wydobywają kobiety swoje zapasy, by pożywić się między jednym a drugim ruchem łopaty. To również skraca czas. To jest jedna z nielicznych atrakcji dnia. Wpływa na podniesienie owego nieodgadnionego potencjału siły wewnętrznej, która pozwala zachować ciepło organizmu, choć przejmujące powietrze mrozi ziemię i ścina w grudę wilgotny piasek; pozwala zachować pogodę ducha, choć dokoła szerzy się zagłada i śmierć; pomaga wierzyć w przegraną Niemiec, choć całe otoczenie nie wyłączając toru kolejowego z przewożonymi planowo dostawami świadczy o ich potędze. Szronem pokryte dni zimowe upływają na Budach szybciej aniżeli w innych kolumnach pracy. Mimo że jest dopiero luty, mimo że śnieg sypie często i mróz ścina ziemię, w języku obozu jest to już wiosna. Bo tu dzień dzisiejszy nie istnieje. Tu żyje się jutrem. Już nie grożą nam listopadowe wichury, już nie grożą nam grudniowe i styczniowe zadymki i mrozy. Przed sobą mamy marzec i kwiecień, przed sobą mamy lato! Za nami zostało to, czego wszystkie kobiety bały się najbardziej (i wiele z nich nie powita już wiosny), za nami pozostała ponura zima w Oświęcimiu. Każdy dzień jest teraz dłuższy, wcześniej wstaje słońce. Każdego dnia, jak w zdeptanej roślinie, w organizmie ludzkim przychodzi teraz silniej do głosu uparta chęć życia, radość istnienia, nadzieja przetrwania.

Nie, Kommando 117 nie jest takie złe, jeżeli weźmie się pod uwagę, że będzie już z dniem każdym coraz cieplej, i jeżeli potrafi się opanować albo starannymi masażami usuwać ból nóg.

Lecz w życiu, a w obozie szczególnie, wszystko, co dobre, kończy się szybko. Zbliża się dzień katastrofy.

Jest to pora, gdy więcej osób dostaje już pieniądze wypłacane więźniom w formie bonów. W kantynie sprzedają w tym czasie rzecz wspaniałą: zupę przywożoną z oświęcimskiej rzeźni, przyrządzoną na wodzie, w której wygotowywało się mięso. Co wieczór po apelu pod kantyną zbiera się tłum, który od czasu do czasu rozpędzają Niemki przy użyciu mioteł. Tego dnia, jak zwykle, tłum tłoczy się u drzwi, wiedząc doskonale, że dla wszystkich nigdy nie wystarczy. Nagle długie gwizdki głośną gwar zebranych. O tej poapelowej porze jest to coś niezwykłego. Jednocześnie odzywają się nawoływania:

-Zellappel! Block sieben, Zellappel! (blok siódmy, liczenie!)*

Nikt nie wierzy. Jest przecież po apelu od godziny, dlaczego więc teraz wołano by wyłącznie siódmkę. Uznano, że to podstęp ze strony Niemek, usiłujących odciągnąć Polki od kantyny. Tymczasem jednak w całym obozie gwizdki stają się coraz bardziej natarczywe. Widok biegnącej w popłochu w stronę bramy blokowej z siódemki przekonuje o czymś nadzwyczajnym. Po chwili cały lager huczy krzykiem:

— Block sieben, Block sieben, Block sieben!

Zimowe słońce zaszło już, pozostawiając na niebie lunę czerwonych świateł. W tym blasku zbiegają się z różnych stron Polki z bloku siódmego. Te spod kantyny i inne z naczyniami po

wodę, te, którym się udało wtargnąć na rewir, żeby odwiedzić kogoś chorego, i te, które zdołały już zasnąć pomimo gwaru. Biegają tłumnie, ustawiają się piątkami. Nikt nie rozumie, co to znaczy. Blokowa jest nieobecna, sztabowe przeliczają. Trwa to może godzinę. Zimowy mrok wczesnego wieczoru otulił obóz, gdy gwizdek zwolnił stojące. Naturalnie, zupy w kantynie już brakło, znużenie i zimno biorą górę nad wyczerpanymi organizmami. Zanim jednak zdążył się ktoś rozebrać, już ponowne gwizdki wzywają na apel. Ustawionym w piątki kobietom kazano iść w stronę bramy. Poszły. Po upływie godziny znów gwizdek zakończył ten niezrozumiały apel. Wiele kobiet spało już, gdy zaczęto zwoływać po raz trzeci. Tym razem zebrano wszystkie Polki. Jest już noc. Rozespane ciała dygocą. Jedna myśl: kiedy się to skończy. Jest obojętne, co to będzie, czy rewizja, czy bicie, wszystko jedno, byle tylko prędzej. Noc zimna, początek lutego. Kazano się ustawić po dziesięć. Ktoś szepnął: będą dziesiątkować. Ktoś inny usłyszał, że to z powodu ucieczki z obozu stwierdzonej dziś na Budach. Kobiety stanęły blisko, jedna przy drugiej, usiłując nie wpuścić ani odrobiny zimna pomiędzy siebie. Po raz pierwszy widać, ile jest Polek w obozie. Ustawione w grupach po sto na wprost Blockfuhrerstuby widnieją w ciemnościach jak wyraźnie zarysowane geometryczne bryły. Stoją tak blisko pod drutami, jak nie wolno stawać nikomu; od śmiercionośnych izolatorów dzieli je tylko rów. Jaskrawe lampy świecą im prosto w oczy. Czas płynie nie przynosząc zmian. Jest coraz zimniej. Daremnie dłonie rozcierają ciało, biją, szczypią, usiłując je rozgrzać. Tęgi mróz zmusza SS-mana w obserwacyjnej wieży do głośnego przytupywania. Wreszcie zaczyna się coś dziać. Należy ustawić się alfabetycznie. To trwa długo, gdyż nie wszystkie kobiety znają alfabet i swoje w nim miejsce. Jakiś głos wywołuje w ciemnościach nazwiska, ktoś sprawdza numery naszyte na pasiakach. Od razu zapowiadają, że kto przeszedł przez sprawdzenie, powinien odejść do bloku, lecz nie może jeszcze kłaść się spać. Istotnie, w czas jakiś po sprawdzeniu rozlegają się gwizdki. Znów zbiórka pod Blockfuhrerstubą. Tym razem, gdy skończyły się ustawiania i liczenia, rozlega się w ciemnościach przeraźliwie głośny, jękliwy krzyk:

— Maria Bieda! Maria Bieda! Wo ist (gdzie jest)* Maria Bieda? Teraz już wszystkim wiadomo, że Maria uciekła. Jest

już gdzieś daleko, jakiś stóg lub szopa z sianem udziela jej gościny, a tu w obozie wołają. Wszystkie Polki stoją drżąc. Już teraz nie tylko z zimna. Niemki śpią. Żydówki śpią. A Polki stoją na mrozie i słuchają, jak w mroku nie wiadomo czyje usta powtarzają jęklonie:

— Ma-ria Bie-da! Maria Bie-da!

Ją tam lęk ściga, cały obóz wyszedł za nią w pogoń, wszystkie rodzaje upiorów i śmierci, od których uciekła dziś na Budach, gonią teraz za nią, wołając:

— Wo-ist-Ma-ria-Bie-da?

Daremnie wołacie Marię Biedę! Jest już daleko. Udała jej się ucieczka. Polskie gościńce i polne ścieżyny zaprowadzą ją szczęśliwie do domu, który jest podobno w Częstochowie.

O północy Polki idą spać. O wpół do czwartej wstaną znowu i pójdą pracować. Pod bramą pozostaje jeszcze tylko Kommando 117, ażeby stać za karę, za Marię Biedę, która uciekła z obozu.

Przy tym pierwszym sprawdzaniu ujawniły się niedokładności ewidencji. Zarząd obozu nie wiedział o kilku jeszcze kobietach i nikt nie umiał stwierdzić, czy zostały zabite, czy uciekły. To stało się powodem apelów generalnych i tatuowania.

Maria Bieda zrobiła dobry początek. Od jej ucieczki piątek, dzień targowy, gdy pełno ludzi podąża gościńcem, staje się dniem niebezpiecznym. Co tydzień ktoś próbuje szczęścia. Nie zawsze jednak szczęśliwie. Po ucieczce Marii Biedy kobietom wytatuowano numery na rękach. Ponadto trzy razy dziennie, a więc po przyjsciu w pole, w porze obiadowej i przed powrotem na apel odbywa się liczenie, przeprowadzane przez szefa z pomocą capo. Na wypadek ucieczki szef, SS-mani pilnujący robotnic i capo są karani bunkrem, to jest całą piwniczną. Prócz tego zapowiedziano kary najsrozsze wszystkim pracującym na Budach Polkom, gdyby ucieczka się powtórzyła.

Minał zaledwie tydzień. Znow jest piątek, dzień targowy, i pełno ludzi idzie drogą. Około południa, jeszcze przed rozdaniem zupy, stwierdzono ponowną ucieczkę. Telefonicznie wezwani SS-mani zaczynają poszukiwania. Zajęte kopaniem rowów kobiety patrzą z przerażeniem, czy nie prowadzą schwytanej. Nie, uciekła szczęśliwie. Tylko swoją pasiastą odzież pozostawiła w szopie należącej do któregoś z gospodarstw. Następnego poranku oczom idącym obok tego gospodarstwa Polek ukazuje się widok dobrze znany. Przed domem piękne, długie auto. W progu grupka gestapowców. Kolejno wychodzą z drzwi wszyscy mieszkańcy domku, starzy rodzice z gromadką dzieci. Mała dziewczynka czepia się dłoni matki, mówiąc najczystsza polszczyzną:

— Mamo, mamo, boję się!

Gestapowiec uchyla im drzwiczki limuzyny zachęcając gestem do wejścia. Twarze ich są bardzo blade i zupełnie nieruchome. Oczy spotykają się z oczyma kobiet w więziennych pasiakach. Potem auto zamyka się i szybko odjeżdża.

Lecz obraz ten nie zraża. Znow piątek przynosi ucieczkę. Tym razem poszukiwania nie dają początkowo żadnego rezultatu, mimo że SS-mani przetrząsają gospodarstwa i domy. Już po południu jeden z nich zapytuje dzieci, bawiące się przy drodze, czy nie widziały kobiety idącej w pasiastej sukni, takiej właśnie jak suknie wszystkich pracujących. Owszem, widziały i wskazały kierunek. Tego dnia na końcu powracającego z pracy Kommando 117 niesiono na noszach pokrwawione zwłoki kobiety pokryte pasiastą suknią. Wiatr przewiewa kosmyczki krótkich włosów i uparcie zrzuca z ciała więzienną suknię. Ona więźniem być już przestała. Jakże daleka jest maszerującej kolumnie, gdy tak płynie nieruchoma i cicha, dźwigana ramionami znużonych towarzyszek. Jakże ciężkie i oporne jest jej ciało w tej ostatniej drodze powrotnej do lagru. Rozwścieczony SS-man podszczuwa psa, który chwyta niosące kobiety za nogi zmuszając do szybszego marszu. Ale ona nie boi się już psów SS-mańskich, nigdy nie

zadrzy na widok lufy rewolweru przeciwko niej skierowanej, nie zapłacze, gdy zatrzaśnie się za nią brama. Ona jest już wolna.

Kommando nr 117 staje się postrachem.

Co rano przed blokiem 7 odbywają się sceny niezwykle. Kobiety ustawiając się w piątkach od razu wybierają miejsce bliżej drogi albo obok przełazu przez rów. Gdy kończy się apel, skaczą całą wcześniej zmówioną grupą wprost na blokową. To jest najlepszy sposób. Jej postać zagradzająca przejście miga w oczach biegnących jak postać pogromcy zwierząt. Wyraz wściekłości na twarzy, kij wzniesiony do góry i spadający na głowy przebiegających, jakieś słowa obelżywe — to wszystko trwa ułamek sekundy. Blokowa nie zdoła pobić równocześnie stu ani dziesięciu. Gdzieś tam kogoś uderzy w przelocie, lecz nigdy nie zdoła powstrzymać żadnej z kobiet, które biegnąc trzymają się zwartą grupą.

Blokowa jest zbyt rozsądna, żeby w tej decydującej chwili gonić za uciekającą setką, gdy ma do przypilnowania tysiąc sto jeszcze. Tamte poszły szczęśliwie. Żeby uniknąć kary, muszą wymaszerować poza bramę. One nie uchylają się od pracy. Uchylają się tylko od chodzenia do Kommanda 117. Biegną na drogę po to, żeby dołączyć się do jakiejś innej grupy, uszczęśliwiając ca-po, że bez zabiegów z jej strony zgłaszają się dobrowolnie. Czasami muszą kogoś przejednać, ale teraz, gdy dostają już paczki żywnościowe, wiele rzeczy mogą sobie ułatwić drogą przekupstwa. Jest taka ruda Kate, capo grupy pracującej w Baumschule (szkółce drzew) na Budach. Co rano powinna wyprowadzić do pracy określoną liczbę kryminalistek niemieckich. Lecz one lubią być na wyjątkowych prawach. A więc Kate bierze ich tylko kilkanaście do pierwszych piątek, a potem wyłapuje przy pomocy kija i swych pomocnic najróżniejsze kobiety kryjące się między barakami, żeby nimi zastąpić brakujące Niemki. Z tą Kate wchodzi w porozumienie Polki z siódemki. Są to kobiety młode, pełne inicjatywy i nie poddające się przemocy obozu. Wyglądają porządniej niż inne, podobają się od razu. Kate ze swą grupą chodzi również na Budy, lecz tam szkółka drzew posiada swoje ogrody, a w nich barak-piwnicę, w którym jest zaciszniej i bardzo przyjemnie w czasie deszczu. Tu dają znacznie więcej jeść w południe, po całym litrze zupy na osobę, podczas gdy Polki przy rowach dostają tylko pół litra. W przerwie obiadowej uczucie ciepła i sytości przenika cały organizm rozchodząc się aż do zziębniętych rąk i nóg. Niemki w opalanej części baraku grzeją się przy piecu, coś sobie przyrządzają, dolatuje stamtąd śpiew. Polki w części zimnej korzystają z chwili przerwy, żeby odpocząć. Leżą tu wielkie naręcza wikliny, deski przygotowane do układania roślin, olbrzymich rozmiarów kosze przeznaczone do celów ogrodniczych. Na tych deskach, na wiklinie, nawet na dnie koszów, skulone postacie zasypiają twardo. Ich organizmy wycieńczone, wychudłe i szerniałe szukają pokrzepienia w ciepłe brukwianej zupy, w krótkiej chwili południowego snu, w zdrowym powietrzu, jakim się oddycha na Budach. Przerwa południowa trwa krótko. Po przyniesieniu i rozdaniu zupy na sen pozostaje nie więcej niż piętnaście minut. A jednak jakże to wzmacnia. Na gwizdek zrywają się kobiety zarumienione, z wzrokiem błyszczącym od rozespania, myślą goniąc uchodzące sny.

W dni pogodne pracuje się na działkach. Widać już budzącą się wczesną wiosnę, ziemia zaczyna pachnieć w słońcu, lada chwila nabrzmieją pąki na drzewach. Czubki małych

sosenek ugina miękki wiatr, który wieje z południa, od Beskidu, przynosząc tchnienie swobody żyjącej na spadzistych stokach, przynosząc pozdrowienie pachnące kosodrzewiną i śniegiem. Ten wiew wolności uderza do głowy jak wino, jak mocne białe wino pite bez umiaru z nieugaszonego pragnienia. Drogowskazy pochylonych drzew ukazują kierunek: tam, gdzie widać korony starych wierzb, jest bita droga, biała droga do miasta. Dlaczegoż by nie spróbować stanąć na niej i doznać cudu przemiany z nieosobowego numeru — w człowieka? Małe sosenki gną się i szarpią, ledwo nie wyrwą się z miejsca. Niemki nucą piosenkę, której treść ma dziwną wymowę na tle obozowego życia:

„Es geht alles vorüber, es geht alles vorbei, nach jedem Dezember kommt wieder ein Mai. " (Wszystko przechodzi, wszystko przemija, po każdym grudniu przychodzi znów maj...)*

Ile takich grudniów i majów przeszło przed oczyma Niemek, długoletnich więźniów. System hitlerowski łamał je i podporządkowywał sobie. Współpracowały z SS-manami jako dozorcynie więźniów, jako poszerzenie załogi obozu. Ile uczuć, ile naturalnych cech ludzkich przytępiły w nich te lata. Polki słuchając tej piosenki boją się myśli o maju, który przyjdzie i znów będzie „vorbei". Tymczasem dni są dniami podobne, a dla Polek najlepsze te, w których można uniknąć Kommanda 117. Nie zawsze się to jednak udaje. Zdarza się czasem, że jakiś fatalny wypadek przeszkodzi uciekającym, że jakaś inna grupa zdoła się dołączyć wcześniej i Kate nie potrzebuje już więcej Polek. A więc idą karnie w szeregach Kommanda, które prześladowuje śmierć. Idą, żeby wieczorem nieść na przestrzeni ośmiu kilometrów ciała zmarłych. Jest to okres wielkich selekcji w szpitalu i wśród pozostających w ciągu dnia na terenie obozu. O wiele łatwiej „zadekować się" zdrowej i młodej niż chorej albo starej. Toteż wypędzane przez blokowe idą w pole staruszki ciągnąc na chudych nogach ciężkie drewniaki, idą uśmiechając się pomarszczonymi twarzami do młodych, jakby przeproszały, że są mniej zwinne, że potykają się utrudniając marsz innym. Idąc ślepe od potu, który zalewa im oczy. Idą wykonując ciężką pracę marszu, podczas gdy serce, jak maszyna pędząca najpełniejszym biegiem, wywołuje warkot krwi w mózgu i przesłania ciemnością oczy. Zdarza się, że ktoś pada natychmiast po wyjściu z obozu, kilka kroków za bramą. Lecz wrócić nie można. Kto wyszedł, iść musi naprzód, dzień cały „arbeiten" aż do apelu wieczornego. Oto wycieńczona kobieta. Towarzyszki biorą zemdloną na tragi i niosą 8 kilometrów na Budy, gdzie leży nieprzytomna na mokrej ziemi. W drodze powrotnej umiera.

SS-mani znęcają się nad chorymi, które nie mogą iść dość szybko i zostają za maszerującą kolumną. Im który z nich młodszy, z tym większą zaciętością bije kobiety, popycha kolbą tak celnie, że wpadają do rowu twarzą w dół, a potem zbierające się niemrawo na opuchniętych nogach szczuje psem. Za chwilę postać ludzka zmienia się w bezkształtny łachman wydający jęki. Krew szybko wsiąka w piasek drogi, stopy tysięcy idących rozdepczą czerwony ślad. Gdzieniedzie tylko na pustych pod wieczór drogach leży zgubiona miska, wydarty strzép odzieży pokryty krwią, i świadczy o rzeczach, które się tu dzieją codziennie. Rosochate wierzby przydrożne stoją w dwóch rzędach, wyginając swe garbate sylwetki. One są jedynymi świadkami w pustce otaczającej obóz.

Po ucieczce Marii Biedy zarządzono obostrzenie rygoru i stosowanie specjalnych represji wobec kobiet pracujących w tej kolumnie. Zapowiedziano, że zboczenie z drogi w czasie marszu, zatrzymanie się nad rowem dla nabrania wody traktowane będzie jako usiłowanie ucieczki. Brną więc kobiety w swych dziurawych drewniakach po zmarzniętych z wierzchu kałużach, co chwila zarywając lód i zapadając się głęboko w błoto. Brzegiem droga jest sucha, lecz tam kroczy SS-man trzymając w dłoniach kolbę gotową do ciosu. Biegną przez grząskie błoto mając przed sobą dzień pracy w mokrym obuwiu.

Zapowiedziano także, że w czasie przerwy obiadowej nie wolno nikomu pod karą śmierci oddalać się o kilkanaście kroków od całej grupy. Tak więc po zjedzeniu swej porcji zupy trzeba stać na miejscu lub siedzieć na podmokłej, przemrożonej ziemi. Za każdą ucieczkę kary spadają na capo, szefa doglądającego robót i na SS-manów pilnujących ludzi (tak zwanych postenów). Wściekłość ich przejawia się we wszystkim. Niemki, poganiające kobiety przy pracy, korzystają z rozkazów i chętnie wyładowują swe skłonności przestępcze. Na polu, o kilkadziesiąt kroków od rowu, na przestrzeni odkrytej wykopano dół, który służy jako klozet. Niektóre kobiety chore na żołądek chodzą tam na dłuższy czas. Capo popędza je okrzykami podejrzewając z oburzeniem, że korzystają z okazji i łapią wszy. Wreszcie zirytowana biegnie nad ów klozet, chwytając pierwszą z brzegu kobietą, przewraca ją do kloacznego dołu, kopie, tarza, poniewiera. Patrzące na to nie mogą ani drgnąć, gestem ani słowem nie wolno im okazać, co czują w tej chwili.

Od czasu ucieczek praca również jest cięższa. Szefowie wybierają tereny trudne i tam właśnie każą kopać rowy. Jeden z nich, Ślązak, zarządza kopanie rowu wzorowego na miejscu małego rowka pełnego wody. Plan jest całkiem prosty. Wchodzi się w tę wodę (wejść trzeba, bo kto by chciał pracować stojąc na brzegu, tego szef natychmiast wepchnie) i własną miską czerpie się, wylewając cierpliwie na pole. Gdy rów jest już osuszony, zaczyna się kopać, stojąc w grząskim mule. Ale w ciągu nocy rów napęlnia się wodą ściekającą z pól i znów od rana trzeba zaczynać na nowo. Szef pilnuje uparcie. Nie można przy tej pracy zatrzymać się i odpocząć, by już nie biegł grożąc łopata.

Nikt nie chce chodzić na Budy, lecz nikt pracy tej uniknąć nie może. Polki z siódemki mają obowiązek chodzić wyłącznie do tej kolumny. Wychodząc z obozu kobiety słyszą codziennie, że powinny zameldować natychmiast, gdyby zauważyły u kogoś przygotowania lub próbę ucieczki. Blokowa wzywa je, by nie narażały na pewną śmierć, na dziesiątkowanie, na blok dwudziesty piąty całego Kommanda ukrywaniem występnych uciekinierek. Szaleją rewizje osobiste. Nie można nosić nic ciepłego, nic nadliczbowego, bo zostanie to poczytane za odzież cywilną przygotowaną na drogę. Kontrolę odzieży przeprowadza rano blokowa, później w bramie Aufseherinnen, a w polu capo. Wytwarza się psychoza tropienia. Kobiety podpatrują się nawzajem, podsłuchują, trzymają podejrzane w stałej obserwacji. Blokowa podsycza to. Dla wielu ona jest wyrocznią. Zdarza się, że w czasie apelu porannego w któryś piątek nieznana oskarżycielka podaje blokowej numer kobiety, która rzekomo zamierza dziś uciec. Blokowa zgłasza to w Block-fuhrerstubie. Numer podano SS-manowi konwojującemu, wydając odnośny rozkaz. Po przybyciu na miejsce pracy młody SS-man spaceruje wzdłuż rowu przypatrując się pracującym. Wynajduje wreszcie numer, którego szukał, i oświadcza

kobiecie, że będzie zabita, ponieważ zameldowano, że zamierza uciec. Kary może uniknąć, jeżeli powie, kto ją namówił albo kto jeszcze prócz niej zamierza uciekać. Kobieta po namyśle decyduje się, oświadcza, że ją namówiła inna planująca ucieczkę od dawna, i idzie z SS-manem szukając winnej wśród zginających się nad łopatami kobiet. Wreszcie wskazuje. Nikt nie wie, czy te dwie znały się w ogóle. SS-man zachęca, żeby zabiła sprawczynię, jeżeli chce udowodnić, że sama jest niewinna i padła ofiarą namowy. Niech ją zabije łopata. I ciemne to stworzenie podnosi łopata, żeby cios po ciosie zadawać oskarżonej przez siebie. SS-man i ca-po stoją przy tym. Ponad głowami pracujących rozlega się bez przerwy:

„Los! Weitermachen! Bewegung!" (Jazda! Robić dalej! Ruszać się)*

A łopata ostrzem swym krwawi ciało słabnącej pod ciosami kobiety. Gdy wreszcie ranna pada na ziemię, SS-man poleca bijącej odłożyć łopata i iść w stronę toru kolejowego. Rozlega się strzał. Zajęte przy innych rowach spostrzegają teraz, że wzdłuż toru idzie ktoś w odległości niebezpiecznie dużej od reszty. Ale idzie wolno, bez pośpiechu. Truchleją. Czyżby uciekała w tak niemądry sposób? Znowu strzał i kobieta idzie dalej. SS-mani nie umieją celnie strzelać. Co chwila strzał rozrywa ciszę, echem brzmi po lesie — a ona idzie dalej. Wzrok pragnie już ją widzieć leżącą, ona też pewnie nie może dłużej czekać na swą śmierć, bo nagle po ósmym chybnym wystrzale zawraca w miejscu i szybko zaczyna iść w stronę strzelającego. Dziewiąty strzał trafia celnie i kobieta pada martwa. Teraz przychodzi kolej na ranną. Ta jednak zrywa się z miejsca i mimo ran od szpadla biegnie szybko w stronę lasu. Jest moment radosnej nadziei, że SS-man chybi, że las ją zakryje i pozwoli ujść. Jest moment krótki, lecz skupiający w sobie pragnienie wielu patrzących. Las coraz bliżej, a on strzela źle. Tym razem jednak trafił i biegnąca padła na twarz, rozrzucając wzniesione ramiona.

Prócz dwóch posądzonych o planowanie ucieczki zabita została jeszcze tego dnia młoda Żydówka, która w czasie przerwy obiadowej odeszła kilkadziesiąt metrów od grupy posiłkującej się na otwartej łące. Wieczorem po Kommando 117 powracające z pracy wyjechała karetka samochodowa z czerwonym krzyżem i zabrała zabite.

Gdy ilość śmiertelnych ofiar na Budach nie jest w stanie odstraszyć kobiet od planowania ucieczek, władze obozu stosują inną metodę, która skutkuje natychmiast. Któregoś dnia powracające z pola kolumny w przejściu przez bramę spostrzegają starą, siwowłosą kobietę, dźwigającą na piersiach tekturową tablicę z napisem tej mniej więcej treści: „Syn tej kobiety uciekł z obozu koncentracyjnego Oświęcim i matka jego została aresztowana wraz z całą rodziną w zamian za zbiega". Wśród tysięcy przechodzących piątek nie ma chyba takiego człowieka, który by nie miał kogoś drogiego, jedyne, kogo wolałby widzieć martwym niż przywiezionym do Oświęcimia. Wolność za cenę aresztowania osób najdroższych staje się wolnością niepożądaną. Kto poznał Oświęcim, pragnie być ostatnim z przywiezionych tu, żeby już nikt więcej nie był oddany zagładzie dokonywanej tak niesłychanymi metodami.

Teraz przydrożne szuwały szumiące nad stawami, obok których przechodzi Kommando 117, nie kuszą już nikogo do ucieczki. Budzą jedynie myśl, że ucieczka jest rzeczą wykonalną, na którą jednak nie można się ważyć ze względu na represje, jakim podległaby najbliższa rodzina czy ludzie, na których adres wysyła się listy. Każdy z więźniów przechodząc obok

stojącej z tablicą na szyi staruszki widzi w niej swą matkę. I każdy przysięga sobie, że nigdy, w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie ulegnie pokusie ucieczki. Ten fakt zamknął obóz bardzo silnymi ryglami. Są one niewidzialne, lecz pewniejsze niż bramy i karabiny maszynowe. Stanowi je własna wola więźnia, który uciekać nie chce ze względu na bezpieczeństwo swych bliskich, pozostających w domu. Opowiada się wprawdzie od czasu do czasu rzeczy w rodzaju tej o warszawiakach, którzy przybyli do Oświęcimia w południe, a w nocy upoili SS-mana, wcisnęli drewnianą beczkę bez dna pomiędzy naelektryzowane druty a ziemię i wysliznęli się w ten sposób z obozu, lecz opowiadaniom tym nadaje się charakter anegdotyczny, nie stwarzając z nich przykładów dla siebie.

Teraz bez obawy można wyprowadzać tysiące więźniów na przyległe do obozu pola. Krąg silniejszy niż druty, nieprzebyty, nieprzerwany otacza ich wszystkich. Mogą chodzić pomiędzy szuwarami i rumowiskami zburzonych domów. Na gwizdek powrócą wszyscy śpiesząc się, żeby nikogo nie posądzono o planowanie ucieczki. Zdarzać się będą fakty takie: oto jakaś kobieta, korzystając z nieuwagi SS-mana, znalazła w czasie pracy przy rumowiskach cichy zakątek za wyrwą ziemi i zasnęła. Tymczasem zbliżyła się pora zakończenia pracy i kolumna odeszła w stronę obozu. Śpiąca nie słyszała gwizdka, nie słyszała szczęku czyszczonych szpadli ani komendy wydawanej na odmarsz. Obudziła ją cisza. Kobieta zrywa się i widzi, że jest sama. Na opustoszałym rumowisku leży stos narzędzi. Jest sama wśród pól, o kilka kilometrów od Birkenau. Jak okiem sięgnąć — pustka. Cisza przejmująca, bezbrzeżna, a w niej pulsuje rytmem nieprzerwanym gorące serce Śląska. To maszyny. Stukotu ich nie było dotychczas słyhać w gwarze pracujących więźniów. Ze stawów i mokradeł zaczyna wstawać przejrzysta mgła i przesłaniać horyzont.

Kobieta klęka, pochyla się nisko, ramionami ogarnąć chce ziemię, na której rosną bujne macierzanki, rozchodniki, szczawie. Opiera głowę, twarz rozpaloną wtula w chłodne liście i żegna pocałunkiem to miejsce, w którym dane jej było przeżyć chwile samotności.

Torem kolejowym nie opodal mknie pociąg pośpieszny ciągnąc za sobą kometę dymu i iskier, które opadają wolno na łąkę i gasną. Kobieta zrywa się i zaczyna biec. Jej pęd coraz szybszy, coraz gwałtowniejszy, pełen lęku budzi świst wiatru w uszach, lecz nie może zagłuszyć oddalającego się dudnienia pociągu.

Jest coraz bliżej dróg prowadzących do obozu, jest coraz bliżej kolumn wracających z pracy. Jeśli zdąży dogonić — wówczas za przejmującym gwizdem lokomotywy odleci w dal posiadana przez kilka minut wolność.

Jeżeli nie zdąży — to tym torem kolejowym pojedzie do jej domu nieszczęście.

Bieg staje się coraz bardziej niebezpieczny. Każdy SS-man może ją zatrzymać i zastrzelić. Już widać obóz i kolumny zbliżające się do jego bram. Kobieta poznaje swoją i dopędza w chwili, gdy szef przelicza nie mogąc dojść do ładu. Zgrzana, spocona, staje przed nim i tłumaczy. Ma wyjątkowe szczęście, gdyż nawet nie dostaje w twarz. Wliczona w piątki, idzie już równo w takt komendy: „Links, links, links und links”.

Zmęczone serce bije w piersiach łoskotem gwałtownym równiej, wolniej, spokojniej.

Wiatr szarpie gałęzie wątłych drzewek rosnących w bramie, jakby je chciał wyrwać z gruntu, w który wrosły. A w chwilę później, w ciszy apelu wieczornego, rozbrzmiewa z oddali ledwo dosłyszalny gwizd lokomotywy.

Rozdział drugi NIEDZIELA

Przejeżdżający koleją przygodny obserwator mógłby na widok tysięcy więźniów poruszających się wzdłuż toru dojść do mylnych wniosków. Mógłby z uczuciem ulgi stwierdzić, że wielu ludziom udaje się uniknąć śmierci, skoro tak liczne kolumny przychodzą niezmiennie, o każdej porze roku, do pracy przy rowach.

Lecz to nie są ludzie ci sami. Wychodzi z obozu co rano ta sama ilość piątek, te same coraz bardziej zniszczone pasiaki więzienne, w każdej porze nowe na nich numery i nowi noszą je więźniowie.

Ludzie przemijają w obozie jak pokolenia pszczoł.

Transport, przywieziony wiosną, topnieje już w miesiącach letnich. Ci, którzy przybyli latem, wymierają w jesieni. Nieliczni tylko z transportów jesiennych doczekają wiosny, bo zima jest okresem najcięższym. Najwyższa cyfra zarejestrowana w kartach ewidencyjnych świadczy tylko o ilości tych, którzy weszli do obozu.

O liczbie żyjących w danej chwili dowiedzieć się można inaczej: znają ją pracownicy kuchni gotujący odpowiednią ilość zupy, zna „Brotkammer” wydająca chleb.

Przeciętna żywych nie stoi w żadnym związku z liczbą kolejną przybywających do obozu. Są jakieś regulatory sprawiające, że niezależnie od tego, czy cyfra najwyższa jest dwadzieścia dwa tysiące, trzydzieści osiem tysięcy czy osiemdziesiąt siedem tysięcy - - żyje i wychodzi w pole (z małymi odchyleniami, szybko się wyrównującymi) ilość jednakowa. Bezsprzecznie, ujmując sprawę li tylko wzrokowo, stwierdza się, że dużo ludzi żyje, dużo wychodzi poza bramę. Lecz niepomernie więcej niż przez bramę wychodzi przez krematoria.

Od czasu do czasu władze obozu pragną zorientować się w liczbie żywych. Już jesienią 1942 roku odbył się w Birkenau u kobiet apel generalny. Trwał on całą niedzielę, odbywał się na łące za bramą. Po jego skończeniu, wieczorem, wnoszono do obozu setki osłabłych, zemdlonych wskutek głodu i chorób, oraz kilkanaście zmarłych. Od owego dnia, jednego z najcięższych w obozie, minęło kilka miesięcy. Słowa „apel generalny” budzą lęk wśród ludzi.

Tymczasem SS-mani wykonujący „ostry kurs” pierwszych miesięcy roku 1943 obmyślili znacznie ciekawiej program następnego apelu generalnego.

Gdy wieść, przenikając od pracownic wydziału politycznego ł „Schreibstuby”, jęła rozchodzić się pomiędzy zgębnionymi w tym okresie kobietami, cień smutku padł na obóz. Od pewnego

czasu każda niedziela jest przymusowo poświęcona takim zajęciom jak odwszenie, sprzątanie, karne roboty (a więc np. przenoszenie piasku albo kamieni we własnych sukniach lub fartuchach z końca obozu pod bramę, a później z powrotem).

O niedzieli marzy się przez cały tydzień jako o jedynym dniu, w którym będzie można wyczyścić swoje legowisko, przejrzeć odzież, umyć się. Lecz ostatnio wszystkie projekty zawodzą. Przychodzi ten dzień i przynosi dodatkowe znużenie, zdenerwowanie, wynikające z daremnych prób uchylecia się od zajęć, i gorzkie rozczarowanie. Mija święto, którego nie było, mija jedyny moment, w którym można byłoby zaczerpnąć tchu na długie dni bez wytchnienia. Zaczyna się znów ciężki tydzień ludzi przemęczonych.

Apel generalny jak wszystkie wydarzenia w obozie poprzedzają rozkazy tajne. Więzień musi być zaskoczony zarządzeniami. Tak więc, gdy w niedzielę gwizdek na wstawanie rozlega się po ciemku, na długo przed świtem, zamiast, jak zwykle, o pierwszym brzasku — kobiety odgadują, że będzie to znów niedziela zajęta przez SS-manów.

Poranny apel ustawia się jak codziennie, a po nim, na długo przed pierwszymi zorzami, które w lutym ukazują się już wcześniej, tłum kobiet idzie w stronę bramy. I tu w dniu apelu generalnego ustawiają się inaczej niż zwykle. Nie wedle kolumn pracy, nie wedle numeru bloku, lecz w porządku chronologicznym, w kolejności numerów. Po raz pierwszy od wielu miesięcy spotykają się ze sobą te, które jechały wspólnym wagonem transportowym. Zgubione w nieprzebrany tłumie wielkiego lagru, żyjące w innych barakach, pracujące w innych grupach, nie widywały się nawzajem. Chociaż połączone przeżyciami takimi, jak wspólne wejście do obozu, głód i pragnienie, pierwsze bicie, strzyżenie włosów — postanawiały trzymać się razem, jednak rozdzieliły je najpierw choroby, a potem ogrom chaosu, w którym nikt nigdy po przebytej chorobie odnaleźć nie może swych bliskich. Teraz oto spotykają się. W mglistej szarzyźnie zimowego poranka budzi się wspomnienie znajomych „z naszego tysiąca”, a zwłaszcza „z naszego transportu”. Za chwilę nadejdą kobiety, z którymi przeżyło się kilka godzin w pędzącym do Oświęcimia wagonie. Nasuwają się obudzonej pamięci twarze pełne wewnętrznego skupienia w zetknięciu z nieznanym, postaci znużone, opierające się gdziekolwiek o ścianę i o towarzyszkę doli. We wspomnieniu mają swój dawny, normalny wygląd, jaki stwarzają włosy i odzież indywidualna. Może właśnie dlatego, że one są ową maleńką cząsteczką przed obozowego życia, że są fragmentem chwili przeżytej przed przekroczeniem bramy, jest na nich jakieś miłe znamię swojskości. Bez względu na to, kim były kiedyś, dziś są bliskie.

Raz jeszcze zjawiają się w pamięci: młoda, wysportowana nauczycielka, która następnego dnia w baraku dezynfekcyjnym skłoniła zmarznięte kobiety do ćwiczeń gimnastycznych dla rozgrzewki. Obok niej wysoka blondynka w narciarskich spodniach i zielonawej bluzie, z plecakiem, na którym wspierają się jej jasne warkocze, zwinięte w twardy węzeł.

Dalej kobieta wyjątkowej urody, wpatrzona w oczy swej córki. Na sukience dziewczyny harcerski krzyż.

Na podłodze wagonu tulą się dwie rodziny z Kieleckiego. Jak z kamienia ciosana wieśniaczka, o twardych rysach, a z nią jej matka i matka męża. Wszystkie trzy zabrane jako zakładniczki, a obok nich jasna, o oczach jak bławatki córka i tak samo jasnooka matka. Prócz nich aresztowano również ojca. Za syna, który był nieobecny w domu podczas wizyty gestapo.

Kilka kudłatych Cyganek jęczy coś w swoim dialekcie. Jedna z nich, szerokonosa, o wielu cechach murzyńskich, ledwie znająca kilka słów po polsku, aresztowana została w następujący sposób: uwięziono w Radomiu jakiegoś Cygana. Inni Cyganie pragnęli sprawdzić, jak dalece gestapo usiłuje odnaleźć wątek sprawy, i w tym celu wysłali aresztowanemu paczkę żywnościową. Pod więzienie musiał ktoś pójść i wyrok padł na głupkowatą Cyganicę. Zniosła paczkę i gdy wymieniła nazwisko, aresztowano ją. Bicia i tortury nie pomogły, stara niewiele umiała powiedzieć, Cyganie nie na darmo wybrali właśnie ją. W momencie wkroczenia do obozu, na mocy papierów, które przyjeżdżają z gestapo razem z każdą aresztowaną, dano jej czerwony trójkąt z literą „P” (Polka aresztowana za działalność polityczną).

Wyobraźnia zaludnia tymi postaciami miejsce pod bramą obozu, lecz daremnie oczy szukają ich, przypatrując się identycznym postaciom i ogolonym głowom, owiniętym w brudne chustki. Wielu z nich nie ma już między żywymi. Wśród szarych twarzy kobiet stojących najbliżej oczy poznają wychudłą, meszkiem włosów na policzkach obrosłą matkę młodej harcerki. Tak, prawda, przechodziły razem tyfus i córka umarła. O wysportowanej nauczycielce wiadomo tylko, że poszła do szpitala w trzy tygodnie po przybyciu, gdzie przrzucano ją z bloku na blok i z miejsca na miejsce, nieprzytomną, z wysiękiem w płucach. Zginął po niej ślad i trudno ustalić, czy żyje, czy zmarła. Z gromady wieśniaczek z Kieleckiego została tylko jedna ze starą matką. Jest również Cyganka, zahartowana widocznie dolą cygańską wystarczająco.

Poszczególne tysiące zostały już ustawione, pomiędzy nimi wyznaczono odstępy. Lecz wystarczy spojrzeć z boku, żeby zobaczyć, jak małe są te „tysiące”. Te pod samą bramą niemalże nie istnieją, pozostało z nich zaledwie po kilka, z dalszych po kilkanaście, po kilkadziesiąt osób. Kobiety, które są tu dziś, to jakaś smutna reprezentacja tych, które już nie żyją. A wokół ozywają przywołane myślą, rozmową, wspomnieniem te, po których pozostała jeno luka między stojącymi. Im dłużej żyje się w obozie, tym większa staje się owa luka, tym bardziej rozszerza się wciąż nowymi zgonami. Gdy przed sobą i za sobą ma się miejsce wolne po numerze, którym oznaczona kobieta umarła, tym jaśniej widzi się przygnębiającą prawdę, że zagłada dosięgnie tu chyba wszystkich, że uniknięcie jej możliwe jest na pewien czas jedynie, że to nie kwestia mniejszej lub większej odporności organizmu, ale czasu, niosącego śmierć. Mimo że tłum stoi pod bramą, uczucie pustki ogarnia zewsząd. Przybliżyła się owa tutejsza, numerowana śmierć wołając do siebie numery następne.

O jakiejś porze poranka, gdy już uczyniło się nieco widniej, otwiera się szeroko brama obozu, za którą ustawiono stół założony papierami. Siedzą za nim Polki z wydziału politycznego i kilku SS-manów. Teraz wychodzi się pojedynczo za bramę podwinawszy lewy rękaw i ukazując numer. Ze względu na trudności, na jakie natrafiło biuro ewidencyjne, i ze względu

na łatwość ujęcia uciekinierów, wprowadzono tatuaż. Na lewym przedramieniu każdego więźnia (prócz Niemców i Volksdeuschów) nakłuto, wpuszczając granatowy barwnik chemiczny pod skórę, numer noszony dotychczas tylko na odzieży. Żydom pod numerem dodano mały trójkąt. Przybywający później do obozu będą tatuowani w pierwszym dniu, w czasie odbierania ubrań i strzyżenia w baraku dezynfekcyjnym. Dzieciom urodzonym w Oświęcimiu albo przywiezionym nakłuwano się numer na udzie. U niemowlęcia pięć cyfr zajmuje miejsce od pachwiny do kolana.

W czasie apelu generalnego tatuaż ułatwia pracę grupie wydziału politycznego, mającej na stoliku rozłożone kartoteki.

Tu odbywa się sprawdzanie personaliów i poprawianie omyłek. Wskutek niesłychanego zamętu w ewidencji trwa to długo. Następnie wychodzi się na dość dużą łąkę, wokół której stoją gęsto rozmieszczeni SS-mani z psami, uzbrojeni w karabiny maszynowe i rewolwery. Zaczyna się wielogodzinne czekanie. Tłum na łące rośnie, przesłania bramę. Czasem tylko dojrzeć można, że do stolika podbiegają pasiaste postacie z odsłoniętym lewym ramieniem, zatrzymują się na pewien czas, a potem idą dalej.

Pierwsze tysiące minęły dość szybko. W ich rubrykach figuruje przeważnie jedno krótkie słowo „tod” i sprawa jest prosta, od wielu miesięcy niezmienna.

Dalsze tysiące są jednak jeszcze dość liczne. Częstokroć nie wiadomo, czy ktoś zmarł, czy leży gdzieś na rewicze, czy zniknął w jakikolwiek inny sposób. To powoduje przerwy w sprawdzaniu i zatrzymanie biegnących kobiet

Jest popołudnie, gdy wreszcie zaczyna przekraczać bramę grupa ostatnia, najliczniej reprezentowana, świeżo przybyła. Są w niej Francuzki przywiezione w styczniu, bardzo źle znoszące tutejszy klimat i warunki, wymierające w szybszym jeszcze tempie niż Polki. Za nimi idzie grupa różniąca się od wszystkich poprzednich. Skąd wzięły się wśród owej chorobliwej szarzyzny wynędzniałych ludzi postacie krzepkie, twarze czerstwe, rumiane od mrozu, oczy patrzące błękitnym spokojem? To Zamojszczyzna, to wysiedlone. Przywieziono je z całym dobytkiem, z pierzynami, kożuchami i workami żywności, z dziećmi i zgrzybiałymi staruszkami. Odebrano im wszystko, zgolono włosy, a na rękach wytatuowano numery. Każda z nich przestała istnieć jako człowiek. Każda jest „Haftling” z numerem trzydzieści dwa tysiące z czymś. To jest trzydziesty drugi tysiąc w obozie kobiecym. Jeszcze nie tknęła ich epidemia, nie przewaliła się przez nie nędza długich miesięcy lagrowego życia. Idą krzepko przez bramę w swych drewnianych trepach, nie lękając się poruszać swobodnie na lodem pokrytej drodze. Gdy ostatnie kobiety tej grupy wychodzą z obozu, przegląd się kończy. Teraz następuje długie zliczanie i porządkowanie papierów, podczas którego ciągle stoi się na łące. Wiatr naniósł od stawów białą, zimną mgłę i nawiał ją nisko ponad baraki. Drobnymi kropelkami wilgoć osiada na włosach, ubraniach i twarzach. Lodem pokryta ziemia w bramie obozu staje się szklista i śliska. Nikt w ciągu tego dnia nie dostał nic dojedzenia ani picia, długie stanie i głód osłabiło wiele kobiet. W blokach pozostały paczki żywnościowe i wszystkim zbyt dobrze wiadomo, że przepadną, skradzione przez pilnujące bloków funkcyjne.

W czasie gdy trwa apel generalny, rozwiera się brama bloku dwudziestego piątego. Zajeżdżają auta ciężarowe i spuszczaają tylną ścianę. Z bloku wychodzą błędne istoty, chwiejące się na nogach, z mętным wzrokiem. W swej męce dni ostatnich czekały na tę chwilę. Bezwolne, posłusznie wchodzi do auta ustawiając się jak najgęściej, jedna przy drugiej. Może tam, w krematorium, w ostatniej sekundzie życia zbudzi się bunt, lecz to nie pomoże już nic. Ściany krematorium są trwałe, żelazo silniejsze niż ludzki odruch.

SS-man zatrzaskuje auta, kolumna samochodowa odjeżdża mijając łąkę, na której stoi apel generalny. Stąd można dokładnie widzieć twarze jadących. Czasem z auta uniesie się w powietrze dłoń czyjaś gestem ostatniego pożegnania — a stojące kobiety odczuwają to jak niepokojące wezwanie do szybkiego pójścia tą samą drogą.

Kilka razy ta ponura kolumna samochodowa przejechała od bramy obozu do krematorium, nim blok dwudziesty piąty opustoszał. W ostatniej turze powieziono bardzo słabe, które nie mogły stać o własnych siłach. Wrzucono je do aut jak kłody drzewa, nałożono jedną na drugą, aż do pełna. Gdy auta są w pędzie, bezwładne ciała leżących na wierzchu kolebią się przy wstrząsach; wychudłe nogi i ręce podnoszą się i opadają rytmicznie, powiewając nad szeregami stojących, nad mijanymi drutami, nad drogą przebywają po raz ostatni.

Przejeżdżające mają na sobie przeważnie zielone spodnie rosyjskiej piechoty, obszarpane, splamione czerwönką i krwią. To jest strój dawany w obozie Żydówkom. Mundury wojska radzieckiego zostały użyte jako strój więzienny przeznaczonych na śmierć.

Po południu zarządzono koniec apelu i powrót do obozu. W bramie stoi Rapportfuhrer Taube, Aufseherin Drechsler, Aufseherin Hassę, doktor Kónig i wiele innych pomniejszych Blockführerów i aufzejerek. Kobiety mają pojedynczo przebiegać obok nich. Szklista gołoledź pokrywa wypukłą w tym miejscu drogę. Drewniane trepy ślizgają się po niej bezpiecznie, z trudem niesione na osłabłych nogach. Taube trzyma w ręku laskę z zagiętym końcem. Od czasu do czasu krzyczy głośno, śmiejąc się ze swej zabawy:

— Laufen, laufen! (Biegiem, biegiem!)*

Wysoki, pochylony ku drodze, szeroko rozstawiony na swych długich nogach, wychwytuje te wszystkie, które biec nie mogą. Hakiem laski odciąga je na bok i odsyła na blok dwudziesty piąty, którego barłogi są puste, a brama otwarta.

Wśród biegnących jest sporo chorych na tyfus, które dnia poprzedniego w czasie selekcji nie przyznały się do gorączki i zostały usunięte z rewiru. Gonią wraz z innymi, nadludzkim wysiłkiem starając się poruszać sprawnie. Są wśród nich zupełnie młode dziewczęta.

Wiele przebiegło szczęśliwie, sporo jednak odpadło. Zdarzają się sześćdziesięcioletnie staruszki, które wychodzą cało z selekcji. Ilek jednak odchodzi na blok dwudziesty piąty.

Odpadają nie tylko stare i chore, lecz także i te, których nogi opuchły lub są okryte wrzodami, co utrudnia bieg. Odpadło wiele delikatnych, nie znoszących ostrego klimatu polskiej ziemi

Francuzek. Nawet niektóre dziarskie i zupełnie zdrowe kobiety z Zamojszczyzny zostały również zatrzymane. Wystarczy pośliznąć się i upaść, żeby nie uratować życia.

Zapada wczesny zmrok. Ostatnie tysiące zbliżają się do bramy obozu mijając i przeskakując ciała zemdlonych, które leżą na łące. Grupa pod blokiem dwudziestym piątym zwiększa się, liczy już kilkaset. Ciężarowe auta stoją w pogotowiu. Kto nie zmieści się w bloku, odjedzie od razu do komór gazowych.

Nad obozem panuje cisza, słychać tylko nawoływanie Taubego: „Laufen, laufen!” — i stukot drewniaków po lodzie.

Selekcja dobiega końca. Ostatnie grupy wsiąkły pomiędzy bloki. Droga pozostała pusta. Jeszcze tylko od strony łąki widać zbliżających się w mroku Blockfuhrerów, zgiętych do przodu, ciągnących coś za sobą po ziemi.

Jeden z nich zatrzymuje się i poprawia swój ładunek. Teraz widać, że na drodze leży postać kobieca z przewiązanym na szyi rzemykiem, za który ciągnie ją SS-man idąc powoli do bram bloku dwudziestego piątego.

Tak kończy się niedziela, jeden z wielu dni podobnych do siebie. Gwizdki ogłaszają „Lagerruhe”.(cisza obozowa.) * Ognie krematoriów budzą myśl, że to płoną już te istoty, które przed trzema godzinami przejeżdżały z gestem pożegnania.

Rozdział trzeci ES KOMMT HOHBR BESUCH (przybywa ważna wizyta)*

Wiosną 1943 Raportfiihrer Taube i Aufseherin Drechsler trzymają Birkenau żelaznymi dłońmi. Wydają nowe zarządzenia, które po wprowadzeniu w czyn okazują się nielogiczne, a cały bezsens ich odbija się na doli więźnia. W owym czasie, gdy wszy ciągle jeszcze zbierać można garściami, gdy same tylko klozety, pokazane Europie, byłyby wystarczającą ilustracją warunków higienicznych — sprawa taka jak składanie sienników i koców wzdłuż czy w poprzek legowiska staje się problemem, sprawa miski noszonej przez każdego więźnia staje się powodem rewizyj, licznych zarządzeń i represyj.

Miska w obozie jest warunkiem nieodzownym do zdobycia od czasu do czasu pożywienia płynnego. Posiadanie jej jest niejako znamieniem odporności i życiowych zdolności więźnia.

Kto wszedł do obozu, kto po raz pierwszy, nieprzytomny z pragnienia i znużenia, na wpół zduszony podróżą w pociągu transportowym, dostał do rąk czerwoną miskę z pływającą na jej dnie odrobiną ciemnej cieczy i napił się z niej, ten stał się jej czcicielem. Gdy po raz pierwszy zbliża się do niej usta, nie czuje się nic. Kilka par rąk drżących niecierpliwością czeka już na nią i porywa w tej chwili. I dopiero później, znacznie później uderza w nozdrza odpychający odór. Ale wówczas jeszcze się tego nie rozumie. Po prostu zdobywa się co prędzej dla siebie jakieś naczynie „na własność” i sposobem ogólnie praktykowanym nosi się na piersiach pod kurtką albo przywiązuje (wywierciwszy uprzednio dziurę w brzegu) do troczka fartucha na

plecach. W ten sposób tworzy się sylwetka tzw. „muzułmana” lub „łachmyty ponurego”. Wychudłe ciało w niedobranach, brudnych łachach, pod którymi sterczy miska podobna do garbu. Tak chodzą kobiety o każdej porze dnia, tak wychodzą poza bramę i powracają. W nocy chowają naczynie pod siennikiem podwyższając go w ten sposób i tworząc wezglowie.

Ale wiosna 1943 zmienia zwyczaje obozu. Zupa, rozdawana zwykle w miejscu pracy podczas przerwy obiadowej między dwunastą a pierwszą, zostaje przeniesiona na wieczór, na godziny poapelowe. Odtąd nie wolno przy sobie mieć żadnych naczyń.

Co rano po dwóch stronach wychodzącej w pole kolumny stają naprzeciw siebie: siejąca postrach samym swym nazwiskiem Drechsler (zwana przez Rosjanki „Zubata”) — i Taube. Gdziekolwiek dostrzegą sterczący pod odzieżą guz, czy to miska, czy zawiniątko zjedzeniem, czy otulone szmatką listy z domu — wrywają bijąc napadniętą i własność jej rzucają na ziemię. W ten sposób o kilka kroków przed bramą piętrzy się stos woreczków, kawałków chleba, manierek na wodę i kubków. Stopy idących kolumn nanoszą na nie warstwę błota, strącając w cuchnący rów ze zzieleniałą wodą. Po skończonym wymarszu przychodzą Żydówki, wyciągają z błota naczynia, zbierają je do taczek, tych właśnie, którymi w czasie czyszczenia klozetów wywozi się kał — i odjeżdżają. Miski zostają zwiezione do któregoś z klozetów i zrzucone w jego kąt, na ziemię pokrytą wilgocią i błotem. Tam leżą czasem kilka tygodni. Bywają wtedy używane do wszelkich spraw.

Budzą one naturalnie obrzydzenie i każda z kobiet postracie menażki pożyczka przez pewien czas od innych, dopóki nie uda jej się dzięki czyjejś uczynności lub za porcję chleba zdobyć całkiem nowej z baraku, w którym odbiera się rzeczy przybyłym. Po leżące w klozecie nie sięga niemal nikt, żeby z nich jeść. Niemniej jednak stos maleje. Ciągłe ktoś skrada się i niepostrzeżenie porywa miskę wcześniej upatrzoną. W obozie nie ma miednic. Zdobyte w ten sposób naczynia używa się do kolejnego mycia twarzy, głowy i całego ciała. W nich kobiety piorą swą brudną odzież, używając do tego zimnej wody z mydłem lub bez mydła.

Czasem czyszcząc klozety czerpie ktoś kał przy pomocy misek. Wreszcie bywają potajemnie przynoszone do bloku, gdzie służą jako nocne naczynia. Trudno rozstrzygnąć, czy jest to zwyrodnienie, czy też tylko niedola ludzi chorych, wychodzących w ciągu nocy po kilkanaście razy. Faktem jest, że każda chora chowa gdzie indziej swoje dwie lub trzy, czasem zupełnie podobne miski i wie, która do czego służy, przy czym tę przeznaczoną do jedzenia nosi najchętniej przy sobie.

Lecz zdarza się wielka rewizja, w czasie której wszystkie naczynia w całym bloku wylatują z brzękiem na ziemię z różnych zakamarków, z sienników i innych schowków. Zostają znów ułożone w klozecie, gdzie leżą do dnia, w którym okażą się potrzebne. Bywa to wtedy, gdy do obozu przyjeżdżają nowe lub gdy blokowa zgłosi władzom niemieckim zapotrzebowanie na miski, których brakuje do wydawania zupy ludziom powracającym z pracy.

Wówczas grupa funkcyjnych dostaje wodę i obmywa w niej najzupełniej niedbale wszystkie naczynia po kolei, żeby je potem wydać do użytku.

Wieczorem, gdy zmordowany i głodny tłum powraca z pola i po długim apelu ciśnie się niecierpliwie do bloku, w drzwiach widzi stos misek — tych właśnie świeżo wymytych, i kocioł parujący odorem brukwi. Każdaż kobiet dostanie teraz swój całodzienny posiłek do ręki. Podają jej czerwoną miskę z zupą. A poza tym porcję chleba i kawałek margaryny. Teraz, popychana przez tłum, zjeść musi pośpiesznie zupę, żeby dostać w tę samą miskę należną porcję czarnej kawy. Ona nie wie, co się dzieje z naczyniami w obozie. Cały dzień jest w polu, praca pochłania jej wszystkie siły i myśli. W obozie jest tylko nocami i śpi snem kamiennym. Nie wie, dlaczego dostaje dokuczliwej choroby, podobnej do czerwonki, zwanej „Durchfall”, która odbiera jej siły i wycieńcza do reszty. Wytrwale wstrzymywanie się od picia wody z rowów i stawów mijanych w drodze nie daje w tych warunkach żadnego pozytywnego rezultatu.

Każde naczynie służące do jedzenia ulega takiej właśnie kolejności losów do końca trwania obozu i nikt, nawet biorący później intendenturę w swoje ręce Unterkunft, (barak, gdzie segregowano, porządkowano, naprawiano przedmioty gospodarcze, jak koce, sienniki, garnki itp. Jednocześnie nazwa kolumny roboczej pracującej w tym baraku)* nie jest w stanie tego biegu rzeczy zmienić.

Na szczęście jednak później przeniesiono znów porę posiłku na czas przerwy południowej i tym sposobem przywrócono prawo noszenia z sobą miski na zupę.

Lecz wczesna wiosna roku 1943 to okres walki o miskę. Zdawać by się mogło, że cały obóz kobiecy to gracze walczący o jakąś fantastycznie wysoką stawką. Tą stawką jest ludzkie życie. Wysiłki kobiet mają jakiś tajemny sens, wyrażający się symbolicznie posiadaniem lub nieposiadaniem miski. Gdyż tylko mając ją można uniknąć choć w części owego potwornego brudu, w jakim tonie Birkenau, można uniknąć otępienia, które pozwala pożerać obozową zupę bez dopuszczania myśli, do czego służyła miska poprzednio.

Birkenau ciągle jeszcze nie ma wody. W Birkenau ciągle jeszcze ludzie sypiąją ciasno obok siebie na coraz brudniejszych barłogach. Kobiet bez przerwy przybywa.

Wiosna 1943 — to okres wielkiego przeludnienia Birkenau. Dolne, gliniaste koję, gorsze od psich bud, są tak samo przepełnione jak górne, a ciągle zjawiają się grupy nowo przybyłych i blokowa przy użyciu kija umieszcza je na przeładowanych legowiskach. W gęsty, braterstwem niedoli spleciony tłum wchodzi nowe, wnosząc wszy i choroby albo dostając je od miejscowych.

W marcu przyjeżdża z Krakowa grupa kobiet, których papiery zaginęły w czasie drogi. Zarejestrowane zostają przez wydział polityczny jako 38 tysięcy. Jest wśród nich bardzo wiele polskich Żydówek, które podają się za Polki, dostają czerwony trójkąt z literą P i pod tym znakiem ukrywają się szczęśliwie, unikając stosowanych do Żydów represji.

Ich sytuacja jest publiczną tajemnicą, Polki na ogół znają ich prawdziwe, żydowskie nazwiska, dawne miejsce zamieszkania niektórych, lecz nie zdarzają się przez cały czas

trwania obozu denuncjacje, nie zdarza się nawet, żeby kiedykolwiek Niemka-więzień została w sprawę wtajemniczona.

Okolo 25 kwietnia przybywają Polki z Poznania i Warszawy rozpoczynając 45 tysięcy kobiet-więźniów.

W tymże czasie przywieziono też długoletnie kryminalistki z Fordonu. Przystosowane w znacznej mierze do zamkniętego, więziennego trybu życia, do braku powietrza i ruchu, gorzej znoszą obóz niż kobiety przywiezione bezpośrednio z warunków normalnych.

Fordon wymiera w niezwykle szybkim tempie. Ich miejsca, przez czas krótki wolne i przynoszące ulgę duszającym się w ciasnocie, zajmują inne.

Nikt wstając rano nie wie, obok kogo spać będzie wieczorem, czyje spychane naporem kilku innych ciało leżeć będzie w najbliższym sąsiedztwie.

Nie potrzeba żadnych specjalnych represji. Warunki, w jakich się żyje, wyniszczają zdrowie, zszarpują system nerwowy, prowadzą do fizycznego i psychicznego spodlenia. Zabijają. Czasem w kimś tworzy się sztuczna, zapożyczona od przestępców odporność, nie przebijająca w środkach umiejętność wychodzenia cało ze wspólnej niedoli, z pokrzywdzeniem innych, z zabezpieczeniem potrzeb własnych. Wybierające tę drogę kobiety biją, kradną, szybko zostają funkcyjnymi.

Od czasu do czasu przeprowadzana selekcja oczyszcza obóz z tych, którym sił brakło, które na chwilę ustały w walce z przemocą warunków. I to jest najskuteczniejszy sposób unicestwiania tysięcy. Śmierć „naturalna” spowodowana chorobą. Nikt ich nie rozstrzelał, nie potrzebował wstrzykiwać tyfusu plamistego, bo wszy roznoszą go skuteczniej aniżeli jakiegokolwiek sztuczne zakażenie. Wszy, których wytepić nie można z braku wody i bielizny na zmianę, obsypują ludzi wstrzykując dniem i nocą tyfus.

Tak przedstawia się ukazane w drobnych, nie odtwarzających całości fragmentach Birkenau.

Tak wyglądała największa część Oświęcimia. Część niedostępna żadnym obcym komisjom, Czerwonym Krzyżom, nikomu. Osłonięte reprezentacyjną częścią obozu w Oświęcimiu Birkenau stanowi kulisy lagru; kulisy zaiste przesiąkła krwią. Znają je tylko SS-mani pracujący w obozie — i więźniowie.

Z zewnątrz bywa tu Himmler. Lecz gdy on przybywa, władze zarządzają wykonanie jakichś zarezerwowanych na ten dzień egzekucji, odbywają się selekcje, samochody pełne ludzi odjeżdżają do krematoriów, w obozie męskim skrzypią szubienice, ludzie wyją pod gumowymi batami — Birkenau nabiera wyrazu.

Zdarza się wreszcie jednak, że będące na indeksie, nigdy oficjalnie nie używane słowo „Birkenau” wydostaje się na zewnątrz. Jakaś komisja, nie znana bliżej więźniom, chce zwiedzić tą część Oświęcimia. Władze wiedzą o tym wcześniej. Rozpoczynają roboty

inwestycyjne, które nie ustaną już do ostatnich dni trwania obozu, do którego co pewien czas przyjeżdżać będą zwiedzający.

Któregoś dnia przyszli mężczyźni i rozpoczęli prace. Część baraków klozetowych zamknięto (powodując większe jeszcze niż zwykle przepełnienie w pozostałych) i poddano przebudowie. Istotnie, po pewnym czasie oglądać można było klozety takie właśnie, jakie zachowały się do dnia dzisiejszego w Birkenau. Daleko im do wygody, nie są całkiem higieniczne, lecz w porównaniu z poprzednimi wydają się luksusowe. Równocześnie część baraków klozetowych zmienia się na umywalnie z wieloma kranami po dwóch stronach rury wodociągowej i ze ściekami pod spodem. Wprawdzie na razie klozety nie są jeszcze oddane do użytku, woda w umywalniach nie jest włączona, lecz sam widok takiej przestrzeni czystej, pokrytej cementem, lśniącej kafelkami budzi zarazem zdumienie i — ufność w lepsze jutro.

W tym właśnie czasie władze zarządzają wielkie sprzątanie terenu, wycyszczanie rowków, zamiatanie. Równocześnie blokowe mają rozkaz wybrać po kilka najzdrowszych, najdorodniejszych, najlepiej wyglądających kobiet. Od dnia tego są one zwolnione z pracy, dostają z magazynu czystą bieliznę i odzież, Frau Schmidt (capo Bekleidungskammer) osobiście wybiera dla nich ładne buciki. Odtąd bywają brane do kąpieli, są lepiej żywione. To trwa kilka dni, w czasie których obóz żyje w napięciu. Z co dzień większą bezwzględnością przeprowadza się niezwykle drobiazgowe rewizje w blokach, zabierając z legowisk wszystko, nawet ręcznik, mydło czy grzebień, codziennie dokładniej rewiduje się więźniów w bramie. Aż nadchodzi dzień, w którym przyjechać ma oczekiwana komisja. Rano zwiększona liczba wychodzi do pracy poza bramę. Wyrzucono z obozu chore, słabe, wychudłe. Zapowiedziano, że na dany znak bezwzględnie wszystkie kobiety pozostające wewnątrz obozu mają ukryć się w swych blokach i pod najwyższymi karami nie wolno żadnej z nich wyjść.

Pogoda od kilku dni piękna, obozowe błoto obeschło, jest tak jakoś jasno i świetliście dnia tego, jak bywa zawsze w owe dni, w czasie których słońce wzięło świat w posiadanie zmuszając wzrok do spojrzenia na rozległe, bezkresne morze niebios, po którym rzeński wiatr północno-wschodni przegania śnieżnobiałe obłoki. Przepojone tą słoneczną przejrzystością oczy widzą rzędy baraków jakby poprzez srebrną mgłę, łagodzącą obraz. Codzienny brud zniknął, zniknęły konające pod blokami postacie, zniknęły wyjące z bólu pobite Żydówki. Jest cicho. Cisza błogosławieństwem spływa na ziemię, która mówić nie umie, na baraki, które nie powiedzą, na pasma drutów, których szmer nie zdoła przerodzić się w krzyk ludzi ginących. Rozlega się gwizdek. Wszystkie kobiety do bloków. Władze obozowe pomagają w spędzaniu ich i pośpiesznym oddawaniu pod bezwzględny dozór funkcyjnych.

Jakże inaczej wygląda obóz, gdy jest pusty. Po rozświetlonej słońcem drodze spacerują w różnych kierunkach grupki owych „pokazowych” kobiet, czysto ubranych, rozmawiających między sobą.

Hoher Besuch jest dopiero w Oświęcimiu. Telefonicznie znacznie wcześniej zawiadomiono Birkenau, żeby władze miały czas nadać obozowi odpowiedni wygląd, podczas gdy komisja zwiedza Oświęcim.

Po czysto wymiecionych brukowanych ulicach obozu oświęcimskiego, otoczonych zielonymi skwerami, na których kwitną bratki, nasturcje i wczesne róże, chodzą członkowie komisji. Patrzą na murowane budynki, gdzie w wielkich oknach pojawiają się postacie nieźle wyglądających, schludnie w biało-niebieskie pasiaki odzianych więźniów.

Po szerokich schodach, ciągle wśród skwerów i kwiecia, komisja wchodzi do wnętrza domów. Władze obozu umieją prowadzić. Za oszklonymi drzwiami korytarz, którego podłogę pokrywa barwna posadzka, a ściany wyłożone są kafelkami. Na prawo z korytarza wejście do pracowni fotograficznej, gdzie robi się zdjęcia każdego nowo przybyłego z odkrytą ostrzyżoną głową. Zakład chwilowo nieczynny. Dalej łazienka, angielskie klozety W. C., lustra, woda. W innym budynku zakład stomatologiczny, urządzone komfortowo. Nie każdy dentysta europejski prowadzący praktykę prywatną ma tak urządzone gabinet pracy.

A dalej szpital, nieskazitelnie czyste łóżka i dobrze obsłużeni chorzy, przy czym do dyspozycji lekarzy -lampy Roentgena, kwarcówki i inne aparaty medyczne.

Jest to rok 1943, gdy punkt ciężkości obozu spoczywa w Birkenau. Oświęcim stał się częścią reprezentacyjną, którą ukazuje się światu. Siad roku 1940 został zatarty. Umilkły jęki mężczyzn karanych „słupkiem”, umilkły na chwilę salwy w bloku 11, umilkło skrzypienie wozów z ciałami rozstrzelanych; smuga krwi, która zostawała za wozami, wsiąkła w ziemię. Oświęcim do końca zachował swój blok 11, piwnice i ściankę śmierci, ma swój blok z doświadczeniami dokonywanymi na żywych, lecz zewnętrznie teraz już wygląda inaczej.

Na placu pomiędzy budynkami, na tle ukwieconych skwerków gra doskonale wyćwiczona orkiestra więźniów. Gra melodie znane każdemu z pory wymarszów do pracy i powrotów. Te melodie, przy dźwięku których my — więźniowie — do końca życia widzieć będziemy sunące jak zjawy pochody śmierci, w których rytmie przywykliśmy liczyć niesione ciała zakatowanych przy pracy współtowarzyszy, w których zawsze, po latach, usłyszymy ociężały krok męczenników Oświęcimia.

Lecz komisja tego nie słyszy. Zapraszana uprzejmie przez grzecznych SS-manów, podąża w stronę budynków pracy. Tam w czystych salach, na półkach przypominających urządzenia dużych sklepów leży dobre mydło, śnieżnobiałe prześcieradła, puszyste ręczniki. Więźniowie liczą, zapisują, utrzymują w porządku. Przesuwają się po zacisznych pokojach jak dobrze płatni ekspedienci, niosąc na ramionach szczotki, pudełka z proszkiem do szorowania, paczki ścierek.

Stąd komisja zostaje zaprowadzona na boisko, gdzie odbywa się właśnie w tej chwili mecz koszykówki. A potem, zmęczeni zwiedzaniem, jadą jeszcze na chwilę do Birkenau, gdzie pośpiesznie przechodzą między barakami rzuciwszy okiem na świeżo wykończone klozety (dotąd nieczynne), na kuchnię, magazyn odzieżowy, na jakiś specjalnie przygotowany wzorowy blok.

Mimo woli narzuca się oczom patrzących czysty, zdrowy wygląd spacerujących kobiet. I nikt nie odgaduje, domyślać się nie może, jak wyglądają naprawdę ludzie w Birkenau.

A w głębi baraków, tuż o kilkadziesiąt kroków od przechodzącej komisji, drżą pięści kobiet. Jest cisza śmiertelna, jakby nie było tu ludzi.

Pośród zamkniętych niejedna byłaby gotowa ponieść stosowane w obozie kary, nie żałowałaby może życia w zamian za to, żeby mówić ze zwiedzającymi.

Więzień, członek narodu będącego w takiej jak Polska sytuacji, więzień, którego własne państwo ratować nie może, wierzyć musi w sumienie międzynarodowe. Jest on jak osierocone dziecko, które wierzy w pomoc krewnych i przyjaciół.

Chce im ułatwić sprawę, chce zwrócić uwagę na rzeczy najważniejsze. Może wśród członków komisji jest nasz brat, przedstawiciel narodu Polsce przyjaznego, który chce tu zdobyć prawdę. Może jest ktoś z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który mógłby zrobić wiele dla wszystkich obozów koncentracyjnych, gdyby wiedział, co zrobić należy. Chociażby wiadomości o bliskich, chociażby wymiana adresów pomiędzy ludźmi, którzy chcą pomagać więźniom, a więźniami nie mającymi do kogo pisywać i nie dostającymi paczek.

Są rzeczy, które członkowie komisji wiedzieć powinni, które wiedzieć muszą w zamian za poczucie braterstwa z więźniami, które ich tu może przywiodło, w zamian za to, że nie przeraziło ich słowo „Oświęcim”, w zamian za odwagę, z jaką nie zawahali się przekroczyć jego bram.

Są tak blisko, o kilkadziesiąt kroków. Są jak myśl ciekawa doli więźniów, która tu przyszła poprzez graniczne słupy i pasy drutów.

Wyniosą mały plon.

Komedia, inscenizowana dość sprytnie, wprowadzi ich w błąd.

Rozlega się głos klaksonu coraz dalszy, coraz mniej słyszalny. Limuzyna czekająca u bramy unosi niezwykłych gości, którzy zwiedzili Oświęcim.

Władze obozowe gwizdzą na koniec „Blokshpery” (zamknięcie bloku)*, chodzą w podnieceniu, uśmiechają się z zadowoleniem, że hoher Besuch udał się tak świetnie.

Przed baraki wysypuje się tłum chudzieli z opuchniętymi nogami. Na ich grzbietach wiszą brudne, cuchnące szmaty. Nie myślą już o komisji, rzucają się naprzód, bo oto sztubowe podnoszą pokrywy kotłów. W podstawione ze wszech stron miski spływa zupa z pokrzyw, której smak wydaje się niezwykle dobry po długich miesiącach, kiedy jadło się bez przerwy nie dogotowaną brukiew.

Rozdział czwarty NA WOLNOŚĆ

Jest wiosna 1943.-Łąki otaczające obóz oblał szmaragd zieleni. Bajeczna pogoda rozwija szybko żółte mlecze w trawach, gdzieś dalej na przydrożnych pagórkach śnieżnobiałymi

puchami obsypały się tarniny. Kobiety wracające z pola wchłaniają piękno, sycą nim stęskniony wzrok, rade by naręcza zieleni przynieść w ramionach towarzyszkom, nigdy nie wychodzącym za bramę: pielęgniarkom w szpitalu — i chorym, dziewczętom zatrudnionym w biurach i magazynach — i skazanym na karne roboty. Nie wolno jednak zrywać kwiatów ani przenosić ich przez bramę. Trzeba przemycać pod ubraniami, w menażce, jak się uda.

Do obozu przyjeżdża wiele nowych, w których nie ma jeszcze przygnębienia. Pawiak przysyła często transporty. Zwycięska siła bije z ich postaci, uśmiech rozjaśnia opalone twarze. Wierzą, że wojna skończy się wkrótce, i nie wątpią, że dożyją chwili zakończenia jej. Kobiety, które są w obozie od dłuższego czasu, ulegają wierze nowych. Świadomość, że przetrwały szczęśliwie zimę, napędza je ufnością.

Tworzą się nowe kolumny, do których wolno chodzić Polkom. Ogrodnicze, pracujące pod Oświęcimem; zielarskie, zbierające rośliny lecznicze dla obozowej apteki. Tu dziwnym zbiegiem okoliczności znalazło się sporo kobiet wybitnych, przedstawicielek nauki, sztuki scenicznej, literatury. Błądząc swobodnie po okolicznych polach mała ta grupka, traktowana wyjątkowo łagodnie, wytworzyła swoje własne, intensywne życie intelektualne, które przetrwało wiele prób i przeszło do tradycji obozu.

Równocześnie ogłoszono, że poszukiwane są przyrodniczki z wyższymi studiami i co najmniej pięcioletnią praktyką laboratoryjną. Spisawszy ich numery, rozdano im blaszane bańki i wyprowadzono na polne drogi z poleceniem zbierania młodych pokrzyw na żupę. Wymagane kwalifikacje okazały się niepotrzebne, ale sprawiły, że w kolumnie zbieraczek pokrzyw pracowały wyłącznie kobiety bliskie sobie umysłowo, co wpłynęło na wyjątkowo miły charakter tej grupy.

Pod konwojem dwóch młodych SS-manek (z których jedna wychodząc w pole spotyka się ze swoim ukochanym), zbieraczki pokrzyw chodzą od jednej do drugiej zielonej kępy. Okazuje się, że najwięcej pokrzyw rośnie pod opustoszałymi domostwami.

Jest dziwny, bolesny urok we wchodzeniu w sadyby polskich chłopów, których wypędziła z ich progów wojna.

Oto dom, którego dach spłonął, a ściany zachowały się w całości. W małym okienku wisi mający chronić od gromu i nieszczęścia obraz Bogarodzicy. Jedynym gospodarzem jest tu słońce, które wypełnia puste izby. Resztki sprzętów stwarzają opowieść o ludziach, którzy byli zmuszeni stąd odejść. Wiejska waga, tak zwany przemian, leży porzucona w komorze, a obok pustej kołyski dziecięca zabawka. W ogrodzie zardzewiały młynek do oczyszczania zboża, a na dziedzińcu kierat i pod nim kolista ślad wydeptany przez konie.

Przed domem w cieniu łopatkowatych listków kwitną fiołki, a nad nimi pęcznieją w przeddzień rozkwitu kiście liliowego i białego bzu. Natura głuży niezwykle szybko ślady tragicznego losu człowieka.

We wszystkich izbach opustoszałej chaty podłogę pokrywa bujny kobierzec młodych pokrzyw. Tu zasiadają kobiety i pośpiesznie napełniają bańki na pożywienie dla tysięcy współtowarzyszek.

W pobliżu zagród bywają studnie, sadzawki lub strumyki i szczęśliwa ta grupa skończywszy wcześniej pracę myje się lub pierze sobie bieliznę.

Zbieraczki pokrzyw idą codziennie w inne miejsce i inną drogą wracają do obozu. Okrążają Birkenau ze wszystkich stron, poznając jego najbliższe okolice. Przechodząc drogę pomiędzy obozami mają po lewej stronie dwa najstarsze odcinki zabudowane barakami murowanymi, z których jeden zajmują kobiety, drugi — mężczyźni, a po prawej — wąskimi pasami biegnące obok siebie liczne obozy, długie, nieznane, nie wiadomo przez kogo zamieszkałe i dla kogo przeznaczone.

W jednym z nich widać ludzi. Na ziemi, pokrytej plamami błotnych wybojów, mokrej nawet w dni pogodne, stoją baraki pełne szczelin i przewiewów. Spomiędzy nich wyzierają Cyganie, strojni w wielkie kapelusze, w buty z cholewami, ze śladami swej cygańskiej urody, zachowanymi w postaci kędzierzawych włosów, czarnych wąsików i fajeczek. Nie odebrano im niczego w czasie wchodzenia do obozu. Tuż obok jawią się ich kobiety w fałdźście bujnych spódnicach w kwiaty, w barwnych gorsetach opinających piersi, z rzędami koralu i złotych monet nawleczonych na łańcuszki, z kolczykami podzwaniającymi z cicha w uszach. Są niezwykle brudne. Swoich adamaszkowych i jedwabnych szat nie zdejmują zapewne wieczorem, gdy kładą się spać przy mężach, nie myją ciemnych ciał, nie czeszą hebanowoczarnych włosów. Pośród nich biegają dzieci. Całkiem małe, półnagie, pod gęstwą czarnych kędziorów,

lub większe, strojne jak ich rodzice. Cyganie — dzieci lasów i polnych dróg — naród bez ojczyzny.

Lekceważąc zakazy SS-manów podchodzą blisko pod druty, by przyjrzeć się idącym kobietom. W swej nieznanej mowie tłumaczą coś głośno, o coś pytają, na ich wyrazistych twarzach odbija się wiele uczuć.

Kobiety idą dalej, zbliżając się do zadrzewionej części obozu, zwanej Brzezinką. Mijają kolosy krematoriów, patrząc z bliska w ich otwarte drzwi.

Z jakże dziwnym uczuciem wstępuje się na pole, które jest miejscem wywożenia popiołów. Nogi stąpają z lękiem po jasnopozielatej powierzchni, na której wiatr rozwiewa lekki pył. Oto ludzie, wśród których stało się podczas apelu jeszcze kilka miesięcy temu, którzy chcieli żyć. Zmieszane popioły tysięcy rozsypano tu na polu i teraz do nóg przylega ludzki proch.

Niebezpiecznie jest tak chodzić, patrząc w zadrzewione dróżki, zagajniki i domostwa otoczone sadami. Niebezpiecznie jest zapominać choć na chwilę wśród rytmu spokojnej pracy i głębokich zamyśleń słonecznych dni — o drutach, za które trzeba powrócić.

Jeżeli tęsknota doszła do zenitu i jest w stanie zagłuszyć rozsądek, o wiele bezpieczniej nie wychodzić w ogóle poza obręb baraków. To jest jedyny sposób uniknięcia szaleńczego kroku, do którego kusi całe otoczenie.

Gdy ktoś nie ma sił oprzeć się myśli, że rozbudzona wiosną ziemia woła, że rozśpiewana świerszczami trawa namawia do tego, żeby paść w nią i już nie wracać poza druty, żeby oddać się opiece natury i zaufać rozsądkowi swego zwierzęcego instynktu, który pcha naprzód, w stronę drzew, gór widniejących na horyzoncie i mieszkających w oddali ludzi — lepiej niech nie wychodzi z łagcu. Bo mogłaby przyjść chwila zapomnienia, w której poszedłby przed siebie, w stronę wytęsknionej wolności.

Lepiej niech się uczepi jakiejś łopaty, jakiegoś wózka, jakiegokolwiek pracy wewnątrz obozu i patrząc bez przerwy na wyblakłe baraki, niech nie ma ani jednej chwili w ciągu dnia, w której można byłoby zapomnieć, że jest się w obozie koncentracyjnym. Spokojniejszy wtedy będzie nie przeżywając złudzeń i ocknień. Przez wszystkie godziny każdego dnia będzie więźniem i nie dojrzy stąd drzew, od których płynie ku niemu zew wolności.

Żeby nie oszaleć od czaru życia, pulsującego dokoła w przyrodzie — od której trzeba codziennie odrywać się przemocą i z coraz większym trudem wślaczać się w sztuczne formy łagrowej egzystencji, lepiej wrosnąć w obóz jak kamień, nie mogący ruszyć się z miejsca. Lepiej nie oddychać innym powietrzem niż krematoryjne i nie żyć innym życiem jak życie więźnia.

Obóz po apelu wieczornym to wielkie rojowisko brudnych, spalonych od słońca obdartusów.

Wiosna 1943 jest porą przybywania transportów greckich, które załazy Birkenau wnosząc swoją bogatą indywidualność. Greczynki przywiozły z sobą egzotyczne piękno słonecznego kraju. Mowa ich gwałtowna, tchnąca rytmem nadmorskich miast, niezrozumiała, przypomina swym brzmieniem przelewanie się wody i portowy gwar, głuszy w po apelowym hałasie wszystkie inne języki.

Jest ich dużo. Ciała o ciemnej karnacji, częstokroć bardzo piękne, odziano w łachmany starych mundurów. Włosy obcięto. W czasie długiej podróży z Salonik do Oświęcimia pokryły je wszy i wrzody. Żaden chyba transport przybyły do obozu nie sypał tak wszami jak Greczynki. I nigdy jeszcze dotychczas nie widywało się tylu na raz ciał pokrytych skorupami wrzodów i krost. Mimo to wykazują one dużą żywotność, uczą się szybko handlu obozowego i przy śmiesznym użyciu kilku

słów niemieckich oraz wymownych gestów usiłują porozumieć się z otoczeniem. Z ich ust zrywa się czasem westchnienie, myśl, którą za wszelką cenę chcą przekazać kobietom nie rozumiejącym ich mowy: „Saloniki — extra prima! Birkenau — nichts!“. Ten okrzyk przechodzi do słownika obozowego razem z drugim, który wydają Greczynki bardzo często, mianowicie wtedy, gdy stwierdzają, że je z ich nędznych własności okradzione. Wołają wtedy: „Klepsy-klepsy!“. Więźniowie wszystkich narodowości, a nawet niektórzy SS-mani używają odtąd słowa „klepsy-klepsy“ na określenie kradzieży.

Większość transportów z Grecji odesłano do krematoriów; do obozu wprowadzono, jak zwykle, tylko pewien niewielki procent. Lecz to jest w sumie bardzo dużo. Przeludnienie Birkenau kobiecego, już wcześniej dające się dokuczliwie odczuć, staje się niezwykle. W gorące noce trudno sypiać w dusznym bloku, w którym na każdej koi leży dziesięć skulonych postaci. Ludzie szukają sobie miejsca.

Odporniejsze kobiety owijają się w koc i śpią na ziemi przed barakiem. Inne ustawiają sobie po dwa stołeczki pomiędzy kojami i tak śpią. Nocą nie można przejść przez barak, bo wszędzie natrafia się w ciemności na leżące. Pomiędzy blokami stoi walec do ugniatania nowo budowanej drogi, w jego pustej budzie układają się również na noc kobiety.

Na przeludnienie wpływa spadek śmiertelności, przy ustawicznym przybywaniu transportów. Tyfus plamisty, który w lutym i marcu miał lekki przebieg, w wielu wypadkach kończący się wyzdrowieniem, z wiosną przycichł.

Władze obozu zwróciły uwagę na ten stan rzeczy. Przeprowadzane selekcje nie zmniejszyły jednak tak bardzo ilości jak w okresach epidemii. Zaczęło się więc mówić o przeniesieniu kilkunastu tysięcy kobiet na inny odcinek Birkenau. Zanim to wszakże nastąpi (w obozie realizacja zamierzeń idzie bardzo powoli) — wydarzą się rzeczy, stwarzające wielkie nadzieje.

Któregoś dnia grupa Polek pracująca w ogrodach Oświęcimia powróciła na siódmkę w podnieceniu. Zatrzymano je w bramie i zapisano ich numery. Wyjaśnienie nadeszło szybko. Sekretarka bloku stanęła między kojami i jęła krzyżeć wierząc głęboko w swoje słowa: „Doczekaliśmy radosnej chwili; wreszcie pierwsza grupa spośród nas opuści obóz. Nie jest to jeszcze całkowita wolność, pojęta jako powrót do domu, lecz są to wolne roboty! Wyczytuję numery i nazwiska tych szczęśliwych”.

Zamarło w ciszy ponad tysiąc kobiet słuchając w napięciu. A ona wywołała te właśnie, które przed godziną zapisano w bramie.

Nazajutrz, po kąpieli i przebraniu, odeszły. Na miejsce kilku chorych udało się wpisać i wysłać ochotniczki. Jedną z dobrowolnie zgłoszonych jest Łódka, młoda dziewczyna pracująca w baraku dezynfekcyjnym w tak zwanym „Lausekommando” (Komenda wszy).

Po pewnym czasie przychodzi do obozu wieść, że kobiety wysłane na rzekome wolne roboty znajdują się w barakach pod miasteczkiem Babice, w nowej filii obozu.

Równocześnie w majątku Rajska, odległym o cztery kilometry od Birkenau, otwiera się ferma ogrodnicza z doskonale wyposażonymi laboratoriami, mająca hodować na dużą skalę odmianę rośliny potrzebnej do produkcji namiastki gumy. Ten odcinek pracy nazywa się „Pflanzenzucht” (hodowla roślin)*. Duża grupa wykwalifikowanych, bardzo często z wyższym wykształceniem przyrodni czek odchodzi do Rajska. Jest to bardzo znaczny odpływ inteligencji z Birkenau, odpływ, który na pewien czas odbije się dotkliwie na poziomie życia obozu kobiecego.

W tymże czasie wykończono baraki na Budach i pewnego wieczoru wyłapując kryjące się w głębi kój kobiety ułożono listę przenoszących się od jutra na stałe do Baumschule (szkółka (sadzonek drzewnych) *). (Budy, Rajsko, Babice, Harmense, kamieniołomy w Jaworznie i Jowiszowicach, Buna, gdzie mieszczą się zakłady przemysłu wojennego i obóz Anglików, to tak zwany Oświęcim III.)

Te ubytki nie zmniejszają przepelnienia w obozie. Transporty Polek przybywają ciągle. Dwunastego maja przyjeżdżają kobiety z Pawiaka i są tatuowane czterdziestym czwartym tysiącem.

Cała ich grupa pod zarzutem usiłowania ucieczki czy prób odbicia przez partyzantów podczas podróży włączona zostaje do S. K. Z innych więzień przybywają również Polki i wiele z nich idzie wprost do S. K.

Z Bud i Babie dochodzą wieści o panującym tam głodzie, o braku mydła i bielizny, dochodzą prośby o pomoc.

A wreszcie któregoś dnia wraca do obozu blokowa z Babie wraz z kilkoma funkcyjnymi. Wraca ponosząc karę za ucieczkę Łódki, która pracowała przedtem w baraku dezynfekcyjnym. Wśród nowych wydarzeń drobny ten szczegół przeszedł bez echa.

Bo oto wiele osób spośród najwyższych władz rozchorowało się na tyfus plamisty: Aufseherin Drechsler, żona komendanta obozu i naczelny lekarz. Komendant zapowiada, że sam przeprowadzi odwszenie, po którym raczej żaden człowiek nie zostanie przy życiu, niżby miała pozostać choć jedna wesz.

I zaczyna się tak zwane odwszenie generalne, które na terenie obozu kobiecego przeprowadzać będą mężczyźni. Są ciepłe dni. Pomiędzy barakami ustawiono żelazne kadzie, długie na kilka metrów i napełnione wodą.

Oczy kobiet skierowane są na przygotowania. Niemal nikt nie myśli o losach Łódki, która uciekła z Babie i od kilku dni jest wolna. Nikt niemal nie ma czasu życzyć jej szczęścia w ryzykownej drodze powrotnej.

Mężczyźni zatrudnieni przy odwszeniu generalnym w obozie kobiecym pracują w maskach gazowych. Z wody, którą napełniono kadzie, rozchodzi się charakterystyczny odór Blaugazu (cyklonu), używanego w obozie. Kolumny kobiece nie wychodzą do pracy, normalny ruch został wstrzymany, nie wolno opuszczać bloków.

I oto, pędzona rozkazem SS-manów, idzie licząca tysiąc osób grupa nagich kobiet. Każda z nich niesie w dłoniach swoje zwinięte w kłębek ubranie, które zostawia w pobliżu kadzi. Mężczyźni przymocowawszy lepiej maski gazowe zaczynają pranie. Wrzucają odzież i bieliznę do cuchnącej wody, gniotą, mieszają, a potem, wycisnąwszy z lekka, wyrzucają na ziemię.

Kobiety tymczasem ustawione w piątce czekają na kąpiel.

Nagi człowiek bywa piękny. Na tle natury, skąpany słońcem, brunatny od opalenizny, wśród płowych wydm piaszczystych i szafirowych fal morza albo pomiędzy zielenią dyszących upałem lasów. Piękny bywa też w zacisznych wnętrzach domu, w bieli łazienki, w miękkich półcieniach tkanin.

Lecz nie wiem, czy jest coś równie brzydkiego jak wielki nagi tłum ustawiony piątkami. Jeżeli są w nim ciała młode i ładnie zbudowane, to ich nie widać. Albo chowają się głęboko pomiędzy szeregi, żeby uniknąć wzroku mężczyzn pracujących w rowie, albo kulą się, garbią, przybierają śmieszne pozy, albo nikną wśród kobiet, które tylko twarze, ręce i nogi mają opalone na brąz. Jakaś dziwna, bezkształtna masa nagości pokrywającej się gęsią skórką i siniejącej coraz bardziej na wietrze. Wzrok obserwuje zdeformowane figury kobiet starych, które powinny unikać publicznego obnażania, postacie ongiś otyłe, obecnie zwiotczałe i obwisłe.

Praca w obozie i wokół drutów wre. Przejeżdżają auta, wózki, taczki. Ludzie rzucają oczyma na grupę nagich wiedząc, że po kolei przez to przejść musi każdy.

Zimny wiatr powiewa mocno, lecz słońce sprzyja odwszeniu. Po długim czekaniu i krótkiej kąpeli, po dezynfekcji włosów grupa nagich biegnie po swą wypraną odzież. Gaz czuć już z daleka. W mokrym stosie zmieszanej bielizny i odzieży tysiąca kobiet bardzo trudno znaleźć własne rzeczy. Kto zatrzymuje się dłużej i schylony wybiera, pada porażony gazem. Należy szybko chwycić pierwszy łachman, jaki nawinie się pod rękę, i uciekać z zasięgu działania gazu.

Zdarzają się już pierwsze próby uniknięcia odwszenia. Odłączyć się od grupy idącej do kąpeli nie jest zbyt trudno. Trudniej znaleźć sobie miejsce, gdzie by można się ukryć, i trudniej potem niepostrzeżenie wrócić.

Oto mieszkanka bloku idącego w tej chwili do kąpeli wmieszała się w tłum kobiet z innego baraku powracających z odwszenia. Dla upodobnienia się do "nich zdejmując sukienkę, powiewa nią w powietrzu, udając suszenie, razem z nimi wchodzi po drabinie na dach i tam już bezpieczna wywija w powietrzu swoją suchą suknię. Drogą przechodzi Lagerarzt Rhode kontrolując surowo odwszenie. Młoda kobieta mówi do sąsiadek:

- Jak wy myślicie, czy tym razem uda się komuś uniknąć odwszenia?

- O, nie, nikt się nie zadekuje! Choćby nawet Katia (Raportschreiberin (sekretarka (więzień) sporządzająca raporty dla władz SS)*) chciała uniknąć, musi pójść do odwszenia. Odwszenie generalne!

- Tak - - mówi z uśmiechem młoda oszustka — odwszenie generalne.

Z wysokości dachu obserwuje nagie kobiety, z którymi razem powinna stać teraz na drodze. Zastanawia się, ile jeszcze prócz niej spróbowało szczęścia.

Widzi, że nagie wracają i zatrzymują się nad kadzią z płynnym cyklonem. Teraz należy się wśród nich znaleźć. Szybko wkłada suknię, schodzi z dachu i biegnie przez cały niemal obóz. Właśnie wybiega kolumna nagich niosących w rękach mokre szmaty. Czarno ubrany Żyd w nieokreślonym wieku spoza węgła baraku obserwuje ów pochód. Młoda kobieta zatrzymuje się i wprawiając go w zdumienie szybkim ruchem zdejmuje odzież, zawija w fartuch, pluje na rękę, zwilża sobie śliną włosy, a potem w kilku skokach znajduje się wśród biegnących, oślepiętych od dokuczliwego odoru gazu.

Te pierwsze próby stworzyły później system unikania odwszenia. W przyszłości korzystając z tego, że nie przeliczano ludzi, znaczna część słabych, przeziębionych, starych pozostawała pilnując odzieży reszty kobiet. Te, które szły do odwszenia, robiły to niejako dla reprezentacji.

Czas odwszenia generalnego to czas, gdy można zachować już czystość, jeżeli się tego bardzo pragnie, gdy woli się nocne mycie w spalonej komorze gazowej niż dłuższy okres snu. Toteż bywają już kobiety czyste, piorące sobie bieliznę, nie mające wszy. Umieją unikać brudu, umieją strzec czystości, która jeszcze ciągle jest w obozie luksusem.

Odwszenie generalne miesza wszystko. Rozdęte wodą i gazem wszy łażą po wyrzuconej na ziemię odzieży. Ubrać się w to nie można, zwłaszcza że wszystko jest mokre. Nagie kobiety idą poza baraki, pod same druty, lam chodzą, powiewając koszulami i sukniami, obierając je z insektów, susząc.

Nie odgadują, że o tej porze rozwiera się brama i do obozu wprowadzają Łódkę.

Jej wzrok ogarnia to wszystko, co od momentu ucieczki widywała każdej nocy w dręczących snach. I widzi to znów: z każdej strony, w którą zwróci oczy, ciągną się druty. Nie ma spomiędzy nich wyjścia.

Patrzy na lager, bardziej odrażający dziś, w dniu generalnego odwszenia, niż kiedykolwiek. Gromady nagich postaci, stopy cuchnących, mokrych szmat, ruchliwi mężczyźni z maskami gazowymi na twarzach, dachy baraków, na których siedzą dziesiątki kobiet rozkładając ciemne strzępy suszących się łachmanów. Jakby ktoś wielkie liście tytoniu nawłócił na sznury i rozwiesił na wszystkich blokach, a pomiędzy nie wpuścił gromadnie bezwłose małpy.

To świat, z którego się wyrwała ryzykując życie. To świat, w który już wejść powtórnie nie może, w który nie wejdzie.

Idzie spokojna i cicha.

Przymruża oczy, żeby nie patrzeć, żeby nie widzieć, żeby nie zabić w sobie bezbrzeżnej wolności, która ożyła.

Jest wczesne rano. Skończył się apel. Lager-Alteste Leo (Niemka z czerwonym winkiem, o powierzchowności mężczyzny-sportsmena) nie może uformować kolumn do pracy poza obozem. Ludzie nie są ubrani. Wiele kobiet przespało noc nago, owinawszy się w nieliczne

kołdry, które były gazowane na miejscu. Koce zabrano do dezynfekcji, skąd nie powróciły jeszcze. Stoi najdziwniejszy apel, w czasie którego widzieć można postacie ubrane w koszulę i fartuch albo w koszulę i ręcznik, lub też nagie, tulące się gromadnie pod jedną wspólną kołdrą, wytarzaną uprzednio po ziemi i zabłoconą w czasie gazowania. Jeżeli ktoś nawet zdobył suknię to nie własną, i w braku numeru nie ma prawa wyjść poza bramę.

Potrzeba dużo czasu, żeby wytłumaczyć SS-manom, którzy, już dziś bezpośrednio po odwszeniu, chcą wysłać ludzi w pole.

Robi się widno. W porannym zamgleniu oczy stojących obojętnie kobiet rozróżniają pod drutami długi kształt, jakby leżał tam człowiek.

Tymczasem ktoś rozpowiada, że apel się nie zgadza, ponieważ dziś w nocy uciekł ktoś przez okienko z Zugangsbaraku (baraku nowo przybyłych) i nie mogą znaleźć uciekinierki.

Nikt nie przejmuje się tą wieścią. Naiwne ucieczki nowicjuszek chowających się gdzieś w kącie obozu, za stosem taczek, w beczce albo klozecie, są zbyt znane. To są rzeczy nieszkodliwe, trzeba jednak tak długo stać na apelu, dopóki ukryta się nie znajdzie.

Od bramy wzdłuż drutów idzie grupa SS-manek w towarzystwie Lager-Alteste i kieruje się ku owej ciemnej plamie, leżącej u podnóża betonowych słupów pokrytych izolatorami. Pochylają się nad nią, odciągają na bok; widać, jak postać z wolna porusza się i wstaje. W podłużnych promieniach wschodzącego słońca lśnią jasne włosy Łódki, ubranej jeszcze tak jak w chwili, gdy ją chwycono, w wiosenny kostium i barwną bluzkę.

Popędzana przez SS-manki idzie wolniutko naprzód, mając ruchy zeszywniałe i automatyczne.

Poraził ją prąd — i śmierć, z którą spotkała się tak blisko.

Ma jeszcze tyle siły, żeby zająć piechotą na rewir, gdzie leży pod opieką lekarską, odwiedzana przez szefa wydziału politycznego Chustka - Erbera, który wydobyć chce z niej zeznania o sposobie zorganizowania ucieczki oraz o punktach postoju w pobliżu obozu. Wobec odmawiania zeznań Łódka zostaje zabrana na wydział polityczny Birkenau, z którego już nie powraca w szeregi żywych.

Taka jest wolność. Bywa również inna.

Istnieje nadzieja legalnego zwolnienia z obozu, która powiadają — nastąpić może nie wcześniej niż po sześciu tygodniach pobytu. Wiadomości te szerzą kobiety, które zapewniano w gestapo, że zostaną wysłane na sześć tygodni do obozu koncentracyjnego.

Problem zwolnień interesuje tylko nowo przybyłe. Przez pierwsze dni pobytu mówią o nim dużo, pytając dokoła, po jakim czasie zwalniają, kogo najpierw, kryminalne czy polityczne. Lecz kobiety, które są tu dłużej, za jedyną odpowiedź mają uśmiech i milczenie. Zwolnienia nie zdarzają się. Yernichtungslager!

Nie mówi się tego nowym, lecz po pewnym czasie one same odgadują i milkną. Ktoś czasem odlicza etapy sześciotygodniowe, po upływie każdego z nich czekając w napięciu na wiadomość z wydziału politycznego, ale czeka daremnie.

Może to tylko pomaga zwyciężać czas.

Jednak wiosna i pod tym względem przynosi zmianę. Tuż za bramą obozu kobiecego, na polu służącym dotychczas za plac apelów generalnych, zjawiają się stopy desek, z których szybko powstają dwa wielkie baraki, różniące się od obozowych nie tylko rozmiarami, lecz także wyglądem i poziomem higieny. Wchodzi się do ich wnętrza po schodkach, wskutek czego nie ma w nich błota i wilgoci. Baraki te mają duże okna i są podzielone na pokoiki. Wśród więźniów powstają różne domysły, na ogół dość pesymistyczne. Wedle jednego z nich zamieszkają tu SS-manki, żeby nawet nocą być w pobliżu obozu, do którego dotychczas jeżdżą rowerami z Oświęcimia.

Tymczasem okazuje się, że w tych pięknych barakach odbywać będą kwarantannę kobiety mające wyjść na wolność.

Dość trudno w to uwierzyć. Ale już po kilku dniach rozchodzi się wieść, że wywołano pierwszą grupę kobiet, które jutro odejdą na kwarantannę. Tłumy szukają ich, chcą je widzieć, chcą się przekonać naocznie. Odnajdują. Rozjaśniają swe zmęczone twarze w uśmiechu, pragną dotknąć ich, pragną choć przez chwilę być w zasięgu ich szczęścia. Padają prośby, adresy, wiele adresów, których odchodzące uczą się na pamięć przez ostatnie godziny. Później jeszcze mierzenie temperatury w ambulansie, kąpiel, po której dostają tym razem naprawdę czystą bieliznę i odzież — i są gotowe. Idą piątkami, żegnane płaczem kobiet, które stoją i powiewają dłońmi w powietrzu. Mijają bramę, za którą jaśnieją świeżymi deskami dwa wielkie baraki, wstęp do wolności.

Wśród odchodzących na kwarantannę jest dużo Niemek i Jugosłowianek, bywają także Polki. Niespodziewanie wywołują Lager-Altteste zwaną Leo. Długoletnia więźniarka jest wzruszona. Zdjęto z niej wykwinutą odzież, jaką z racji swego stanowiska miała prawo nosić, i włożono jej szarą sukienkę z płótna. Oczyma pełnymi tęsknoty patrzy w stronę jasnych baraków, widniejących za bramą na tle pogodnego nieba i pól. Wezwano również na kwarantannę Gretę, Ober-capo paczkami i magazynu chlebowego, oraz Martę, prowadzącą kantynę obozu kobiecego.

Nie wszystkie Niemki mają ochotę odchodzić na kwarantannę. Bywają takie, które płaczą i proszą władze obozu, żeby mogły pozostać. Te nienormalne objawy budzą nieufność Polek w stosunku do obiecanego wolności. Niemal każda z odchodzących daje słowo, że przyśle do obozu list lub paczkę na znak, że jest w domu. Lecz oczekiwania są daremne. Tajemnicza wolność, k u której odchodzą kobiety, nie odpowiada ani jednym głosem.

Stopniowo odchodzą Polki, o których ogół kobiet wie, że nie zawiodą oczekiwań i zawiadomią o sobie — jeżeli będą wolne. Zofia Gromska, nauczycielka ze Śląska, jedyna w obozie Polka mająca numer zaczynający się od czterestu tysięcy — wszystkie Polki z jej

transportu wymarły, została tylko ona. Felicja Iwanowska, znana w obozie ze swej energii i wielu zalet.

Kobietom z kwarantanny nie wolno się widywać z kobietami z obozu, zresztą brama udaremnia wszelkie spotkania. Zamknięte w jasnych barakach obserwują co rano i wieczór kolumny pracujących, które przechodzą pod ich oknami.

One nie pracują, jedynie czekają.

Widać od nich doskonale góry, widać pociągi przebiegające torem kolejowym.

Po pewnym czasie Felicja Iwanowska wraca do obozu:

Wracają Niemki: Leo, Marta, Greta i niemal połowa tych, które miały być zwolnione. Inne teraz zostają wezwane na kwarantannę.

Część tylko wyjechała i w tej części znalazła się również nauczycielka ze Śląska. Mijają jednak tygodnie, mijają miesiące, a obiecany znak nie przybywa. Natomiast przybywa ona sama.

Okazuje się, że zawieziono ją do więzienia w Katowicach, w którym przebywała już uprzednio, przed pierwszym wysłaniem jej do Oświęcimia. Tym razem czekała w więzieniu dwa miesiące na dalsze wypadki. Po tym okresie wezwano ją na rozprawę sądową, na którą przyszli jej rodzice i małżonek, żeby ją zobaczyć. Po długich przesłuchaniach zapadł wyrok uniewinniający:

— Się sind frei (jest pani wolna)* — zabrzmiało w sali sądowej.

Wtedy obecni na rozprawie gestapowcy sprzeciwili się uwolnieniu i młodą kobietę — dawszy jej uprzednio godzinę czasu na rozmowę z rodziną— przywieziono

do Oświęcimia, gdzie zapisano ją pod tym samym numerem co poprzednio.

Jasne baraki kwarantanny lśnią w słońcu czystością szyb i ścian, byt zamkniętych w nich kobiet przypomina egzystencję w cichych klasztorach.

Nikt nie marzy już o tym, żeby dostać się do nich, mimo to baraki są ciągle pełne.

Czasem jakaś komisja zwiedzająca obóz, nim przekroczy bramę Birkenau, ogląda dokładnie kwarantannę nie odgadując, że nie prowadzi ona do wolności.

Rozdział piąty S. K.

Kobiety skazane za przewinienia wewnątrz obozu bywają wysyłane na odległe o osiem kilometrów Budy, gdzie pracują w S.K. (Strafkommando), dopóki nie minie termin ich zsyłki.

Budy to wieś zarekwirowana do użytku obozu. Otoczone drutem, odcięte bardziej jeszcze od świata niż Birkenau, pozbawione są tych znikomych możliwości ułożenia egzystencji, jakie stwarza życie w dużej gromadzie. W lecie 1942, gdy w czasie pracy przy żniwach jedna z Polek uciekła, wszystkim pozostałym zgolono po raz pierwszy włosy i wszystkie skazano na zsyłkę. Kobiety pracują tu w wodzie do pasa, w ten sposób kosząc i zbierając trawę.

Obóz w swym gorączkowym życiu ciągle popędzanego tłumu nie dostrzega ich nieobecności. Ich odejście jest mniej bolesne niż odchodzenie zmarłych, o których wiadomo, że nie powrócą. Stopniowo napływające transporty zajmują szybko miejsca po zesłanych i zagłuszają pamięć o nich. Kiedyś, czasem, grupka zapomnianych powraca i nie znajduje obozu takim, jakim był w momencie odejścia. Wtapia się w tłum i żyje dalej w monotonnej szarzyźnie, umiając niczym nie zwracać na siebie uwagi.

Kobiety, które wracają z Bud, nie lubią mówić o swoim pobycie tam. Gdy pada słowo „Budy”, twarze ich pochmurnieją, oczy odwracają się, wyraz zaciętego spokoju ściąga ich rysy i nie pozwala otworzyć ust. Milczą.

Ich pogląd na świat nacechowany jest pesymizmem nieodwołalnym, cynicznym niemal, tak przepoił je smutek zatrąty, tak oczy ich zbolale widzą tylko bezsens życia. Zdawać by się mogło, że pobyt w S.K. na Budach stał z ich dusz jasną substancją wiary w jutro. Wiele z nich przyjęło postawę psychiczną polegającą na obserwowaniu swego życia i swojej w nim roli jakby z boku, z oddali niejako. Nie mogą uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się im właśnie, że to one same są owym niemal bezwolnym przedmiotem, toczonym przez lawinę nie dających się zmienić zdarzeń. Pesymizm ich jest wynikiem samoobrony umysłu, który chcąc nadażyć w wynajdywaniu sił potrzebnych na ciągle nowe klęski, odgaduje myślą niespokojną wszelkie złe ewentualności i przygotowuje się już na przeciwstawienie się im. To sprawia, że w każdej nowej sytuacji widzą tylko najgorsze zakończenie; to sprawia, że wszelkie poglądy pełne dobrej wiary witane są przez nie uśmiechem sarkazmu. Skłania je do tego lęk przed jeszcze jednym zawodem, przed nowym rozczarowaniem, przed ostateczną utratą wiary.

Wiosną 1943 przeniesiono Strafkommando z Bud do Birkenau. Pojawiła się pomiędzy barakami kolumna kobiet, schylonych nad ciężką pracą. Na plecach każdej z nich, pomiędzy łopatkami, widnieje na tle szarej sukni jaskrawoczerwone kółko.

Nie jest ich zbyt wiele. Lecz dopóki S.K. było w Budach, władze obozu jakby zapomniały o jego istnieniu i tylko w wypadkach wyjątkowo poważnych przewinień wysyłały do niego skazane. Teraz, gdy przeniesiono je do Birkenau, gdy czerwone plamki narzucają się oczom, gdy oddano tej grupie na mieszkanie blok dwudziesty piąty (dawny blok śmierci), mający dużo jeszcze wolnych miejsc — S.K. zaczyna się zapełniać. Łatwo wyczuć, że SS-mani dostali wyraźny rozkaz szybkiego zaludnienia tego baru. Najdrobniejsze przewinienie, dotychczas nie dostrzegane w ogólnym chaosie, jest teraz zgłaszane do Oberaufseherin Mandel i staje się przedmiotem oskarżenia. Rapportführer Taube, Aufseherin Drechsler, Aufseherin Hassé, Aufseherin Milan zjawiają się w różnych punktach obozu, zaskakując niespodzianie więźniów i tropiąc ich.

Kobieta, która ze strzępów podartej sukienki zrobiła dwie kieszenie i przyszyła je do obozowej kurtki, za sabotaż skazana jest na karne roboty.

Staruszka mająca w męskim obozie dorosłego syna zdobyła się na napisanie i wysłanie do rodziny tak zwanego „lewego” listu, nie przechodzącego przez cenzurę obozową. List przejęto. Staruszkę przeniesiono na blok dwudziesty piąty.

Jedna z kobiet po dwuletnim pobycie w obozie spotyka w grupie mężczyzn swojego męża, którego przywieziono przed kilkoma dniami. Zamienia z nim kilka słów nie dostrzegając, że Taube biegnie, żeby pobić oboje i skazać na S.K.

Młoda dziewczyna pełniąca nocną wartę w baraku rozłożyła kartkę, którą dostała poprzedniego dnia z obozu męskiego, i przy świetle świecy zaczyna odpisywać. Tej nocy Hassę kontroluje obóz i już następnego rana sprawczyni idzie w szeregach oznaczonych czerwonym kółkiem.

Takie przestępstwa popełniają codziennie wszystkie kobiety. Wedle hitlerowskich kryteriów zasłużyły od dawna na kary dożywotnie, na bezterminowe roboty w S.K, może na śmierć. Wiedzą o tym. Karane są te, którym nie dopisało szczęście, które zostały przyłapane przez SS-manów.

W tym najcięższym komandzie są również Polki, które usiłowano odbić w drodze z więzienia do Oświęcimia.

Tu znalazła się też jasna blondynka, pierwsza Polka, która uciekła ^A obozu w lecie 1942 r. Była dziesięć miesięcy wolna, a teraz, schwytana, oznaczona czerwonym kółkiem, mieszka z innymi w bloku dwudziestym piątym.

Nikt nie może uniknąć swojego losu, który nosi ze sobą. W obozie trzeba umrzeć stosując się ściśle do wszelkich zakazów albo ustawicznie zasługiwać na kary popełniając przekroczenia. Każda próba ratowania życia może łatwo zaprowadzić do S.K.

Jest to okres niezwykłego głodu. Od kiedy zaczęły przychodzić paczki, władze jeszcze zmniejszyły skąpe porcje chleba dla więźniów. Niewielki zaledwie procent może się wyżywić produktami przysyłanymi z zewnątrz. Większość skazana jest na porcje obozowe, które są niewystarczające. Głód zmusza ludzi do przedsiębiorczości. Co wieczór do późnej nocy można widzieć postacie stojące cierpliwie w cieniu baraku kuchennego i czekające na szczęśliwą chwilę. Czasem wybiegnie znajoma kucharka lub kartoflarka niosąc kilkanaście surowych ziemniaków. Zajeżdżają ciężarowe auta wyrzucając przed kuchnię stos ziemniaków albo brukwi. Wtedy w jasno oświetlonych drzwiach staje szef i dogląda kobiet pracujących. Lecz gdy odwróci się choć na chwilę, gdy odejdzie, natychmiast z ciemności wypadają jak zgłodniałe ptaki postacie kobiet. Palcami wygrzebują z błota i czarnego przed kuchennego żwiru ziemniaki, zgarniają je w miskę, fartuch albo chusteczkę z głowy i umykają w cień baraków, przez najgłębsze błoto, by ścigający je SS-man zrezygnował z pogoni. Zdarza się jednak często, że dopędza i bije aż do ostatniego tchnienia wydane przez schwytaną; bywa, że się znęca nad nią, niezliczoną ilość razy unosząc ją w rękach, ciskając do rowu i każąc

natychmiast wychodzić. Tak robi dla stworzenia odstrasżającego przykładu i ułatwienia sobie pracy. Czasem jednak biegnąca zdoła zmylić czujność SS-mana, uskoczyć w cień nocy lub między grupy kobiet i wpada dysząc do baraku, z tobołkiem ziemniaków w rękach.

Teraz dopiero zaczyna się problem: garnek, woda, drzewo na opał i miejsce na jakimś piecyku. Jest północ, a czasem druga w nocy, gdy wreszcie ziemniaki się dogotowują. Bardzo często, nie mogąc doczekać się miejsca wewnątrz bloku lub nie mając czym przekupić nocnej warty, biorącej opłaty za każdy ugotowany garnek, kobiety układają w cieniu baraków klozetowych lub wewnątrz nich kilka cegieł i w ten sposób zakładają swoje własne palenisko. Jest to najniebezpieczniejszy sposób gotowania, gdyż łatwo z daleka zauważyć ogień płonący nocą w obozie, lecz głód silniejszy jest niż rozum. Kiedy się nie ma nic dojedzenia, cierpi się niejednokrotnie ciężko, lecz biernie. Gdy się jednak ma cokolwiek, co można ugotować, co można byłoby za chwilę zjeść, głód porywa się z nagłą mocą, szarpie, ssie wnętrzności, nie da się uspokoić. Wszelkie przeszkody wydają się wtedy łatwe do zwalczenia, wszelkie argumenty rozumowe zepchnięte zostają w półmrok nieuwagi. Istnieje naturalna wola organizmu wyrażająca się w krótkim „chcę”, wypowiedzanym bez tchu. Im żywotniejsza jest jednostka, tym silniej ulega swym instynktom. „Głodne zwierzę” domaga się zaspokojenia swej najsilniejszej potrzeby i człowiek wynajduje w sobie siły i przemyślność konieczną w tej chwili.

Nocą płoną ognie i głodni gotują swój nędzny posiłek. Zdarza się wtedy czasem, że z cicha uchyla się brama i do obozu wchodzi SS-manki w czarnych pelerynach i głębokich kapturach. Kto spostrzeże je na czas, ucieka unosząc swój drogocenny garnek z nie dogotowaną strawą. Kiedyś postrach obozu, Aufseherin Bor-mann, przyłapała starą kobietę umykającą z dymiącym garnkiem ziemniaków. Przywołała ją do siebie i kiedy starowina podeszła czając się i usiłując uniknąć ciosu, Bormann wyciągnęła rękę, żeby zajrzeć pod pokrywkę. Wtedy kobiecina podała jej gorący gar, pełen po brzegi, odwróciła się błyskawicznie, i zanim Bormann zorientowała się w sytuacji, już stara wbiegła do któregoś baraku i zniknęła w tłumie pasiastych postaci.

Nie wszystkim jednak dopisuje szczęście. Zdarza się niekiedy, że czarne peleryny staną cicho nad gotującymi, nim te zdążą ruszyć się z miejsca. Wtedy biją, rozdeptują, kopią gorące garnki, paleniska i, co najgorsza, zapisują numery przyłapanych. Po jakimś czasie odbywa się przesłuchanie u Oberaufseherin Mandel, która oskarża: 1) o kradzież środków żywnościowych z kuchni, 2) o organizowanie drzewa na terenie obozu, równające się sabotażowi, 3) o wyłamywanie się spod przepisów władz lagrowych. Jeżeli kobieta karana jest po raz pierwszy, skazą ją w tak poważnej sprawie na dwa lata S.K. Jeżeli była już kiedykolwiek karana, czekają ją dożywotnie karne roboty.

Wobec tak dużych niebezpieczeństw, jakie stwarza nocne gotowanie, kobiety szukają innych sposobów zdobycia pożywienia. Cokolwiek mają, niosą na wymianę tym, które gotowe są oddać swą porcję chleba za inne rzeczy. Co wieczór po apelu aż do gwizdka na ciszę snują się po wszystkich blokach amatorki handlu wymiennego niosąc w rękach swe skromne eksponaty i w najróżniejszych językach zachęcają do ich nabycia. Chleb, chleb! On jest w tym okresie celem wszystkich zabiegów. Jest wiosna, dni stają się coraz dłuższe, powietrze i przebyty

tyfus wpływają na wzrost apetytu. Co kto ma, oddaje za porcję chleba. Kobiety otrzymujące bony kupują artykuły będące do nabycia w kantinie i wymieniają je z tymi, które marek nie mają. Niestety, więcej jest tych, które chcą chleb zdobyć, niż tych, które chcą go oddać. Zdarza się, że ktoś dostawszy małą, lecz świetną paczkę pełną dobrych rzeczy, nie bierze z niej nic dla siebie, całą oddaje jakiejś chorej w zamian za kilka porcji czarnego chleba, którymi musi napchać żołądek przy ciężkiej pracy.

Nie wszystkie jednakże mają na wymianę rzeczy takie, jak przysmaki przysyłane w paczkach. Większość chodzi od bloku do bloku, niosąc w ręku swój kolacyjny plasterek kielbasy.

To takie proste nie jeść całymi tygodniami swych dodatków kolacyjnych, nie znać ich smaku, tylko zapach i wygląd.

To takie proste: iść przez błoto z kawałeczkiem kielbasy w ręce i nie myśleć o nagłych skrętach żołądka, opanowywać drżenie ręki, która chciałaby podnieść ten kęs do ust. Może jednak znajdzie się ktoś, kto będzie mógł dać kawałek chleba za kielbasę?

Głównymi dostawcami chleba drogą nielegalną są pracownice z „Brotkammer”. Ich pomyślnie przeprowadzona organizacja zaspokaja jakiś mały odsetek ogólnego głodu, one są ostatnią nadzieją. Lecz wszystko, co nielegalne, choćby najsprawniej działało, kończy się pewnego dnia klęską. Tak stało się i tym razem.

Głód w obozie kobiecym jest znacznie mniejszy niż w męskim. Ta sama porcja dzienna, po której opada z sił kobieta, nie może, rzecz jasna, posilić mężczyzny. To widać po wychudłych postaciach, po twarzach szerniałych i zmienionych, po dzikich spojrzeniach podkrążonych oczu, lśniących niezdrowym blaskiem lub zgasłych w zupełnym osłabieniu. Szansę nielegalnego zdobycia żywności są u mężczyzn minimalne. Sprawa dostawy chleba jest tam rozwiązana zupełnie inaczej. Nie ma u nich wewnątrz obozu punktu magazynowego, a więc nie tworzą się rezerwy, na które można liczyć. Pozostają tylko skórki i okruchy zdobywane przy przewożeniu chleba wózkami, lecz te, nie mogąc posilić dwudziestu tysięcy kobiet, jakże posilą około stu tysięcy mężczyzn? Głód popycha do ryzyka, kończącego się czasem fatalnie.

Drogą z magazynu żywnościowego, mieszczącego się w zadrutowanym pasie pomiędzy obozem kobiecym a męskim, jedzie wózek pełen chleba. Mieści się na nim 500 bochenków jednokilowych, ale czasem liczba nie jest ścisła, zdarzają się nadwyżki albo wyrównywane później braki. To pozwala organizować z wózka. Osiem młodych pracownic wysiłkiem własnych ramion popycha skrzypiący dwukołowy wózek po wybojach obozu, dwie są przy dyszlu. Z boku wyciąga się niepostrzeżenie ręka pracującego przy drodze mężczyzny i porywa bochenek. Żadna z pchających nie rzekła słowa, nie drgnęła, zda się, żadna nie widziała. A on porwał jeszcze drugi bochenek, wtulił je pod kapotę i umknął za baraki.

Jest naprzeciwko „Brotkammer” okienko w drewnianym przepierzeniu służące do wydawania paczek. Patrząc przez nie można widzieć wszystko, co się dzieje na drodze. Tego dnia w oknie siedzi Aufseherin Milan. Gdy wózek zajeżdża, Milan stoi już w progu z gotową decyzją: wszystkie pracownice idą od jutra w pole, na ich miejsce przyjdą nowe.

Zmiana odbija się boleśnie na głodujących kobietach. Nowe, znające tylko prace w polu, nowicjuszeki w obozie nie umieją jeszcze organizować, ponadto boją się Aufseherin Milan i pragną uniknąć losu swych poprzedniczek. Minie co najmniej miesiąc, zanim będą wynosiły przynajmniej połowę tego, co pracownice poprzednie.

Znika więc poważne źródło dostawy. Pozostają blokowe i sztubowe, które zawsze mają dostatek chleba z okrawanych porcji. Wytworzył się wśród nich taki zwyczaj, że z kilograma zatrzymują dla siebie 2 grube kromki. Bochenek dzieli się na cztery porcje jako całodzienna dawka dla czterech ludzi. Jeżeli w bloku mieszka (przeciętna bloków murowanych w tym okresie) 1200 kobiet i blokowa zatrzyma dla siebie po dwie kromki z przypadających na blok 300 bochenków, osiąga co wieczór sześćset kromek. To wystarcza na potrzeby jej i sztubowych. Płacą one za wszystko takim właśnie pokrajanym chlebem nie krępując się zupełnie tym, że pochodzenie jego jest ogólnie znane.

Lecz od nich trudno kupić. Nie chcą one przecież obozowej kiełbasy ani margaryny, bo zdobywają to codziennie w dostatecznej ilości drogą podobną jak chleb. Kupują chętnie żywność z paczek, bieliznę przynoszoną ze składów w Oświęcimiu lub z magazynów Efingera. Kupują również ziemniaki, bo ze względu na swoją funkcję nie mogą chodzić same pod kuchnię. To jest bardzo sprzyjająca okoliczność, że można ukradłszy kilkanaście ziemniaków sprzedać je sztubowym w którymś z licznych bloków, a potem wreszcie pełnymi ustami jeść świeży chleb odpychając od siebie przykrą myśl, że te kromki zostały ukradzione więźniom.

Handel bywa tropiony i karany na równi z gotowaniem i innymi przestępstwami, lecz coraz bardziej rozpowszechnia się w obozie i stopniowo dojdzie do wielkiego rozkwitu. Dla wielu jest on jedynym sposobem utrzymania się przy życiu.

Kto nie ma nic do sprzedania, kto już znikąd zdobyć sobie nic do zjedzenia nie może, wychodzi niekiedy gnany głodem i niepokojem poza barak i idzie przed siebie szukający rady w sobie i w otoczeniu. Czasem napotka sztubowe, które nie mają ochoty dźwigać kotłów z wieczorną kawą. Wyręczy je zarabiając w ten sposób trochę chleba lub zupy.

A czasem nie spotka nikogo i idzie samotnie przez pustoszejący obóz, oddychając miękkiem, wiosennym powietrzem i patrząc na konstelacje chylących się z ciemnego nieba gwiazd, które mówią o przemijaniu wszystkiego tego, nad czym świecą od dawna, co pod nimi przepływa od wieków po ziemi.

Gdzieś, poza opustoszałą o tej porze kuchnię snują się postacie ponurych nędzarek, przeszukujących teraz bez przeszkód śmietnik, na którym gniją wyrzucone łupiny, nadpsute ziemniaki i kości. Przebierają co lepsze. Napęniają tym torby. Będą się starały ugotować w nocy ziemniaki, a kości zaniosą z sobą w pole i będą łakomie, do ostatka wysysać z nich szpik, o ile nie odbierze im ich SS-man i nie wyrzuci wyszadzając.

Przebiega przez plecy przejmujący dreszcz lęku i budzi się prośba, nie wiadomo dokąd skierowana, żeby nie nadszedł taki dzień, w którym żadne hamulce wewnętrzne nie byłyby w stanie powstrzymać od pójścia na owe poza kuchenne śmietniki i szukania tam odpadków.

Jest wiele spraw, prócz zdobywania żywności, na które znajduje się czas w wieczory wiosenne. Wprawdzie gwizdek na ciszę rozlecił się wcześniej i blokowe zmuszają do udania się na spoczynek — lecz długo jeszcze jest widno i można niepostrzeżenie wymknąć się z bloku. Można się umyć. ZO spalonej komory gazowej pozostały ściany z ciężkimi drzwiami, bez dachu i bez sufitu. Urządzenia kanalizacyjne nie są uszkodzone i dwa krany dostarczają wody. Powstała tu najmilsza, zakonspirowana łazienka, w której do późna myją się nagie kobiety. Świeże powietrze, zapach mydła, plusk wody i odgrozienie ścianami zapomnianych zgliszcz od oczu SS-mańskich stanowią urok tego miejsca. Za radość odczucia własnej czystości warto oddać część spoczynku.

Są inne jeszcze powody, dla których znużony całodzienną pracą więzień gotów jest nie spać.

Jest po południowej stronie drutów pas łąk bujną zielenią falujących, pachnących ziołami i wiatrem. Wiosna jak morze bezbrzeżne, jak ocean budzącego się życia przychodzi aż tu, pod pfogi miasta śmierci. Przemawia najsilniej do tych, które nigdy nie opuszczają bram obozu, nie wychodzą w pole, żyją od dawna pomiędzy barakami. Woła je.

Kwitnie na skraju łąki, tuż za drutami, żółty irys. Rozwinął delikatne płatki, roztulił ich miękką włochatość. Przychodzą na skraj obozu kobiety. Siadają na zboczu fosy, opierają głowy na rękach i patrzą przed siebie. Przewyciężają myślami pasmo drutów, poza którymi widać rozległą wolną przestrzeń. Tak trudno uświadomić sobie i wiedzieć, że tu, gdzie one, i tam, gdzie ów żółty kwiat, są dwa różne światy. Czasem jest już bardzo ciemno, a kobiety nie odchodzą jeszcze. Głęboka cisza i spokój płyną od pól i łąk, biorąc w posiadanie skołatane obozem istoty. Tracą one drogie godziny snu, ale odzyskują równowagę, która jutro pozwoli im z determinacją, a może nawet z pogodą przeżyć dzień.

Ten przywilej swobodnego wieczoru nie przysługuje kobietom karanim dodatkowo.

Ktokolwiek dostał się do S.K., jest mimo przebywania w tym samym obozie, całkowicie odcięty od nurtu życia. Za kim zamykają się wrota baraku dwudziestego piątego, które dotychczas zatrzaśkiwały się wyłącznie tylko za skazanymi na śmierć, ten wyjść już swobodnie nie może, aż po odbyciu kary.

Kobiety oznaczone czerwonym kółkiem na plecach nie chodzą po obozie pojedynczo. Ich dzień różni się od dnia pozostałych. Nigdy nie są same. Nawet do klozetu idą razem, nawet do mycia idą razem, ustawione w piątki, pod ścisłym dozorem Blockfuhrera Ruitersa i SS-mannek. Są odcięte od kobiet nie będących w S.K., którym nie wolno stykać się z nimi, rozmawiać, załatwiać żadnych spraw, podawać czegokolwiek. Czas obiadowej przerwy spędzają w bloku dwudziestym piątym, ogrodzonym wysokim murem z cegieł. Tam też zostają zamknięte natychmiast po skończonej pracy, nawet apel odbywając w obrębie murów.

Wieczorem, gdy cały obóz huczy gwarem i ruchem, gdy do głosu dochodzi życie, będące słabą namiastką normalnego, gdy zaczyna się handel zamienny, szukanie żywności, usiłowania odwiedzenia chorych, odnajdywanie swych bliskich po innych barakach, kobiety w S. K. są już zamknięte w swoim więzieniu.

Nie zdobędą dla siebie kawałka chleba na jutro, nie odwiedzą swych matek ani sióstr. I nie odpoczną po całodziennym gwarze i zgiełku, znalazłszy poza barakami w nocnej godzinie chwilę samotności.

S. K. w tym czasie robi prymitywny drenaż. Przez cały maj leją deszcze, Birkenau tonie w kałużach przybierających rozmiary stawów. Rzucanie kamieni, cegieł i desek w błoto jest bezcelowe. Rozmiękła ziemia pochłania wszystko i woda występuje na wierzch.

Zdawać się może, że ciężkie chmury schodzące coraz niżej zawarły przymierze z chlupoczącym bez przerwy błotem i pochłonąć chcą to miejsce potępione. Woda podnosi się coraz wyżej, wcieka do baraków, błoto oblepia nogi powyżej kolan, wlecze się za człowiekiem, wszędzie, do miejsca pracy, na posłanie. Ciężka pokrywa dżdżu i chmur przygniata słup dymu, który załamuje się nad wysokim kominem krematoryjnym i gęstymi kłębam opada.

W takim dniu nikt nie ma suchych nóg prócz SS-manek i kilku kucharek noszących gumowe buty. Tej wiosny w czasie długotrwałych deszczów kolumny nie wychodzą w pole. Baraki pełne są ludzi pokulonych na kojach, usiłujących suszyć swoje buty i odzież po porannym apelu. Nikt nie wychodzi w te jeziora otaczające zewsząd bloki i spływające ciągle z góry. Tylko S. K. nie zeszło z pracy. Przemoknięte na wskroś, z wodą ściekającą strumyczkami po twarzy i całym ciele, chodzą bez przerwy miarowym krokiem, dźwigając kamienie na „tragach”. Inne noszą żwir. Inne piasek. Reszta kopie wąskie, głębokie rowki mające być ściekami. Wrzuca się do tym rowków kamienie, kawałki cegieł, żwir i przykrywa się ziemią. W opustoszałym obozie, w którym słychać tylko bez przerwy chlupot deszczu i nagłe uderzenia wichru, rozlega się uparty okrzyk SS-manki:

— Los! Weiter! Bewegung! (jazda! dalej! ruszać się!)*

Może powtarzał się co minutę, może co pół godziny. Stojącym boso w błocie kobietom wydaje się, że słyszą go bardzo często, bez przerwy niemal. Nogi czerwienieją i bolą z zimna, a czas jakby zatrzymał się w miejscu. Nie zbliża się żaden kres, żadna zmiana, poranek podobny jest zupełnie do południa, w miejsce wczoraj niepostrzeżenie wstępuje jutro, tak samo bijące monotennie deszczem w błoto. Głód skręca wnętrzności i potęguje zimno w całym ciele.

Drogą, skrzypiąc i utykając w głębokich kałużach, posuwa się nadzwyczaj opornie wózek z chlebem. Obóz musi mieć chleb mimo takiej pogody. Co chwila bryzgi błota ochlastują od stóp do głów pchające wózek pracownice zalewając im twarze i oczy. Co chwila wózek wpada w wyboje i zatrzymuje się. Szarpany, podrywany, rusza z miejsca, żeby znów z

wstrząsem zatrzymać się, powodując zsuwanie się bochenków. Pomiędzy pracownikami magazynu chlebowego a S.K. jest cichy sojusz.

— Nie wiem, czy jutro ja nie będę prosiła o chleb, tak jak one proszą dziś — mówią dziewczęta z brotkamery i nie zaniedbują żadnej okazji, żeby podać coś zgłodniałym.

S. K. pracuje pomiędzy blokiem szesnastym, z którego płynie drażniący zapach świeżego pieczywa, a dwunastym, w którym odbywają się pierwsze próby kobiecej orkiestry. Lecą w powietrzu bochenki przerzucane po dwa z rąk do rąk i z łoskotem padają na półki. Brzmią na dwunastce tony marszów, granych przez orkiestrę. A w trakcie tego nad zgarbionymi w trudzie kobietami z S.K. rozlega się nieustannie „Bewegung”, niemniej dokuczliwe niż deszcze i wiatr.

Niemki, których w S. K. jest wiele, zajmują sobie miejsca bliżej magazynu, żeby szybciej porwać kawałek chleba lecące na ziemię. Lecz pracownice magazynu wymagają od nich sprawiedliwego podziału. Wytwarza się surowe braterstwo niedoli pomiędzy kobietami różnych narodowości, które z jednakowym drzeniem wyciągają rękę po chleb.

Dziewczęta z magazynu ryzykują wiele. Nie można odmówić kawałka chleba ludziom, w których oczach widzi się płonący głód. Gdy wózek jedzie drogą, spychają czasem niepostrzeżenie bochenek obok kobiety zgarniającej szuflą błoto spod nóg, rzucają do świeżo wykopanych rowków niespodziane dary. Organizują coraz sprawniej. Umieją kryć chleb pod kurtką różnymi sposobami: na plecach, z boku lub na piersiach. Wynoszą czasem wiaderko śmieci, w którym na dnie leżą dwa bochenki. Wyrzucanie worków pełnych papierów z paczkami stwarza doskonałą okazję do organizowania. Własna paczka, nadchodząca z domu i odbierana w przyległej paczkami, staje się również często miejscem, w którym kryje się bochenek lagrowego chleba. Wszystkie te sposoby są jednak ryzykowne, za wszystkimi idzie wkrótce podejrzenie i rewizja. Lecz potrzeba doskonali metody, wpływa na przebiegłość, uczy wyzyskiwać okazje.

Wkrótce po likwidacji komory gazowej Efingerera pracownice brotkamery dostały kombinezony do pracy. Ten strój ułatwił bardzo sprawę. W dwóch kieszeniach pomiędzy fałdami materiału mieszczą się z łatwością dwie porcje. Można kilka razy dziennie wyjść z magazynu na zewnątrz z pełnymi kieszeniami.

Najpewniejszy jednak sposób, nie budzący niczyich podejrzeń, jest taki: pod kombinezonem nosi każda pracownica pas elastyczny, specjalnie do celów organizacji kupiony. W momencie gdy klęcząc na ziemi układa chleb na półkach, odsuwa sobie na bok bochenek najbardziej płaski. W chwili gdy capo nie patrzy na nią, wciska go pod pas elastyczny, zapina szybko kombinezon i pracuje dalej. Dziewczęta są szczupłe. Najbystrzejsze oko wypatrzeć nie może deformacji figury. Wypchane czymkolwiek kieszenie boczne wyrównują linię. W ten sposób, mając bochenek na brzuchu można swobodnie chodzić, rozmawiać z SS-manami, pracować jeszcze długo. Nie należy się tylko schylać. Któregoś dnia jednej z pracownic, mającej już chleb pod pasem, kazano odprowadzić wózek do głównego magazynu pomiędzy kobiety a męski obóz. Nie można się wycofać, gdy SS-manka stoi i patrzy. Droga w dwie strony

wynosi około pół kilometra. Z determinacją wyznaczona ujmuje dyszel, odchodzi i po piętnastu minutach wraca szczęśliwie. Bochenek nie wypadł. Jak kangurzyce swe dzieci, noszą pracownice magazynu chleb, na który czekają wygłodniałe współtowarzyszki.

Ta planowa grabież skończyć się musi wielkimi brakami w magazynie i kończy się tak istotnie. Wyjaśnić należy, że chleb wynoszony z magazynu pochodzi z ilości nadliczbowych, pozostających na zapas, i nigdy najbardziej brawurowa organizacja nie krzywdzi więźniów. Co rano każda blokowa dostaje przydział wedle ilości, jaką wskazuje książka apelowa. To, co wynoszą pracownice, jest wprowadzie tylko kroplą w oceanie głodu, lecz powiększa ilość żywności idącej między więźniów.

Któregoś dnia szef magazynu głównego zażądał obliczenia. Wówczas to okazało się, że w magazynie kobiecym brakuje 2 tysiące kg.

Gdyby wiadomość ta doszła do władz, najcięższe kary spadłyby nie tylko na pracownice, ale także na ich zwierzchników. Szef wolał umorzyć sprawę i rozpocząć rachunki na nowo.

Od tego dnia kobiety organizują odważniej, pamiętając tylko, że należy często podawać pozycje: „spleśniały - - pokruszony — zjedzony przez myszy i szczury”. Nieład panujący w księgowości pijanych SS-manów pozwala na to.

Cały wysiłek młodych organizatorek nie jest w stanie nasycić głodnych.

Głód podchodzi falą niepokojącą w postaci zuchwałych Ukrainek, idących gromadnie i rzucających się z nagłą na wózek brotkamery; w postaci Żydówek, które niezręcznie skradają się i proponują najdziwniejsze rzeczy do kupienia za chleb.

Głód panuje w obozie, A jednak świadomość, że przy żywności pracują dziewczęta, do których zawsze można przyjść i od których nie odejdzie się z próżnymi rękami, ucisza lęk. Kobiety robią wszystko, żeby zdobyć chleb na własną rękę drogą wymiany, organizacji lub zarobku, lecz pamiętają, że na wypadek niepowodzenia pozostaje im jeszcze ostatnia, niezawodna ucieczka.

Dziewczęta z magazynu uważają, że to, co robią, nie jest kradzieżą. Biorą chleb, wypiekany w obozie z mąki dostarczanej na kontyngent przez polskiego chłopca, i rozdają go głodnym. One są łącznikami między rolnikiem a zgłodniałymi więźniami.

Ta świadomość daje im swobodę i spokój w ich stale niebezpiecznym procederze. Uśmiech opromienia ich oczy w najbardziej ryzykownych przedsięwzięciach. Używając wszelkich najprzebieglej szych metod złodziejskich nie kradną.

Do przedsionka magazynu przychodzą czasem konwojowane przez SS-mana kobiety z S. K., do których nadeszły paczki. Gdy wychodzą dźwigając w fartuchach przesyłki z domu, uchylają się drzwi i zwinna dłoń wrzuca im szybko pod paczki chleb. One podzielą się tym z innymi.

Pewnego razu manewr ten przeprowadzono źle. Trzy kobiety z czerwonymi kółkami na plecach stoją przed okienkiem paczkami. Ktoś pośpiesznie przebiega i wciska w ręce jednej z nich trzy ponadłamywane bochenki. Stało się to za wcześnie. Aufseherin Milan nie skontrolowała jeszcze zawartości pudełek, lecz przerażona kobieta bierze ze stołu paczkę do siebie adresowaną i przykrywa nią trzymane w fartuchu chleby. Milan jednak chce przeciąć sznury, przejrzeć zawartość, wyciąga rękę i dostrzega chleb trzymany przez kobietę. Wszczyła się tumult, bicie i krzyki. Posądzona o kradzież daleka jest od tego, żeby się przyznać, kto jej pomógł. Konwojująca SS-manka prowadzi ją w stronę bramy, żeby oskarżyć. Kobiety z S. K. patrzą w stronę odchodzącej. One wiedzą najlepiej, co to znaczy. I zapomnieć nie mogą o piętnastoletniej córce, do której pragnie powrócić prowadzona przez SS-mankę kobieta.

Prosta, naturalna potrzeba, taka jak głód, doprowadza do najcięższych kar.

A jednak głodu zagłuszyć niepodobna. Im ktoś mocniejszy, im zdrowszy, im normalniejszy, z tym większą mocą dochodzą potrzeby jego do głosu, tym pewniej wywołują bunt, tym niezawodniej w anormalnym życiu obozu koncentracyjnego obróca się przeciwko człowiekowi grożąc mu bez przerwy niebezpieczeństwem lub zagładą.

Dlatego właśnie w oczach kobiet z S.K. tai się taki smutek i żal, taki wyrzut ukrywany przed sobą i innymi, że pobudki, które stały się powodem ich niedoli, są zdrowymi motorami rządzącymi od wieków naturą ludzką, że są one silniejsze od rozsądku nakazanego przez chwilowe okoliczności.

Do S. K. dostają się jednostki najaktywniejsze, te właśnie, którym potencjał wewnętrzny nie pozwolił długo trwać w bierności.

Im odporniejsza istota, im więcej ma w sobie zdrowych pierwiastków, z tym większą natarczywością biją w nią jej własne siły wewnętrzne, pchając do spełnienia wszystkiego, co nakazuje życie.

Jednostka słaba i bierna częstokroć lepiej zniesie obóz, bo je^A własne dążenia nie stworzą nigdy zbyt silnego konfliktu pomiędzy nią a narzuconymi jej ramami.

Jednostka żywotna pada, złamana siłą własnego rozpędu, z jakim uderza w obozowe rygory, przeciwne naturze.

Patrząc na pracujące w S. K., myśli się mimo woli o piwnicy pełnej zapomnianych od dawna krzewów, bulw, kłączy. Nad światem płonie upalne słońce, którego promienie tu nie przenikają. Mimo to jednak w głębi organizmów roślinnych budzi się przemożna siła nakazująca im kielkowanie. Jakże blade i wątłe są ich pędy podnoszące się w ciemni piwnicznej. Sięgają wyżej niż w warunkach normalnych. Biją w górę tęskniąc do słońca. Im silniej rosną, tym prędzej uderzą w twarde sklepienie, na którym załamię się ich pęd, na którym zboczy ich rozrost, od którego powrócą, zdławione własną, zdrową żywotnością.

Ta tęsknota roślin zwie się heliotropią. Ludzie napiętnowani czerwoną plamką na plecach to także rośliny ukształtowane dłonią natury, chore na heli otropię.

Każdy z nich ma jakieś umiłowanie proste i naturalne najczęściej, które nie mieści się w obrębie drutów, baraków i krematoriów. Im silniej się ono rozwija, im bardziej pobudza do czynu, tym prędzej przywodzi go pod bramę obozu, gdzie odczytują mu wyrok: - Sechs Monate S. K.!*

Skłonność ludzką do konfliktu z łamiącym prawa natury otoczeniem obserwuje się silniej w S. K. niż w całym obozie, a w całym obozie silniej niż w życiu nie obozowym.

Ze zdrowych systemów społecznych wyłamują się lu-

Sechs Monate S.K. — sześć miesięcy w karnej kolumnie. Ludzie o instynktach przestępczych. Z systemów anormalnych wyłamują się przede wszystkim ludzie normalni.

Oznaczeni czerwoną plamką, jak trafieni w plecy kulą, po której wystąpiło krwawe piętno, snują się między barakami w korowodach nieustannych, dźwigając żwir, piach, kamienne głązy. Potępieńcy obozu. Ci, którzy nie umieją zmieścić się w ciasnych ramach anormalnego bytu.

Rozdział szósty NOWY LAGER

Więzień nie wie, komu zawdzięcza skuteczną ingerencję w sprawę obozu, kto skłonił władze niemieckie do zgody na nadsyłanie paczek żywnościowych, nie wie, kto o niego walczy. Lecz z postępowania SS-manów widać, że są jakieś oczy, z których spojrzeniem Niemcy są zmuszeni się liczyć, są jakieś instancje, wobec których usiłują zachować pozory.

Pewnego dnia w czasie apelu porannego rozkazano kobietom zdjąć chusteczki. Przegląd dotyczy długości włosów. Pozwolono obwiązywać głowy tylko świeżo ostrzyżonym. Innym zarekwirowano chustki i zapowiedziano, że mają ukazywać swoje krótkie czupryniki, zwłaszcza gdy idą do pracy poza bramę. Władze obozu chcą komuś obserwującemu wychodzące w pole kolumny udowodnić, że kobiety nie bywają w obozie strzyżone. Przejawiają także troskę o więźniów. Dotychczas w czasie deszczu więzień stał bez przerwy przy pracy nie mogąc odejść, póki nie rozległ się głos gwizdka; teraz wolno polnym kolumnom schodzić do znajdujących się w pobliżu pustych stodół i chat, wolno nawet palić ogień i suszyć odzież.

Gdy deszcz pada bez przerwy i nic nie zapowiada bliskiego jego końca, z bramy obozu wyjeżdża na rowerze okryty celtą SS-man. najczęściej naczelny lekarz, i zwołuje kolumny do powrotu.

Więzień nie jest w stanie zorientować się, czyja to zasługa, lecz wie, że nie Niemców.

W tym samym czasie kąpielisko w obozie kobiecym zostaje udostępnione dla wszystkich, zwłaszcza dla powracających z pola.

Ponadto - rzecz w okresie przeludnienia najważniejsza — coraz częściej mówi się o przeniesieniu części kobiet na inny, opróżniony przez mężczyzn odcinek. To wydaje się nieprawdopodobne. Tak, jak wydawały się wszelkie wcześniejsze opowiadania o paczkach i liczne zapewnienia o zbliżającej się wolności.

Tymczasem któregoś dnia kobiety widzą, że z obozu męskiego na drogę wychodzą wszyscy więźniowie niosąc swoje paczki, koce i drobiazgi, które pozwolono im zabrać, krzaki i kwiaty, które hodowali u siebie. Opuszczają swój obóz i przenoszą się za rampę kolejową na widoczny z daleka drugi odcinek budowlany. Nowy ich obóz nazywa się B II d. Będą odtąd sąsiadowali z Cyganami. Ich dawne miejsce zajmą kobiety.

Opowiadano dużo, że mężczyźni utrzymują w swoim obozie wzorową czystość, że stan higieny jest imponujący, że nie ma wszy. Za kilka dni kobiety wejdą na nowy teren i poznają go.

Dotychczas dla nóg chorych, znużonych długą codzienną drogą, dla ciała wyczerpanego - - obejść cały teren obozu kobiecego to praca nie do wykonania. Przebrnąć przez wyrwy i kałuże na dziwnych słupach, w jakie zamieniły się nogi, opuchnięte, zdrętwiałe bezczuciem i równocześnie pełne bólu przy niezręcznym kroku — to przechodzi siły większości. Teren obozu kobiecego wydaje się wielki, gdy się ma takie nogi. Dotychczas zna się tylko ten odcinek, a poprzez druty widać sylwety baraków innych obozów, ciągnących się długimi rzędami. Tam wszędzie żyją ludzie, często dotknięci niedolą cięższą aniżeli ta, którą znają kobiety.

Teraz poznają obóz nowy.

Polne kolumny kobiece chodzą bez przerwy w pole, kolumny wewnętrzne zaś przenoszą już częściowo urządzenia baraków, sprzątają, czyszczą.

Aż dnia pewnego zarządzono przenosiny. Popędzane przez SS-manów sztubowe porywają w koc bochenki chleba, wiadra z marmoladą, paczki żywnościowe pozostawione na przechowanie przez pracownice polne i biegną w stronę bramy. Zarządzenia są sprzeczne. W bramie stoi Żydówka słowacka, Rapportschreiberin obozu kobiecego, i zawiadamia biegnący tłum, do którego bloku należy się skierować. Decyzje często zapadają na miejscu. Sztubowe zostają rozdzielone na kilka grup, idących w różnych kierunkach. Toboły z chlebem, wiadra z marmoladą, skrzynki z paczkami żywnościowymi pozostają w bramie. Porywają je jakieś inne ręce i przenoszą pod okiem Taubego, Drechsler, Mandel, którzy przyjechali autem i doglądają przeprowadzki. Kobiety wracające z pola nie odnajdą paczek, na próżno szukać będą sztubowych, aby zapytać, gdzie by mogły znaleźć swoje rzeczy, swój wyczyszczony ze wszy koc, swój kawałek mydła, swój siennik.

Gdy wieczorem powracają z pola, nie wiedzą nic. Czy ich blok jest pusty, czy zajęty przez kogoś innego, gdzie mają dziś stanąć na apel i kto im wyda kolację. W ciągu jednego dnia

straciły wszystko, co im do życia w obozie było niezbędne, co kupowały za żywność i chroniły poprzez rewizje i odwszenia. Idą teraz do nowego obozu. Wysoki dąb, widywany z oddali, teraz jest blisko. Bliskie stały się także drzewa Brzezinki, osłaniające czerwone mury krematoriów.

Nowy lager! Jakiś dreszcz niepokoju przenika, gdy się mija jego bramę i staje się przed ciemnymi barakami. Marzenie, by powrócić wprost z pierwszego miejsca pobytu, z bramy, którą tylekroć wychodziło się w pole — przepada. Wchodzi się w niewolę głębiej. Teraz będzie się miało za sobą niejedną, lecz dwie bramy.

Rzędy baraków, pasy naelektryzowanych drutów, długie, ginące w mroku obozy obskoczyły dokoła i nie ma pomiędzy nich wyjścia. Budujące się w dali nowe odcinki, nowe większe baraki budzą lęk na myśl, że Niemcy całą Polskę, cały świat, całą ludzkość umieszczają pragną w koncentracyjnych obozach, planowo, przez długie miesiące i lata.

Dawny obóz męski, nazwany obecnie „b”, jest symetrycznym odbiciem obozu kobiecego, zwanego teraz „a”. Droga pomiędzy tymi obozami, wiodąca z głównego magazynu chlebowego do Blockfuhrerstuby, jest osią symetrii. Po dwu stronach drogi oddzielonej drutami znajduje się identyczna u mężczyzn jak u kobiet kuchnia, a dalej barak dezynfekcyjny. Kuchnie w obu obozach obejmuje świeżo przybyła z Ravensbruck Aufseherin Franz (siostra Arbeitsdienstfuhrerin (służby pracy) * Hassę), która stopniowo na wszystkich odcinkach rozszerzającego się obozu kobiecego wprowadzi nowe zwyczaje, polegające na masowym wywożeniu produktów bardziej wartościowych z magazynu żywnościowego na użytek SS-manów, wojska i dla celów prywatnych. — Bloki mieszkalne i klozety rozmieszczone tak samo. Jakby ktoś do krawędzi obozu kobiecego przyłożył duże lustro, w którym ukazuje się nam obóz męski. Z czasem pojawią się pewne drobne różnice, układ jednak pozostanie ten sam.

Odeszli mężczyźni zostawiając baraki puste, identyczne jak w obozie kobiecym, jakich dziesiątki tysięcy wzniesli Niemcy na różnych miejscach ziemi.

Dla kobiet, które znają życie obozu, baraki te nie są martwe. Pisana jest na nich mowa czytelniejsza niż na ścianach starożytnych świątyń Wschodu. Na ściany, podłogi, cegły padła tu krew i opowiada o ludziach, którzy tu ginęli. W ciemnym baraku nie zajęтым jeszcze dotychczas przez kobiety stoją karne szeregi mężczyzn, którzy zginęli i nie odejdą już stąd, mimo przenosin. Zostali tam, gdzie poląła się ich krew. To nic, że ściany później zabelono wapnem.

Te ściany są nadal czerwone.

Na belkach pod dachem wymalowano wielkimi literami napisy nękające jak okrzyk SS-manów w dzień i w nocy:

„Im Block Mutzen a b ! ” — W bloku czapkę zdejm!

„Halte dich s a u b e r ” — Bądź czysty!

„Ruhe im Block" —Cisza w bloku!

„Eine Laus — dein Tod!" — Wiesz — twoja śmierć!

„Achte deine V o r g e s e t z t e n!" — Słuchaj swoich przełożonych!A co było, jeżeli przekroczyłeś któryś z tych zakazów, bracie-więźniu? Co było z tobą wówczas?

Oto osłonięty murem dziedziniec bloku drugiego. Ścienne komórki o wąskich drzwiach. Jest to tak zwany „Stehbunker". Tu spędza swoje noce ukarany więzień, pracując w czasie dnia tak samo jak inni. Co wieczór, po apelu, wpuszcza Blockführer do komórki czterech skazanych. Cela ich to wysoka, wąska szczelina, której podłoga ma metr kwadratowy powierzchni. Czterej mężczyźni zdołają stanąć ciasno przy sobie, pomiędzy nimi stoi kubeł. Drzwi zatraskują się. Wysoko jest zakratowane okienko wielkości dwóch dłoni.

Tak stojąc spędzą cały wieczór i noc aż do apelu porannego. Rano pójdą do pracy, specjalnie obserwowani przez capo, który nie omieszka ich bić przy każdym objawie znużenia i senności. A wieczorem, po apelu, znów czeka ich „Stehbunker". I tak przez cały tydzień, czasem dłużej.

Ta kara, stosowana przez czas dłuższy, sama, w sposób naturalny, powoduje śmierć.

A tuż obok ustawiono kozły z drzewa. Służą one do wymierzania chłosty.

Apel wieczorny jest u mężczyzn porą egzekucji. Rozciągniętego na drewnianym koźle bije gumową pałką albo pejcem spocony z wysiłku Lager Altester. Najniższa kara to 25 uderzeń. Lecz bywa często 50 albo 75, a nawet 100. Sto uderzeń w plecy, w jęczące pod kijem płuca lub w nadrywające się pod każdym ciosem nerki. Tu zupełnie wystarcza.

Leżąc na drewnianym koźle, z twarzą posiniałą od bólu i wysiłku, żeby nie krzyknąć, ziemi powierzasz swą hańbę, młody więźniu. Nie możesz zerwać się i porwać za gardło bijącego, nie możesz trzasnąć SS-mana w twarz ani kopnąć go w brzuch - - nie możesz, bo chcesz żyć. Bo cię tu już nauczono, że taki czyn byłby nieproduktywnym szaleństwem, że kula rewolwerowa roztrzaskałaby twoją czaszkę, a na twoich towarzyszy spadłyby ciężkie prześladowania.

Więc leżysz cicho i liczysz ciosy kija walącego z impetem w twe ciało, a szara ziemia drżąca pod każdym spadającym na ciebie uderzeniem słucha, co wymawiają twoje usta, i nasiąka twoją krwią i łzami hańby.

W obozie „a" jeden tylko blok dwudziesty piąty otaczają mury. W obozie „b" jest więcej baraków, które otacza ponurość murowanego parkanu.

Blok siódmy to dawny blok śmierci, a późniejsze miejsce pobytu S. K. Przepelniony dziś kobietami różnych narodowości, pełen zgielku, wrzawy i kłótni. Są tu Żydówki z Polski, Grecji, Słowacji, są Polki, są smagłe Cyganki, są czarne, małe Kroatki.

Nie rozumieją się nawzajem. Walczą o miejsce, o koce, o miski, o kubek wody. Każda grupa reprezentuje inny rytm mowy, inny temperament, lecz we wszystkich obóz wyzwala zwierzęcą dzikość, drapieżność, morderczość nieledwie.

Zasnąć tu niepodobna. Gdy kobiety układają się do snu, ze szczelin w zagłębieniach koi wyłażą miliony, miliardy pluskiew. Jest to pora ich rozmnażania się. Obok dużych biegają małe gryząc dotkliwie. Przepelnione są krwią tak dalece, że ich skórka rozciągnięta i cienka pęka za lada dotknięciem. Pozostają po nich krwawe plamy, wiele drobnych, czerwonych plam.

Jest letnia noc i barak, pełen zaduchu, obcojęzycznych okrzyków i przekleństw, posłanie pałace setkami ukąszeń są torturą zbyt ciężką. Lepiej wyjść na

zewnątrz i gdzieś, skuliwszy się pod ścianą, przeczekać noc.

Jest cisza. Po północnej stronie obozu w ciemności nieprzeniknionej jaśnieją linie drutów wyznaczające granice licznych części drugiego odcinka budowlanego. Tak łatwo ulec złudzeniu, że są to długie ulice nowoczesnego miasta, oznaczone linią świateł.

Teraz dopiero, gdy głębiej wchodzi się w Birkenau, gdy poznaje się je z kilku stron, mając przed sobą ciągle nie kończące się szeregi baraków — szeregi baraków — szeregi baraków, można poznać, że Oświęcim to tylko wypolerowana pokrywa leżąca na powierzchni wirującego, buchającego parą kotła, jakim jest Birkenau.

Jak elegancko urządzone, swoim luksusem oszukujące ludzką nieufność przedsionki krematoryjne różnią się od krematoryjnego wnętrza, które jest istotną częścią budynku, tak nieliczne, reprezentacyjne bloki obozu w Oświęcimiu różnią się najzupełniej od tego ruchliwego, żywego jeziora błot, jakim jest Birkenau, na którym nieprzeliczone baraki, jak arki zakotwiczone w porcie śmierci, stoją czekając wraz z setkami tysięcy podróżnych.

Czasem człowiek, patrząc nocą w ogrom świateł nowo poznanego miasta, ulega lękowi na myśl o jego wielkości i staje się w oczach swoich mniejszym jeszcze atomem spokojnie oddychającego wszechświata.

Lecz tu, wobec świateł tego miasta, krew stygnie w żyłach człowieka i krzepnie w piersiach w twarde sople. Tu, w topografii nieruchomości, coraz dalszych i dalszych świateł, w milczeniu wartowników, o których się wie, że czekają z dłońmi na cynglu — człowiek czyta wyrok na siebie.

Myśl o przebrnięciu przez te wszystkie przestrzenie otoczone światłami, o szczęśliwym wyjściu poza nie, wydaje się reminiscencją z awanturnych książek i filmów, mrzonką nie do zrealizowania.

Z prawej strony dolatuje gwar. To mężczyźni. Barak dezynfekcyjny wraz z przyległą do niego piątką i szóstką jest odgradzony zwykłym drutem kolczastym od obozu kobiecego i zajęty przez duży transport mężczyzn. Słyszą ich głosy. Przywieziono ich bardzo wielu z całej

Polski, najwięcej z Warszawy. Szli przez cały poranek, młodzi, dorodni, zdrowi. Ich postacie niosły z sobą pomiędzy druty wytęskniony czar utraconego życia. Wielu wśród nich studentów, tramwajarzy, pracowników kolejowych. Zaprowadzono ich na piąty i szósty blok zajętego już przez kobiety obozu. Tam stojąc w tłumie nieruchomym czekają.

Jakże starym więźniom żal tych przybyszów. Nie zapomnieli swoich pierwszych dni w obozie, najcięższych, jakie tu przeżyli. Pamiętają i tym bardziej współczują wszystkim następnym. Patrzą na szeregi skulonych pod ścianą bosonogich mężczyzn i wiedzą, że tylko mały procent, tylko niewielka grupa spośród nich uchowa życie.

Jutro już będą więźniami. Dziś, teraz, jeszcze nimi nie zostali. Jakże dobrze byłoby pod osłoną nocy podkraść się pod druty i cicho zawołać, żeby przyszedł któryś z nich, żeby wyciągnął rękę i zamienił uścisk braterstwa. Na ich ubraniach, na ich ciele, na włosach jest niewidzialna emanacja wolności, którą przywieźli z sobą ze swych domów, z dalekich miast, słonecznych ulic.

Dniem i nocą pracuje Sauna (barak dezynfekcyjny). Dniem i nocą przebiegają grupy mężczyzn. Kobiety widzą, jak na głowy nowo przybyłych spadają kije SS-manów. Widzą, jak z wrót piątki wychodzą nadzy i stoją na wietrze. Potem biegnąc znikają w Saunie. Za chwilę wychodzą na zewnątrz z ogolonymi głowami, niosąc w rękę pęczek łachmanów. Drżąc odziewają się w nie. Strzępy brudnej bielizny, spodnie wąskie, krótkie, kurtki ciasne, w których dorośli mężczyźni nie mogą się zmieścić. W tej odzieży, w której każdy człowiek wygląda jak komediant z wędrownego cyrku, siedzą na podkulonych bosych nogach, trzęsąc się z zimna, wygłodzenia i niewyspania.

Czasem wpada pomiędzy nich jakiś więzień funkcyjny, bijąc i robiąc dużo krzyku. A potem znów cisza splywa na skuloną w ciemności grupę. Na tle oświetlonych okien Sauny widać zarysy ich postaci. Czasem brzmi głośniejsze wymówione polskie słowo albo cicha prośba, której zaspokoić nie można.

— Wody, wody!

Spędzono ich wszystkich do bloku. Dziedziniec przed barakiem dezynfekcyjnym opustoszał. Zapełniają go nowi. To także mężczyźni, lecz ubrani wyłącznie w więzienne pasiaki. Jakże inaczej zachowują się niż poprzedni. W ich ruchach jest pośpiech niewolników," umiających spełnić rozkaz, nim zostanie wyrzeczony do końca, pośpiech zwierząt znających ciętość bicia i sumą wszelkich swych wysiłków unikających jego uderzeń.

Biegną w grupkach po kilku, przeważnie po dwóch, niosąc coś w rękach i układając pod ścianą. Niektórzy robią to z pośpieszną, ukrywaną ostrożnością. Potem, gdy skończyli, zajmują sami miejsce pod ścianą przykucając na bosych nogach. Jest cisza. SS-mani wreszcie odeszli.

W świetle padającym od lamp na drutach można widzieć, że ułożone na ziemi przedmioty pokryte są również biało-niebieskimi pasiakami. Po niejakiem czasie któryś z tych kształtów

porusza się - - więc to jednak ludzie — wyciąga rękę, powiewa nią chwilę w powietrzu, a potem siada.

Wzrok rozróżnia coraz dokładniej te postacie. Niektóre z nich mają kończyny owinięte szmatami, po łokcie, po kolana. Z innych zsunęły się, opadły opatrunki ukazując kikuty bez palców, sterczące bezradnie, nieprzydatne do żadnych czynności.

To więźniowie przywiezieni z kopalni w Jaworznie, gdzie przestali pracować wskutek zbyt wielkich odmrożeń rąk i nóg.

Jakieś kobiety przejęte litością skradają się pod osłoną nocy w stronę drucianego płotu, niosąc kawałki chleba i miski z wodą. Mężczyźni nie potrzebują mówić

O swym głodzie. Ich odzież wisząca luźno wygląda, jakby nie było w niej nic prócz kośćca. Przychodzą na brzeg placzyku, pod płot, odbierając chleb i podając go innym po kawałku.

Nie wszyscy mają siły wstać, podejść i przepchnąć się do nielicznych kromek. Niektórzy wyciągają tylko rękę nie patrząc w stronę dzielących. Tyle razy dla nich zabrakło, tyle razy o nich, najsłabszych, zapomnieli silni, mający jeszcze moc walczyć o życie.

Gdy zdarzy się, że w taką bezradną dłoń głodnego cienia-człowieka wsunie ktoś wreszcie kruszynę chleba, on rękę porywa ku oczom, które rozwiera szeroko, patrzy, dysząc w zdumieniu. Na twarzy jego widać zaskoczenie — i ból — i radość, oczy jak dwie żagwie przywarły do trzymanego w ręce chleba, cała twarz wymową wszystkich rysów skupiła się na tej kruszynie. Chleb — on widzi chleb — on ma chleb, który mu ktoś dał, ten kęs do niego należy.

Nie płacz, więźniu, wyniszczony w kopalniach Jaworzna, niech po twojej wynędzniałej twarzy nie płyną łzy, że po raz ostatni na ziemi dostałeś niespodziany podarek — kruszynę chleba.

A ci, którzy mają gnijące rany zamiast rąk, oczyma tylko pożerają chleb, bo któż by ich nakarmił, gdy w kopalniach odmrozili swe ręce. Leżą pod ścianą— cienie, które trzymają się jeszcze ziemi, lecz pozbawione są już dopływu żywotnych soków, siły robocze dziś już bezużyteczne.

Gdy za sobą ma się rozległe miasto zlepione z licznych obozów, a przed sobą widzi się w nocnym oświetleniu tę grupę, dostrzega się nagle, że na przestrzeni wieków, od dawna, coś nie jest tak, jak być powinno. Monumentalne budowle wznoszone rękami pokoleń, świątynie i ambasady, rady ministrów i parlamenty chwiać się zaczynają i padają w gruz, gdyż jakiegoś brakowało w nich ogniwa, coś fałszywego było w ich konstrukcji. A w białym pyłe gruzów pozostaje tylko nieruchomo tkwiąca nad stolikiem grupa odzianych w czarne fraki panów, którzy nigdy w swoim życiu nie wyszli poza fikcję foliałów. Wznoszą oni dłonie i skandują uroczyście, że wojna jest dźwignią postępu.

Szkoda, że nie ogolono ich jak nas i nie odziano w błazeńskie łąchmany. Zaczęliby myśleć wówczas o tej jednej tylko, w owej chwili najważniejszej rzeczy — dokąd zabiorą chorych mężczyzn z kopalni w Jaworznie.

Nikt tego nie wie — lecz wszyscy odgadują.

Czasem patrzy się w obóz i żyje się w jego środku przez dni, tygodnie i miesiące, czując ze zdziwieniem, że siła i odporność przybywa w miarę, jak ich potrzeba coraz więcej. To budzi zdumienie, a równocześnie powoduje wiarę we własne siły.

Aż przychodzi dzień, gdy w człowieku coś zgrzytnie i stanie w jakimś punkcie, z którego ruszyć niepodobna.

Pierwsza noc w nowym obozie. Jest już późno, na ludzi spadł sen. W okienku dziewiątki nieruchomo tkwi twarz kobieca. Oczy patrzą przed siebie, utkwione nie wiadomo w co. — W gromadę więźniów z Jaworzna, w perspektywie świateł na linii obozu cygańskiego i męskiego, czy w płonące, doskonale stąd widoczne krematorium. Żaden ruch twarzy ani postaci nie zdradza, że kobieta czuwa. Tylko szeroko otwarte, nieruchome oczy świadczą, że nie śpi. Jest to wiejska dziewczyna. Kiedyś była bardzo zdrowa, tyfus przeszedł lekko i w stanie rekonwalescencji została wypisana. Nikt jej nie poinformował, dokąd ma się udać, jej nie przyszło do głowy pytać. Dotychczas był w szpitalu taki zwyczaj, że pacjentkę wypisywano po odbytej chorobie do tego bloku, z którego przyszła. Ona знаła ten zwyczaj i nie przypuszczała, że uległ tymczasem zmianie. Poszła więc na swoje dawne miejsce z przed tyfusowego okresu i tam stanęła wśród kobiet na apel wieczorny. Nie zorientowała się, że apel się nie zgadza i że to ona jest przyczyną chaosu. Gdy sprawę wyjaśniono, winna została ukarana w sposób surowy. Wymierzono jej sto kijów na plecy. W stanie nieprzytomnym odniesiono ją do baraku szpitalnego, gdzie gorączkowała i bredziła. Gdy wyszła, dokuczała jej ruptura i uparte bóle głowy.

Teraz siedzi w małym okienku i patrzy. Jej rysy stają się coraz bardziej nieruchome, krzepną w jeden silny wyraz. Oczy lśnią blaskiem czerwonym od krematoryjnego ognia. Trudno odgadnąć, czy marzy w tę letnią noc, odbiegłszy od obozowej rzeczywistości, czy myśli intensywnie, patrząc na światła dalekich obozów, czy słucha odgłosów od strony baraku dezynfekcyjnego.

Wszyscy śpią, nikt nie przeszkadza jej samotnemu zapatrzeniu.

Nagle kobieta unosi się, siłą swych młodych ramion wypycha wątle okienko, które z brzękiem szybko spada na ziemię, i wsparta na rękach krzyczy głosem pełnym rozpaczliwego protestu:

- Nie!

Cisza dokoła. Nikt jej nie odpowiada. Ona wodzi oczyma przelekłymi w lewo i w prawo, aż w pewnej chwili ponawia swój okrzyk pełen siły:

- Nie!

Przerażenie w jej oczach rośnie. Zda się, że to, co było ziarenkiem, zarzewiem w jej mózgu, nabrzmiewa teraz i rozpięra myśli, przepelnia wyobraźnię i system nerwowy. Nie ma innej formy wypowiedzi, nie ma innego słowa na wyrażenie tego, co się w niej dokonuje. Ramionami oplata głowę, chroni się sama w swym objęciu przed tym, co pomieszało jej umysł, przed czym w lęku powtarza raz za razem:

- Nie! Nie! Nie!

Szczęśliwi ci, którym obłęd pozwala głośno krzyknąć to, co przepelnia ich umysł, szczęśliwi ci, którzy uzewnętrznić mogą swoje „nie”. Bo „nie” jest w każdym więźniu, przelewa się i burczy w jego krwi, bielmem bezsilnego gniewu pada na jego oczy w niebezpiecznych chwilach, w których tylko z trudem opanować się może. Są więźniowie umiejący swoje „nie” kryć głęboko pod warstwą oglady i pozornej uprzejmości wobec SS-manów, uprzejmości koniunkturalnej. Lecz są tacy, którzy swoje „nie” krzyczą głośno postawą, wyrazem twarzy, wzrokiem. I nie cofają swych krzyczących prawdę oczu przed SS-manem zasługując bez żadnych uchwytnych powodów na prześladowanie i nienawiść.

Od obłąkanych różnią się tym tylko, że swoje wielkie, jedyne „nie” wypowiadają inaczej niż za pośrednictwem mowy.

Rozdział siódmy ALEGRI ZE SŁONECZNEJ GRECJI

Zgodnie z ostatnim zarządzeniem w pole wychodzi się boso. Codziennie o szarym świcie letniego poranku stąpają po ostrym żwirze Birkenau tysiące czerwonych z zimna nóg, przekraczają bramę w rytmie orkiestry i minawszy drogę krematoryjną zatapiają się w trawy pokryte rosą. Zaraz za krematoriami zaczynają się drzewa owocowe pozostałe po spalonych wsiach, obsypane mnogością gruszek, jabłek i wiśni. Tędy idzie kolumna 115, złożona z JugoSłowianek, Polek, Rosjanek oraz Żydówek z różnych krajów. Wszystkie są głodne i chodzenie drogą obfitującą w owoce przynosi im ulgę. Nie zawsze coś zdobędą. Nie zawsze szef i konwojujący po-sten pozwolą na rzucanie kamieniami i podbieganie pod drzewo i nie zawsze coś spada. Lecz nie sam tylko smak zielonego jabłka syci. Ponad wszystko inne syci fakt, że jest to okolica żyzna, w której zawsze na coś można liczyć. To ucisza głód i pałący niepokój o chwilę następną.

Szef tej kolumny dla własnej prawdopodobnie przyjemności prowadzi codziennie inną drogą, czasem krótką, niekiedy bardzo długą, okrężną, przez zielone polanki, wyścielone bujnością z dawna nie deptanej trawy, otoczone zewsząd drzewami zbiegającymi się u góry w zielone sklepienia, przez sadyby i zabudowania częściowo puste, częściowo zajęte przez pracujących tu mężczyzn-więźniów. Codziennie w innym punkcie tej drogi zieleń rozstępuje się przed perspektywą stawów, od których płynie chłodny powiew wiatru.

To miejsce z wie się Fischerei (rybołówstwo)*, leży ono w bliskim sąsiedztwie Harmense.

Czysta woda drży i bije o brzegi, u których szumi gięty wiatrem tatarak. Obok stawów nawodnionych są puste, których dno pokrywa stwardniały muł, zieleńający tu i ówdzie warstwą glonów. Za stawami wznosi się wzgórze płowiejące żółtym rżyskiem, a na jego szczycie, pod samym horyzontem, zieleni się bujna nać marchwi. Na lewo, w kępie drzew, bieleją zabudowania gospodarskie.

Spojrząwszy po raz pierwszy na ten krajobraz, noszący w sobie tyle cech innych krajobrazów Polski, zapomnieć można na chwilę o tym, gdzie się jest.

Wszędzie tak samo złocą się rżyska o tej porze, wszędzie tak samo słoneczny upał roztacza się nad ziemią, spędzany co chwila tchnieniem wilgoci od strony wody, wszędzie tak samo czajki nawołują się w trzcinach.

Chwile zapomnienia są błogosławieństwem dla więźnia, który przez wszystkie godziny dnia i nocy pamiętać musi ustawicznie o tym, gdzie jest. Chwile, gdy natura czarem swym zniewalającym przepelnia jego świadomość mówiąc rym pogodnym spokojem swego istnienia o prawach bytu. i trwania. Mówiąc mu o tym, że jest on maleńką cząstką wszechświata, że musi być po to, aby był wszechświat, że musi trwać, skoro ma w sobie życie bijące o brzegi jak woda w pobliskich stawach.

To przenikanie wiecznej mądrości natury do świadomości człowieka budzi cichą ekstazę wewnętrzną, pod wpływem której słabnąca chęć życia pręży się jak pięść, gotowa bić w przeszkody otoczenia i w własną niemoc, gotowa w szarzyźnie dnia zdobyć się na sobie tylko wiadomy heroizm, pozwalający mimo wszystko przetrwać.

Marzenie, niedostępny towarzysz więźnia, nadchodzi słoneczną groblą pomiędzy stawami, od kępy cienistych drzew, od strony kwitnących rdzawo szczawiów i czarnych baziek trzciny kołyszących się na wietrze. Marzenie, odgradzające go całkowicie od rzeczywistości, wykluczające wszystkie elementy w tej chwili niepotrzebne, pozostawiające tylko naturę i człowieka i zaludniające otoczenie tworam i wyobraźni.

Nie wiadomo, jaki jest świat biedronki, chodzącej dzień cały po liściach. Nie wiadomo, jaki jest świat więźnia, kującego kilofem na grobli glinę albo noszącego darń.

Są pewne znaki, jak sygnały ostrzegające przed zbyt nym zapomnieniem, które narzucają się oczom. Na wilgotnym dnie pustych stawów lub w zarastającym koniczyną rżysku leży gdzieś zgubiony może przed rokiem drewniany but albo blaszana miska. U wylotu grobli stoją złożone w piramidę tragi, łopaty, kilofy, drewniane młoty. A na horyzoncie, daleko poza przestrzenią łąk, przesłonięte kępami drzew, unoszą się ku górze dymy z obozowego krematorium. Za nimi, nad Oświęcimiem, wiszą nieruchomo w lazurze pogodnego nieba balony zaporowe jak wielkie, rozdęte ryby. Od czasu do czasu pod wpływem silnych podmuchów zmieniają pozycję nie zmieniając miejsca.

Jakże naiwne są przewidywania więźnia, który we wszystkim, nawet w widoku zapór balonowych, szuka pomyślnych dla siebie oznak. Lecz czymże innym może wypełniać szarzyznę dni jednakich?

Oto pusty staw. Na jednym jego brzegu w nieustannym znoju przez wszystkie godziny dnia schylają się kobiety, kopiać kilofami twardą glinę. Inne łopatami nakładają ją na podstawiane bez przerwy tragi. Poprzez dno wyschłego stawu po przekątnej idą dwoma rzędami karawany kobiet. Prawą ścieżyną - - tragi puste, lewą - - pełne gliny. Nogi ich grzęzną w trzęsawisku, a potem obsychają na słońcu i wietrze, pękając, krwawiąc i pokrywając się wrzodami.

Przyniesione bryły wyrzucają na drugi brzeg, który jest równocześnie groblą. Tu grupa innych kobiet rozbija glinę i drewnianymi stemplami urabia z niej twarde klepisko. Równocześnie, przy pomocy darni przybijanej drewnianymi gwoździami umacnia się brzegi. Tak powstaje nowa grobla.

Wystarczy jedna nawałnica deszczu albo ciężko naładowany wóz jadący tędy — i kilkumiesięczny wysiłek dwustu kobiet pójdzie na marne.

I znów rozpocznie się po raz nie wiadomo który przebudowa grobli. Lecz zatrudnione tu teraz pracownice nie przeżyją rozgoryczenia z racji bezcelowego wysiłku. Za kilka miesięcy, gdy groblę zacznie się budować ponownie, ta gromada nie będzie już żyła. Przyjdą tu kobiety z nowych transportów i na ścieżynie biegnącej środkiem trzęsawiska nie dostrzegą krwawego śladu swych poprzedniczek.

Duża jest Fischerei i dużo na niej pracy. Czasem przychodzą mężczyźni i koszą trawę potrzebną im dla koni. Ze zgrozą patrzą na młode funkcyjne łamiące kije na grzbietach zgiętych w trudzie pracownic, mówiące do nich plugawą mową rymsztoków. Nie rozumieją, jak kobiety słuchające tego mogły tak przywyknąć, że już zupełnie nie reagują, jakby nie słyszały. Nie umieją umiejscowić w przyszłym, poobozowym życiu zwycięskich funkcyjnych, hic-mulierów.

Trawa i trzcina rosną wszędzie i nawet na powierzchni stawów trzeba je kosić. Za kosiarzami w kilka dni idą kobiety. Przed nimi wielki rozłożysty staw, rozmiarami zbliżony do jeziora. Nad jego brzeg schodzi drogą ze wzgórza dwieście kobiet. Po drugiej jego stronie, graniczącej z przestrzennymi mokradłami, kołyszają się na wodzie pokosy tataraku, który należy zebrać. Kobiety boją się. Wprawdzie jest lato, lecz one tego nie czują wśród ustawicznych zaziębień, dreszczów, gorączki. Szef zniecierpliwiony ich długim wahaniem zaczyna grozić kijem. Spomiędzy stojących wychodzi młoda Vorarbeiterin, wyróżniająca się spośród innych tym, że nigdy nie bije. Podwija suknię aż po pachwiny, przepasuje ją i wchodzi do wody. Łydki obu nóg ma owrzodzone i stojące za nią kobiety widzą to dobrze. Idzie coraz głębiej, gruntując wodę, która teraz sięga jej do ud. W pewnej chwili zwraca się do wpatrzonych w nią kobiet.

— Kto mi ufa, że ze mną nie utonie, niech mi poda ręce i idzie naprzód.

Stara Jugosłowianka przywiązana serdecznie do młodej dziewczyny i młoda Żydówka są pierwsze. Zachęcający, pełen spokojnej odwagi wzrok przodownicy przesuwają się po niezdecydowanej reszcie. Są jakieś osobiste więzi, łączące ją z kobietami różnych

narodowości i sprawiające, że teraz jedna po drugiej wchodzi do wody podając sobie ręce i powiększając łańcuch.

Żydówki, choć boją się trochę, za nic nie chcą utracić tej Vorarbeiterin, pod której dozorem noszą z odległego sadu darń. Ona pozwala im odpocząć w cieniu drzew i ułatwia czerpanie rzeźwiącej, czystej wody ze studni w opustoszałym gospodarstwie. Jugosłowianki wyczuwają w niej siostrę, gdy przysiada na brzegu grobli i nie zważając na zwolnione tempo w przybijaniu darni rozmawia z nimi polsko-jugosłowiańskim, dla obu stron zrozumiałym dialektem o dalekiej Jugosławii, o jej zwyczajach, o domach i sadach owocowych, a na koniec obiecuje po skończonej wojnie przyjechać do nich w odwiedzin. Od czasu tych rozmów postać Vorarbeiterin budzi ciągle na nowo wspomnienia rodzinne, jej nadejście staje się miłe jak nadejście kogoś bliskiego, czar dalekiej Jugosławii owiewa w oczach Jugosłowianek tę postać i wzrok ich wita ją wilgotnym blaskiem wzruszenia.

Teraz, nie bez pewnego wahania, zwijają na biodrach węzły spódnic i wchodzi do stawu.

Związane dłońmi idą za nią dwoma długimi rzędami. Ona pierwsza, pośrodku, jak holownik wparty wysiłkiem swego ciała w fale, ciągnie naprzód dwieście kobiet, zanurzając się z nimi coraz głębiej. Ruchliwa fala rozplątuje węzły sukien i fartuchów kołysząc ich brzegi. Jest głęboko, nikt już nie zważa na zamoczenie ubrania. Najważniejsze to, żeby przebrnąć głębiej i dotrzeć do pokosów tataraku. Wsparte o siebie nawzajem ramionami kobiety odczuwają prawo współdziałania. Nikt się nie chwieje, nikt się nie boi, ostatnie ciągnięte przez pierwsze mijają niebezpieczną toń, a potem wszystkie, półkolem otoczywszy cały skoszony tatarak, biodrami i ramionami popychają go naprzód, na suchy brzeg. Żadna z kobiet nie rozumuje, lecz wszystkie odczuły przyjemność pokonania trudności bez użycia kija.

Pchają teraz tatarak, a ilekroć napotkają na powierzchni fal biały nenufar, zrywają go i rzucają na płynącą przed nimi zieloną ławicę. Zbiera się w ten sposób duży pęk wodnych kwiatów, który zostanie sprytnie przeniesiony przez bramę i wieczorem znajdzie się w baraku chorych.

Gdy wyciągnąwszy tatarak na brzeg kobiety wychodzą ze stawu, widzą, że wrzody Vorarbeiterin pękły i wyciekły w wodzie. Pozostały po nich wgłębienia z lekka krwawiące.

Jest już późno, szef pośpiesznie formuje kolumnę w piątce i ponagla do marszu. Mokra sukienki oblepiają ciała chłodząc i rzeźwiąc.

Niełatwo mieć za sobą pracę w stawach po pas i wyjść z niej zdrowo; mijać rozstawione dłońmi śmierci zasadzki, zostawiając je ciągle za sobą, przed sobą mając coraz bliżej metę, do której - nie wie nikt, czy dojdzie.

Gdy się patrzy z daleka na brnące przez trzęsawisko z tragami w dłoniach postacie, widzi się tylko, mówiąc językiem obozu, korowód „muzułmanów”. Lecz po przyjrzeniu się o wielu można już coś powiedzieć na podstawie zewnętrznej obserwacji. Każda z nich jest kobietą inną, wiele jest niepospolitych, wybitnych nawet. Jedne wyróżniają się urodą mimo spalonej skóry i obciętych włosów, inne pogodą postępowania, inne jeszcze tym, co opowiadają o nich znajome na temat, czym były w minionym czasie.

Zdarzają się postacie, które pozostają w pamięci na zawsze.

Kto pamięta Alegri? Alegri o oczach pięknych jak czarny aksamit lub jak burzliwa noc. Krucze włosy dopiero pierwszym łokciem zaczynają wyrastać spod białej chusteczki. Lecz to jej nie szpeci. Twarz jej o ciemnym odcieniu skóry jest tak piękna, że patrzenie na nią budzi pytanie, czy artyści uczyli się od natury, czy też, przeciwnie, natura w dziełach swych naśladowała dłoń artystów.

Alegri ma piętnaście lat. Przywieźli ją tu z dalekiej ojczyzny i rzucili w wielojęzyczny tłum jak głuchoniemą. Nie mówi żadnym językiem prócz greckiego, a więc może mówić tylko z Greczynkami.

Ruchy Alegri są spokojne w odróżnieniu od nerwowego tłumy drgającego ustawicznym pośpiechem w pogoni za szansą życia. Coś ją odgradza od otoczenia, coś czyni ją inną, jakby słońce świecące nad Polską rzucało na jej głowę jeden z tych promieni, które przeznaczone są dla dalekiej Grecji.

Okazało się, że Alegri ładnie śpiewa. Przywołana przez funkcyjne, pozostawia łopatę i wychodzi na groblę. Wzrokiem pytającym patrzy na swe zwierzchniczki, które w mowie „na migi” tłumaczą jej, żeby zaśpiewała.

Jest cichy, upalny dzień, powietrze pachnące oddechem ziół, pełne wilgotnych powiewów od strony wody. Balony zaporowe jak zwykle od kilku dni stoją nieruchomo na niebie, po którym niezmiennie błąka się obłok dymu wybuchającego z komina wysokim pasmem, to znów przygasającego na kilkanaście minut. Ścieżkami, po groblach i dnem wyschłych stawów ciągną korowody kobiet wykonujących niepotrzebną pracę, spędzonych tu tylko po to, żeby fikcja zatrudnienia wyłamywała im ręce, przepalała żarem słońca głowy i wysuszała ciało pragnieniem, podczas gdy woda faluje i pluszcze. Alegri zrozumiała, o co ją proszą. Przez jej rysy przebiegł nieuchwytny uśmiech, jak promień słońca przez cienistą polanę. Unosi twarz, oczy jej wielkie, w których rozróżnić nie można źrenic, patrzą daleko, jakby nie widziały nic z rzeczy otaczających, jakby dojrzały na horyzoncie wyspy odległej Grecji, jakby w błękitnym powietrzu jawiła im się wizja Egejskiego Morza, po którym płynie biały żagiel. Jakby ze spokojem i ufnością wyczekiwały okrętu wybawienia.

Alegri zaczyna swą pieśń, a pierwsze słowo, jakie pada z jej ust nad stawami i łąkami Górnego Śląska, to „mama”, wypowiedziane z akcentem takim właśnie, jak je wymawiają wszystkie usta u nas w Polsce, do jakiego nasze ucho przywykło. I pomiędzy refrenami piosenki śpiewanej w mowie greckiej powtarza się to słowo—wołanie, słowo- tęsknota, słowo-miłość.

Głos Alegri, głęboki i miękki, chwilami drży gwałtowną tęsknotą, która — zda się — zerwie za chwilę tamy śpiewu i wybuchnie płaczem nieutulonym. Lecz łzy brzmiące w piosence spływają niedosłyszalnie w serce śpiewającej, a z jej ust najcichszym pianissimo pada „mama...” „...mama!!” — zrywa się z rozpaczą i zwięża nagłym bólem czarne oczy Alegri.

Dźwięczna jest pieśń o matce i niespodzianie piękna w swej śpiewnej recytacji nieznaney mowy, w której to jedno tylko słowo jest zrozumiałe.

Pieśń wsiąkała w ciszę. Trudno odgadnąć, czy Alegri zna losy swej matki, z którą w jakiejś chwili życia rozłączyła ją wojna. Trudno odgadnąć, gdzie, w której świata stronie, żyjące jeszcze czy już nie, słuchało jej pieśni serce jedyne, oddane bez granic.

Czy krematoryjny obłok jest miejscem, do którego pieśń swą powinna kierować, czy daleka Grecja, czy nieznanany przestwór świata, w którym się zgubiły?

Szuwary szumią dokoła, falowaniem tataraków grają akompaniament do pieśni, która rozplynęła się po nich jak rosa i osiadła na liściach.

Alegri śpiewa jeszcze jedną pieśń. Zaczyna się ona od słów: „O, talme chasis”, co znaczy podobno „O, powróć”. Jest to pieśń o nostalgii. Słowo „nostalgis” powtarza się w niej kilkakrotnie. To pieśń niezwykle melodyjna, półtonami smutku i tęsknoty wołająca. Za tę pieśń, Alegri, dzban złotego wina podać ci powinny najdroższe ręce, te ręce, które umiałyby ukoić twój ból.

Po obu stronach drogi prowadzącej przez Brzezinkę do Birkenau, na dużej przestrzeni, tak zresztą jak w plantacjach Baumschule na Budach, jak po wielu innych polach otaczających obóz, podobało się SS-manom zarządzić sadzenie jarzębin. Nie wiadomo, co ich do tego skłoniło, nie wiadomo, jakim podszeptom ulegli. Posadzono setki tysięcy krzaczków, które szybko pokryły się liśćmi.

Dziś Oświęcim razem z okolicami jest pusty. Międzynarodowy cmentarz, ciągnący się na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Okoliczna ziemia czerwieni się kroplami jarzębin — nieprzeliczonymi jak krople krwi, które na nią padały przez szereg lat.

Nic nie zostało po ludziach, którzy zginęli w Oświęcimiu, prócz tego, co w ziemię wsiąkło, prócz tego, co z ziemi emanuje.

Kobiety chodzące latem 1943 nad stawy Fischerei nie żyły już jesienią.

Gdy pełzały po dnie stawów, byt ich mniej był trwały niż byt pierwotniaków poruszających się na szkiełku pod mikroskopem. Jeszcze na chwilę są potrzebne albo przez chwilę nie ma co z nimi zrobić. Lecz jutro lub za godzinę ich „szkiełko” naciśnie dłoń człowieka, który nie znajdzie miejsca na myśl, że gubi jakieś egzystencje.

Wzniósł się z ich ciał dym nad krematorium, jak z wielu ich poprzedniczek i następczyń. Zginęła jedna generacja obozu, robiąc miejsce następnym.

Zginęła Alegri, biały kwiat, jeden z licznych kwiatów, na których postawiła bezmyślną stopę wojna.

Myślę, że dziś jak dawniej kołyszą się szuwary nad stawami na Fischerei i szumią swoją monotonną pieśń. Myślę, że można byłoby znaleźć jakieś przedmioty, obrośnięte trawą i

glonami, zgubione przez ludzi, którzy pracowali do ostatka. Jakiś zepsuty but o drewnianej podeszwie, zgnieciony kubek, te rzeczy, które znaczyły każdą drogę więźniów. Może jeszcze po przekątnej wyschłego stawu biegną ślady stóp ludzi, których już nie ma.

Zniknęły na horyzoncie balony zaporowe, zniknął obłok krematoryjnego dymu.

Nie przyjdą już co rano korowody ciemnych obdartusów, za którymi krok w krok ciągnęła wielopostaciowa śmierć.

Nie przyjdą więźniowie, żeby przez długie dni upalno dźwigać muł z jednego miejsca na drugie.

Cisza jest na Fischerei.

Dni wrzasku, przekleństw i jęków przeminęły, nie pozostał po nich żaden dźwięk. Tylko czasem, wsłuchawszy się w głęboki poświst wiatru wiejącego po trzcinach, usłyszeć można, stojąc na grobli pomiędzy stawami, tęskną piosenkę śpiewaną w obcej mowie, egzotyczną, niezrozumiałą, w której krzykiem rozpaczy rozlega się niekiedy słowo „mama!”.

Rozdział ósmy POLE WALKI

Mijają dni długie jak lata. Przybywają wciąż nowe transporty i jak generacje, które spełniły swe życie, odchodzą w stronę krematorium. Zmienia się wszystko. Pulsujące tempo zagłady burzy dziś to, co wczoraj zbudował ludzki instynkt trwania.

Kto przeżył tu rok, jest jak człowiek obdarzony przywilejem nieśmiertelności: patrzy na nadchodzenie nowych pokoleń — i żegna je, gdy odchodzą. Jeśli ma serce żywe, przywiązuje się czasem do kogoś z tych przechodniów, siłą wyobraźni wyczarowuje z nim razem świat, w którym żyć łatwiej. Świat ten zowie się jutro. Kto nim żyć potrafi, chodzi wśród zajęć dnia powszedniego jak w czapce-niewidce, jak w zaczarowanej zbroi, która hartowna jest i odporna na ciosy SS-mańskich dłoni.

Smak przyjaźni jest tu słodki jak nigdzie indziej i— gorzki zarazem. Składa się nań świadomość posiadania istot bratnich w tej egzotycznej pustyni — i lęk, niemal pewność utraty.

Schyłek lata przynosi poprawę doli. Wpływa na to wiele czynników, występujących w jednym czasie. Najważniejsze — to przeniesienie części kobiet do nowego obozu. W pierwszym okresie po rozmieszczeniu jest niezwykle przestronnie. Wprawdzie nocami nie ma się czym okrywać (w czasie odwszenia generalnego zabrano koce i nie oddano ich dotychczas), lecz jest lato, sypia się bez przykrycia, ciesząc się we śnie i na jawie faktem radosnym, że nie ma wszy. Nie ma wszy, bo nie ma wełnianych swetrów, nie ma brudnych koców, jest woda w umywalniach, przylegających do klozetów, są czyste deski koi własnoręcznie wyszorowane i wydezynfekowane zorganizowanym na rewirze chlorem. Nie

ma zagęszczenia ciał na legowisku, co powodowało dotychczas upał sprzyjający rozmnażaniu i przenoszeniu się insektów. Można spać swobodnie na koi, a wieczorem, po powrocie z pracy, usiąść wyciągnawszy nogi albo podparwszy brodę rękami leżeć i patrzeć przez szybkę na widniejący za barakami wysoki dąb, na który przed rokiem patrzyło się z daleka, z sąsiedniego odcinka obozu.

Widać stąd postacie kobiet rozebranych, myjących się na dworze, piorących odzież, skwapliwie czyniących ład, zrzucających z siebie obmierzłą skorupę brudu, własnymi rękami tępiących przyczyny epidemii, których usunąć nie chcieli Niemcy. Gdy dano im wodę, same już sobie poradzą.

Wprawdzie prac nie wolno. Biegająca przez obóz w wysokich butach, strojna i piękna Lager-Alteste, Stenia Starostka z Tamowa, Polka, pełniąca najwyższą funkcję wśród kobiet-więźniów, kopniakiem wylewa drogocenną wodę, wyrzuca w błoto miskę i leżącą w niej bieliznę, rozpędza piorące, tępi wszelkie odruchy swobody.

Ochryplym głosem woła za uciekającymi:

— Du, Mistbiene! — Du, alte Kuh! — Du, Kremato-riumsfigur! (Ty, gnojku! Ty, stara krowo! Ty, figuro kre-matoryjna!)*

Lecz potrzeba nauczyła kobiety sprytu, przebieglejsze są niż Lager-Alteste, mają swoje warty i swoje sposoby. Mimo ustawicznej walki z SS-manem i jego pomocnikiem-więźniem, który gorliwszy bywa od SS-mana, potrafią uchwycić wspólnymi dłońmi każdą okoliczność sprzyjającą przetrwaniu.

Władze obozu, dające często dowody niedbalstwa, tępoty i braku kwalifikacji, tym razem również nie mogą dość szybko rozwiązać problemu przerastającego ich siły. Dla wielu z nich obóz to okazja szybkiego bogacenia się; zamiast administrować zajmują się transportami przywożonymi do krematorium, rabują złoto, kosztowności, futra; wysyłają! Po dokonaniu przeprowadzki faktycznej nie umieją odtworzyć jej w ewidencji, w przegrupowaniu kolumn, w zmienionej liczbie ludzi do codziennej pracy.

Zamęt ten wychodzi na dobre kobietom. O wiele łatwiej „zadekować się” i nie wyjść w pole teraz, gdy jeszcze nie wszystkie kolumny zostały uruchomione, gdy SS-mani przestali się orientować, kto został na odcinku „a”, a kto przeszedł na „b”, do tak zwanego obozu pracujących.

Od kiedy jest woda, pozostawanie co pewien czas na cały dzień, to rzecz bardzo ważna. Ukryć się teraz, gdy są dwa obozy kobiece, jest znacznie łatwiej niż poprzednio, bo władze prawie nigdy nie kontrolują równocześnie odcinka „a” i „b”, lecz napadają niespodziewanie całą grupą na jeden z obozów kobiecych przerzucając się potem na drugi albo poprzestając na pierwszym. Nie sądzą widocznie, żeby ktoś uchylający się od pracy w polu śmiało przechodzić swobodnie przez otwartą obecnie, lecz strzeżoną bramę pomiędzy kobiecymi obozami. W bramie dyżurują funkcyjne przepuszczając bez zatrzymywania idące służbowo. Żadna z najdłużej będących na stanowisku funkcyjnych nie zna wszystkich sekretarek bloku,

zastępczyń, sztabowych, które mają prawo chodzić swobodnie po obozie w godzinach pracy. One również nie znają się nawzajem w kilkudziesięciotysięcznym, zmiennym, co dzień innym tłumie. Każda obdarta, brudna, o ruchach niepewnych i lękliwych dostanie bez słowa w twarz i musi natychmiast wracać, choćby istotnie szła z ważnego powodu. Schludna, stąpająca ze swobodą pewnego siebie człowieka jest mniej narażona na zatrzymanie. W tym kraju przeważającej ciemnoty magiczną rolę gra biała kartka, niesiona w ręce, pusta, biała kartka, na podstawie której dyżurujące funkcyjne przepuszczają idącą. Gdyby jednak nawet wtedy patrzyły podejrzliwie, rzuca się krótko: —Dienstlich!(Służbowo!) *

Lecz najczęściej jest to zupełnie zbyteczne wobec wymowy kawałka papieru, który ułatwia swobodne poruszanie się po terenie dwóch kobiecych obozów.

Prócz powiększenia terenu zjawiają się jeszcze inne okoliczności, które zmieniają dolę.

Wydarzenia na pozór drobne, jakich widuje się dużo, lecz w następstwach swoich doniosłe. Funkcje capo kąpieliska pełni Puffmutti (nazwiskiem Musskeller), najbardziej rozpanoszona istota spośród więźniów w obozie kobiecym. Wykorzystując sprzyjającą okoliczność, że Oberaufseherin Mandel wyróżnia ją, jako swą rodaczkę pochodzącą z tego samego miasta, Musskeller pozwala sobie na wielką samowolę. Robi to, co robi wiele innych funkcyjnych pozbawionych wewnętrznej prawości, lecz inne czy to ze względu na lęk przed władzami i obawę utraty stanowiska, czy dzięki szczątkom wstydu, są o wiele mniej potworne niż ta. Ona w stosunku do współwięźnia jest bezwstydna. Gdy w czasie odwszenia idzie pomiędzy nagimi — tęga, rozrosła, wielka, jej ukazanie się budzi lęk, jakby to szedł najgroźniejszy z SS-manów. Jej postać wryła się na długie lata w pamięć kobiet-więźniów Birkenau i teraz jeszcze, spotkana znienacka, mogłaby wywołać cofnięcie się. Szeroko rozstawione w marszu nogi, wielkie, tęgie biodra, kołyszące się gwałtownymi przegięciami przy każdym kroku, i twarz pąsowa, rzec by można, pełna bicepsów — drgająca kontentacją, wyrażoną w uśmiechu grubych ust. Twarz o oczach nie patrzących, lecz widzących. W jej spęczniałych mięśniach burzy się siła nie mająca ujścia, przelewająca się w wielkim cielsku przy każdym ruchu, wybuchająca przy każdym zadanym ciosie. Musskeller podnieca się, gdy bije, jej nabiegłe krwią oczy stają się mętne. Ciosy jej ręki wywołać mogą płacz nie tylko upokorzenia, lecz bólu. Musskeller bije w twarz, aż głowa ofiary odszarpuje się w tył, bije bez powodu, najchętniej wtedy, gdy patrzą na nią SS-mani.

Rządzone przez nią kąpielisko jest niedostępne. Tylko w czasie odwszeń lub oficjalnych niezmiernie rzadkich kąpeli można z niego korzystać. W innych porach zdobycie miski wody może się źle skończyć.

Nie ma rzeczy ani osoby, której Musskeller nie mogłaby w obozie kupić czy przekupić za cenę kosztowności i pożywienia rabowanego przechodzącym przez jej ręce nowo przybyłym. SS-mani korzystając z tych „zdobyczy wojennych” są dla niej pobłażliwi. Niejednokrotnie uchyla ona w ten sposób wiszące nad sobą niebezpieczeństwo i w dalszym ciągu otacza się przepychem, dopuszcza się zuchwałych wykroczeń po pijanemu spełniając swe liczne zachcianki. Zdarzyło się jednak, że Puffmutti przebrała miarę pobłażliwości.

Oczom zdumionych kobiet ukazuje się ona klęcząc u bramy obozu w oczekiwaniu kary. O jakiejś porze przechodzi tamtędy Rapportführer Taube. Musskeller zrywa się — przecież niejednokrotnie ręka w rękę dręczyli więźniów — i prosi o pomoc. Tym razem jednak Taube nie chce z nią mówić. Puffmutti schyla swój gruby grzbiet chcąc całować jego rękę, lecz długonogi Taube wpada w furję gniewu, zaczyna bić i z rozmachem raz za razem kopie w biegu uciekającą Niemkę. Nie ma nic smutnego w tym widoku. Nagle obraz ten nabiera cech niemieckiej szopki kukielkowej, w której bardzo blady, wysoki i chudy SS-man Taube kopie z zaciekłością bardzo czerwoną i grubą Puffmutti. Przyjemnie widzieć, jak szatan kopie szatana, bo wtedy można mieć nadzieję, że z dwóch pozostanie tylko jeden. Tak właśnie dzieje się tym razem. Puffmutti nazajutrz pompatycznie niesie szpadel na ramieniu maszerując w pierwszej piątce S. K., a kąpielisko staje się dostępne dla spragnionych kąpeli tłumów.

Wypadek dla obozu charakterystyczny. Zmienność losu często występującą w życiu ludzkim tu można obserwować lepiej niż gdzie indziej. Ileż razy takie jak Puffmutti władczyni obozu widzi się upokorzone, pchające „Scheisswagen” w grupie kobiet, które jeszcze wczoraj jęczały pod ich ciosami.

Koło fortuny obraca się tu szybciej i ktokolwiek znajdzie się na górze, spada błyskawicznie w dół. Przerzucanie człowieka z doli w niedolę to jedna z metod stosowanych wobec więźniów. Trzeba mieć silną głowę, żeby nie dostać zawrotu.

Pewnego dnia na mocy jakichś nieznanymi interwencji i decyzji zwolnione zostają z S. K. wszystkie Polki. Wśród tajonego, ale bardzo hucznego entuzjazmu powracają na bloki, żeby już tej nocy spać „na swobodzie”. To samo zarządzenie zamyka w bloku dwudziestym piątym Niemki mające czarne trójkąty dawane wieloletnim kryminalistkom, morderczyniom i prostytutkom. Trudno byłoby przewidzieć, jak poważne następstwa mieć będzie to wydarzenie. Okazuje się, że najwyższe stanowiska w obozie są w rękach Niemek, a te najczęściej mają czarne trójkąty. W ciągu godziny kolumny pozostają bez capo, bloki bez blokowych, magazyny bez magazynierek. W ciągu godziny wiele stanowisk odpowiedzialnych obejmują Polki mając możliwość dobierania sobie pracowników wedle własnej woli. Czasy zwycięstw „niebieskiej plamki” minęły. Wysokie funkcje (dzięki pomocy Wandy Maroszani, zatrudnionej w biurze przydzielania pracy) objęły kobiety, będące więźniami politycznymi, świadome obowiązku, jaki biorą na siebie. Zdarzały się co prawda i teraz wypadki okradania więźniów, obojętności na ich sprawy, tępego egoizmu. Wszelka funkcja bowiem dawała kij do ręki, wymagała okrucieństwa, posłusznego wypełniania rozkazów esesmańskich. Takie były prawa obozów koncentracyjnych. Umiejętność wypełniania funkcji capo czy blokowej, przy równoczesnym omijaniu prawa pięści, wykazały tylko nieliczne kobiety, świadome, bardzo mocne przeciwniczki hitleryzmu. Na ogół nowe funkcyjne nie chciały być dodatkowym personelem esesniańskim. Przez czasy nędzy i niedoli, przez czasy chodzenia w pole przeszły zwycięsko. Nieodłączne z osłabienia, często wyśmiewane, uczyły się techniki tłuczenia kamieni, dźwigania, posługiwania się siekierą i łopatą.

Kto dopędził pracownicę fizyczną w jej umiejętnościach, kto rzuca chleb jak piłkę wprost w rękę partnerki i chwytą w lot dwa lecące z góry bochenki nie pozwalając im paść na ziemię,

nie przerywając rytmu rzucania i chwytania, kto umie dźwigać jak każda robotnica, kto znalazł się w jednym rzędzie z silnymi fizycznie, a równocześnie cała jego wola, inteligencja, siła ducha spotęgowały się przeciwko hitleryzmowi, ten stanął mocno na obu nogach i tylko zła przygoda może go zgubić. W nim samym nie ma zguby. „Przeklęta inteligencja” zaczyna zwyciężać, „niebieskie plamki” pozostają na uboczu.

Przywieziony w lipcu wielki i silny transport Polek z Pawiaka trafia na sytuację niepomrotnie lepszą od tej, która była jeszcze kilka miesięcy temu. Jest czysto, jest woda, jest dużo miejsca, funkcyjne traktują ogół dość poprawnie. Śmiertelność w obozie zmalała, baraki szpitalne świecą pustką i bywają miejscem wypoczynku dla chorych.

Nie ma tyfusu plamistego!

Nowo przybyłe nie rozumieją, że jest to jeden z wielu zmiennych okresów, jakie tu zdarzają się często, równie szybko przemijając. Nie słuchają rad, nie wierzą ostrzeżeniom, drwią sobie ze zgorzkniałych „starych Haftlingów”. Przyznają, że miały znacznie gorsze wyobrażenie o obozie w Oświęcimiu. To, co zastały, jest o wiele mniej groźne i ponure, niż sobie wyobrażały.

Jedna rzecz wydaje im się zła, to pożywienie, ale do tego nie muszą przywiązywać zbytnej wagi, gdyż bardzo szybko przychodzą dla nich z Warszawy paczki, w wielu wypadkach nawet przed wysłaniem pierwszego listu z obozu.

Baraki wprawdzie są odrażające, ale słoneczna pogoda odwraca od nich uwagę. Praca w polu jest ciężka, lecz powroty bywają prawdziwie przyjemne. Drogi, którymi idą kolumny więźniów, dostarczają drobnych zdobyczy. Wiele kobiet zdoła znaleźć coś, co im się przyda wieczorem na wymianę. Marchew, jabłka, gruszki, ptasie jajka, szczaw, wszystko to jest skwapliwie zbierane.

Przy drodze na przestrzeni kilometrów rosną rozłożyste krzaki jeżyn. Dawniej, przed wojną, były zapewne oblegane przez dzieci z okolicznych wsi. Dziś czarne, nadmiernie dojrzałe owoce wiszą długo na krzakach, aż opadną na ziemię siłą swego ciężaru.

Gdy kobiety w marszu dopadną na chwilę krzaków, nie potrzebują zbierać. Wystarczy podstawić miskę pod oblepione gałązki, zatrząść i jeżyny sypią się słodkie, pachnące, miękkie. Postępi konwojujący na ogół nie bronią tego. Z dala od obozu, od surowych oczu SS-manów wyższych rang są oni mniej gorliwi w katowaniu ludzi.

W pośpiechu nikt nie baczy na kolce jeżyn, które czepiają się nóg i biegnącym rozdzierają skórę do krwi. Pod jesień Polki z nowych transportów dostają bez trudu, z pomocą innych, zajęcia wewnątrz obozu. Wchodzą pod dachy baraków, w zatęchłe wnętrza magazynów wnosząc z sobą zdrową wiarę, naturalny optymizm, nie mogący pogodzić się z chorobliwą niewiarą tych, które tu wiele widziały.

Pewnego poranku na końcu kolumny pracującej w składzie zwanym Unterkunft stanęła grupka nowych. W swych pasiakach, jakie noszą kolumny polne (pracujące wewnątrz obozu

noszą od pewnego czasu odzież cywilną), równo i cicho stojące, wyglądają jak dziewczynki, które idą po raz pierwszy do szkoły. Na tle bladości dawnych pracownic, z których praca w głębi ciemnego baraku i tryb życia w obozie starły rumieńce dodając żółtawej barwy i obrzęku, twarze ich są jasne lśnieniem oczu, wymowne wyrazem twarzy, ciekawe jak książki, jak piękne książki, które przyjechały z utęsknionej oddali, aby pocieszyć smutnych więźniów. Takie też były. Jak ciekawe książki, z których znaczną liczbę niespodziewanie zamknęła śmierć i rzuciła w ogień.

Dzieląc los wszystkich nowo przyjętych poszły do łatania i cerowania koców przywiezionych z odwszenia.

Jest jedna z najpogodniejszych jesieni. Wydaje się, że baraki obozu wyblakły, wyschły i zmały pod działaniem łagodnych, lecz nieustannie grzejących promieni słonecznych. Senne brzęczenie much nastraja rozleniwiające. W głębi baraku na kupkach koców posortowanych na podarte i mniej podarte, cuchnących gazem i rozparowanym brudem siedzi gromadka kobiet. Przez otwarte drzwi widać zieloną ścianę przeciwległego baraku, która w jaskrawym blasku słońca do złudzenia przypomina łąkę.

A może to tylko drewniane deski pokryte zieloną farbą, lecz dla oczu, które od dawna widzą tylko powracające z odwszenia koce, łaty, rozdarcia — ściana ta jest pięknym przypomnieniem łąk.

Praca wewnątrz obozu zaczyna się o kilka godzin wcześniej niż w polu. Natychmiast po apelu, o przedświtowym zmroku, gdy kolumny polne zaczynają się zaledwie formować i długo jeszcze będą stać u bramy, pracownice wewnętrzne są już w barakach i zaczynają dzień roboczy. Tamte będą szły godzinę lub dwie, nim po raz pierwszy ruszą szpadlem, te już od dawna cerują podarte koce, których stosy są codziennie większe. Dzięki temu czas do południowej przerwy jest niezwykle długi, znużenie i ciepło, a ponadto siedząca pozycja, zabroniona w obozie przy większości prac, sprrowadzają nieprzepartą senność

— Spik mnie napada — mówi ruszając powiekami Walentyna Aleksandrowicz-Kielanowska, artystka teatru wileńskiego. Podnosi się, wynajduje kawałek mydła w kieszeni fartucha i patrzy na resztę pytająco. Mała gromadka wysuwa się z baraku, żeby po raz pierwszy w ciągu przedpołudnia przemyć oczy. Walentyna idzie pierwsza ścieżką pomiędzy barakami. Jej włosy, których nie obcięto przy wchodzeniu do obozu, otulają srebrnym lśnieniem kształtną głowę. Ma ona swoisty, pełen wdzięku sposób bycia, którym ujmuje sobie ludzi. Umie nie pracować i robi to tak ładnie, że nikt nie ma do niej z tego powodu żalu. Skaleczyła sobie palec prawej ręki i podchodzi z twarzą stroskaną do capo, którą jest Polka, Felicja Iwanowska, umiejąca ocenić kobietę przemawiającą do niej. Walentyna mówi tonem prawdziwego zmartwienia:

— Pani capo, cóż to będzie, nie mogę pracować prawą ręką, obóz na tym ucierpi

Z twarzy jej i postawy odgadnąć trudno, czy żartuje, czy mówi poważnie. A ona dalej:

— To może zgodzi się pani, że odtąd będę lewą ręką robiła to samo, co dotychczas robiłam prawą?

I tak rzeczywiście dzieje się do końca. Walentyna lewą ręką robi to samo, co prawą, to jest nic. Siedzi na stercie brudnych koców, na kolanach złożyła swe kształtne dłonie, z których obóz nie stał śladów starannej pielęgnacji, i zda się czekać na chwilę powrotu. Myślni jest już tam, poza obozem, poza chwilą obecną, którą ujmuje jedynie w czasie przeszłym. Jest przekonana, że przyjechała tu dlatego, żeby poznać Birkenau i móc ze swego pobytu zdać sprawę. Myśli jej, w którymkolwiek punkcie przerwać je i wywinąć na wierzch słowami, krążyć po Warszawie, po Wilnie, po Katowicach i Lwowie, są na scenie, w garderobie teatralnej, przed lustrem, w którego tafli odbija się postać ubrana w sutą krynolinę.

Podobno o najistotniejszych przeżyciach najłatwiej mówić z kimś nieznanym, spotkanym przygodnie, kto po kilku godzinach pojedzie w swoją stronę i więcej się go nie zobaczy. Zapewne w ten sposób traktuje Walentyna grupkę siedzących z nią przy pracy kobiet. Jak człowiek, któremu wypadło w podróży zatrzymać się nad wielką wodą na czas nieokreślony, patrzy ona w swe odbicie. Raz jeszcze przeżywa to, co było w jej życiu cenne, to, co dał jej przypadek, i to, co sama stworzyła. Raz jeszcze porywa ją teatr, raz jeszcze przygotowuje się do egzaminu i przeżywa emocje próby dramatycznej. A potem występuje. Opowiada plastycznie. Kobiety słuchając ją śledzą oczyma każdy gest i grymas, widzą salę przepełnioną publicznością, jarzące światłami świeczniki widowni, które wolno gasną zostawiając tylko blask u brzegu kurtyny. Cichy melodyjny gong — i kurtyna idzie w górę. Na scenie Walentyna Aleksandrowicz-Kielanowska. Barak odpływa gdzieś w nicość, kupki koców zmieniają się w wygodne fotele, w których kobiety zasiadają przeżywając widowisko. Zmieniają się dekoracje, obraca się ruchoma scena, wychodzą i powracają artyści. Zastygłe w zasłuchaniu twarze otaczają opowiadającą.

To nie tylko radość słuchania pięknej opowieści. Coś znacznie większego i donioślejszego przemawia z ich twarzy. Patrzą na kobietę, która przyjechała do nich z Warszawy, która była tam niedawno, nieledwie wczoraj. Ma w sobie nerw życia, czynny, nieustannie wrażliwy, podczas gdy one ugrzęzły głęboko w kraju zatruty. Opowieść Walentyny pobudza do myślenia. Kobiety unoszą blade oblicza sponad roboty i są jak starzec zgarbiony latami, który podniósł twarz i ze zdumieniem zobaczył słońce, dawniej codziennie widywane.

Gdy rower szefa zadzwięczy przed barakiem i Siebeneichel przychodzi kontrolować pracę, zasłuchana gromada podnosi koce i szuka w nich pośpiesznie dziur do cerowania. Milkną słowa, głowy pochylają się nad brudnymi szmatami, palce i igły migają szybko i wówczas w ciszy baraku budzą się myśli.

Drugą z grupy nowych jest Zofia Sikorska. Inne są jej sprawy i w inny sposób zapada w pamięć współtowarzyszek. Aresztowano ją razem z ojcem, bratem i mężem. Męża umieszczono w Oświęcimiu, ojca i brata w Birkenau. Staruszkowi udaje się od czasu do czasu przyjść na odcinek kobiecy do kopania rowów kanalizacyjnych. W głębokim dole, za nasypem z gliny biała jego głowa wygląda jak przekwitający mlecz. Kopie dzień cały, żeby przez chwilę popatrzeć na swoją córkę i w przelocie zapytać:

— Zdrowa jesteś?

Zofia jest nowicjuską w obozie i w swoim miejscu pracy, nie zna jeszcze wielu „chodów”, nie orientuje się ani w zwyczajach, ani w niebezpieczeństwach tutejszych. Mimo to potrafi zagrząć kubeczek kawy i upiec kilka ziemniaków w popiele, a potem wybiec z baraku i przechodząc zostawić na brzegu rowu, w pobliżu ojca. Potrafi również za cenę dobrych rzeczy z paczki kupować swetry, skarpetki i buty dla mężczyzn.

Wedle opowiadań kobiet gestapo wiedziało, że ona właśnie posiada klucz całej sprawy i od jej wytrzymałości w czasie przesłuchiwań zależało wydobyć zeznań dotyczących wielu mężczyzn. Niemcy postanowili, że Zofia Sikorska musi zeznać. Ona zorientowała się w sytuacji. Prawdopodobnie po pierwszych przesłuchaniach brakło jej odwagi, może czuła obawę wypowiedzenia wszystkiego w czasie tortur. Zamknięta w celi izolacyjnej, zdobytym kawałkiem szkła otwiera sobie żyły. Traci przytomność wskutek upływu krwi, lecz odzyskuje jeszcze świadomość o świecie. Jest to pora inspekcji cel przez jednego z wachmajstrów. Zofia Sikorska wie, poprzestaje on na zajrzeniu do celi przez szybkę w drzwiach, podczołguje się więc blisko, wstaje, opiera się o ścianę i czeka, chcąc ukazać się w szybcie i zasłonić sobą celę zalaną krwią. Manewr udaje się. Po odbytej inspekcji znowu przecina tętnice, tym razem skuteczniej. Gdy otwierają się drzwi, ściana celi zbryzgana jest czerwienią, na podłodze w kałuży krwi leży Zofia Sikorska. Wachmajster telefonuje do gestapo, z którego natychmiast przyjeżdżają robiąc wielką awanturę. Chora zostaje oddana pod pieczołowitą opiekę lekarską, jest specjalnie pielęgnowana i dożywiana najbardziej luksusowymi w czasie wojny potrawami.

W czasie ponownych przesłuchiwań milczy.

Gdy przyjeżdża do Oświęcimia, ciało jej ma na sobie czerwone, niebieskie i czarne pręgi od bicia, biegnące wzdłuż ł w poprzek. To odznaczenia za wytrzymałość. Lecz Zofia śmieje się pełna ufności w swe siły.

Barbara Czarnecka-Chłapowska wygląda jak dorodna dziewczyna, która jeszcze nie żyła w małżeństwie. Jej ciało, odziane czy nagie, jest dziewczęco wiotkie. Twarz o regularnych, nieożywionych rysach, otoczona płowymi włosami, które niesforne, chłopięco spadają na wysokie czoło, jest jasna i piękna. Jej również nie obcięto włosów do samej skóry pozwalając zachować ludzki wygląd. Spokój i jasność promieniuje z tej postaci. Jasność bije z twarzy i czoła, z rysów niemal nieruchomych, a spokój z wielkich, zamysłonych, jasnoniebieskich oczu. Wiadomość, że Barbara ma czterdzieści lat, budzi podziw. Bo Barbara jest młoda, wykazuje to swoim głodem życia, rozmachem umysłowym, namiętym zamiłowaniem do planowania. Była kuratorem sądu dla nieletnich w Warszawie, opowiada o swoich nieletnich przestępcach umiając oceniać ich na tle zjawisk społecznych. Góra brudnych kołder piętrzy się wkoło, Barbara trzyma jedną z nich na kolanach i pilnie łąta. W odróżnieniu od Walentyny Kielanowskiej jest pilna. Chce wykonać przypadający na nią przydział pracy, chce wspólnie z innymi powiększać liczbę kołder naprawionych, na które czekają w bloku ludzie. Jej gorliwość jest wyzyskiwana. Barbara bywa wysyłana do prac ciężkich, długotrwałych, po wykonaniu których powraca uśmiechnięta do czekających na nią współtowarzyszcie.

Spokojnie znosi najgorsze traktowanie funkcyjnych. Cicha, pogodna, pełna prostej uległości, której pokorą nazwać nie można, bo nie występuje w niej w najmniejszym odcieniu uniżoność, Barbara jest jak apostoł, który przywdział na siebie pasiastą odzież i siadł na zydlu wśród więźniów, żeby dzielić z nimi czarną pracę, chleb i brud.

Cechą wspólną tych trzech kobiet, jak wielu innych, które przybyły z nimi razem lub nieco później jako sześćdziesiąty tysięcy, jest optymizm. Mają tak silne, widocznie na wewnętrznej wytrzymałości oparte przeświadczenie o rychłym powrocie, że aż to udziela się „starym Haftlingom”. Wojna biła je dotychczas w różny sposób i nie spowodowała upadku sił, nie może go też spowodować pobyt w Oświęcimiu. Jest w tych kobietach uparta, wspólna wola. Wola wytrwania, wola powrotu. Jest brawura tych, które umieją stawić czoło niebezpieczeństwu. Jest cierpliwość, pomagająca ze spokojem zachować się w obecnych warunkach.

Patrzące na nie kobiety z transportów poprzednich pod wpływem ich żywotności stają się podobne do pszczół, które padły wieczorem na ziemię i leżały skulone z zimna, a teraz w promieniach porannego słońca wstają, prężą skrzydła, odczuwają chęć lotu.

Pomiędzy przybyłymi do obozu w lecie a starszymi okresem pobytu w Birkenau nawiązują się serdeczne więzy, które szybko w warunkach pełnych grozy rozwijają się w przywiązanie i braterstwo. Krótkie, dorywcze gawędy w czasie pracy, kiedy wszelkie rozmowy są zabronione, stają się niewystarczające. Umysły tych, które świeżo przybyły, nie przestały funkcjonować ani na chwilę, przeciwnie, zostały w sposób naturalny podniecone zetknięciem z bliską z problemami Oświęcimia. Umysły tych, które są tu długo i wszystkie siły organizmu zużywały na utrzymanie ciała przy życiu, teraz zaczynają się budzić. Budzą się pod wpływem nagłej poprawy warunków, pozwalającej wyjść poza poziom zwierzęcych potrzeb, i pod wpływem zetknięcia z indywidualnością nowych.

Po długich dniach pracy, w krótkie letnie wieczory odbywają się spotkania. Czasem w bloku ósmym w małym pokoiku po dawnym ambulansie, czasem w magazynie Unterkunfts, czasem u Idalii Sujkowskiej i Barbary albo u Wandy Moszczeńskiej. Różne bywają tematy tych zebrań i charakter różny.

Gdy program wieczoru spoczywa w rękach Lenty Kielanowskiej, mówi się o literaturze dramatycznej, o teatrze, dyskutuje się problemy zawarte w dramacie przez Walentyne napisanym.

Niekiedy — bardzo rzadko — mówi się o obozie. Barbara pragnie wziąć z kimś do spółki zarząd (mówi świetnie po niemiecku) i stworzyć warunki najdogodniejsze dla więźniów. Myśli o wszystkim. Czerwona miska, zabłocony but, mokra odzież są przez nią brane w dłonie rozwagi i rozpatrywane zewsząd. Gdy nie można rozwalić ostrokołu głupich zarządzeń, Barbara jest gotowa łagodzić je na każdym kroku, w odróżnieniu od ogółu blokowych, które częstokroć rozkaz czynią surowszym. Ona pragnie, żeby barak, w którym mieszka więzień, był jego przystanią i schronieniem po ciężkiej pracy i po tumulcie obozowym, podczas gdy dotychczas jest on dalszym etapem całodziennego tortury.

Konstelacje gwiazdne zmieniają na niebie swoje miejsca, a gromadka kobiet siedzi w ciemności nie widząc się nawzajem. Słyszą się tylko.

Czasem, gdy zamyślenie pada pomiędzy nie ciszą, ulec można złudzeniu, że ich tu nie ma. Że w pustce mówiły myśli od wielkiego napięcia zmaterializowane w słowa, które padły i przebrzmiały. Albo można pomyśleć, że kobiety te były i odeszły, że wchłonęła je ciemność, obóz, śmierć — i pozostała po nich cisza.

Lecz o śmierci nikt nie myśli. Rozpędem idzie ta gromada po linii największego oporu i idzie ciągle zwycięsko. Ponad rozkaz, ponad karę, ponad znużenie wiodą swoje życie i formują je coraz bardziej na wzór życia normalnego. Już umieją być czyste, już umieją być syte, uczą inne swej mądrości pomagając im zaspokoić te dwie najpierwsze potrzeby. Rozpowszechnia się ich zwycięska postawa, przybierana przez coraz szersze kręgi kobiet. Jest tak, jakby w tafli przytłaczającej obóz ktoś przebił mały otwór, przez który wnika pierwszymi uderzeniami powietrze ożywiają zdużone płuca.

Jest to okres częstych odwszeń z bieganiem nago po terenie obozu. Zawszenia ogólnego nie ma już w tym czasie w Birkenau. Zdarza się, że ktoś, wskutek skrajnego zaniedbania spowodowanego chorobą, psychozą

depresyjną lub zaburzeniami umysłu, śpi w ciemnej norze dolnej koi pokryty ruchliwą warstwą insektów, lecz są to wypadki pojedyncze, powodujące odsuwanie się w czasie apelu pełne oburzenia lub współczucia.

Odwszenia jednak zgodnie z rozkazem trwają, jak ktoś żartobliwie zauważył, dla łatwiejszego krzyżowania gatunków.

Jeżeli nie krzyżowanie, to w każdym razie gruntowne wymieszanie i rozprowadzenie wszy z odzieży brudnej la czystą zostaje osiągnięte.

Siła, z jaką wybucha ponownie tyfus plamisty, jest zastraszająca. Wielkie transporty przywożone ostatnio masowo z Belgii, Francji, Holandii, Niemiec giną z dnia na dzień. Ginią Greczynki. Różna bywa ich śmierć. Jedne idą do szpitala i tam umierają, inne kryją się ze swą chorobą w bloku, szybciej udzielając jej zdrowym, dręcząc się apelami i umierając gdzieś w kącie. Nocami bloki mieszkalne pełne są jęków i gorączkowych krzyków, na dole pod kojami stoją przydzielone ostatnio obozowi białe fajansowe miski używane przez ciężko chore za nocne naczynia. Coraz częściej spotyka się wszy, które najobficiej pienia się na ciałach ludzi gorączkujących. Przemoc warunków staje się silniejsza niż ludzkie próby samoobrony. Kto nie przechodził tyfusu dotychczas, nie uniknie go teraz. Kto jest już na tyfus uodporniony, zapada — może wskutek ogólnego zainfekowania organizmu — na jakieś inne choroby. Pienia się wrzody, występujące gniazdami lub rozsiane po całym ciele. Wybucha malaria. Ponadto pracownicy szpitala alarmują o pojawieniu się nowej choroby, której nikt nie umie określić. Diagnozy są sprzeczne. Nie wiadomo, czy to drętwica karku, czy pęcherzyca, czy, jak utrzymują niektóre lekarki, odmiana dżumy. Choroba trwa bardzo krótko, objawia się

sinością ciała, szernieniem ust, często wydęciem brzucha i dużymi plamami na ciele. Śmierć następuje w ciągu doby od wystąpienia tych objawów.

Szpital nigdy jeszcze nie był tak przepełniony. W kilkunastu barakach, które zajmuje teraz, leżą po trzy i po cztery chore razem w każdym łóżku.

Niedola ciągle inna idzie ze wszech stron.

Nie wiadomo, z jakiego powodu i za co kobiety są karane co wieczór klęceniem. Do późna we mgle jesiennych zmroków i krematoryjnych dymów można widzieć przed barakami szeregi piątek klęczących w błocie. Czasem trzymają ręce do góry, kiedy indziej w podniesionych dłoniach muszą dźwigać cegły. Wiew jesieni płynie spoza drutów i od pól, wiew zagłady tchnie z krematoryjnych wyziewów.

Wykroczenia indywidualne karane bywają bardzo często „Stehbunkrem”. Zdawać się może, że rozleniwieni okresem letnim SS-man przypomnieli sobie o istnieniu obozu, że woń płonących ludzi i widok trupów podnieciły na nowo ich energię. Są czynni jak nigdy. Najdrobniejsze przewinienie bywa surowo karane. Grupa kobiet z Babie przychodzi do Birkenau odbyć karę za śpiewanie polskiej piosenki w marszu wśród pól.

Kolumna polna złożona głównie z Polek i Rosjank wnosi do władz skargę na capo-Niemkę o nieuczciwe wydawanie w polu zupy. Podobno capo wyławiała ze wszystkich kotłów ziemniaki i mięso i odstawiała w miskach na bok na obiad i podwieczorek dla siebie i swych najbliższych, a dopiero wtedy resztą brukwianej cieczy obdzielała w zmniejszonych porcjach zgłodniały tłum. Oskarżenie przyjęto.

Jest wiele kobiet w obozie, które widywały, jak capo przysmażają w polu kielbasę przeznaczoną dla więźniów i karmią nią siebie, SS-manów (z którymi ze względu na swe sprawy utrzymują dobre stosunki) — a resztę rzucają SS-mańskim psom. Lecz dotychczas nikt nie interweniował. Dziś odważna kolumna powraca z pracy w oczekiwaniu wymiaru sprawiedliwości. W bramie czeka je SS-man Arbeitsdienstfuhrer Schultz. Po apelu idzie wraz z nimi na osłonięty murem dziedziniec bloku 2b, gdzie ustawiono drewniane kozły do egzekucji. Schultz poleca Lager-Alteste pilnować, żeby kobiety nie ruszały się z piątek, ujmuje pejcz:

- Na, los, komm!(No, jazda, chodź!)* — woła do pierwszej z brzegu.

Dwieście kobiet ma dostać chłostę, po 25 uderzeń każda. Wskutek niespodziewanej interwencji którejś Lager-Alteste Schultz darowuje karę Polkom i własnoręcznie wymierzają Rosjankom. Nim kończy, jest już ciemna noc. W smugach światła widać korowód kobiet zbliżających się wolno do miejsca, w którym każda z nich kładzie się pod bat. Na tle drzwi bloku zgina się postać Schultza i miga jego ręka z pejczem.

Nagle wszczynają się zamęt. W ciemności kobiety czekające usiłują przesunąć się do grupy tych, którym już karę wymierzono. Schultz to dostrzega. Chwyta jakąś wychudłą postać

brnącą z trudem przez błoto. Ujmuje ją w biodrach, wznosi wysoko i z rozmachem rzuca głową w dół. Potem obejrzawszy swą opuchniętą dłoń powraca znów do bicia.

Na środku dziedzińca pozostaje nieruchoma postać Rosjanki leżącej z głową przegiętą do tyłu, z rozwartymi ramionami. W ciemnościach jesiennego wieczoru rozlegają się wrzaski, wycia i jęki.

Każdy dzień przynosi teraz zmianę na gorsze.

Polki, które w lecie objęły stanowiska, odpadają jedna po drugiej wskutek ciężkich chorób i śmierci. Zastępują je Niemki z czarnymi winklami, które stopniowo zwalniane są z S. K. Równocześnie szeregi S. K. zapełni ają się znów Polkami. To przywraca obozowi dawne, ponure oblicze. Funkcyjne wnet wyczuwają nastrój i tendencję władz, dopuszczając się swobodnie samowoli.

Blokową na dwudziestym piątym b jest Żydówka ze Słowacji. Połowa mieszkanek to pracownice magazynu odzieżowego, uprzywilejowane przez capo Schmidt. Nie dostają one paczek, lecz jadają sardynki, owoce, wędliny. Sprzedają po cenach wygórowanych odzież i bieliznę wykradaną z magazynu (a nie wydawaną więźniom drogą legalną). Kobieta, która chce być czysta, musi kupić odzież, mydło, bieliznę, buty. Jeżeli ma paczki żywnościowe, sprawa jest ułatwiona. Lecz jeżeli ich nie dostaje, kupienie koszuli czy ciepłych pończoch jest dla niej niemal niedostępne.

Co wieczór w bloku dwudziestym piątym b snują się tłumy kobiet, na których odzieży, nogach i rękach osiadł pył dróg, zlepiona ziemia, grudki błota. Zatrzymują się pod wysokimi kojami pracownic magazynu odzieżowego i wołają w różnych językach, czasem tak:

— Pani! Koszulu ne majesz?

Wychyla się głowa. Nie pokazując koszuli zapytuje przede wszystkim:

— A czo matę?

Z dołu spracowana dłoń ukazuje zapłatę. Jeżeli jest to ciemny chleb obozowy z leżącym na nim plasterkiem margaryny, głowa cofa się natychmiast. Nie ma odpowiedzi. Znużona twarz pracownicy polnej pozostaje bez wyrazu. Oczy tylko rzucają spojrzenie pełne ponurych błysków. Odchodząc mówi:

— Chliba ne chcesz?

Rosjanki są tu w ciężkiej sytuacji. Nie mogą dostawać paczek z dalekich terenów Związku Radzieckiego zagrodzonych frontem. Są skazane na obozowe porcje, to jest na głód. One szukają po kuchennych śmietnikach lub stoją pod kuchnią, wykradając zupę brukwianą z kotłów. One są najbrudniejsze, bo nie mogą sobie nic kupić, a brudny wygląd przeszkadza im w zdobyciu lepszej pracy. Lepsza praca jest zresztą dla nich niedostępna również i dlatego, że

na ogół nie mówią po niemiecku, w odróżnieniu od Żydówek, z których każda język ten rozumie i szybko porozumiewa się z Niemcami.

W bloku dwudziestym piątym b prócz pracownic magazynu odzieżowego i kilkunastu kobiet z intendentury, zwanej Unterkunft, mieszkają chodzące w pole Polki i Rosjanki. Dola tych kast — robotnic polnych i robotnic wewnętrznych — jest najzupełniej inna i na tle owych różnic dochodzi do konfliktów wywołujących srogie kary.

Blokowa i sztabowe, ze względu na dostawę bielizny, odzieży i butów z magazynu, wyróżniają pracownice capo Schmidt zwalniając je od obowiązków.

Blok dwudziesty piąty b jest na końcu obozu, najdalej od kuchni. Przed gwizdkiem na wstawanie, a więc o trzeciej wedle czasu niemieckiego (to jest o drugiej wedle czasu polskiego) wychodzi gromadka wcześniej zbudzonych dyżurnych, żeby przynieść z kuchni kawę. Jest ciemno, rozespiane kobiety wpadają w kałuże. Dyżur taki skraca sen co najmniej o godzinę, ponadto pięćdziesięciolitrowe kotły są bardzo ciężkie, zwłaszcza że dźwiga się je przez ciemny, wyboisty teren grzęznąc w głębokim błocie.

Dziewczęta z magazynu odzieżowego nie chodzą nigdy po kotły. Kawę przynoszą pracownice polne, wyznaczane nadmiernie często. Są cierpliwe jak każde stworzenie ludzkie trwające w obozie, które zdaje sobie sprawę z niesprawiedliwości i krzywdy, ale milczy. Zdarzył się jednak odruch sprzeciwu ze strony krewkich Rosjanek, nawykłych do sprawiedliwości i równości. Któregoś poranku, widocznie zmówiwszy się uprzednio, postanowiły nie reagować na budzenie po kawę. Lecz blokowa potrafi budzić. Przemocą, biciem, wyszarpanięte z legowisk stają na ziemi, lecz nie dają za wygraną. Uciekają na dwór krzycząc, że dziś mogłyby pójść do kuchni dziewczęta z magazynu odzieżowego. Przyłapanie i bite z wściekłością, szarpia się przejęte buntem przeciw przemocy. Jedna pod ciosami padającymi celnie na jej oczy, usta, krwawiący nos krzyczy:

— Jewrejka!

Druga w szarpaninie uderza blokową. To wystarcza. Blokowa zapisuje numery i składa meldunek władzom.

Wieczorem przed blokiem dwudziestym piątym stoją w błocie, pomiędzy zebranych na apel piątkami dwa drewniane kozły. Przychodzi Niemka zwana Leo, pełniąca znów po powrocie z kwarantanny funkcję Lager-Alteste. Aresztowana przed laty, podobno za komunizm, nosi czerwony trójkąt, nieczęsto dawany Niemkom.

Jest znużona długoletnim życiem w różnych obozach i intratne stanowisko zdaje się nie sprawiać jej przyjemności. Przygarbione plecy jak u chorego zwierzęcia, które po ziemi włoży łeb, nie prostują się nigdy, nawet wówczas, gdy Leo podnosi głowę. Przyszła tu wypełnić nadliczbowy obowiązek dnia i wypełni go niedbale. Patrzy tępym wzrokiem po stojących kobietach i żadnych uczuć nie widać na jej zgaszonej twarzy. Nie ma ani cienia błysków satysfakcji, triumfu i podniecenia, jakie przebiegają po twarzach Niemców dokonujących egzekucji.

Od dawna zabito w niej człowieka, lecz nie obudzono bestii. Leo wywołuje skazane. Pierwsza, cicha i posłuszna jak więzień, który zna swój los, kładzie się na drewnianym koźle. Lecz zachowanie drugiej jest dziwne. Nie może opanować osłupienia oczu, ciało jej, jakby skuliło się w miarę podniecenia wszystkich obecnych, jakby połączono je z przewodami elektrycznymi i pozwolono przebiegać przez nie prądowi, drga coraz silniej. Konwulsyjne wstrząsy szarpią nią rytmicznie, piana występuje na usta, nieruchomy wzrok nie odrywa się od bitej. Ciężki atak epilepsji obala ją na ziemię. Leo nie uderzywszy nawet piętnastu razy zatrzymuje się, rzuca bat i ze słowami: „szlak trafi!”, śmiesznie wymawianymi po polsku, odchodzi, ciężkim, znużonym krokiem.

Rozlega się spazmatyczne szlochanie chorej podobne do ujadania, płyną z niej łzy, ślina, mocz i odchody.

Przegrały polne pracownice, zwyciężył magazyn odzieżowy.

Przykład działa. Samowola funkcyjnych rozrasta się w miarę wzrastania niedoli więźniów.

Na bloku dziewiętnastym b blokowa Pessy nie wydaje chleba inaczej jak rzucając go z daleka klęczącym w błocie kobietom. Odpowiedzią na ich protesty jest rozkaz klęczenia przez cały apel z cegłami w rękach wyciągniętych nad głowę.

Oto Maria Imiola, wtedy jeszcze blokowa jedenastki, bierze oficjalnie łapówki wypłacane żywnością z paczek za zwalnianie od pracy. Pół kilograma szynki — kilo masła, keks, biszkopt. Ten zwyczaj przyjmuje się na wszystkich blokach i mógłby być zbawienny dla chorych, gdyby zawsze miały się czym okupić.

Przychodzą selekcje. Gorączkujące kobiety, instynktem zwierzęcia szukając spokojnego kąta dla swej śmiertelnej słabości, podlegają przeglądowi.

Strach przed śmiercią ogarnia obóz. Strach tysięcy pragnących żyć, a nie wiedzących, czy za chwilę dym krematoryjny nie zagęści się ciemnym wybuchem po wrzuceniu ich ciał, tak jak ściemniał wczoraj po odejściu z obozu grupy wysortowanych.

Jest poranek, w czasie którego nie puszczono nikogo do pracy. Nie wolno wychodzić z baraków. A tam, gdzieś w oddali, w drugim końcu obozu, krzyk przejmujący, głośny, znany okrzyk ostatni. Biegne słowo: „Sor-tierung” (sortowanie, przebieranie (w czymś), tu selekcja ludzi na śmierć.)* i słowo: Taube. Dla wielu to brzmi: „Śmierć”.

Podnoszą się półtrupcy ze swoich legowisk, ze swych cuchnących barłogów. Łazarze wstają ze swych łóż, by przygotować się na spotkanie z niebezpieczeństwem i wyjść z niego cało. Na bezkrwistych policzkach malują sobie rumieńce, sine wargi pokrywają warstwą szminki, a potem, znużone wysiłkiem, padają i dyszą okrywając się kroplami potu.

Lecz lęk jest potężny. Zbierają wiadomości o selekcji. Chcą się ukryć. Cicho, niepostrzeżenie wkręcają się gdzieś, nikną. Reszta kobiet wychodzi, żeby w kąpielisku pokazać się nago zebranym tam SS-manom. Rozjuszony blokowe przybiegają po brakujące, razem z

pomocnicami wynajdują je, ukryte w kątach, zasłane płasko w barłogach, nawet związane w siennikach. Popędzane idą na schorzałych nogach, padając, naprzeciw swemu losowi, którego nie unikną.

Wieczorem tego męczącego dnia apel się nie zgadza. Poszukiwania nie dają rezultatu. Kobiety mdleją w szeregach.

Przetrząsnęto bloki, magazyny, klozety, śmietniki, rowy, obejrzano druty — nigdzie nic. Sprawę komplikuje fakt istnienia dwu obozów kobiecych. W obydwu trwa apel, w obydwu odbywają się liczenia i przeszukiwania. Późnym dopiero wieczorem dostrzeżono w zimnym o tej porze piecu kąpieliska czyjeś jarzące silnym blaskiem oczy. Ze zdumieniem stwierdzono, że przez mały otwór wcisnęły się do pieca dwie wychudłe Francuzki i w straszliwie niewygodnej pozycji przesiedziały tam do rana. Było o wiele trudniej wyjść niż wejść. Wyglądało tak, że w ogóle nie uda im się odwrócić w ciasnym kanale i wydostać na zewnątrz. Gdy wreszcie wyszły, ich odzież, ciała i włosy były kruczoczarne.

Lagerarzt śmiał się łaskawie, kazał im dać gorący prysznic i mydło.

W wyniku selekcji jesiennych czasem zupełnie zdrowe, wspaniale zbudowane młode Żydówki znajdują się na liście przeznaczonych do gazu. Nie znają języka, nie rozumieją, dlaczego skazano je na śmierć. Oszalałe ze strachu wpadają do bloków, rzucają się do nóg, gestem i krzykiem nieartykułowanym błagają o ratunek albo szukają kryjówek. Lecz dla nich nie ma schowania, zostaną według numerów wyczytane i poprowadzone długą drogą wiodącą do krematorium. Jeżeli któraś z nich ma złote zęby, przejdzie jeszcze przed śmiercią przez wrywanie ich. Tysiące błądzących między klozetami i blokami „muzułmanów”, tysiące chorych i zdrowych znika z powierzchni obozu na wzór efemeryd, które czyjaś dłoń przykryła i starła.

Odruchy protestu nie powstrzymują biegu wypadków. Któregoś dnia dociera spod krematorium do obozu wieść, że idąca na śmierć młoda Żydówka, podobno artystka filmowa, widząc, jak SS-man Schillinger znęca się po pijanemu nad kobietami, wyrwała mu rewolwer i zastrzeliła go. Lecz czymże był ten pojedynczy strzał na tle nie zmałowanej ciszy krematoriów pracujących dniem i nocą? Minęły jednostki buntownicze i gromady bierne.

Minęła Grecja, która zjawiała się wiosną — jak opowieść o słonecznym kraju — i skończyła się w jesieni. Minęli ludzie, którzy mogliby żyć jeszcze dziś.

W tej zamieci, w tej bezmyślnej i ślepej sile bijącej w gromady ludzkie i niszczącej tysiące, ocalała Zofia Kossak-Szczucka. Huragan śmierci przeszedł ponad nią — i ucichł. Trudno odgadnąć, czemu zawdzięczać należy ten dobroczynny kaprys losu — czy grała tu rolę w różnych jednostkach z różną potęgą występująca chęć życia, czy inne jakieś moce. Kobiety myślą dużo o tym, mimo że mówią mało. Przyjazd pani Zofii do obozu, gdy spojrzeć nań z pewnej perspektywy, pobyt i powrót to wydarzenie — wyglądające jakby było inspirowane przez wielkiego reżysera życia, który rozdaje nam role, podsuwa rekwizyty i stwarza dekorację. Widocznie trzeba było, żeby właśnie autorka „Krzyżowców” przeszła przez

Birkenau — od początku do końca swego pobytu incognito — po to, żeby spojrzeć i zapamiętać.

Selekcje w tym okresie różny miewają cel. W Oświęcimiu tworzy się dla dostarczenia SS-manom i funkcyjnym więźniom „godziwej rozrywki” blok dwudziesty czwarty a, tak zwany Puff. Jest to dom publiczny. Zatrudniono w nim w dużej mierze niemieckie prostytutki, lecz sięgnięto również po inne. Sprawa kooptacji okryta jest tajemnicą. Mówi się, że kobiety idą do bloku dwudziestego czwartego wyłącznie dobrowolnie. Lecz zdarza się czasem, że trudno zrozumieć, co skłoniło niektóre z nich do powzięcia takiej decyzji.

Mieszka w bloku dwudziestym piątym b kobieta w średnim wieku, pracująca ciężko w pralni, utrzymująca się przy życiu w ten sposób, że poza praniem codziennym przyjmuje jeszcze brudną bieliznę znajomych w zamian za skromne datki żywności. Ma czerwony trójkąt; znaczy to, że nie została aresztowana za prostytutkę. Pewnego dnia zostaje wezwana do wydziału politycznego. Wywołuje to zrozumiałe podniecenie: przesłuchania miewają doniosłe następstwa, aż do pójścia na kwarantannę włącznie.

Po południu wraca i bez słowa zbiera swoje rzeczy. Jedyłą odpowiedzią na pytania kobiet jest płacz. A po kilku dniach wracające z pola poznają ją w grupie wystrojonych, ufryzowanych i umalowanych elegantek z domu publicznego, spacerujących bez numerów i więziennych oznak po obozowej drodze.

Najrozumniejszy człowiek miewa chwile, gdy uwierzyć nie może w rzecz oczywistą. Wtedy cały jego rozsądek, cała inteligencja i zasób wiadomości służą do ukrycia prawdy, do zasugerowania argumentów irracjonalnych ratujących w danej chwili sytuację.

Jak trudno jest uwierzyć rannemu amputowanemu, że nie ma już nóg, i odczuwając złudne w nich swędzenie sięga ciągle ręką, żeby się przekonać, czy jednak może są, tak kobiety opierają się wierze w swój tyfus plamisty.

I to je gubi. W chorobie tej atakującej bardzo silnie układ krwionośny, serce, mózg — trzeba leżeć. Trzeba leżeć od początku, zanim czterdziestostopniowa gorączka i nie zwali z nóg powodując niepotrzebne osłabienie serca przy każdym ruchu i wysiłku. Kto dzięki przypadkowi znajdzie się w szpitalu w pierwszym stadium choroby, ma więcej szans wyzdrowienia. Kto chodząc przetrzymuje pierwsze dni, ten odbiera sercu siły do walki w czasie kryzysu. Tyfus jest chorobą zbyt ciężką, żeby go można było przeżyć nie leżąc. To wie każdy. Lecz nie każdy wierzy, że zachorował na tyfus.

Bardzo łatwo wśród ustawicznych zaziębień wmówić w siebie — i nawet w otoczenie, że się ma gripę lub anginę.

Zofia Sikorska mówi stanowczo:

- Jakże mogę iść do szpitala ze swoim przeziębieniem, skoro tam na pewno dostanę tyfusu. A ja mam dzieci, do których pragnę wrócić.

Na to nie ma argumentu. I chora chodzi do pracy, prowadzona pod rękę przez przyjaciółki, zażywa kupowaną z trudem aspirynę, osłabiając się nią niepotrzebnie, blednie w czasie długich apelów. Objawy, jakie ma, są typowe i każda z długo będących w obozie jest niemal pewna, że to tyfus. Lecz nikt nie może powiedzieć: Idź do szpitala, bo nikt nie jest pewien, czy nie popełni błędu.

Męczy się Zofia wśród wielu innych męczących się tak samo chorych. Zjawiają się na nich wszy, które lgną do ciał rozgorączkowanych.

Barbara siedzi w baraku oparta o ścianę, sztywna, nieruchoma, jak martwa. Wielkie oczy utkwiała w podsufitowych szybkach, biegnących pasem wzdłuż całego baraku. Za tymi szybkami błąka się i wlecze, jawi się lawą gęstą i znika dym krematoryjny. Trudno odgadnąć, o czym myśli jasny umysł Barbary, siedzącej tak beczynnie przez wiele godzin, spalanej gorączką. Któregoś dnia Barbara mówi:

— Dziś rano zabrali Idalię. Na noszach. Straciliśmy kilka doskonałych książek geograficznych.

A dnia następnego, unosząc ku górze dłonie:

— Idalia już — dym.

Lenta Kielanowska leży w ciągu dnia w pokoiku sekretarki bloku, wstając na poranne i wieczorne apele. Ma również tyfus, lecz nie chce w to wierzyć.

Zmożona gorączką! swoją słabością, której przezwyciężyć nie jest w stanie, z trudem chwyta powietrze. Otwiera oczy podkrążone błękitnawymi wgłębieniami.

— Egzystencja tu — mówi kończąc prowadzoną z trudem rozmowę — podobna jest do wysiłków pająka, który rozpina swoją sieć pomiędzy palcami zwisającej bezwładnie ręki człowieka śpiącego. Przypadkowy ruch burzy wszystko, przędza się rwie — koniec.

Walentyna Aleksandrowicz-Kielanowska zmarła w kilka dni później w szpitalu. Było jej zapewne obojętne, że na jej nagie zwłoki zarzucono białe prześcieradło, że położono pęczki kwiatów, że delikatnie i ostrożnie złożono jej ciało do krematoryjnej karetki. Zmarli tego nie czują. To tylko zostający przy życiu, którzy nie zdążyli wyrazić swych uczuć, ulegają potrzebie okazywania ich, gdy jest już za późno.

Zofia Sikorska od pierwszych chwil pobytu w szpitalu niezwykłą cierpliwością budzi podziw tu, gdzie już przestano się czemukolwiek dziwić.

Niestety, przychodzi do szpitala za późno. Serce zbyt osłabione. Kryzys mija szczęśliwie, lecz wywiązuje się zapalenie osierdzia i skrżep w biodrze, przy którym ciało powinno być unieruchomione.

O Zofię Sikorska walczy wiele kobiet.

Jest ona jedną z tysięcy aresztowanych politycznie i pragnących wrócić. Nikim więcej. Lecz Zofia jest kobietą niezwykle, bezprzykładnie dzielną. Dzielnością swoją opłaciła kilkakrotnie ocalenie, którego wszyscy dla niej oczekują.

Doktor Węgierska, czynna dniem i nocą wśród trzypiętrowych łóżek zapełnionych chorymi leżącymi po cztery, zbiera przy Zofii inne lekarki. Razem z doktor Kasią Łaniewską, z doktor Jasińską, z lekarkami Rosjankami szukają dla niej ratunku. Zastrzyki, zabiegi medycyny okazują się bezskuteczne. Liczy się na odporność organizmu. Walka jest decydująca. Może nawet skończyłaby się zwycięstwem, lecz wtedy właśnie dociera do Zofii wiadomość, że ojciec zmarł, a brata wywieziono do Niemiec. Płonące oczy patrzą w skupieniu.

- Powiedzcie moim dziewczynkom, Joli i Gizi, żeby kochały się jak siostry. Bo są siostrami, Giria jest córką mojej zmarłej przyjaciółki.

Na rusztowaniach trzypiętrowych łóżek leżą po trzy, po cztery wychudłe ciała złożone niemocą. Szarzeją i stapiają się z sobą piszczelę i łachmany. W wielu wypadkach są to już zwłoki, które po godzinie albo po dniu ostygną. Czasem są to rekonwalescentki omdlałe z wycieńczenia i głodu. Ogarnęła je martwota i bezruch. Barbara jest tak samo wychudła jak one i tak samo śmierć wzięła już w posiadanie jej organizm powstrzymując wszystkie jego funkcje poza oddechem i myślą.

Leży wśród poskręcanych ciał konających. U jej nóg piętrzą się wielkie pudła, istne kredensy: paczki żywnościowe. Barbara nic nie je.

Nocą, gdy nikt na nią nie patrzy, ona siada na łóżku, otwiera pudła, wydobywa z nich w bibułkę poowijane pomarańcze, jabłka, torty, boczki. Pochyla się nad leżącymi bezsennie sąsiadkami, o których wie, że wracają do zdrowia i są dręczone głodem, przegina się w dół do leżących najniżej, stuka od spodu w deski łóżka górnego. Podnoszą się głowy bezwłose na wychudłych szyjach, piszczelę chudych rąk wyciągają się do podawanych paczuszek.

— Masz, masz, jedz! — woła szeptem Barbara.

Powtarza się to co noc. Skończywszy, Barbara przymyka oczy. Jest teraz obrazem zmarłej starej kobiety. Śmierć jak jesień na kwiecie położyła swe piętna na tej młodej twarzy. Skóra obciąża wydłużony nos i kości policzkowe, które stały się wystające. Usta są wąskie i sine. W głębokich oczodołach śpi spojrzenie okryte błoną powiek.

Lecz gdy powieki powoli unoszą się ku górze, ukazują się wielkie, lazurkowe oczy, które jedynie pozostały nie zmienione. Te oczy patrzą z oddali, z drugiego brzegu życia.

Bez przerwy palą się w tej głowie myśli, przejawiające się intensywnym wpatrzaniem wprost przed siebie. Z ludźmi Barbara już nie rozmawia, lecz mówi ciągle ze swymi myślami i ze zjawami wywołanymi podnieconą wyobraźnią. Chwilami myśli jej przemieniają się w słowa wypowiedane w pustkę.

Myśl Barbary jest jak święty ogień, który płonie równo i jasno, spalając w sobie do ostatka jej ciało. Wokół niej panuje cisza. Kobiety w swej niemocy mogą zaledwie monosylabami wyrazić swą wolę lub daremnie otwierają usta nie mogąc dobyć głosu. Barbara mówi pełnymi zdaniami, jasno i dobitnie, jakby odchodzące życie tu właśnie, w krainie myśli, zatrzymało się na chwilę pożegnania. Słowa jej brzmią nad śmiertelnymi legowiskami jak emanacja ostatniej woli konających lub jak przemówienie wygłaszane z mównicy przez niewidzialnego prelegenta.

Dla Niemców być — to wojować. Każdy człowiek i każdy naród ma w sobie silniej czy słabiej rozwiniętą ekspansywność, pęd ku nowym wartościom, zdobywczość i zachłanność. Różne narody różnie wyzyskują tę siłę stwarzając z niej dźwignię postępu. Niemcy znają ją, zwą ją u siebie „Drang”. Wszystkie swoje zdolności Minodowe kładą w pęd do podbojów. Z mentalnością jaskiniowca widzą jako cel swych wysiłków tylko mord, łup, krew. Jak twór pierwotny lubią oni wlec zdobycz do swej jaskini, by tam rwać ją, dzielić, a potem lec w oparach krwi i śnić o dalszych podbojach.

- To smutne, że naród niemiecki, mający bezsprzecznie wiele zdolności, nie widzi siebie i swej ponurej roli w dziejach. Naród niemiecki winien jest, że ludzkość czasów naszych zbacza na wielki manowiec, że przeżywa okres swego oblędu.

- Kto takie zbrodnie przeszedł, kto mógł bić się i, iko Niemiec i nie rznął karabinem o bruk, ten daleki jest od zrozumienia.

- Kiedyś, gdy młodzież niemiecka zacznie się uczyć historii, gdy pozna dzieje swego narodu i narodów innych, gdy zrozumie prawa rozwoju kultury — może zerwie się w niej protest przeciwko marnowaniu zdolności narodowych, może porwie się do czynu nowego.

- Czy Niemcy potrafią odrodzić swą duszę?

- Czy naród, który był dotychczas największym w dziejach burzycielem, nauczy się kiedyś budować? Zobaczymy. Tymczasem niejednokrotnie jeszcze przysporzy ludzkości kłopotu i zburzy spokój świata.

Barbara zapada w odrętwienie, oczy pokrywają się powiekami. Nie wiadomo, czy śpi. Lecz ona wyciąga chudą dłoń, porusza nią w powietrzu i mówi śmiejąc się cicho:

- Budują tu klozety, sadzą krzewy. Tu, in Auschwitz O/S! My wiemy, co to znaczy: zacierają ślad.

Chcą przywrócić nazwę „Auschwitz Oberschlesien” miejscu, które się nazywa Auschwitz Obóz Śmierci. O, wy Herrenvolk! Poznaliśmy was na wskroś, wasze kobiety i waszych mężczyzn, wasz Fanatismus poganiany do boju biczem gestapo. Jesteśmy inni. Żyjemy na przeciwległych krańcach pojęć, mimo że sąsiadujemy z sobą przez granicę.

Z cichym śmiechem dodaje Barbara:

— Naród polski nie będzie waszym Knechtenvolk. Po chwili, siadając na łóżku z szeroko rozwartymi oczyma, woła szeptem:

— Hej, hitlerowcy! Otwierajcie bramy! Idzie do was świat, idzie wielka koalicja narodów. Zwycięży barbarzyńcę. Spieszcie się! Zacierajcie ślady! Myjcie ziemię!

— W wielu krajach ziemia nasiąkła krwią ludzi przez was gubionych. Zboże rodzące się na polach będzie przez długie lata przepojone krwią. Następne pokolenia wezmą z tym chlebem zrozumienie. Pojmą, kto jesteście, pojmą, że z wami nie ma pertraktacji, że nie pomogą żadne kontrybucje, żadne zapłaty ni złoto zrabowane Żydom, ni brylanty zdarte z Żydówek w krematoryjnych przedsionkach. To na nic!

— Nie jesteśmy na tyle pierwotni, żebyśmy wołali: „zab za zab”. Nie pragniemy cofnąć się tak daleko, żeby wam dorównać w bestialstwie. My nie chcemy, tak jak wy, noża zatapiać aż po rękojeść w ciele bezbronnego.

— Spieszcie się, SS-mani, zacierajcie ślady. Nie za-trzecie wszystkiego. Choć cząstka tego, co robiliście, pozostanie na świadectwo. Wybuchnie prawda. Ziemia opowie ją ludziom.

— Jak czarny słup dymu z krematorium, który dniem i nocą dławił nam oddech w piersiach — stanie nad wami prawda, jak płacz dzieci żywcem rzucanych przez was w płomienie, tak prawda w was uderzy, jak nieprzeliczony tłum międzynarodowych nędzarzy braterstwem śmierci złączonych, tak braterstwo narodów powstanie przeciwko wam, jak prochy ludzkie rozsypane po polach, tak rozsypie się naród wasz wiedziony przez was samych szaleńczo ku zagładzie. Bardziej od Żydów, bardziej od Cyganów będziecie bezdomni.

Barbara zapada pomiędzy ciała innych konających.

W baraku ogarniętym ciszą rozlega się czasem czyjś ostatni jęk lub westchnienie. W półmroku jakieś oczy wymowne jak oczy niemego patrzą na postacie zdrowych usiłując wpoić spojrzeniem swą ostatnią myśl, gdy ciało już nie ma siły zdobyć się na słowa.

Co rano i wieczór przy każdym z kilkunastu baraków rewirowych zjawia się niewielki stos martwych. Przeciętna śmiertelność obu obozów kobiecych osiąga w okresie jesieni i zimy 1943/1944 liczbę trzystu zmarłych dziennie.

Na ziemi usłanej śniegiem złożono pośpiesznie nagie zwłoki i cisza tylko pozostała z nimi. Żywe idą do żywych, idą do konających walczyć przeciwko śmierci. Martwe są same. Wzrok żywych unika tych stosów jak złej wróżby. A one, co rano nowe, leżą niezmiennie pod szarym niebem, codziennie tak samo przez całą jesień ! zimę.

Miej odwagę, samotny więźniu, błakający się pomiędzy barakami, podejść bliżej i spojrzeć. Wszystkie przyjazne dłonie skuliła zimnem śmierć, wszystkie gorące serca ostygły. To, co leży na śniegu, jest może tylko rysunkiem z cyklu „Obrazki z lat głodowych”. Nikt nie nadał tym ciałom pozy chrześcijańskich zmarłych, leżących prosto, z dłońmi splecionymi na

piersiach. Każde z nich zastygło w ostatnim spazmie życia, każde zachowało w sobie swą ostatnią sekundę walki i tak znieruchomiało, tak leży i tak odejdzie. Krzyk bólu pozostał w rozwartych ustach i wysadzonych oczach, w skurczu rąk przywartych do piersi. Brzuchy wydęte - lub zapadłe, wyraźne żebra pod niemal przezrystą skórą, chude piszczele powyginanych rąk i nóg. Na wielu ciałach ciemnoniebieskie plamy.

To wszystko. Tak kończy cała zwycięska, odporna gromada kobiet, tak gaśnie słoneczne lato w Birkenau, pełne wiary, pełne projektów.

Daremne jest odwracanie wzroku. Wszędzie za drutami jak okiem sięgnąć powtarzają się całe serie takich samych obrazów w niewiele zmienionym wydaniu: tam trupy kobiece, tam męskie, Ł tam znów męskie, kobiece i dziecięce razem. Daremnie unosić wzrok ku górze. To nie niebo widać ponad drutami. To niepostrzeżenie i cicho zamknęła się gruba tafla lodu, przez którą nic nie przeniknie. Daremnie wzywać Boga czy człowieka. Niepodobna przywołać nikogo.

Jakże można wierzyć, że w miastach i wsiach osypanych śniegiem, nad stołami, pod kręgiem światła lampy, chylą się teraz właśnie główki dzieci, przygotowujących ozdoby na choinkę na zbliżające się Boże Narodzenie.

Cóż za bezsens! Tego nią ma. A jeśli jest, to tak daleko, w krainie bezpowrotnie utraconej, że lepiej zapomnieć. Jakiś daleki, odległy sen, który się nie powtórzy. Lepiej zapomnieć i żyć tylko tym, co pomiędzy barakami.

Tu, pod taflą nieprzeniknioną, jak wodorosty tkwiące korzeniami w dnie, błędzą wyklęci w błoto pielgrzymi-muzułmani.

Kto z nich przetrzyma czas niewoli? Gdzie, na którym milimetrze drogi zapisany jest kres ich wędrówki?

Zły czar każe im tak chodzić wlokąc się, dopóki nie padną na swe łoża śmiertelne. Zjawy bezbarwne, szaro-czarne jednakowo umierają, żeby spaść na obóz gęstym dymem krematoryjnym, który snuje się pomiędzy barakami, łązi, wlecze się, aż wreszcie gęstnieje i przybiera kształty ludzkie.

Ogarnia uczucie zanikania więzi z rzeczywistością, która w miesiącach letnich stała się bliska - najzupełniej chyba niepotrzebnie. Nie trzeba było patrzeć na kwitnące łąki, drzeć radośnie z poczucia powracających sił z poczucia braterstwa z gromadą maszerujących kobiet.

Jakiś duch ciemności błąka się pomiędzy blokami Birkenau, nogami grubo w szmaty owiniętymi gniecie nigdy nie zamarzające błoto, żywe błoto wciągające wszystko w siebie, i śmieje się cichym chichotem. Tak samo jak poprzedniej zimy chłonie z rozkoszą woń palących się ludzi i plami swym śladem świeżo spadły śnieg.

Dokąd iść, żeby nie spotykać ciągle nagich ciał leżących na ziemi? Dokąd iść, żeby zapomnieć?

Czas idzie przez dni jesieni, tygodnie epidemii, miesiące niewoli.

Znów nadeszła Wigilia.

Śnieg pada nieprzerwanie od kilku dni, chmury nieruchomo zawisły nad ziemią i rzec by można otwały się: bez pośpiechu, wolno i równo zsypuje się bezmiar śnieżnej bieli. Wiruje chwilę, nim wybierze miejsce i padnie, pojedynczymi płatkami czepia się w przelocie rzęs i brwi, dotyka ust, by natychmiast stopnieć, osiada na włosach i ubraniu przykuwając oczy do swego misternego kształtu. W tym kraju pozbawionym kwiatów, pozbawionym niemal zupełnie piękna, wzrok chętnie zatrzymuje się na maleńkiej gwiazdce śniegu, która padła na rękaw i drży na nim poruszana wiewem zamieci, zanim stopnieje.

Miliardy wirujących płatków krążą wokół lamp jak drobne białe owady, które gromadami ciągną do światła błędząc w jego zasięgu. Światło lamp nie pada już na ziemię ani na druty stożkiem zimnego blasku — pada wirującą, roztańczoną zadymką, która puszystością śniegu przysypuje rozgałęzienia kolczastych drutów, otula izolatory i coraz grubszą warstwą osiada na ziemi. Na betonowych słupach narastają białe czapy, budki wartownicze obrosły śniegiem jak mchem, każdy przedmiot i budynek ma na sobie biały pokrowiec.

Zamieć przesłania wszystko i wszystko głuży. Nie słysząc ludzkich kroków, które toną w głębokim śniegu, nie słysząc głosów, bo wchłania je w siebie wirująca chmura.

A jednak w tej bieli, w tej zadymce ktoś czeka, ktoś woła z jej głębi — trzeba krążyć pomiędzy barakami i patrzeć, czy przez sypiący śnieg nie ujrzy się gdzieś znajomej postaci, trzeba iść pod same druty, pod sam dąb stojący w zawieci, a potem przez bramę z obozu do obozu, w stronę baraków szpitalnych.

Krok w krok idzie ktoś niedosłyszalnie po śniegu, i mawiając mową ciszy. Śnieg sypie — śnieg sypie — natura w miłosierdziu swym wielkim otula całunem niepokalanej bieli to wielkie cmentarzysko, przysypuje nagość ciał leżących przy blokach i pod krematoriami.

Tego roku udało się pracującym w polu wnieść do obozu dość dużo maleńkich choinek, mierzących dwie, trzy stopy. Umieszczono je na kojach, kładąc pod nimi listy od najbliższych.

Gdy się długo nie widziało swojego domu, zapach gałązek choinki i blask jedynej, gdzieś z trudem zdobytej świeczki mogą dokonać cudu.

Dłonie spotykają się na białym opłatku przysłanym z domu w świątecznej paczce, łamiąc po małej kruszynie, żeby go jeszcze dla wielu współtowarzyszek starczyło, a uśmiech rozjaśnia skupione twarze. Wiedzą, że o tej właśnie porze pierwszej gwiazdy — rodziny ich dzielą

również opłatek składając życzenia obecnym i nieobecnym. A wspomniawszy istoty drogie w obozach koncentracyjnych, w nieznaną niedoli trwające, nie mogą powstrzymać łez.

Kobiety siedzące na kojach nie płaczą. Tu się nie szuka smutku. Tu się go delikatnie odsuwa, jeżeli to można zrobić dla siebie i innych, choć na krótką chwilę złudzenia.

Lecz smutek nie odstępuje. On tylko cofa się o krok, poza zasięg światła choinkowych świeczek, ukazując się w cieniu twarzami zmarłych towarzyszków niedoli, których brak w gronie żywych.

Wzrok obecnych skupia się na płonącej świeczce, ktoś zasluchany we własne słowa i w skupienie siedzących opowiada wigilijną bajkę.

Oczy wpatrzone w bieg fantastycznych zdarzeń nie dostrzegają, że świeczka gaśnie, że barak pogrąży się w mroku i tylko po belkowaniach i przęsłach pod dachem przesuwają się czasem odbłask światła. Z mroków, z sąsiednich kój wstaną za chwilę i przyjdą istoty, które tu żyły przed rokiem.

Kiedyś, gdy opustoszeje obóz, one tu pozostaną i w wieczory zimowe, może w taki jak dziś Wieczór Wigilijny, gdy wiatr nawieje śniegu do wnętrza baraku, przywoływać będą z mroków wigilijną bajkę.

W Wieczór Wigilijny tego roku zaproszono do baraku dezynfekcyjnego wszystkie Niemki (Reichs — i Volksdeutsche) polecając im przynieść z sobą miski i łyżki. Także i zasłużone funkcyjne innych narodowości są wyraźnie powołane i również biorą udział w uczcie.

Przy porcjach cebulowej zupy słuchają przemówienia okolicznościowego, które wygłasza donośnie Lager-führer Hessler. Wśród banalnej treści pełnej zapewnień i obietnic na przyszłość w zamian za dobre sprawowanie w tym domu poprawczym — padają gromko i rozbrzmiewają w akustycznym baraku nadzwyczaj często powtarzane słowa.

— Wir Deutsche!(my Niemcy)* — Wir Deutsche! — Wir Deutsche!

Jest w nich pycha tych, którzy nogę dobrze obutą postawili na gardle zwyciężonego.

Przez rozbite szyby kąpieliska wybiegają te głośne słowa na zewnątrz i w ciszy zasłanego śniegiem obozu docierają aż pod same baraki, w których świętują Wigilię kobiety nie noszące miana „wir Deutsche”.

Dzień Bożego Narodzenia, jedyny w dziejach obozu, k lory minął bez porannego i wieczornego apelu, zakończył się pierwszym występem kobiecej orkiestry, na który pozwolono przyjść również nie zamkniętym w tym dniu kobietom z S. K. W tłumie podnieconym nieobecnością SS-manów, muzyką i własną chęcią zapomnienia przewijają się postacie z pąsowym kółkiem na plecach. Jest z nimi też Musskeller, która dotychczas jeszcze nie została ułaskawiona.

Orkiestrą dyryguje Alma Rosę, Holenderka, świetna dyrygentka, mająca za sobą większe niż w Birkenau sukcesy. I zdarza się tego wieczoru świątecznego, że gdy rozlega się melodia pełna smutku, grana doskonale przez zespół kobiet zebranych z całej Europy, melodia bolesna, od której pierwszych tonów cisza zaległa wśród stojącego głowa przy głowie tłumu, obok dyrygentki zjawia się odziana w szarą suknię z czerwoną plamą na plecach Musskeller.

Wychudła i pociemniała przez ostatnie miesiące, jej sposób bycia nabrał cech niepewności. Nabiegłe krwią oczy podnosi na twarz Almy Rosę, dysząc i przechylając się w takt melodii. Dyrygentka skinęła. Musskeller z uśmiechem ekstazy przegina głowę do tyłu, rozwiera szeroko ramiona i zaczyna swój śpiew.

Nic w tej pieśni nie ma prócz tęsknoty. Zda się, że rozsadzi ściany baraku ta moc, którą śpiewająca wkłada w niewyszukane słowa:

— Wien, Wien, nur du allein... *

Gest rozwartych ramion tej kobiety, namiętny, zwierzęcy krzyk nadaje piosence odcień rozpaczny. O wiele za głośnie, o wiele za krzykliwe jest to na śpiew. Tak może wołać natura broniąca się przeciwko zniekształceniu jej.

Orkiestra wyczuła ton piosenki. Przemówił jakiś nerw szarpnięty w głębi instrumentów i w głębi serc. Rozwarła się omijana przez więźnia starannie dżungla tęsknoty i oto śpiewa wszystkimi swymi głosami. Forte, fortissimo gra orkiestra. Brzmi tętent biegnącego tabunu dzikich koni, które nie słyszą, że jeden z nich, schwyty w sznury i ukryty w głębi mocnej zagrody, rżeniem żalonym daremnie wzywa wolnych swych braci.

Melodia brzmi ciszej. Musskeller, uśmiechnięta i zapatrzona w obrazy dla innych niewidoczne, kończy pieśń. Tkliwie, płomiennie wymawia ostatnie słowa:

— O, du mein Wien! (o, ty mój Wiedniu) *

W kąpielisku dalej huczy gwar i muzyka — na dworze ciągle pada śnieg. Stopy brną przez białą przestrzeń, mimowiednie wybierając miejsca jeszcze nie deptane. Pod samymi drutami biel jest nieskazitelna. W zadymce uparcie rysuje się czyjaś twarz i znika, gdy podnieść wzrok. Czy to ktoś z tych, co odeszli? Czy może jest to owa dobrotliwa moc, która tak często przychodzi pomiędzy baraki zabierając z sobą ludzi w bezpowrotną drogę?

Część trzecia ROK 1944

Rozdział pierwszy OBÓZ CZEKA

Minęła zima ślepa od wpatrzenia się w ciemną otchłań, w którą odchodzą żywi rozpraszając się w nicość. Znowu któregoś dnia myśl dostrzega, że czas posuwa się naprzód. Znowu nadeszły dni lutego, miesiąca, który w obozie otwiera już okres wiosny. Jest dzień jak inne, jakiś ze środka wyrwany, nie oznaczony żadnym wydarzeniem. Mały przymrozek ścina śnieg, którego urodę podkreśla bystre, zimowe słońce. Powietrze jest czyste i smutek jakoś mniejszy — krematorium dziś nie dymi.

Mając plecy oparte o ścianę baraku orkiestry widzi się za linią drutów przestrzeń pomiędzy obozem kobiecym a męskim, znowu druty białe od szronu d baraki. Jak wizja, jak sen dręczący. Nie można drgnąć i otworzyć oczu. Jeszcze ciągle nie można się ocknąć.

Orkiestra gra cicho dla siebie jakąś melodię Griega. Pasma drobnych obłoków układają się na zimowym niebie.

Druty pokryte szronem są jak wielkie linie nutowe, narysowane białym tuszem na szarym tle krajobrazu Birkenau. Wzrok błąka się po nich, odgadując na różnych wysokościach znaczki nut.

Czasem jak bemoł rezygnacji pada na druty ciemny strzęp człowieka, który już nie chce widzieć jutra.

W tej chwili są puste. Jakiś wróbel siada na nich, kołysze się lekko, szukając łapkami miejsca na metalowych kolcach, i leci dalej nad obozy męskie.

Orkiestra gra ciągle, stwarzając wizję białego kwiatu leżącego na dnie jeziora pod taflą lodu.

Jakże można znieruchomiałą myślą zwrócić się w którąkolwiek stronę, gdy dzień wczorajszy rozpadł się w popiół, a jutro nie przyniesie zmiany.

Obok bloku szóstego sterczą gołe badyle polnych róż. Kołysane powiewem wiatru uderzają z lekka w drewnianą ścianę, kolcami zawadzają i drapią zielonawą farbę. Zasadził je tu któryś z mężczyzn, gdy jeszcze mieszkali na tym odcinku, a potem odszedł w głąb obozu, jak odchodzi każdy, kto w tej krainie rozstania przywiąże się do czegośkolwiek.

To nawet nie myśl, to tylko pobieżne pytanie rzucone czasowi w obliczu tych badyli — co będzie, gdy lato pokryje je liśćmi.

Po stronie obozu męskiego snuje się w pobliżu drogi szary kształt człowieka. Schyla się i podnosi, przechodzi i wraca, napełnia taczkę piaskiem, przepycha ją na inne miejsce, wysypuje i znowu jedzie z taczką pustą.

Kim jesteś, więźniu poruszający się w szarości, przewożący dzień cały piasek z jednego miejsca na drugie, co jest pracą równie celową jak przelewanie łyżką wody z morza. Dlaczego spełniasz tę niepotrzebną pracę? Czy jesteś już tak stary, że nie możesz dostać żadnego innego w obozie zajęcia jak tylko to monotonne, samotne zasypywanie piaskiem kałuż?

Czy też, przeciwnie, jesteś młody i zbyt piękne miałeś aspiracje, żebyś mógł szukać zaspokojenia ich tu, w obozie?

Może samotne zajęcie daje ci czas do spokojnych przemyśleń, do długich zapamiętań się w marzeniu, do półgłosnych z sobą rozmów, które, prowadzone wśród ludzi, zjednałyby ci miano obłąkanego.

A może obóz uczynił cię bezmyślnym zwierzęciem tęskniącym tylko do ciepła, spoczynku, posiłku. Kim jesteś?

Może to ty posadziłeś dzikie róże pod ścianą bloku szóstego i teraz przychodzisz tu w poblizę doglądać ich? Gdzie będziesz, kiedy róże zakwitną?

Bardzo trudno pisać o początku roku 1944 z perspektywy tego czasu, który potem nastąpił. Wówczas, po strasznej fali epidemii, która zgasiła w ludziach wiarę, wydawało się rzeczą zupełnie niemożliwą, żeby mogło przydarzyć się coś gorszego, żeby w ogóle były jeszcze jakieś niedole, których smaku nie poznał zamknięty za drutami więzień. Wydawało się, że to już dno otchłani, i smutek spowodowany był niemożnością wydostania się.

W kilka miesięcy później, gdy dno otworzyło się z nagłą pod nogami jak czeluść skalna, pochłaniając — często bezpowrotnie — bezbronnych ludzi, okres początku roku 1944 nabrał w naszych oczach cech zaciszności i pogody.

Ustały epidemie. Prawdopodobnie dlatego, że brakło już kobiet, które by ich nie przeszły. Dotychczasowy zamęt, wywoływany ciągłym przybywaniem nowych i lokowaniem ich w pełnych barakach, ustaje z wolna, w miarę ustawiania transportów do Oświęcimia. Powiększa się ład — lecz niedostrzegalnie, a jednak bezustannie rozluźnia się kontakt z rzeczywistością. Wyspa obozu odpływa coraz dalej od brzegu.

Praca codzienna z nieodzowną nadbudówką zajęć osobistych pochłaniających myśl i czas, praca przez siedem dni tygodnia, w niedzielę krótsza o kilka godzin.

Kto przeżył epidemie, zaczyna się przystosowywać jak roślina po okresie odbytej choroby w nie sprzyjającym klimacie i glebie.

Stopniowo budzą się potrzeby.

Gdy można już ciało utrzymać we względnej czystości, gdy koce są bez wszy, a głód, wobec nadsyłanych paczek, nie przybiera tak ostrych form, człowiek szuka w swym otoczeniu radości.

Radość to witamina, potrzebna ludzkiemu organizmowi jak słońce i powietrze, bardziej może niż cukier i tłuszcz. Zwłaszcza organizmowi powracającemu z trudem do życia.

Tej witaminy nie przysyłają w paczkach. Bywa czasem w listach, lecz nie zawsze i nie we wszystkich.

Darmo szukać radości w nie wytrzymujących krytyki wiadomościach politycznych, po których pozostaje rozgoryczenie.

W niedzielę po południu grywa w baraku dezynfekcyjnym obozu „b” kobieca orkiestra — gra świetnie, mając stopniowo coraz lepsze siły i doskonałą dyrygentkę — otóż na te koncerty zbiega się chętnie duża grupa słuchaczek. Kąpielisko jest zawsze przepełnione, za oknami stoją gromady. W środku sali Alma Rosę gra na skrzypcach z towarzyszeniem orkiestry.

Czy dla tych głodnych tłumów, czy dla siebie samej, zapominając gdzie jest, czy dla krematoryjnych dymów, dla swych ostatnich dni życia stwarza muzyczną legendę? — Nie wiadomo. Wyobraźnia prowadzi poza obręb drutów, w czas przeszły lub przyszły. Widniejący na ścianie malowanej wapnem napis „Im Block Mutzen ab!” — razi nieco i trzeba zamknąć oczy. Obóz znika.

Trudno określić, czy jest to radość — czy tylko zapomnienie. Gdy melodia cichnie, smutniej wracać do swojego baraku.

Bezczynność, tak krótka w ciągu niedzielnego popołudnia, przywodzi myśli, które odbierają siły i budzą brak wiary w celowość jakichkolwiek wysiłków.

Myśl odnajduje postacie tych, którzy odeszli, szukając uparcie wyjaśnienia, jaki czynnik sprawił, że wola życia zawiodła, co wpłynęło na zachwianie jej. Strzępki ich życia poznane tu w obozie stają przed oczyma jak strzępki poematów wydarte z większych całości.

Ciszę początku tego roku rozbija rytm pośpiesznych prac, których cel na razie jeszcze nie jest znany.

Kobiety chodzące do pracy na sąsiadujący przez drogę z obozem męskim pusty odcinek „c” widzą w zdumieniu, że nieprzeliczone kolumny mężczyzn idą od strony Oświęcimia niosąc z tamtejszych magazynów całe trzypiętrowe prycze. Ilość tych prycz, ruchomy las, korowód nie mogący się skończyć budzi niepokój.

Nie są to już roboty takie jak przenoszenie piasku z miejsca na miejsce, mające na celu jedynie zatrudnienie więźnia od poranku do wieczora w ustawicznym znoju.

Są to najwyraźniejsze przygotowania.

Dla kogo? Gdzie są ludzie, którzy będą tu spać? Gdzieś chodzą sobie swobodnie po ulicach, siedzą w domach lub jadą pociągami, nie wiedząc, że już muzułman, ich przyszły brat, zmęczony bardziej od jucznego zwierzęcia, przygotowuje dla nich miejsca w obozie koncentracyjnym.

Wychodząc przez bramę odcinka „c” widzi się przyległy od północnej strony teren dotychczas pusty. Tam właśnie mężczyźni zaczynają układać części drewniane, a po kilku dniach stoi już gotowy obóz. Baraki duże, takie jak kwarantanna kobieca; w ścianach ich okna jeszcze nie oszklone. Już nawet z tego miejsca nie można dojrzeć skrawka przestrzeni. Rozrastające się miasto więźniów, w tej części jeszcze puste, przesłania wszystko.

Nowo otwarte w Birkenau biuro budowlane {dotychczas było tylko w Oświęcimiu) podejmuje wiele robót.

W obu obozach kobiecych buduje się drogi, brukuje dziedziniec rewiru, żwiruje się placyki orkiestrowe przy bramach. Więźniowie spełniają te prace chętnie, widząc w nich swój pożytek. Stan zdrowotności poprawiający się z dnia na dzień, kominy krematoryjne dymiące rzadko, nieczynne komory gazowe — budzą znów otuchę i dodają sił do prac, nad których celowością więzień nauczył się już nie zastanawiać.

Nie myśli się o tym, w jakim celu tor kolejowy z Oświęcimia przedłużono do samego Birkenau. W marcu podchodzi on pod bramę wartowniczą, w kwietniu znacznie dalej, oddzielając dwa obozy kobiece od kompleksu wąskich obozów drugiego odcinka budowlanego, przesunął się między nimi i dotarł do Brzezinki.

Wokoło krematoriów, obok rzadkiego lasu pracują gromady ludzi zatrudnionych przy składaniu baraków i kopaniu ogromnych dołów. Powstaje nowy obóz noszący nazwę „Brzezinka”.

Z końcem kwietnia przestrzeń przy krematoryjną otacza się wbijanymi w ziemię, gęsto umieszczonymi palami i gałęzmi. Tworzy się w ten sposób gęsty, zielony mur, za którym nie widać ludzi, a ponad którym sterczy wielki dach i komin.

Jakaś cisza senna, nieruchoma przepelnia obóz, jakby zamiast powietrza było wszędzie idealnie przejrzyste szkło.

Martwe krematorium świeci szybami jak duża świątynia z kominem zamiast wieży, jak jakiś budynek z koszmarnej bajki. Można sobie wyobrazić człowieka, który zabłądził w pustce i po długich poszukiwaniach i daremnych wędrówkach spotkał ten dom. Widzi jego cegły, widzi jego okna ogromne i nie zrażając się niezwykłym jego kształtem kieruje się do wejścia spodziewając się ujrzeć za chwilę domowników. Lecz wszędzie pustka i cisza, nie szczeka pies, nikt nie wychodzi naprzeciw, więc gość jest zmuszony sam otworzyć sobie drzwi. Teraz dopiero spotyka gospodarza, którym jest śmierć.

Dreszcz przenika ciało, nie iżby ów obraz miał być przerażający, lecz dlatego przede wszystkim, że obłąkane, niezdrowe myśli czepiają się głowy.

Cóż za brednie! Krematoria są puste, żaden tam gospodarz nie błąka się po nich w spokojne dni, gdy są nieczynne.

Tylko wzrok do nich przywiera, do ich martwych ścian cegłami różowiejących, do wielkich dębów rosnących tuż przed nimi, u wejścia, i do sosen, brzoź i płaczących wierzb, których listowie zrudziało i spopielilo się od gorącego dymu.

Czarne ptaki bijąc powietrze ciężkimi zakosami skrzydeł okrążają te puste budynki, a wreszcie siadają na brzegu komina i przekrzywiając głowy patrzą w głąb.

Rozdział drugi CYKLON

Aż zaczęło się nagle pewnej nocy. Pograżonych w ciężkim śnie więźniów obudziły gwizdki i krzyki. W ciemnościach słycać dudnienie i sapanie pociągu, syk pary dobywającej się z lokomotywy, zgrzyt buforów. Jakby przy tym ślepym torze wykonanym rzekomo tylko dlatego, żeby więźniowie mieli zajęcie, powstała tej nocy gwarna stacja.

Nad zmieszane głosy mężczyzn i kobiet wybija się niekiedy płacz dziecka i donośniejszy niż inne okrzyk:

— Los! Aufgehen! (Łączyć. Tu: zacieśnić szeregi)* Aufgehen!

Od czasu do czasu bolesne krzyki świadczą o biciu, pada strzał, po którym nastaje cisza.

Pod ostrymi karami nie wolno wychodzić tej nocy z baraku. Potem stopniowo ostrość zakazów ustanie. Na razie jednak wszystko odbywa się wedle ściśle ustalonego planu, który przewiduje między innymi trzymanie więźniów z dala od tego, co się dzieje.

Rano kolumny kobiet-więźniów zostają przeprowadzone do pracy inną drogą niż zwykle, nie wolno zbliżać się ani patrzeć w stronę rampy, brama „b” jest nieczynna, do klozetu mieszczącego się po stronie północnej zabroniono chodzić, wysyłając kobiety w strzeżonych przez funkcyjne grupach, ustawione po pięć, do klozetów po stronie południowej.

Widoczna przez druty z tej strony obozu słoneczna pogoda, leżąca złotym pyłem na łąkach i polach, jest złudą. Złudą jest wszystko, o czym człowiek myślał kiedykolwiek, że to rzecz realna.

Jest jedna rzecz pewna, niewątpliwa, niezłudna: dym.

W barakach i pomiędzy barakami, pod niebem i nad ziemią, w ruchliwym powietrzu ciężki i nieruchomy jak ciało stałe przepelnia usta, gardło, płuca, nos, przesiąka odzież, przenika do pożywienia.

Z czterech krematoriów wyłazą ciemnymi zwojami słupy bijąc prosto w niebo, a potem skrętami opadają w dół

Czasem wśród gęstej lawy wybuchnie ruchliwymi płomieniami ogień bijąc potężnie z gardzieli komina, rwąc się przez czern w jasnoblękitne niebo i niknąc po chwili. Niekiedy — zwłaszcza nocami — krematoria przez długie godziny wyrzucają z siebie płomienie.

Po kilku dniach surowość SS-manów w stosunku do więźniów ustępuje miejsca niemal zupełnej obojętności. Zajęci większymi niż kiedykolwiek transportami przestają zwracać uwagę na obóz. Wolno chodzić w obrębie drutów, gdzie się chce, i patrzeć, na co się chce.

Ale patrzeć trudno. Drogę przyległą do rampy kolejowej przepelnia tłum idący ciasno głowa przy głowie, jakby w procesji. Bez różnicy wieku, płci, stroju, wszyscy stłoczeni posuwają się wolno, krok za krokiem na zachód. Upalne niebo sprawia, że pootwierali parasole osłaniając się nimi od niebezpiecznej dla zdrowia spiekoty, niektórzy znużeni powolnym posuwaniem się siadają na trawie rosnącej po zewnętrznej stronie obozowych drutów, uprzednio podłożywszy sobie pled, a wstając czyszczą starannie odzież. Zachowują się bardzo poprawnie i spokojnie, patrzą przed siebie w płonące kominy i idą naprzód. Na tle tej masy widnieje czasem biały kształt dziecięcego wózka, który jak łódeczka drga na ruchliwej rzece i potrząsany troskliwymi dłońmi z wolna posuwa się brzegiem drogi. Słysząc głośny płacz niemowlęcia wywołujący pochylenie się kobiety, pieszczotę, przewijanie, i znów po chwili na sunący pochód spada cisza wiosennego poranku.

Gdy pociąg wjeżdża na rampę, najczęściej nocą, ludzie, którzy wysiadają popędzani przez SS-manów 1 Sonderkommando (kolumna specjalna (więźniowie obsługujący komorę gazową i krematorium)*, są zmuszeni zostawić wszystko, cokolwiek z sobą przywieźli. Źle kończą się naiwne próby sprzeciwu; oprawcy wiedzą, jak sobie szybko radzić.

Tłum odchodzi w stronę krematorium, rzeczy zostają na rampie. Tego, co przywożą, jest za dużo na największą zachłanność. Pijani SS-mani brodzą w bogactwie, w dosłownym znaczeniu tych wyrazów depcą po kosztownościach. Zachęcając ludzi „wysiedlonych” z całej Europy do zabierania z sobą wszystkiego, co posiadają, pozbawiając ich następnie całego mienia hitlerowcy tworzyli dodatkowy kapitał pomagający pokrywać koszty wojny.

Odsyłają ogromne transporty złotych walut i klejnotów, złota i platyny, zegarków najwyższej marki, futer, obuwia i żywności na potrzeby Trzeciej Rzeszy. Ulegają orgii radości — tłumiąc może w ten sposób ludzkie instynkty, które pod tak silnymi bodźcami nie pozostają zapewne nieme.

Bogacą się, gromadzą fortuny w przeciągu kilku tygodni. Łatwo sobie wyobrazić, jakie ilości przywożą Żydzi „wysiedleni”, skoro w tym czasie do kuchni więźniów oddaje się beczki marmolad, konfitur, worki ciastek, dodawanych później do zup, mąkę pszenną, cukier, kaszę, beczki smalcu. Jest tego tak dużo, że dociera do każdego więźnia w postaci kawałków słoniny w codziennej zupie, węgierskiego sera albo kiełbasy dla całego obozu na kolację i tak zwanego „transportowego” chleba, który szereg razy jest wydawany jako porcja dzienna. W żywności bardzo często znajduje się ukryte klejnoty i złoto.

Jak dużo jest tego, skoro po wysłaniu kolosalnych ilości na potrzeby wojska, po nasyceniu SS-manów i Sonderkommando tyle można ofiarować kuchni.

Kobiety z kartoflami, którym oddano ziemniaki wiezione wraz z innymi zapasami przez węgierskich Żydów, znajdują wdeptane w nie kawałki mydła toaletowego, rozgniecioną czekoladę, orzechy.

Naczynia, po które jeździ się na rampę, są również świadectwem. Wielkie butle pełne gęsiego smalcu, połcie wędzonki i boczku, ogromne garnki konfitur truskawkowych, śliwkowych, brzoskwińowych, gąsiorzy wina, wódki, octu znaleźć można wśród odrzuconych odpadków, zakwalifikowanych na zabranie do obozu. Czasem sztaba mydła albo bochenek chleba mają ukryte w środku klejnoty.

Za dużo było rzeczy cenniejszych w zestawieniu / tymi, żeby na nie SS-mani zwracali uwagę. „Wysiedleni” przywożą z sobą niezwykle zapasy żywności, beczułki miodu, szynki, żywe gęsi, worki cukru, wina, owoce, w ilościach oszałamiających. Zdaje się, że zabrali z sobą wszystko, co kiedykolwiek w życiu mogło mieć jakąś wartość i zapewniało rozpoczęcie pracy w nowym miejscu. Obok waliz pełnych nowej bielizny, butów i futer, wiozą skrzynie drewnianych szewskich kołków. Zdobył genewskiego zegarka na złotej bransoletce — gdyby go ktoś chciał mieć — łatwiejsze jest niż znalezienie chwili spokoju.

Do pracy przy ciągle dowożonych transportach nie wystarcza Sonderkommando ani magazyn odzieżowy capo Schmidt, z którego dziewczęta bywają tam zatrudniane. Co chwila wpada któryś ze znaczniejszych SS-manów zabierając pracownice Unterkunfts do noszenia naczyń albo jakąś inną, przygodną grupę do wożenia żywności. Staje się wtedy twarzą w twarz z idącymi na śmierć.

Jedni odbywają swą ostatnią w życiu drogę sunąc piątkami na zachód, drudzy siedzą na ziemi, czekając, aż ustawią ich w szeregu.

Nad rowem — Żydzi starozakonni w długich chałatach, z poskręcanyimi pejsami zwisającymi spod czarnych kapeluszy. Ich twarze utraciły spokój, oczy pełne rozterki przebiegają od grupy SS-manów do grupy idących kobiet-więźniów polując na chwilę, w której będą mogli szepnąć:

— Wasser! Wasser! (wody, wody)*

Nie można im rzucić nic prócz spojrzenia, i to niezbyt jawnego, jeżeli nie chce się natychmiast dostać w twarz od SS-mana.

Zawiedzeni, wracają znów do swego wpatrywania się niewidzącymi, nadmiernie rozwartymi oczyma w perspektywę krematoryjnej drogi, którą odpływa cichy tłum, którą odejdą oni również wkrótce.

Niektórzy z nich omotują głowy swymi talmudycznymi wstęgami i stojąc na brzegu rowu, czarni na tle drutów rozjaśnionych wschodzącym słońcem, zaczynają swój poranny pacierz, po raz ostatni na ziemi.

SS-mani wyrzucają ludzi z wagonów, które w tej chwili otwarto. Inne, zaplombowane jeszcze, pełne huczącego w nich gwaru i jęku, pozwalają zaledwie na wysuwanie dłoni z kubeczkami gestem nie wymagającym objaśnień lub na łapanie kropel wilgoci spływających po nocnym deszczu z dachu wagonu. Czasem w szparze zamiast dłoni proszącej o wodę zjawiają się usta proszące o prawdę. W kilku językach pytają gwałtownie, gdzie są, czy to prawda, że jadą do fabryki jako robotnicy. Do fabryki cegieł?

Nad stosami pakunków, waliz, wiader stoją te deskami zabite wagony, z których rozbrzmiewa prośba o prawdę. Przelękłe oczy zamkniętych w nich ludzi daremnie usiłują odgadnąć. Po dwu stronach rampy widzą druty, a za nimi oddzielone od siebie nawzajem miasteczka baraków. Tam krzątają się ludzie wyglądający zdrowo, czymś są zajęci, coś robią, jedzą, myją się — żyją normalnie. To napełnia złudną ufnością, że na przestrzeniach pokrytych barakami i oni również — przybysze — znajdą sobie miejsce.

Czekają tylko słowa potwierdzenia od więźniów, którzy przychodzą na rampę.

Lecz ci odpowiadają milczeniem. Ani przez ułamek sekundy nie są sami, obserwują ich ustawicznie oczy SS-manów z wydziału politycznego, komendantów, lekarzy SS rozdających śmierć. Oczy te są błędne — lecz w pewnych kierunkach bardzo uważne.

W napięciu panującym na rampie nie można sobie pozwolić na wykroczenie, za które czeka kula rewolwerowa.

Nie wolno podnieść głowy i krzyknąć: — Jedziecie na śmierć!

Nie można pomóc im, żeby przestali być stadem baranów pozwalających się zabijać, żeby rzucili się do gardeł, do oczu oprawców.

Wolno jednak zbierać przedmioty zbytku, połamane tabliczki czekolady, zdeptane wianki fig. Nie mogąc być bratem, można być hieną.

Czasem ktoś przechodzi obok leżących pod nogami rzeczy nie biorąc nic dla siebie. Ale to sytuacji nie zmienia.

Znajdą się chętni, przetrząsną każdy stos łachmanów.

Jedne ręce bezinteresowne w tłumie innych nie zmieniają sytuacji ogólnej.

Mówi się powszechnie, że lepiej zabrać, co można, zamiast zostawić Niemcom. To jest jedynie wykręt wobec samego siebie, mający tłumaczyć pierwszy krok w chciwości. Po tym kroku jest się już na równi pochyłej prowadzącej stopniowo do zmiany postawy.

Kto po raz pierwszy sięga do rzeczy jeszcze ciepłych, do rzeczy krwawych i znajduje radość w zdobywaniu Ich, na tego z wolna działać zaczyna jak haszysz chęć posiadania. W codziennym tumultie wydarzeń nie dostrzega się początkowo żadnej zmiany, nie razi nawet tyle, co pył wpadający w oko, a jednak rośnie, rośnie, przepełnia myśl, ogarnia ludzi.

Może to także forma zapomnienia, jak dla SS-manów pijaństwo.

W płomieniach ognia, podsycanego ludzkimi ciałami, jak w odczynniku chemicznym różne pierwiastki natury ludzkiej dochodzą do głosu. Często widzi się, że zguba ogarnia nie tylko idących na śmierć, lecz również i tych, co zostają przy życiu.

Gdyby ktoś chciał do ludzi z tego okresu podejść z szablonami i miarkami politycznymi, gdyby szukał wniosków i hipotez natury nacjonalistycznej, pomyli się.

W obliczu śmierci, w obliczu wytworzonej przez wojnę deprawacji znikają granice „rasowe” i narodowościowe. Wytwarzają się między ludźmi podziały zupełnie inne.

Chcę to silnie podkreślić, żeby mój opis nie wywołał nigdy tendencyjnych, błędnych komentarzy u tych, którzy nie oddychali spalenizną ludzkich kości i z własnego punktu widzenia mogliby sobie pozwolić na dowolne interpretacje.

Trzeba czasem uderzenia tak silnego, które wytrąca ziemię spod nóg i stawia człowieka z dala od życia na drogach abstrakcji, bez nadziei powrotu, żeby w olśnieniu intuicyjnym spojrzął na rzeczy, którym nie mógł sprostać osaczony granicami haseł, przekonań i uprzedzeń umysłu.

Sonderkommando, pijani Żydzi traktujący ginących braci-Żydów tak samo jak SS-mani. Smutny przykład zagubienia się człowieka w płonącej dżungli zwanej Birkenau.

A jednocześnie pracownicy tegoż Sonderkommando przybiegają niekiedy pod druty i z narażeniem życia podają Żydówkom lub Żydom będącym wewnątrz obozu ostatnie pozdrowienia przesłane spod krematorium. Przynoszą czasem drobne pamiątki, jakieś fotografie lub list na znak od ginącej rodziny. Postawa taka jednak nie zdarza się u wielu. Częściej obserwuje się inną.

Oto wjechał nowy transport. Przygnębienie nie pozwala już mówić, myśleć o rampie ani patrzeć w jej stronę. Są rzeczy, które przekraczają granice wytrzymałości nerwowej.

Nagle w pobliżu rozlega się rytm wielu nóg idących marszem i głośny, hałaśliwy śpiew; ostatnie słowa piosenki rozbrzmiewają już we wrotach baraku.

— Und ja! Und ja! Und ja! Bekleidungskammer ist schon da!(I tak! I tak! I tak! Magazyn odzieżowy już jest tu!)*

W pierwszej piątce idzie Licy, Żydówka słowacka, czerwona od wiatru i podniecenia, roześmiana i hałaśliwa. Z grupy milczących kobiet pada pytanie:

— Licy, kogo przywieźli dziś znowu?

-Bogaty transport! Ach, jaka bielizna, jakie buty! A jedzenie! Kanada!

O Licy, biedne dziecko, które trzy lata ze swej młodości spędzasz w obozie. Każdy cię tu zna. Umiesz cicho śpiewać tęskne piosenki o Tatrach. Umiesz być dobra, koleżeńska, uczynna. Bywasz bardzo smutna. Twój gorący temperament, twoja zbyt długo tłumiona żywotność, twoje młodzieńcze siły wybuchły w tak niewłaściwym czasie. Upiłaś się, Licy, widokiem pięknej bielizny, stosami przysmaków, górami bezpieczeństwa butów, widoku tych rzeczy płynnie nieustanny szept o ludziach, którzy jeszcze wczoraj nosili je — i to cię podnieca myślą o własnej śmierci. Obudzono w tobie po długim głodzie gwałtowne pragnienie życia i ślepniesz pod jego wpływem. Obuta w pantofelki twojej siostry—Żydówki dławionej w tej chwili gazem, śpiewasz i tańczysz na jej wielkim pogrzebie.

Hasło chwilowego użycia porywa wielu.

Brudny Żyd stojący we wrotach baraku bije bez celu młotkiem w pustą beczkę i śpiewa do taktu uderzeń na melodię „Rosemunde” *. „Organizuj, dopóki masz jeszcze czas, organizuj, bo jutro wywiozą nas”.

Birkenau staje się dżunglą, w której łatwo zgubić drogę. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak zareaguje na tę samą rzecz dziś, a jak jutro. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, jak postąpi jego sąsiad z lewej, a jak z prawej — bez względu na narodowość. Opadają łuski zasad, foremki dobrych obyczajów, które czasem w unormowanym życiu pozwalają człowiekowi przejść poprawnie przez wiele sytuacji, bez uświadomienia sobie i innym, że jest zerem. Tu w jakiejś chwili — może już w pierwszym dniu, przy stryżeniu włosów, zamianie ubrania indywidualnego na lagrowe — znikają te ochraniacze.

Owo zdzieranie odzieży i stryżenie do samej skóry — to symbol bardzo istotny. Człowiek pozostaje nagi i bez puklerza. Musi sobie stworzyć nowy stosunek do rzeczywistości, w którym podstawą będzie jego wewnętrzna prawda.

Są dusze przypominające kwiat kasztanu; te utrzymują się prosto mimo opadnięcia ochraniających je łusek. Są inne, które jak ameba rozplývają się w ogólnym bezładzie moralnym obozu, przystosowując swój kształt do nacisku z zewnątrz.

Bywają atawizmy, bywają instynkty od dawna uśpione, które wprawdzie nie wygasły, lecz mogłyby się nie obudzić przez całe lata życia. Byt hitlerowskiego obozu koncentracyjnego potrąca je i przywołuje do głosu.

Odwieczne białe i czarne, odwieczne zło i dobro powstają w głębi istoty i wychodzą na powierzchnię.

Słuchamy ciągle jeszcze głosów dębowej puszczy i leśnych bóstw, które przemawiały do naszych przodków. Mamy różne poglądy na krew, wierzymy w krew — i boimy się krwi ludzi krzywdzonych. Jakże dziwnie przemawia dusza ludzka w obliczu rampy śmierci. Jedni jak pierwotniaki niesione prądem wody pochłaniają wszystko, co podsuwa im fala. Inni mimo głodu i niedostatku nie sięgają po rzeczy ludzi ginących. Są tacy, którzy przy rozwiniętych

hamulcach wewnętrznych organizują dużo, nie zatrzymując nic dla siebie. W swoim pojęciu takim postępowaniem ścierają krew z tych rzeczy, uspołeczniają je niejako i w ten sposób uchylają ukryte w nich przekleństwo. Pieniądze i rzeczy cenne przesyłają na zewnątrz, dla wojska, dla partyzantki. Bieliznę, odzież, buty rozdają obdartym, brudnym, bosym. Żywnością zasilają głodnych. A dla siebie nie zachowują nic, bo chcą, żeby w dłoni sięgającej nie zadrgała zgubna żądza posiadania, żeby w oczach patrzących na przywożone transporty nie zabłysła nigdy radość. W swej organizacji unikają korzyści osobistej.

Po polach dojrzewają zboża, ich kłosa stają się płowe i ciężkie. Czas posuwa się naprzód.

Któregoś dnia daleko za drutami na miejscu łąnu żyta zjawiają się w równych odstępach ustawione mandle. Zaczęły się żniwa. Blisko za budką postena kwitnie żółto wielkie pole rzepaku. Ilekroć wiatr wieje z tej strony odpędzając krematoryjne dymy, woń drobnego kwiecica przenika między baraki.

Wewnątrz obozu nie widać postępu czasu. Ciągłe ta sama groza stoi nad każdą godziną dnia i nocy: dymiące krematoria i płynące do nich tłumy.

Ze względu na daleko posunięte oszczędności gazu dzieci ulegają paleniu żywcem. W tym celu zostają oddzielone i prowadzone osobno. Któregoś dnia spod samego krematorium wymyka się pilnującym SS-manom mały, pięcioletni może chłopczyk i biegnie całym wysiłkiem nóżek z powrotem wzdłuż rampy. Dokąd mógłby dobiec, gdzieby się schronił?

Niewielkie są możliwości ucieczki z tego miejsca.

SS-man Perschel rzuca się na motocykl i goni uciekiniera. Jego oczy latają w wybladłej twarzy, jakby ani przez chwilę nie mógł patrzeć prosto.

Wzrok tysięcy obserwuje tę pogoń. Droga jest szeroka i pusta, doskonale wyźwirowana, a jednak motocykl w nagłym skręcie rozbija się i ciężko ranny Perschel znika z obozu. Wielu życzy mu śmierci, lecz on po długiej chorobie wraca ze sztywną, krótszą nogą. Będzie oglądał jeszcze styczeń 1945 w Birkenau.

Znów nadjechał transport. Jest noc. Ognie krematoriów i płonące na rampie śmieci oblewane naftą, jakby dla wzniesienia większej ilości płomieni wśród nocy, oświetlają huczące gwarem obozowisko. Goniec biegnie do bloku orkiestry z rozkazem przyjścia pod bramę. W ciemnościach rozstawiono pulpity, ruchliwe blaski oświetlają nuty.

Rozpoczyna się nocny koncert. Przy wagonach krzyki SS-manów, jęki bitych, płacz dzieci — a na tym tle melodie hiszpańskich tańców, tęsknych serenad, sentymentalnych piosenek.

Spiąc w baraku szóstym na piętrowym łóżku blisko drzwi, przez całą noc przy każdym przebudzeniu słyszy się i widzi rampę. Słowa na niej wyrzeczone są z tej odległości doskonale słyszalne. Ilekroć wśród snu rozchylają się na ułamek sekundy powieki, wpada w nie natychmiast niezmienny obraz pochodu ludzi sunących naprzód, pochylonych, z twarzami oblanymi łuną.

Ileż kobiet w tym okresie leży bezsennie. Czasem szept, czasem pacierz zabrzmie w eisz, dając znać o czuwaniu. Podnoszą się głowy.

Można widzieć stare kobiety, które w grozie ruchliwych płomieni szepecą słowami różnych religii pacierze za konających. To modlą się ludzie pozostający jeszcze na chwilę przy życiu za ginących w gazie ludzi.

- Powiedzcie — mówi ktoś gwałtownym szeptem — jak to się dzieje, że my nie dostajemy obłądu, że nie szalejemy od tego, na co patrzymy?

- Widzisz, nie wiadomo, czy my już nie jesteśmy anormalne, skoro możemy jeść, spać, pracować wobec tego wszystkiego. Skoro możemy mówić i nawet uśmiechać się wobec takiej żałoby. Skoro nie rzucamy się na druty lub na SS-manów z gołymi rękami choćby. Kto wie, może to już obłąd.

Ktoś inny dodaje:

- Jeżeli nie oszalejemy teraz, to w momencie zetknięcia się z życiem normalnym może się to stać.

Na rampie rozlega się strzał i krzyk:

- Los! Aufgehen! Los! Aufgehen!

W ciszy baraku czyjeś bezsennie usta wymawiają kilkakrotnie te same słowa:

- Stacja - przeznaczenie. Zawiadowca — śmierć! Idzie w jej stronę nieprzerwany pochód. Nie ma człowieka, który by jej uniknął. Idziemy wszyscy. Chodźmy, prędzej, po cóż ta zwłoka, śmierć czeka, płonąca zniczem krematoriów, zagarnia tłumy, tłumy.

Dzieli nas od niej kilkaset kroków i druty. Głowa pęka od myślenia o niej nocami bardziej niż w ciągu dnia. To nie jest jedna noc. Taka jest noc każda. Ktokolwiek po całodziennym znużeniu zapada w ciężki sen, zostaje z niego wyrwany krzykiem rampy, której realizm wciska się w głąb świadomości, podnieca, budzi.

Od czasu gdy przyjechał pierwszy transport i wysiadł w Birkenau, nieprzerwanie idzie ten powolny pochód mijając druty obozu. Wygląda to tak, jakby gdzieś w pobliżu stały pociągi pełne ludzi, z których dostarcza się do Birkenau określoną ilość wagonów.

Co rano, gdy w obozie ustawia się apel, SS-mani zbliżają się do gromady przywiezionej tej nocy. - Los! Aufgehen! Los! Aufgehen!

Na drogę wychodzi pierwsza piątka.

Młodzieniec z przewieszonym przez rękę podróżnym pledem pomaga iść wspartej o siebie młodej kobiecie. Przy nich ustawia się siwa staruszka podtrzymywana przez starca i niedoroślą dziewczynkę. Następną piątkę stanowią sami mężczyźni w sile wieku, odziani w

doskonale skrojone ubrania i palta. Kilka następnych piątek to kobiety z dziećmi, jedna z nich z bliźniętami niesfornie uganiającymi po drodze. Na razie nie podlegają żadnemu podziałowi, ustawiają się tylko piątkami i poganiani okrzykiem: — Los, aufgehen! — idą wyżwirowaną drogą, przy której po lewej stronie ciągnie się odcinek „b” obozu kobiecego, a po prawej, za rampą, widać baraki obozów: męskiego, cygańskiego i męskiego szpitala.

U wylotu tej drogi, po dwóch jej stronach, na tle kępy drzew wznoszą się czerwone mury i wysokie kominy krematoriów I i II. Teraz oddzielają kobiety od mężczyzn formując ich znowu w piątki.

Przed krematoriami stoi na wzgórku grupa SS-manów. Najczęściej znajduje się wśród nich mały, gruby Moll (dawny Arbeitsdienstführer (kierownik służby pracy)*, obecnie Hauptscharführer (stopień wojskowy SS, odpowiadający plutonowemu)*), mianowany od pewnego czasu szefem krematoriów wraz z dawnym Arbeitsdienstführerem Schultzem; wysoki, władczy Mengele, Oberarzt, którego nazwisko przez wiele lat jeszcze będzie straszło wizją gromadnych uśmiercań.

Czasem bywa tu Lagerkommandant ((SS-man), komendant obozu.)* Kramer wraz ze swym nieodstępny szoferem, zapalonym amatorem dręczenia kobiet w obozie.

Niemal zawsze jest Perschel (doskonale mówiący po polsku, brał w roku 1939 udział w walkach pod Modli-nem jako polski żołnierz).

Często przybywa ktoś z wydziału politycznego. Oberscharführer Erber odznaczający się z daleka nienormalną budową czaszki, z nadmiernie rozwiniętą wysadzoną do przodu jak szufla szczęką (noszący też nazwisko Chustek — nie wiadomo, które z nich własne). Główny szef wydziału politycznego Grabner, władca życia setek tysięcy ludzi. Mający na sumieniu około czterystu indywidualnych wyroków śmierci na Polaków — Lachmann. Słynny Polenfresser Boger. I wreszcie Albrecht, dawny młynarz z okolic Łodzi.

Przychodzą odetchnąć atmosferą dymu i krwi, przy sposobności schować do kieszeni parę butelek, kilka przedmiotów wartościowych, trochę czekolady, jakiś klejnot, a potem przypatrywać się krematoryjnej selekcji. Przychodzą wypełnić rozkaz Fuhrera.

Do tego miejsca tłum posuwa się piątkami, potem idąc pojedynczo kieruje się wprost na grupę SS-manów. Tak prowadzi droga, w tym miejscu skręca, wiedzie kilkanaście metrów naprzód i rozwidla się: w lewo z powrotem ku obozowi, w prawo ku krematoriom.

Tu szybko w marszu dokonuje się podział.

Nie zatrzymując się ani na chwilę ludzie przechodzą na prawo, tylko nieliczni, wskazani przez SS-mana, widczą drogą na lewo. Ci pierwsi pójdą już wprost na śmierć, drugim wolno będzie przeżyć kilka tygodni, może kilka miesięcy w najcięższej niedoli obozu.

Na lewo idą najpiękniejsze młode dziewczęta lub doskonale, silnie zbudowani młodzieńcy.

Na prawo posuwa się przeważająca większość, w niej starcy, kaleki, dzieci, matki z niemowlętami. Nie wiedzą, że w tej chwili zapada na nich wyrok, stworzony przez prawo hitlerowskie.

SS-mani dokonujący selekcji bywają pijani, pijani wódką — i bardziej jeszcze czymś innym. Bo to nie jest zwykła rzecz, tak stać na wzgórzu i rozdawać gestem dłoni śmierć — śmierć, śmierć — życie — śmierć, śmierć — życie — idącym nieprzerwanie tłumom. Wzrok nieuważnie prześlizguje się po nadchodzących, zmęczona dłoń automatycznie porusza się w prawo, w prawo, w prawo, w lewo, w prawo, w prawo, w lewo, a myśl tymczasem rozkoszuje się obliczeniami. Tyle złota dla partii, to ugruntuje pozycję. Bezpieczeństwo zapewnione, wyjazd na front przestaje zagrażać. I coś dla siebie również. Brylanty, brylanty! Zapewniona spokojna starość i dostatnie życie. Dostatek dla żony na całe życie. I dzieciom — całe życie — całe życie.

...Życie, życie — śmierć, śmierć, śmierć, śmierć, życie, na prawo, na prawo, na prawo, na lewo...

Naprzeciw tego punktu rampy, przy którym wysiadają z pociągów ludzie „wysiedleni”, stoją zaczajone za niemieckim klozetem kobiety i patrzą przez druty na odbywającą się selekcję. Jest wśród nich wiele Żydówek, które od miesięcy albo od lat nie wiedzą nic o swych rodzinach. Edyta Links, pracownica wydziału politycznego, postępuje nagle krok naprzód. Patrzy z wyczeraniem, a potem mówi cicho:

— Moja siostra Szarika.

Kobiety nie wiedzą, która z idących w tłumie jest jej siostrą. Edyta wspina się na palce i patrzy w stronę pociągu, skąd ciągle wysiadają ludzie, a potem szarzeje na twarzy i mówi z oczyma rozszerzonymi przerażeniem:

— Moja matka — szwagier — ojciec — babka — ciotka. Są wszyscy. Moja cała rodzina.

I nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie ściąga na siebie, woła:

— Szari! Szari! Oddaj dziecko babce!

Młoda niewiasta z dzieckiem na ręku spogląda w stronę obozu, poznaje stojącą za drutami siostrę, podnosi dłoń gestem powitania. Edyta powtarza uparcie:

— Dziecko babce, daj dziecko babce!

Szari nie wie, co znaczą te słowa. Posłusznie odwraca się do idącej za nią starej kobiety odzianej czarno i podaje jej maleństwo. Jest już za późno na dalszą wymianę gestów czy słów. Rodzina Edyty zbliża się do grupy SS-manów i teraz widać: wszyscy kolejno odchodzą w prawo prócz jednej tylko Szari. Kobiety zakwalifikowane w pod krematoryjnej selekcji przekraczają po kilku godzinach bramę obozu, oglądając się za swoimi rodzinami.

Ich ogolone głowy wyglądają sino, niemal niebieskawo.

Duża grupa — te mianowicie, które przeznaczone są na rychły wyjazd do Niemiec — nosi luźne suknie z drelichu szarej barwy. Gdy idą piątkami w długiej kolumnie, robią wrażenie pola zasypanego popiołem, które ruszyło z miejsca i wchodzi zagonami pomiędzy baraki. W obozie kobiecym czekać będą na transport. Ich zdrowy i młodzieńczy wygląd znika z dnia na dzień.

Reszta zostaje skierowana do lagru „C”.

Ciągnie się on równolegle od obozu męskiego, przedzielony od niego drogą, z drugiej strony sąsiadując z tak zwanym „familijnym”, zamieszkałym od dawna przez żydowskie rodziny z Czech. Brama odcinka „C”, tak jak bramy wszystkich lagrów leżących w drugim IM. In budowlanym, wychodzi na drogę równoległą do i.unpy, prowadzącą do krematoriów III i IV.

Na północ od owej drogi krematoryjnej (tej właśnie, którą w roku 1942 budowały pracujące w lesie kobiety), w/noszą się baraki nowego odcinka, który wyrósł tu w Kisną i, nie wiadomo dłaczego, w mowie więźniów nazywa się Meksyk. Nie ma tu światła, wody (ani jednego kranu, ani jednej studni!), nie ma żadnych urządzeń. Na trawie ustawiono ściany z desek i przykryto je dziurawymi dachami. Montowanie baraku trwa niewiele dłużej niż rozkładanie namiotu.

Odcinka tego nie traktuje się jako siedziby na czas dłuższy. Jest to prowizorium. Nie ma tu Blockfuhrerstuby, kuchni ani instalacji higienicznych. Nie otaczają terenu naelektryzowane druty. Meksyk jest traktowany jako filia czy kolonia, rezerwowana na wypadek skrajnego przeludnienia odcinka „C”.

Obydwie te części obozu są miejscami przejściowymi, z których Żydówki węgierskie odejdą stopniowo w głąb Niemiec lub do krematoriów. Z tych to przyczyn nie podejmuje się tu żadnych prac. Nikt nie naprawia dachów, nie zakłada kanalizacji, jakkolwiek wszystkie te rzeczy są zaprojektowane i rzekomo zaczęte. Duch tymczasowości panuje w tej części obozu, mimo że liczba kobiet ustawicznie wzrasta. W czerwcu odcinek „C” mieści dwadzieścia tysięcy Żydówek, reszta w liczbie ośmiu tysięcy mieszka na Meksyku. Transporty przybywają ciągle. W tym czasie przyjeżdża do Oświęcimia obóz żydowski z Theresienstadt. W lipcu liczba najwyższa odcinka „C” i Meksyku wynosi 42 000.

Bezczynność, niedola jedna z najcięższych, jest udziałem tego dziwaczного miasta kobiet.

Słabnące z wycieńczenia, z dniem każdym bardziej obdarte snują się pomiędzy blokami, czekając w skwarze letnich dni na swój los. Meksyk! Meksyk! Egzotyczna część obozu. Ile tajemnic dla więźnia nawet nie znanych kryje w sobie to ludzkie osiedle, leżące pod bokiem niewoli obwiedzonej śmiercią, samo ledwo zagrodzone drutem kolczastym i zapomniane wśród łąk tonących w upale słonecznym.

Meksyk jest miejscem największego nasilenia problemów obozu. Tu najłatwiej można krzywdzić.

Sprzeczności ekonomiczne ujawniają się najbardziej w wielkich miastach. Obóz stworzył kontrasty bardziej rażące, bardziej drastyczne, zwłaszcza w sytuacji tak — zdawałoby się — dla wszystkich jednakowej, to jest w obliczu zagłady. Sprawy, które są w całym obozie ledwo uchwytny, na Meksyku występują nadzwyczaj silnie, nie tamowane tak bardzo i nie kryte.

Oto wnętrze bloku puste, jak wnętrze wielkiej stodoły. Pośrodku złożone w kostkę leżą wszystkie koce razem. Nie zrobiono tu jeszcze koi i nocami kobiety śpią na ziemi.

Dokoła bloku, w jego cieniu i obok na słonecznej spiekocie, leżą postacie niemal całkiem nagie, szare z wycieńczenia i brudu. Łachmany, w które są odziane, już dawno przestały być wystarczające. Sukienki, jakie im wydano — przepalone w wielu odwszeniach, koronkowe lub jedwabne, czasem wieczorowe z wyciętymi plecami - - popękały i niemal zupełnie opadły. Widuje się kobiety w samej tylko podartej koszuli albo w samym fartuchu, bez niczego poza tym. Z dnia na dzień tej nagości jest więcej. Dzień cały stoją nad nimi sztabowe z kijami nie pozwalając przechodzić z miejsca na miejsce.

Pogoda słoneczna jest dla nich niedolą wskutek braku wody. W czasie deszczu półubrane ziębną na słońcu.

W porze wydawania zupy tłum głodnych obdartusów stoi przed kuchnią czekając na kotły. Pada deszcz, a ktoś stoi w krótkiej koszulinie, ktoś inny w samym kaftaniku po biodra, bez niczego więcej. Widzi się postacie coraz chudszych kobiet dźwigające przez błoto kocioł, boso, w strzędzie odsłaniającym uda albo w samej spódnicy pozostawiającej piersi nagie. One nie mają żadnej możliwości zorganizowania czegokolwiek, od tygodni i miesięcy chodzą podczas dnia i śpią w tym jednym strzędzie, jaki dostały.

Mówi się, że kobiety z Meksyku zatraciły kobiecość i wstyd. Obok przesuwają się ciepło ubrana funkcyjna w bucikach z cholewami, w barwnej pelerynie gumowej. A tuż przez ścianę, siedzi w swoim pokoiku blokowa. Odziana modnie, w wykwinną bieliznę i doskonale uszytą odzież, w cienkie pończoszki i kształtne pantofelki na korku, pachnąca dobrymi perfumami, ładnie uczesana, zadowolona z siebie i uśmiechająca się do swych zadowolonych.

Pokój urządzony — jak na stosunki obozowe — z przepychem. Oryginalne perskie dywany, makaty i węgierskie tkaniny pokrywają podłogę, ściany i sprzęty. W łóżku czasem kilka kołder puchowych, pokrytych lazurowym, złotym lub kwiecistym aksamitem - - jedna do przykrywania się, reszta do wścielania pod spód. Funkcyjna jada potrawy nie przypominające niczym smaku zupy obozowej. Dla niej i kilku jej bliskich gotuje nieoficjalna służąca.

Kiedy ma się możliwość zmniejszenia porcji czterdziestu tysiącom kobiet, a funkcyjnych jest kilkadziesiąt, można sobie kupić wszystko, co się chce. Tu, gdzie nikt nie kontroluje i kobiety mniej jeszcze są odważne w upominaniu się o swoje prawa niż na innych odcinkach, blokowe kradną bez porównania więcej i swobodniej.

Funkcyjne często z różnych powodów chodzą służbowo pod krematorium na pobliską Brzezinkę, gdzie magazyny są zawsze pełne i gdzie kwitnie handel zamienny.

W końcu lipca z Żydówek przebywających na odcinku „C” i Meksyku zaczynają formować się transporty do Niemiec. Zdarza się niekiedy, że kobiety dostają porządną odzież i odjeżdżają wagonami pullmanowskimi.

Nieco później, w początku sierpnia, do Birkenau przyjeżdżają Żydzi łódzcy.

Tak jak dotychczas na rampie odbywa się selekcja, w wyniku której większość zostawiwszy swoje zapasy i pakunki przed wagonami idzie do krematorium, a tylko znikomy procent wchodzi do obozu.

Obłąd — albo półobłąd - - czepia się często tych „szczęśliwych”, które zaczynają pojmywać, że ich najbliższych spalono lub palą może w tej chwili. Młoda Żydówka z Łodzi rzuca się na druty w ciągu dnia, gdy nie ma w nich prądu, i wychodzi na sam wierzch tego parkanu chcąc przejść na zewnątrz, to jest na drogę pomiędzy obozami. Z trudem ściągnięta, pokrwawiona stoi wśród kobiet z wzrokiem utkwionym nieruchomo w słup dymu. Jedna tylko rzecz zajmuje jej myśl, rzecz, której zrozumieć nie może i nie może przestać się nią zajmować. Powtarza ciągle to samo:

- Przecież Niemcy to ludzie. I my, Żydzi, też ludzie.

Tak? My, Żydzi, jesteśmy ludźmi i Niemcy są również ludźmi.

Dziewczyna węgierska z Budapesztu, wykształcona i orientująca się w sytuacji politycznej, oświadcza, że o wszystkim, co widzi w Birkenau i Oświęcimiu, słyszała w komunikatach nadawanych przez radio angielskie, lecz uważała to za przesadzone wiadomości antyhitlerowskiej propagandy.

Któregoś dnia w końcu czerwca, gdy więźniowie rano ustawiają się do pracy, widzą ze zdziwieniem, że obóz czeski jest pusty.

Nikt się nie zbudził, nikt nie usłyszał, jak SS-mani wyprowadzili do zagazowania całe rodziny czeskich Żydów, które żyły tu dłużej niż rok.

W kilka tygodni później obóz męski zerwał się ze snu zbudzony krzykiem wielu tysięcy ludzi. Wystarczyło wyjść z baraków, żeby stwierdzić, co się dzieje. W jasno oświetlonym obozie cygańskim popędzani przez SS - manów wybiegają na drogę Cyganie, Cyganki i ich dzieci. Sformowani w piątki mają rozkaz wychodzić na drogę i iść do krematorium. Stawiają opór i stąd owe krzyki rozlegają się ponad Birkenau. Hałasy trwają całą noc, lecz na rano obóz cygański jest pusty. Nawet bohaterstwo, gdy jest bezbronne, nie sprosta uzbrojonemu bestialstwu.

W końcu sierpnia obóz „C” i Meksyk nawiedza Lagerarzt Mengele, przeprowadzając surowe selekcje. Wśród Żydówek szerzy się już gorączka oraz czerwonka poparta przez głodowe wycieńczenie, i selekcje dają duże rezultaty. Widzieć można, jak drogą do krematoriów sunie wolno w piątki ustawiony pochód kobiet wybladłych, z trudem utrzymujących na sobie podartą odzież' przez której dziury bieleje chude ciało. To powtarza się coraz częściej. One

wiedzą, dokąd idą, lecz są zbyt słabe, żeby się buntować. Może nawet już tylko lego pragną. Z czterdziestu dwóch tysięcy nie tatuowanych Żydówek, które tu mieszkały, piętnaście tysięcy wyjechało do Niemiec, jesienią było jeszcze około pięciu tysięcy, resztę pochłonął ogień.

Meksyk! Meksyk! Przez wiele mieszkających tam kobiet wymawiany Meeksiko. Oblicze jego niepokojące jak twarze chimer z Notre Dame. Krzywe zwierciadło czyniące z człowieka karykaturę. Dobrze byłoby zapomnieć o nim i wysublimować w sobie uczucia, jakie budzi.

Lecz pozostał w pamięci tak jak rampa, przez którą płynie nieustannie tłum ludzi każdym krokiem bliższych śmierci, jak słup dymu, w który się zmieniają.

Żydzi, którzy w czasie selekcji zostali skierowani w prawo, idą wprost na śmierć. W chwili gdy dłoń SS-mana wydaje na nich wyrok, w komorach gazowych wentylatory i drzwi stoją już szeroko otwarte wpuszczając świeże powietrze. To dla nich przygotowuje się miejsce. Ludzie ci już wkrótce zostaną wpuszczeni do wnętrza, nie będą długo czekać na swój los, najwyżej kilka godzin, dopóki komory gazowe nie zostaną opróżnione z poprzedników.

Idąc rampą na prawo staje się wkrótce przed krematoriami I i II, które wznoszą się naprzeciwko siebie po dwóch stronach drogi.

Kwestia przypadku decyduje, do którego z nich się wchodzi, a zresztą, czy to już nie całkiem obojętne? Lecz idący drżą z obawy, żeby się nie rozdzielić, żeby do jednego budynku wejść razem, i w tym celu matki z córkami, ojcowie z synami trzymają się blisko siebie. Bo oni nie wiedzą o tych budynkach, których kominy dymią, tego, co my wiemy. Nie wiedzą, dokąd wchodzi. Wielkie, nieprzeliczone tłumy wprowadzono w błąd.

Jak opowiadają elektrycy, często przekraczający te progi służbowo, przedsionek krematoryjny jest czystą salą, w której jak w kabinie okrętowej nie ma przedmiotów ruchomych. Wszystko jest mocno przytwierdzone. Pod ścianami stoją metalowe ławeczki jak w poczekalniach lekarskich. Wielkich rozmiarów czerwona strzałka umieszczona u wejścia do długiego korytarza ma pod sobą napis w kilku — sześciu, zdaje się — językach: „DO KĄPIELI I DEZYNFEKЦИИ ODZIEŻY”. W tym przedsionku ludzie rozbierają się składając porządnie swoje rzeczy, do których mają nadzieję wrócić za chwilę, następnie wzięwszy ręczniki i mydło z rąk Żydów zatrudnionych tu jako Sonderkommando, uspokojeni otrzymanymi przedmiotami, idą długim korytarzem wiodącym „do kąpeli i dezynfekcji odzieży”. Wchodzi do olbrzymiej sali, w której nie ma nic, prócz zamkniętych w tej chwili otworów przypominających wentylatory. Lampy elektryczne wmontowane płasko w sufit. Gdy drzwi za ostatnim z tej grupy zamykają się, z górnych otworów sypią się niebieskie grudki. To jest gaz — CYKLON.

Nie, to nie takie proste umrzeć w gazie, ta śmierć nie następuje szybko. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że ze względu na wielką liczbę ludzi, których Niemcy zamierzają wygubić gazem, a może z innych jakichś przyczyn, robi się oszczędności przy gazowaniu. Duża dawka Hlaugazu (cyklonu) zabiłaby natychmiast lecz ta, jaką dają, pozwala konać powoli.

Elektrycy, którzy wchodzą tam czasem natychmiast po otwarciu drzwi, widują pożyłki, świadczące o walce, o rozpaczliwych wysiłkach, widują ludzi, którzy po stosie innych wdzierali się na ścianę i tam skończyli z oczyma wysadzonymi na wierzch, z rozdętymi brzuchami, z grozą w postawie i obliczu.

Czas, jaki im zostawiono od chwili zamknięcia drzwi, jest dość długi na to, żeby zdążyli uświadomić sobie, że to chwila śmierci, że to podstęp ze strony Niemców — i zdrada ze strony więźniów, pracowników krematoryjnych.

Śmiertelny krzyk, wydawany z całej mocy organizmu, ostrzegawczy krzyk dla współbraci, którzy idą za nimi — nie wydobywa się na zewnątrz. Pozostaje tylko upiornym rozwarciem ust, które zastygły w bezruchu.

Komory gazowe pracują znacznie szybciej niż piece krematoryjne. Mimo że płoną dzień i noc, że auta ciężarowe pełne brykietów i drzewa przyjeżdżają ustawicznie, mimo uruchomienia prowizorycznych dołów w lesie, w których pali się wiele ciał równocześnie — palenie nie może nadążyć gazowaniu. Układa się więc w pobliżu krematorium stopy rozdętych ciał, które pęcznieją coraz bardziej, i spala się je stopniowo, w miarę możliwości.

Lato jest niezwykle upalne tego roku. Ale ani pijani dniem i nocą SS-mani, ani pijane Sonderkommando nie są wrażliwi na zaduchy i na niebezpieczeństwo chorób.

Odór ciał rozkładających się płynie w powietrzu za lada powiewem.

To, co miało być wykonane w najgłębszej tajemnicy, staje się jawną, obłąkańczą chorobą, której ulegają wszyscy SS-mani.

Cisza panuje wokół krematoriów, cisza panuje w obozie. W tej ciszy tłum idzie powoli wzdłuż rampy. Cyklon, który ich gubi, jest niewidzialny, przejawia się tylko słupami dymu bijącymi z krematoryjnych kominów i wolno, gęsto, kłębiasto wznoszącymi się na tle nieba.

Rozdział trzeci ŚMIECH CZY STRACH

Chichy śmiech, bezgłośny, częstokroć bez drgnienia rysów, wyczuwalny tylko w zwięzieniu powiek, nie znika z twarzy SS-manów. Czasem znów ryk z głębi brzucha jest śmiechem. Śmieją się ciągle, od kiedy zaczęło się masowe gazowanie, od kiedy chodzą pijani i znarkotyzowani. Śmieją się patrząc na młode węgierskie Żydówki przyjęte do orkiestry, które grają im szalone czardasze. Wirtuozki-solistki gną się ze skrzypcami miękko w takt melodii, chylą się nisko ku ziemi, a potem porwane rytmem wnoszą ramiona ku górze i ponad głowę grają w zawrotnym tempie. Niemal tańczą grając. Wyczarowują z siebie piękno okupując się śmierci. Czy słyszą je SS-mani? Śmieją się i odchodzą na rampę śpiewając głośno „Ungarland” (Węgry)* albo „Die Juliska, die Juliska von Buda-Budapest!” (Juliska, Juliska z Buda-Budapesztu)* Coś się w nich obsunęło, coś się rozluźniło, jakieś zasuwy zostały rozwarte i wyszli poza nie, jakieś hamulce pękły. Zatracili poczucie różnicy między trupem a

człowiekiem żywym. Od trupa i od żywego chcą jednej rzeczy: silnej reakcji. Chcą widzieć strach, przerażenie szarpiące całą istotę. Dlatego perwersyjnie znęcają się nad trupami, męczą zwłoki kobiet, doprowadzając się do furii, do ekstazy, do piany na ustach. Dopiero rzuciwszy trupa w ogień ulegają radości widząc, że drgnął, że się w płomieniach zwija i wydaje syk. Wtedy wybucha głośny śmiech Niemca, salwa strzałów w powietrze lub w ogień, skok na motocykl i szaleńcza jazda do któregoś z obozów, na dalsze zabawy.

Pomiędzy blokami stoi południowy apel niedzielny. Mając za sobą i przed sobą baraki, a wokół nich jak okiem sięgnąć błoto, w które z chlupotem pada deszcz, mając nad głową szarość chmur, pod którymi kłębi się i opada wraz z deszczem krematoryjny dym, można zapomnieć, jaka to pora roku. Gdy pada deszcz, tu zawsze jest jednakowo, czy to maj, listopad, czy marzec. Nie ma roślinności, po której poznać by można posuwający się czas. Dzień wczorajszy podobny tak bardzo do jutrzejszego, że wreszcie w którymś punkcie zatracą się ich rachubę. Od tej chwili jedynym miernikiem staje się okres od gwizdka do gwizdka.

O kilkanaście metrów stąd, po drugiej stronie drutów i rowu, Żydzi posuwający się z wolna w stronę krematorium pootwierali czarne parasole, pookręcali się w pledy. Jeden z nich, o wyglądzie poety czy filozofa, oddziela się od fali idącej naprzód 1 lekkim krokiem przechadza się po skraju drogi. Ruchy jego pełne są swobody, ręce unoszą się w gestykulacji, jakby prowadził rozmowę z kimś niewidzialnym. W pewnej chwili zwraca się w stronę drutów i stojąc nieruchomo wpatruje się uważnie w obóz kobiecy. Na bardzo bladej twarzy znać skupienie i wysiłek, rysujące się fałdami bólu przy ustach. Drżące ręce podnosi do skroni i patrzy, aż nagle w rysach jego zjawia się uśmiech. Podskakuje kilka razy w miejscu i zaczyna biec równolegle do drutów, wykonując nieokreślone ruchy, śmiejąc się i coś niezrozumiale mówiąc. Sunie w podskokach, jakby jechał na niewidzialnej hulajnodze lub jakby był lżejszy od innych ludzi, jakby ziemia sama odbijała go od siebie przy każdym kroku. Zdawać się może, że po tamtej stronie drutów jest wiatr podrywający z ziemi jego pozbawioną ciężaru właściwego postać. Długie włosy czarną falą rozwiewają się nad głową, która w podrzutach wznosi i pochyla w miarę biegu jak głowa konia.

W swych galopadach napotkał duży kamień leżący u podnóża betonowych słupów i siadł na nim. Łokieć oparł na kolanie, brodę na pięści i patrzy przed siebie, wymawiając hebrajskie słowa, które stopniowo powtarza coraz głośniejszym, melodyjnym głosem, aż przechodzi w śpiew. Słowa nie są dla wszystkich zrozumiałe, lecz modulacja jest najzupełniej wyraźna. W tonach wysokich, piskliwych, niemal kobiecych Żyd wyraża pytania. Wyciąga ręce, wstaje z kamienia i ku chmurom kieruje swoje jęklive, śpiewane słowa powtarzając je monotonnie wiele razy. Zatrzymuje się, jakby od chmur czekał odpowiedzi. Długo milczy z rękami wzniesionymi, a potem znów cicho i pokornie zaczyna jęczeć i znów czeka. Niespodzianie deszcz zmienia się w nawałnicę. Krycie się i otulanie jest już daremne, woda płynie strumieniami po ciałach stojących kobiet, jakby były nagie. Tłum aa rampie rusza szybciej w stronę krematorium, chcąc prędko schronić się przed deszczem.

Modlitwę Żyda śpiewającego pod drutami głuży szum nawałnicy. Raz jeszcze ponawia on swoje pytanie wybuchając krzykiem rozpaczliwego bełkotu i znowu czeka długo, w bezruchu, z ramionami wzniesionymi, wśród strumieni wody. Wreszcie pada na kamień. Z jego piersi

dobywa się głuchy jęk, lecz to nie jest płacz, to modlitwa, którą śpiewa dalej. Tym razem nie brzmi w niej już pytanie. Przebłagany lament powtarzany głuchym głosem.

Na rampie zjawia się SS-man odziany w chroniącą od deszczu celtę i dostrzega leżącego Żyda. Podchodzi doń wielkimi krokami i kopnięciem zrzuca go z kamienia. Dla niego to, co leży, nie różni się niczym od puszki po konserwach poniewierającej się w błocie, którą można idąc trącić nogą.

Nawałnica dławi oddech, przerywa tamy karność, szeregi apelowe pękają i tłum rzuca się do bloków, których wrota zostały jednak uprzednio zawarte. Jakaś zbiorowa zaciekłość sprawia, że wiele pięści bije w drzwi, wiele głosów krzyczy. Lecz wrota nie ustępują. Ciało boli cięte deszczem i boli przemoc, gdy trzeba tak stać pod drzwiami. Kiedy wreszcie rozlega się gwizdek na koniec apelu, z ludzi płyną strugi wody.

Deszcz bije w dach, deszcz dudni — w tym deszczu Żydzi na rampie idą ciągle naprzód. — Zapomnij o tym, więźniu. Skoro wpuszczą cię do bloku, staraj się myśleć tylko o zupie i odpoczynku. Otuliwszy się szczelnie w koc zapomnij na krótko, że statek, na którym służysz, skazany jest na zagładę. Marzenie jak łódź ratunkowa przyplynie do ciebie z bezmiaru, otrze się o brzeg twojej koi i zabierze cię stąd.

Deszcz pada cicho d równo, tylko woda z dachu uderza w błoto z hałasem. Stukot kropel brzmi, jakby auto jechało po mokrym asfalcie. W taki deszcz na Filtrowej białe kule lamp wiszące nad środkiem ulicy odbijają się w mokrej jezdni. Czy o tej porze kwitną wiśnie na Wawelskiej? Nie! Teraz może już nawet dojrzewają w sadach otaczających tamtejsze domki.

Spójrz, uchylają się wrota i ktoś staje przy twoim posłaniu. Wysoko sypiasz, obok twojej głowy ukazuje się dłoń trzymająca drobno złożoną karteczkę. Dłoń znika. Dlaczego tak bardzo bije ci serce — toż to zwykła kartka papieru z bloczka kupionego w kantynie i zapisana drobnymi literami. Dlaczego przeczytawszy ją podpierasz brodę rękami i leżysz patrząc w szczelinę, za którą krople deszczu gonią się nawzajem, spływają brzegiem okapu, wiszą ułamek sekundy i spadają w dół.

W popołudnie niedzielne, gdy pada deszcz i SS-mani ani funkcyjne nie mają ochoty chodzić po obozie, ostrożne palce więźnia wysupłują z ukrycia swoje kartki. Wzrok błądzi po deskach dachu zatrzymując się w zamyśleniu na małych kroplach zwisających z okapu.

Ratunkowa łódź marzenia wyrusza w bezmiar. Zapada noc. Usypia ból.

Niemal nikt nie słyszy ryku motoru zgłuszonego deszczem i wiatrem, dopiero krzyk w drzwiach budzi czujność:

- Los! Alles raus! Alles raus! Sofort aufstehen und raus!(Jazda! Wszystko precz! Wszystko precz! Natychmiast wstawać i precz!)*

Przerażenie. Komendant obozu Kramer i jego szofer. Obaj krzyczą. Dłonie usiłują coś chować, usiłują zebrać odzież, lecz wtedy szofer chwyta wpół pierwszą z brzegu kobietę i

rzuca ją w drzwi. Słysząc w ciemności chrupnięcie błota. Komendant obozu kopnięciem wyrzuca następną, która zeskoczyła na ziemię i stojąc w koszuli usiłowała włożyć buty. W koszulach na deszcz! W koszulach na deszcz! O to właśnie chodzi. Na tym polega plan zabawy. Tysiąc kobiet wyrwanych ze snu, bosych i nie ubranych stoi w ciemności przed barakiem. Kramer z szoferem wpadają w tę gromadę pełni wściekłości i rozbestwienia. Sztuką jest uniknąć ich ciosów, kopnięć i szarpań.

- Zu fiinf! Zu funf! Und Hande hoch! (Po pięć! Po pięć! I ręce do góry!)*

Kobiety klęczą w błocie. W bloku odbywa się jakaś bezsensowna rewizja przeprowadzana przez funkcyjne, które wszystko, nawet odzież, nawet żywność wyniosą do Bekleidungskammer. Kramer chodzi pomiędzy klęczącymi prątkami wyrównując kopnięciem szeregi i pilnuje, żeby żadna z kobiet ani na chwilę nie przestała trzymać rąk do góry.

Cały obóz kobiecy nie śpi. Leżą ubrane i czekają. Dalszy ciąg jednak nie następuje tej nocy. Dwaj SS-mani opuszczają obóz piechotą, zostawiając auto. Przez całą noc każde skrzypnięcie bramy budzi niepokój, lecz oni powracają dopiero rano. Stoją teraz pomiędzy barakami i obserwują idące kobiety. Pracujące wewnątrz obozu mają rozkaz nosić odzież cywilną, oznaczoną na plecach od góry do dołu czerwoną pręgą. Oni patrzą bacznie. Ilekroć zjawi się kobieta bez czerwonej kreski na plecach albo mająca zaznaczoną słabo, zostaje zatrzymana. Każą jej się rozbierać w swojej obecności, wobec wielu przechodzących. Czasem za karę obcinają włosy do samej skóry. Czasem zatrzymują odzież, a wypuszczają ją w samej tylko koszuli. Jedną ze schwytych, ponieważ zachowała się hardo, ustawili bez ubrania na wprost Blockfuhrerstuby. Jest to pora wchodzenia do obozu zatrudnionych tu mężczyzn, pora wzmożonego ruchu i SS-mani bawią się doskonale widokiem stojącej przy Lagerstrasse nagiej kobiety

— Na, du stolze Polin? Isfs gut?(No, ty dumna Polko! Dobrze tak) *

Często Kramer w towarzystwie Lagerfuhrera Hös-slera wchodzi do baraku dezynfekcyjnego, zasiada na ławce i ogląda kąpiący się tłum kobiet. Gdy uwagę jego zwróci jakaś postać zdrowa i piękna, przywołuje, wypytuje o zawód, umiejętności, wiek, znajomość języków, zapisuje sobie numer. W ten sposób wiele młodziutkich Żydówek węgierskich weszło do orkiestry, bliźniaczki oddano do dyspozycji SS-manów prowadzących doświadczenia z bliźniętami, inne poszły do Oświęcimia na blok 10 lub do Stabsgebäude (budynek sztabu) * do posługi, prania i prasowania SS-manom. Najlepiej wyglądające będą kładły się na brudny stół, gdzie SS-man będzie czerpał ich krew.

W bloku 10 odbywają się eksperymenty medyczne dokonywane na organizmach młodych kobiet. Spośród kilkuset pacjentek każda ma prawo decyzji, czy woli zastrzyk, czy operację ginekologiczną

Zastrzyk jest szczepionką chorobotwórczą, po której pacjentki przeważnie szybko umierają pod obserwacją lekarzy. Operacja to wycinanie kawałków macicy, usuwanie jajników lub inne zabiegi. Bywają kobiety, które pniom żyją i czują się dobrze, wiele jednak po pewnym

czasie umiera i wtedy SS-mani sięgają po nowy kontyngent „królików doświadczalnych”. Najmłodsza w tym bloku, Żydówka niemiecka, nazwiskiem Hedi Schlesinger ma szesnaście lat i podlega zabiegom wraz ze swą matką.

W czerwcu cały blok doświadczalny zostaje przeniesiony na tak zwany Irek, nowy odcinek budowlany, przylegający do obozu w Oświęcimiu. Eksperymenty toczą się dalej. Aufseherin Brunner oświadcza w mieszczącym się już wtedy na Ireku Stabsgebäude, gdzie zatrudnione są kobiety (większość Żydówek i kilkanaście Polek), iż nie życzy sobie, żeby barak doświadczalny pozostał na Ireku. Powody swego niezadowolenia podaje również. Oto władze zdecydowały, że ze względu na konieczność prowadzenia badań na kobietach zapłodnionych, a wskutek niepowodzenia prób zapładniania sztucznego, grupa mężczyzn zapłodni odpowiednią ilość potrzebnych do doświadczeń kobiet. Aufseherin Brunner nie chce dopuścić, żeby odbywało się to w pobliżu Stabsgebäude.

Trudno odgadnąć, co wpłynęło na zmianę decyzji, lecz ostatecznie nie wyszła ona poza projekt, omawiany przez SS-manów.

W Stabsgebäude, wśród innych pracownic pralni i prasowni SS-mańskiej, są dwie siostry-bliźniaczki. Są to Żydówki ze Słowacji, które przybyły do Oświęcimia w pierwszym transporcie. Wkrótce potem zostały poddane zabiegowi, którego dokonano na wszystkich kobietach z tego transportu będących w wieku od szesnastu do dwudziestu dwu lat. Każdą z nich umieszczono między dwiema tablicami celuloidowymi przysuwając je blisko od przodu do brzucha, od tyłu do krzyża. Przyrząd przypominał aparat Roentgena. Gdy zaczął działać, kobieta odczuwała w tej części organizmu ciepło, potem gorąco, a wreszcie ból. Po pewnym czasie w organizmie następowało jakby szarpnięcie lub oberwanie się czegoś, a potem ogólne osłabienie.

Wszystkie z tej grupy przestały mieć menstruację, wszystkie chorowały i wymarły, prócz dwóch bliźnia-czek, które już nigdy potem przez czas pobytu w obozie menstruacji nie dostały.

W Stabsgebäude odbywają się nocne orgie mieszkających tam SS-manek i SS-manów, którzy we wszystkim, nawet w jedzeniu przebijają miarę. Bogactwo, przepych i zabawy bardzo trywialne i niewyszukane. Na pąsowe kobierce o włosie wysokim jak trawa, na perskie dywany leżące na ziemi ktoś wymiotuje pobudzając do tego innych. Następują potem wybuchy śmiechu, biegi i żarty polegające najczęściej na szczypaniu, biciu, wysuwaniu spod kobiet niespodzianie krzesel, w rezultacie czego przewracają się wśród ogólnej radości na te właśnie dywany. Najhuczniejszy udział biorą Aufseherin Brunner, kierowniczka Stabsgebäude, Aufseherin Franz, kierowniczka kuchni i magazynu żywnościowego, i jej siostra Hassę — Arbeitsdienstfuhrerin. O Hassę mówią głośno SS-mani, że ma sexappel. Ma dużą twarz o ustach z obwisłą dolną wargą. Poranki po takiej nocy bywają do siebie podobne.

Jakiś mniej pijany wyrzuca na dwór nieprzytomnych SS-manów, wlecze za włosy po brudnych dywanach śpiące SS-manki. Po nowej dawce narkotyku pójda pomiędzy baraki przeprowadzać rewizje i wyznaczać kary.

Podłogę zostawionego przez nich pokoju zmyją cierpliwe dłonie kobiet-więźniów.

Grupa SS-manów staje w progu idealnie czysto utrzymanego bloku. Patrzą na wymyte cegły posadzki lśniące czerwienią, na koce zasłane równo, na polne kwiaty ustawione na stole. Uśmiechają się. Porozumiewają się krótko, potem Kramer woła:

- Stubedienst! Alles runter! Alles runter! (Oddziałowe! Wszystko na ziemię! (zrzucić).)*

Bardzo łatwo wszedłszy na piec kazać w mgnieniu oka zrzucić na ziemię wszystko, co znajduje się na posłaniach: koce, sienniki, bieliznę, paczki. W jednej chwili wznosi się gęsty kurz, w którym nawet światło elektryczne ślepie. Mieszkanki bloku są nieobecne, pracują w obozie lub poza jego bramą. Gdy wrócą wieczorem, nie znajdą nic. Daremnie szukały w zdeptanym śmietniku, piętrzącym się pośrodku bloku, swego siennika, koca, ręcznika, mydła, nocnej koszuli czy grzebienia. Nic nie mają i nie ma tu już dla nich miejsca. Przyjeżdża komendant Kramer, wyrzuca mieszkanki dotychczasowe (nie wiedząc jeszcze, gdzie je umieścić), wybiega i wprowadza zaskoczone przeprowadzką kobiety z innego bloku, dźwigające na plecach lub wlokące po ziemi sienniki i koce.

-Los! Schlafen! Schlafen!! (Precz! Spać! Spać!)*— wrzeszczy Kramer. W dławiącym i ślepiącym kurzu, wśród niezrozumiałych krzyków układają się do snu.

Wtedy Kramer chodząc po płaskim piecu zahacza zgięciem laski śpiące kobiety, potem wyciąga je spod koców i nakazuje sprzątać. Budzi capo magazynu odzieżowego, każe zwołać jej pracownice, wybiera ze składu najpiękniejsze nocne koszule i pędząc na oślep na motocyklu, wjeżdża do bloku. Każe wstawać, ustawić się przed nim i podchodzić blisko po nocną bieliznę, którą rozdaje z uśmiechem. Trzeba umieć bardzo płasko leżeć pod kocem, nakrywszy nim głowę, żeby tego uniknąć, a i tak udaje się to tylko kobietom leżącym na górnych łózkach, najbardziej odległych od pieca.

Ryk motoru słychać co chwila w innej części obozu. Szczególnie często wyprawia Kramer swoje pijackie brewerie nocami, jakby się bał zostać sam w swej willi pod Oświęcimiem. Inni za to przychodzą w ciągu dnia.

Więźniowie w tym okresie są jak stada zwierząt tropionych i pomykających z miejsca na miejsce. Nie są nigdy pewni, kiedy spadnie na nich SS-man i zburzy chwilowy spokój.

W obozie kobiecym grasuje od pewnego czasu Aufseherin Bormann, niezwykle drobiazgową i umiejącą szukać. Z jej to inicjatywy odbywa się słynna rewizja w Rajsku, u pracownic laboratorium botanicznego. Rozkazano kobietom zdjąć odzież i bieliznę, ubrano je w szare sukienki, kazano się zbierać przed barakiem i nie ruszać z miejsca. Wyniesiono wszystko z baraków mieszkalnych i pracowni, pod kierunkiem Bormann wyszukano najmniejszy skrawek ukryty w drzewie czy w ogrodzie pod liśćmi. Nawet śmietnik został przeszukany. Komendant obozu Kramer, Lagerfuhrerin Man-del, Aufseherin Milan-Volkenrat biorą najczynniejszy udział w rewizji. Wszystkie znalezione rzeczy zostają posortowane na dwa stosy, paczki żywnościowe rzuca się w całości na jeden albo drugi, na skutek oświadczenia Kramera, żeby nie gromadzić żywności, bo mogłyby się w niej zalęgnać myszy. Rewizja trwa

cały dzień. Pod wieczór zajeżdżają auta ciężarowe i zabierają rzeczy zarekwirowane. Siedem pełnych aut! Resztę rzeczy polano benzyną i podpalono.

Ciężarówki zajęły przed barak Unterkunfts i magazyn odzieżowy w Birkenau budząc podziw miejscowych pracowników. Gatunek ręczników pachnących dobrym mydłem, jaśki pokryte barwnymi jedwabiami, estetyczne woreczki toaletowe pełne przyborów, czysta i/na i ilość książek świadczą, że Rajsko umiało świetnie organizować.

Pozostawiono je bez niczego. Nóż stał się na czas długi luksusem. Zanim kolumny chodzące z Oświęcimia 1 Birkenau do Rajska zdążą je zaaprowidować, minie dużo czasu.

Nazajutrz po rewizji capo Rajska zostaje karnie przeniesiona do Birkenau, gdzie ma czekać na transport do Niemiec.

Po pewnym czasie okazało się, iż SS-mani robiący rewizję tak dalece byli gorliwi, że spalili również mali Tłaty dotyczące przebiegu i wyniku badań nad podobną do mleczka rośliną kok-sagiz, którą hoduje się na dużą skalę w Rajsku celem wyprodukowania z niej surogatu gumy. Spalono prócz tego rzeczy osobiste żony Cezara, szefa Rajska, co stało się przyczyną nieporozumień między nim a Aufseherin Bormann.

Pracownicy Unterkunfts patrzą z niepokojem na przywiezione im rezultaty rewizji.

Nie czekają długo na spełnienie obaw.

Unterkunft (intendentura obozu) stał się, dzięki rozumowi prowadzącej go Polki Felicji Iwanowskiej, cichą wyspą Birkenau. Świetnie mówiąc po niemiecku, potrafi utrzymać władzę z dala od swego baraku i sześćdziesięciu pracujących w nim Polek. Jest to jedno z niewielu miejsc, gdzie można nie tylko umyć się swobodnie w czasie godzin pracy i wyprać swą bieliznę, lecz także można — zachowując ostrożności — czytać potajemnie zdobyte książki, pisać w zabronionym polskim języku, uczyć się. Magazyn jest wielki i pod sam dach pełen kołder, koców, garnków, wiader, skrzyń, desek, wiórów do napychania sienników. W tym magazynie z wielką łatwością ukryć można swoje rzeczy, książki, zeszyty, mapy frontu, papiery. Pewnego wieczoru do baraku wpada grupa SS-manów ze słynnym „Totenkaferem” (żuk śmierci (tzw. grabarz))* Lachmannem z wydziału politycznego, komendantem Kramerem i Lagerführerin Mandel na czele. W wielkim składzie szukają jak igły w stogu siana, rewizja trwa kilka godzin, po czym barak zostaje zamknięty pod zarzutem afery komunistycznej. Trzy kobiety zostają za karę wysłane do Ravensbruck.

Nikt nie wie nigdy, co jest przyczyną rewizji i do czego ona zmierza. SS-manów niewiele interesują drobiazgi będące skarbem więźnia, interesuje ich natomiast, czy więzień blednie, czy drżą mu ręce, czy jękając się prosi o łaskę. Jeśli tak, wybuchają głośnym śmiechem i odjeżdżają zapisawszy numer. Lecz jeśli widzą pogardliwy spokój, cichy uśmiech świadczący o tym, że nie są w stanie zburzyć jego równowagi, że nie są w stanie odebrać mu nic, choćby wzięli wszystko — wpadają w gniew. Biją, katują, tną pejczem do krwi, bo oni tylko po to prawdopodobnie idą pomiędzy baraki, żeby budzić w ludziach strach i w jego widoku oraz we

własnym śmiechu zapomnieć na chwilę o szaleńczym przerażeniu, które nie opuszcza ich dniem ani nocą.

Rozdział czwarty SEN O WOLNOŚCI

Lato tego roku jest niezwykle upalne. Pod niebem bez najmniejszego obłoku, w powietrzu suchym i gęstym od dymów krematoryjnych więźniowie z utęsknieniem wyczekują świeżego powiewu.

Jest to okres niemieckich klęsk i wiadomości o tym docierają za druty.

Co pewien czas pojawia się pogłoska doprowadzając do podniecenia, do gorączki niemal. Ustalił się nowy wymiar czasu — żyje się teraz od jednego do drugiego komunikatu.

Nowin dostarczają grupy więźniów zatrudnionych w pobliżu aparatów radiowych. Radio jest w wydziale politycznym, w biurze budowlanym i w niemieckim lazarecie. Słucha się go podczas nieobecności szefa, który wyjeżdżając zostawia pokój otwarty ze względu na sprzątanie.

Przychodzą /w pobliże obozu kobiecego mężczyźni, nieznacznie przysuwają się do drutów i wykonując jakieś fikcyjne prace opowiadają szeptem, co słyszeli przez radio. Pogodne niebo powleka się radością, jakby drgało pod falowaniem rozwianych na wietrze sztandarów państw uwolnionych.

Krań niewoli i zagłady nawiedzony zostaje przez wizję wolności wskrzeszonej już we Francji i na wschodnich ziemiach Polski,

Niektórzy mężczyźni wchodzą do obozu kobiecego służbowo i sprytnie unikając kar dostarczają nowin. Żona rozmawia z mężem — w warunkach obozowych to widok szczególnie. On, pochylony nad wózkiem, z którym tu przyjechał, udaje, że coś naprawia, ona o kilka kroków dalej przerzuca ziemię łopatą. Nie patrzą na siebie, mimo że do siebie mówią. Na widok SS-mana odsuwają się nieznacznie i bardziej jeszcze zagłębiają się w pracy.

Młody Polak na stanowisku blokowego, oskarżony o słuchanie radia i kolportowanie wiadomości, zostaje ukarany bunkrem, a potem śmiercią przez powieszenie. Lecz życie w obozie podobne jest do marszu frontowego, w którym idący nie może zatrzymać się i oglądać na poległego współtowarzysza. Niczyja śmierć nie jest tu przykładem odstrasającym. Słuchanie radia jest konieczne. Pogłoski krążące po obozie są zbyt sprzeczne, żeby im wierzyć, wiadomości podane w gazetach niemieckich niewystarczające. Więzień jest podejrzliwy i nieufny. Każdą informację porównuje z wiadomościami z kilku źródeł i dlatego im więcej jest w obozie aparatów radiowych, z których potajemnie można korzystać, tym lepiej.

Co wieczór wracające pracownice wydziału politycznego i biura budowlanego zdają jak najściślej sprawę z ostatnich wydarzeń. Jugosłowianki zatrudnione w lazarecie SS-manów przynoszą niemieckie gazety. Można z nich wyczytać, w jakiej mierze przyznają się Niemcy do tego, co słyszy się w radio, czasem znaleźć można mapkę frontu.

Wiadomości są coraz lepsze. Mówi się o Lublinie i nie ma się odwagi wierzyć w Lublin. Chorobliwy lęk przed rozczarowaniami, właściwy psychice więźnia, walczy z wymową faktów. Co rano, gdy wzrok pada na ciągnące się hen, coraz dalej linie drutów, człowiek boi się, żeby to, z czym zasypiał z wieczora, nie okazało się wytworem rozgorączkowanej wyobraźni.

Tak samo idzie do pracy kolumna S. K., tak samo dymi komin, tak samo za drutami widać sylwetki schylonych nad łopatą mężczyzn, tak samo toczy się życie wśród gwizdków i jednakowych zajęć. Najżywsze umysły gubią się w zwątpieniach.

Do Birkenau przybywa Majdanek. To, co opowiadają więźniowie Majdanka, jest niesłychane.

Szli piechotą, konwojowani przez SS-manów. Nocami zatrzymywali się na postojach. W lasach próbowali uciekać. O tym więźniowie Oświęcimia chcieliby wiedzieć najdokładniej bo front się zbliża, bo może się zdarzyć taka chwila, że będą ewakuować.

Lecz tego ludzie z Majdanka powiedzieć nie umieją. Owszem, wszyscy opowiadają chętnie i każdy z nich jest pewien, że przedstawia faktyczny stan rzeczy, lecz każdy mówi co innego. Wedle relacji jednych., do Oświęcimia dali się przyprowadzić tylko chorzy albo gapie, którzy nie umieli skorzystać z takiej okazji, jaką był ów marsz. Drudzy wyliczają na palcach i z nazwiskami tych nielicznych, którym się uciec udało. To mała zaledwie garstka. Inni wreszcie zapewniają, że wielu próbowało, lecz nie zdołał nikt, że ci, którzy zaryzykowali, padli przy drodze zabici. Że pochód był otoczony gęstym kordonem SS-manów i szedł znacząc drogę trupami i śladami krwi.

Słyszy się, że widziano już w chwili wymarszu czołgi radzieckie wjeżdżające do Lublina, to znów, że na jednych rogatkach byli jeszcze Niemcy, podczas gdy na innych strzelali Rosjanie, albo że miasto żyło spokojnie i Rosjan nikt nie widział.

Więzień odcięty drutami, zdany na własne domysły, jest w tym czasie jak zwierzę w klatce podżegane z jednej strony ogniem, z drugiej klute, a z trzeciej bite w oczy.

Nikt nie może utrzymać się w ryzach, usiedzieć przy pracy. Widuje się całe grupy, które pod rozmaitymi pozorami docierają do tych z Majdanka, żeby sobie wyrobić pogląd na sprawę. W rezultacie osiągają najzupełniejszy chaos.

Jedno jest pewne, że front ruszył. Ocknął się na wschodzie i zachodzie. Jego krok powolny słychać dniem i nocą.

Czasem zajęty pracą więzień podnosi głowę znad skamieniałej od upału ziemi i słucha. Dalekie, powtarzające się w różnych odstępach czasu detonacje. Co pewien czas odległe „wuh — wuh — wuh!”

Jakże lekki staje się trud codzienny, gdy słyszy się własnymi uszami - - to teraz już nie jest gołosłowna relacja - - że front ruszył. Nie wiadomo, skąd te detonacje. Czyżby to spod Tarnowa? Czy może z gór?

Co wieczór daleki pomruk dział kołysze więźniów do snu. Zasypiają coraz ufniejsi w swe wyzwolenie, które się co dzień zbliża.

Transporty do Niemiec stają się częstsze i liczniejsze. Wedle planu cały obóz ma być pusty, zanim zbliży się front. Marzy się, żeby dotrzeć w Oświęcimiu do chwili nadejścia wojsk wyzwoleniczych. Nielatwo jest jednak uchylić się, gdy wybór pada na całe kolumny, spisywane i wysyłane w pełnym składzie.

Widuje się w upale tych dni pełnych radości, podniecenia i niepokoju długie szeregi przygotowane do transportu. Stoją w piątkach na drodze pomiędzy obozami kobiecymi, strzeżone przez SS-manki. Są już po kąpieli. Zabrano im wszystko, co miały. Dostały popielate sukienki, takie, w jakich wysyłano z obozu część Żydówek węgierskich. Każda z nich jest znów człowiekiem nagim, który ma próżne ręce. Czeka je nowy obóz i w nim nowe tworzenie egzystencji.

Stoją patrząc po raz ostatni na wrosłe w ziemię baraki Birkenau. Nie można podejść do nich, Już tylko

gest, ukrywany przed wzrokiem Niemców. Czasem okrzyk z grupy tych, które pozostają: - Jutro my pojedziemy również.

I rzeczywiście jutro jadą następne. Obóz zmienia wygląd. Były w nim twarze, które utkwily w pamięci, wryły się w obraz Birkenau, stały się nieodzownym elementem jak druty i bramy. Do takich należała Puffmutti. Teraz ona, jak wiele innych, wyjeżdża na dalszą tułaczkę więzienną. Wyjeżdża całe S.K.

Prócz dorosłych wyjeżdżają co pewien czas transporty urodzonych w obozie niemowląt. Są one wkrótce po przyjeździe na świat oddzielane od matek, podlegają tatuowaniu na udzie i przebywają w barakach rewiowych, dopóki nie zbierze się ich dość dużo. Wtedy pod opieką kilku pielęgniarek i SS-manek zostają wywożone; mówi się, że w okolice Łodzi. Nigdy się jednak rodzinom nie udało ich odnaleźć.

Niezależnie od transportów likwidacyjnych wysyłanych do Niemiec, przyjeżdżają do obozu Włoszki i Jugosłowianki, aresztowane najczęściej za udział w partyzantce. W pierwszych godzinach zachowują się w obozie hardo, nie pozwalając sobie zrywać szlif oficerskich i domagając się, żeby je traktowano na prawach żołnierza-jeńca. Zdarzają się wypadki pobicia SS-manek przez nowo przybyłe, które jednak szybko zostają obezwładnione. Wydział polityczny wpisuje je pod numery siedemdziesiąt osiem tysięcy aż do dziewięćdziesięciu

ośmiu tysięcy. Jednocześnie zaczyna się numeracja podwójna, tak zwana A, dawana nowo przybyłym Żydówkom. Numeracja ta przekracza trzydzieści tysięcy. Tak więc liczba ogólna kobiet zarejestrowanych (prócz uśmierconych bez rejestracji w komorach gazowych) zbliży się pod koniec trwania obozu do stu trzydziestu tysięcy.

Włoszki przyjeżdżają z dziećmi, które zostają zatrzymane na odcinku „A” obozu kobiecego, podczas gdy matki mieszkają na odcinku „B”, skąd chodzą do pracy w pole. W niedzielne popołudnia widzieć czasem można włoskie kobiety stojące pod bramą dzielącą odcinek „A” od odcinka „B”- Wyciągają ręce wołając: „Bambino, bambino” i usiłują tłumaczyć stojącej w bramie funkcyjnej, żeby je puściła do dzieci. Lecz najczęściej odchodzą odpędzone kijem i niemieckim krzykiem polskiej Lager-Alteste.

Małe dziewczynki włoskie chodzą po drugiej stronie drutów, trzymając się za ręce. Daremnie czekają na swoje matki. Ich wielkie oczy spoglądają ze zdziwieniem i smutkiem. Widocznie przywieziono je rodzeństwami, bo często słyszeć można, jak o sobie nawzajem mówią „la sorellina”. Dzieci o twarzach bez uśmiechu, z przedwczesną powagą w spojrzeniu, błakają się pomiędzy barakami, oczekując zmian.

Każdej niedzieli, gdy w obozach stoi południowy apel, na rampę wjeżdżają puste wagony towarowe, używane zawsze do transportów, mające maleńki otwór wysoko w ścianie i drzwi nadające się do ryglowania. Idą piątkami ubrani pasiasto mężczyźni niosąc swoje ostatnie porcje chleba i margaryny, jakie dostali na drogę. Niektórzy — nieliczni — mają paczki. Zajmują wagony. Zawierają się za nimi drzwi. W okienku zjawiają się twarze tych, którzy chcą jeszcze popatrzeć. Czasem wysuwa się dłoń z gestem pożegnania.

Nocami śpiew odjeżdżających, polski śpiew, rozbrzmiewa niekiedy głośno ponad uśpionym Birkenau.

To wygląda na planową likwidację obozu.

To staje się znowu przyczyną marzeń — gdyby tak zbombardowano w nocy lokomotywę takiego pociągu.

Naloty lotnicze stają się częstsze. Syreny Oświęcimia i Birkenau, syreny Śląska wyją na trwogę. Dla więźniów brzmią jak hejnał radości. Na głos alarmu widzieć można SS-manki biegnące pośpiesznie w stronę bramy i układające się w rowach. To stwarza przedsmak wolności. Wiadomo, że wtedy żaden SS-man nie przyjdzie pomiędzy baraki. Przerywa się pracę i śledzi przebieg bombardowania. Więźniów nie obowiązują krycie się po rowach i mogą teraz pozwolić sobie na swobodę w wyrażaniu uczuć.

Na tle lazuru — bardzo wysoko — zjawia się eskadra. Lśni w słońcu, chwilami znika, żeby potem znów płynąć po niebie.

W drzwiach rozwartego baraku stoją więźniowie i patrzą ku górze. Niepodobna opisać ich wzruszenia, które się budzi w chwili odzyskiwania wiary. Ludzie, którzy, zachowali spokój w obliczu śmierci, w obliczu epidemii, w głodzie, pod ciosami kijów — teraz nie są w stanie

opanować spazmu radości, który napęłnia ich oczy łzami. Stoją— a przeciwlotnicza artyleria Oświęcimia i Birkenau grzmi rozsypując gęsto odłamki. Zdarzają się wypadki zranienia, lecz więzień się nie cofa. Raczej nakryje głowę miską i stoi dalej.

Pierwsza eskadra przeleciała wyznaczając na niebie cienką pręgę śnieżnobiałą, podobną do długiego obłoku. Wygląda to tak, jakby rysowano w powietrzu mapę terenu dla tych, którzy nadlecą za chwilę.

Obóz przesłania się mgłą, przez którą nie widać najbliższych baraków. Owa „mgła” dokuczliwie szczypie w oczy: Niemcy maskują teren.

Ale nawet przez tę zasłonę widać białą pręgę na niebie, w pobliżu której zjawia się za chwilę eskadry. Słysząc już ryk motorów. Im silniejszy, im potężniejszym brzmiały akordem, tym większa radość więźniów. A potem z kierunku wybuchających bomb starają się odgadnąć, co zbombardowano.

Wedle ostatniego zarządzenia kolumny pracujące poza obozem mają rozkaz pod karą śmierci wracać najszybszym biegiem, gdy tylko rozlegnie się głos syreny. Cóż to za widok!

Najpierw odzywa się zwykle syrena Oświęcimia, po niej syrena Birkenau, tak zwana „nasza historyczka”. Ze wszystkich dróg, od wszystkich rowów biegną tysiące rzuciwszy łopaty i tragi pełne ziemi. Błogosławią ten głos, który jest głosem lęku Niemiec.

Najczęściej, gdy niebo jest czyste — a ostatnio czyste jest od wielu tygodni — nalot odbywa się około godziny jedenastej przed południem czasu niemieckiego. Więźniowie czekają tej pory i są pełni ukontentowania, gdy nadzieje ich nie były daremne. Dzień bez nalotu jest dniem zmarnowanym, dniem żalu do wojsk sprzymierzonych. Lecz bywa, że syreny bez przerwy ogłaszają naloty, eskadry za eskadrami z rykiem motorów pędzą na pobliski Śląsk. SS-mani nie mogą wyjść z rowów, więźniowie nie mogą wyjść do pracy.

Czasem nalot odbywa się nocą. Wtedy do głosu syren dołącza się jęśliwe nawoływanie:

- Licht aus (gasić światło)* — Licht aus!

Gasną światła na drutach. Po dachach chroboczą odłamki pocisków artylerii przeciwlotniczej.

Miło przewracać się na drugi bok słuchając tego chrobotu. Jakby wiatr jesienny przeganiał zeschnięte liście. Miło zasypiać, gdy odgłos dalekich detonacji opowiada najpiękniejszą w świecie bajkę zaczynającą się od słów: „Kończy się wojna...”

Tak, lato 1944 w Oświęcimiu zasłuchane jest w śpiew syren. Prócz tych urywanych, ogłaszających nalot, rozlega się jeszcze sygnał inny, trwający kilka minut bez przerwy. Więźniowie podnoszą głowy i badają rodzaj. Jeżeli nie jest to alarm lotniczy, lecz przeciągły gwizd — podnoszą dłoń i mówią:

— Więcej, bracie, jak długie nogi masz! Wiecie, co znaczą te słowa? Brat zwiął. Umknął jakiś więzień. Pozostali życzą mu szczęśliwej drogi. Dziś po apelu będą do późnej nocy za karę

stać z odkrytymi głowami, podczas gdy capo i blokowi z kijami w dłoniach wyjdą za bramę na poszukiwanie zbiega. Wśród funkcyjnych bywają tacy, którzy znają już trasę ucieczek i miejsca, gdzie zbiegowie mogą się zatrzymać. Ale chodzą z głupimi minami dokoła obozu, zaglądając do rowów i dołków.

Wysłany wraz z innymi aa poszukiwanie capo S.K. męskiego, podobno pijany, opiera się o druty kobiecego obozu i ginie natychmiast porażony prądem.

Wśród szukających jest Zdzisiek. Ober-capo męskich Unterkunflów, młody mężczyzna, który szczęśliwie ujdzie z obozu w jeden z najbliższych dni.

Ucieczki są coraz częstsze i przestały być przygodne. Znikają mężczyźni zdolni do służby wojskowej, Polacy i Rosjanie.

Nie jest to dla więźniów tajemnicą, że ktoś z zewnątrz pomaga. Są w pobliżu obozu, w pszczyńskich lasach i w górach partyzanci, na których obóz liczy.

Toteż stojąc z odkrytymi głowami — ostatnio niemal co wieczór — umieją nie myśleć o swoim zmęczeniu. Ufają tym, którzy tak zręcznie zabierają ludzi na wolność. Przyjmują to jak rozkaz, który chętnie wypełniają.

Nie jest ciężko stać godzinami pod pogodnym niebem wieczornym, na którym błyskają światła rakiet i przesuwają się reflektory. Nie jest trudno wierzyć w zbliżanie się wolności, gdy można obserwować znaki będące potwierdzeniem radiowych informacji.

Niewiara więźniów miała swe głębokie uzasadnienie. Dziś jednak, gdy niejedne zgięte trudem plecy wyprostowała nadzieja, gdy niejedne bólem zmrużone oczy rozwarły się szeroko radosnym zdziwieniem, że spełnia się ta rzecz jedyna, o której wszyscy marzyli nieustannie na jawie i we śnie, wiara więźniów staje się silna i silny entuzjazm, choć nikt go nie objawia.

Oni umieją milczeć, nauczyła ich tego niewola. Nikt nie rozpytuje i nie docieka, wiadomo jednak ostatnio, że czyjeś zbrojne ręce są coraz bliżej, że druty rozchyliły się w stronę pszczyńskich lasów i w stronę gór, w których czeka na swych braci żołnierz polski.

Nietrudno zgadnąć, że dola polskiego żołnierza, który wyszedł z miast, żeby na zapleczu wroga przygotować się do walki, niewiele jest lepsza od doli w obozie koncentracyjnym.

Ma on wśród puszczy i wśród gór bogactwo jedyne — ma swobodę, lecz jakże często bywa głodny, a nogi jego krwawo znaczą ślad.

Odgaduje to więzień i czci tego, który mu idzie z pomocą.

Gdy pewnego dnia pada rozkaz, obóz jest gotów.

Rozkaz brzmi: należy mieć w pogotowiu dobre buty marszowe, żelazny zapas nie psującej się żywności, bieliznę na zmianę i w miarę możliwości trochę środków opatrunkowych.

To wszystko. Lecz jakże to dużo dla kobiet wsłuchanych w dudnienie zbliżającego się wschodniego frontu.

Obóz przeżywa legendę, jedną z najpiękniejszych, jakie mogą przeżyć ludzie tak różni, ze wszystkich stron świata spędzeni z wszelkich kręgów społecznych i kategorii moralnych się rekrutujący.

Dziś są braćmi. Dziś wszyscy mówią sobie uśmiechem oczu, że Tarnów zajęty. Że Krzeszowice zbombardowane, a Kraków przygotowuje się do ewakuacji.

Oświęcim przygotowuje się również.

Więźniowie mają wyjść za druty.

Gdy po raz pierwszy w cztery oczy słyszy się tę wieść, ulega się wstrząsowi jak w obliczu narodzin lub śmierci. Nie ma w tym ani radości, ani obawy. Tylko wstrząs.

Niemal po oczach poznać można, kto spośród więźniów już wie. W spojrzeniu młodego mężczyzny czy starszej kobiety jest jednakowy wyraz. Spokojna, pełna radosnej pewności decyzja — śmierć lub oswobodzenie.

Nie wszyscy są informowani. Lecz pomiędzy więźniami nie ma ścian ani drzwi, za którymi można byłoby coś ukryć. Więzień żyje ciągle widziany przez innych. Jeden obserwuje drugiego i tą drogą w szybkim czasie wszyscy dochodzą do posiadania tajemnicy. Wszyscy czynią przygotowania.

W owym czasie w obozie nie ma ceny, za jaką można byłoby kupić dobre marszowe lub narciarskie buty. Tym razem nie jest to kwestia większej lub mniejszej ilości boczku lub słodyczy przysłanych w paczce z domu. Po prostu butów zabrakło. Trudno nawet o półbuty, nawet o dobre pantofle na płaskim obcasie.

Co wieczór, gdy gongi dzwonią na ciszę i światła gasną w blokach, więźniowie starannie rozwieszają odzież na gwoździach, żeby w nocy trafić do wszystkiego po omacku. Wiedzą, że światła wtedy nie będzie, bo elektrycy wyłączą prąd, żeby można było od razu na wszystkich odcinkach przeciąć druty.

Władze obozu, nie wiadomo czym się powodując, może tylko względem na własne bezpieczeństwo w chwili przybliżenia się Armii Czerwonej, przeprowadziły najsurowsze rewizje, odbierając narzędzia żelazne i wszelkie przedmioty ostre. Mężczyznom nie wolno nosić scyzoryków. Lecz stolarze w Birkenau mają ponad czterdzieści siekier i te wystarczą, żeby poprzecinać druty.

Dni są długie oczekiwaniem wieczoru; wedle przewidywań odbicie nastąpi w nocy.

Dni są radosne upalnym tchnieniem niebios, skąd ustawicznie słychać warkot samolotów, noce zasłuchane są w oczekiwane hasło. Detonacje stają się lepiej słyszalne i gdy między jednym a drugim wybuchem obozowego gwaru słyszy się ich jęk, ogarnia radosna pewność,

że otoczenie bez przerwy potwierdza prawdziwość politycznych zdarzeń, których bieg śledzi z uwagą więzień.

Z jakąż starannością naciera się margaryną ze swej porcji wierzchy i spody butów, przeznaczonych na drogę — tych butów, które pewnej nocy wejdą w głęboką trawę łąk. Ileż radości jest w składaniu do plecaka każdego przedmiotu kawałka mydła, kilku kostek cukru przeznaczonych na owe dni, które czekają z dala od drutów.

Poranki są mgliste, wilgotne od rosy leżącej na ziemi i na trawach pod drutami. Jest chłodno i ledwo szarzeje, gdy kończy się apel u kobiet. Po rosie donośnie rozlega się gwar mężczyzn wyruszających do pracy. Towarzyszy im myśl, że może dziś po raz ostatni idą przez bramę w piątkach, że jutro może nie będą już więźniami.

Każda minuta dnia, a szczególnie każdy wieczór, jest teraz czekaniem.

Wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie przychodzi wśród wielu innych sensacji i nie jest przez nikogo brana dosłownie. Uznano, że niemiecka propaganda nazywa jakiś mały rozruch powstaniem, żeby tym wytłumaczyć represje, jakie zapewne zostaną zastosowane. Pierwsza wzmianka o tym w niemieckiej gazecie jest krótka i niewiele mówi.

Pochylone nad stołem kobiety szukają czego innego, szukają linii frontu od strony południowo-wschodniej, która kleszczami ogarnia Oświęcim.

Wieczorem dopiero okazuje się, że byli tacy, którzy słuchali mszy transmitowanej z Warszawy, odprawionej na intencję powstania, oraz audycji, nadanej w języku polskim.

Nie można sypiać nocami. Myśl o Warszawie, o powstaniu, o którym pierwsze wieści są jak najlepsze, jest tak realna, że przepelnia oczy widokiem znanych ulic, placów i ulubionych zaułków Starego Miasta. Niespodziewanie jawi się jakiś fragment, a z nim wspomnienie — czasem najbliźsze — które teraz uwyrażnia nic; i przykuwa wzrok.

Czy znacie tęsknotę silniejszą niż głód i pragnienie? Czy wiecie, że potrzeba marzeń bywa potężniejsza niż potrzeba snu? Czy uwierzycie, że znużony całodzienną pracą więzień może układać się wieczorem w specjalnie dokuczliwej pozycji tylko po to, żeby nie zasnąć, gdy umysł chce jeszcze pracować? Tak bywa. Cały obóz cichnie i nieruchomieje. Wpatrzony w deski dachu lub w światło sączące się przez szybki leżą istoty bezsenne. Los uśmiechnął się do nich pięknymi nadziejami. Wierzą. Marzą.

Tymczasem o późnej porze, ostrożnie uchylając skrzypiące wrota wsuwają się do baraków ciemne postacie. Leżące kobiety podnoszą się. To idą oczekiwane pracownice biura budowlanego, wydziału politycznego albo zaprzyjaźnione Jugosłowianki z SS-lazaretu. Idą wytrwale kolporterki wiedząc, jak są oczekiwane. Powtarzają jak najściślej treść komunikatów radiowych.

W ciszy rozrasta się podawane z ust do ust słowo WARSZAWA, a za nim słowo POWSTANIE. Polacy opowiadają innym o stolicy swego państwa. Drżą szumem radosnym

drzewa w Alejach, migoce woda w Wiśle, drzemią leniwie lwy przed Radą Ministrów, śmieją się śmiechem średniowiecznych mieszczek zaułki Starego Miasta. Stolica powstała! Śpiew jej syreny brzmi na świat cały, dociera w dal najodleglejszą, słyszany jest w Oflagach i Stalagach, w obozach pracy, w bunkrach i obozach koncentracyjnych.

Cisza letniej nocy spada na obóz. Cisza pełna radosnych przewidywań, mężnych decyzji, niespokojnych snów. Warszawa wzywa! Warszawa podejmuje bój!

Warszawa walczy — Oświęcim czeka na odbicie.

Gwiazdy pochylają się nad barakami, patrząc w otwarte oczy więźnia. Gdy nad ranem zapada on w krótki sen, śni mu się, że biegnie nocą pomiędzy uspionymi domami, których sylwetki nie są mu znane. Na placach i ulicach pustka. Słyszy odgłos własnych kroków. Z niepokojem szuka znajomego kształtu, szuka człowieka, którego mógłby zapytać, jak nazywa się to nieznane miasto. Lecz nigdzie nie widać nikogo. Biegnie więc dalej, przesuając się pod arkadami starych domów, pod fasadami wysokich budowli, od których pada na jezdnię gęsty cień.

Ponad dachami, w obłokach, przesuwa się księżyc, lecz jego światło nie dociera w ciemne czeluście ulic.

Biegający podnosi głowę, by spojrzeć w światło księżyca, i ponad domami dostrzega zarys znajomych wież kościoła. Nie wie, jak się do nich zbliżyć, lecz podwaja wysiłek, przebiega zaułki, wymija budowle, walczy z zawiłą architekturą nieznanego miasta, ciągle podnosząc głowę na coraz bliższy zarys. Domy jak tekturowe dekoracje w teatrze rozsuwają się przed nim i wtedy u wylotu placu ukazuje się zdziwionym oczom kościół Zbawiciela. Toż to przecież Warszawa! Tłumy idą ze śpiewem, a on posuwa się wraz z innymi, słuchając, jak dzwony biją nad miastem. Ulice są teraz znajome, a tu blisko o kilka kroków jest rodzinny dom.

Budzi się w ciszy baraku i słucha, czy od umówionej strony nie rozlega się hasło.

Przychodzi wreszcie noc, o której się mówi, że będzie decydująca. Napięcie wśród więźniów jest wielkie. Nie mogą już teraz tłumić swych uczuć i przeżywać oczekiwania samotnie. Przed snem żegnają się uściskiem dłoni i radosnym spojrzeniem. Myśli ich są już po drugiej stronie drutów.

Nad ranem przychodzi mocny sen.

Hałas, tupot nóg, jakieś dudnienia budzą obóz. Nim jeszcze pierwsza myśl zdoła zaświtać, dłoń sięga w ciemność do butów i natrafiwszy na ich nasiąkła tłuszczem skórę zatrzymuje się. W baraku cisza. Tupoty dochodzą z zewnątrz. Tu słychać tylko szelest ubierających się. Robią to tak cicho, że można usłyszeć łoskot ich serc. Jakkolwiek lancet przecina wszystkie myśli olśnienie: Już

Nim dłonie sięgną po odzież, twarz przywiera na sekundę do szorstkiej powierzchni plecaka, który wreszcie doczekał się swej chwili.

Zęby szcękają z zimna czy z emocji, lecz w myślach panuje najzupełniejszy ład. Za drutami czeka śmierć. Komu uda się ją minąć, będzie wolny. Będzie wolny! Niebezpieczeństwo maleje i znika. Noc ponad obozem śpiewa już tylko o wolności.

Ktoś wbiega szybko do bloku. Z ciemności czyjś głos pyta:

- Czy palą się światła na drutach?
- Palą się.
- A co to za bieganie?
- Ludzie jacyś przyjechali na rampę. Podobno z War-s/awy. Chcemy ich o to zapytać.

Zatrasnęły się wrota baraku. Na dworze słychać kroki coraz dalsze, zmierzające do drutów, i głos wołający cicho:

- Ludzie! Skąd wy jesteście?

Z rampy pada odpowiedź: z Warszawy. Powstańcy i ludność cywilna. Ochota. Grójecka, Opaczewska, Filtiowa, Wawelska, Słupecka, plac Narutowicza.

Trudno uwierzyć w to, co się słyszało. Pierwszego dnia więźniowie łudzą się jeszcze, że to tylko Ochota nie została objęta powstaniem i dostała się w ręce Niemców, lecz dni następne rozbijają to złudzenie.

- Warszawa jedzie! —ten okrzyk rozlega się na rampie, w bramie, w barakach.
- Warszawa jedzie!

Dzielnicami, ulicami, domami wychodzi z swych granic stolica i transportowe wagony Oświęcimia wiozą ją niezmordowanie dzień i noc.

Przez wszystkie dni, w które płynie do obozu Warszawa, jest bajeczna pogoda. Jarzębiny czerwienią się po polach, niebo tchnie upałem, w którym czasem jawi się rzeźwiący powiew.

A tu jak krew, której zatamować niepodobna, płynie ze środka Polski struga obfita i wsiąka pomiędzy druty.

To trwa przez cały sierpień.

Przez cały sierpień idą z rampy do obozu warszawiacy.

Ich odzież poszarpana i brudna, często splamiona krwią, źle opatrzone rany, twarze do ostatka znużone i oczy pełne niemej rozpaczki stwarzają obraz pola walki, z którego przybywają.

Więzień szuka zetknięcia z nimi, a równocześnie boi się ujrzeć wśród idących postać drogą boi się usłyszeć złą nowinę.

O wszystkich można się dowiedzieć, spotyka się znajomych, odnajduje się krewnych. Oni patrzą w zdumieniu na ogolone głowy więźniów, na czerwone pręgi na plecach, a więźniowie rozpoznać nie mogą ich wymęczonych twarzy. Wytęskniony dom, jego wszyscy mieszkańcy, którzy czekali na powrót więźnia, przychodzą teraz sami zmienieni w nędzarzy. Długotrwały brak wiadomości i kontaktu z bliskimi zostaje wynagrodzony — w jakże gorzki sposób. Ojciec? Tak, był razem z innymi w piwnicy, pomagał, leczył. W Pruszkowie przyłączono go do grupy starców. Może przyjechał tu razem z mężczyznami. Matka w dniu pierwszego sierpnia rano wyszła do miasta i daremnie wyczekiwano jej powrotu. Siostra jest tu gdzieś na pewno w tłumie, bo jechała pociągiem transportowym. We wrześniu urodzi maleństwo. Jej mąż został rozstrzelany. Obaj bracia byli w powstaniu. Młodszy przedarł się dwukrotnie do domu, a szóstego sierpnia zawiadomił przez telefon, że |n/yjdzie ze starszym, który był ranny. Ale nie przyszedł. Dom? Zburzony doszczętnie. W całej tej dzielnicy nie został ani jeden budynek.

Oto jest, więźniu, twoja rodzina, twoja droga powrotu. Odcięto cię jak roślinę od ziemi. Odtąd już tylko po ulicach koncentracyjnych, po fabrykach amunicji, po wielkim Deutschlandzie myśl twoja będzie błądzić szukając bliskich. Daremnie myślisz o domu na ulicy Bonifraterskiej, daremnie odtwarzasz w sobie każdy jego szczegół. Droga powrotu, którą wymarzyłeś sobie od pierwszych dni pobytu w lagrze, inna teraz będzie dla ciebie.

We wspomnieniu widzisz dzień, w którym wychodziłeś z domu aresztowany przez gestapo. Nie wiedziałeś wtedy, że jesteś w tym miejscu po raz ostatni, po raz ostatni w mieście, którego już nie ujrzysz inaczej jak w gruzach.

Warszawa! Warszawa! Niepodobna zagłuszyć w sobie widoku jej ulic i zaułków, narzucających się ustawicznie! wyobraźni, niepodobna pogodzić się z myślą o jej zburzeniu, niepodobna pomieścić się w biernej roli niewolnika snującego się dni całe pomiędzy drutami z taczka piasku. Więzień, nie bacząc na rygory i kary, idzie z pomocą warszawiakom. Gdy stara się o chleb, o kawę, o płótno i mydło, gdy usiłuje wniknąć w niedolę dzieci, chorych wiele przyjeżdża z dorosłymi, miewa chwile, w których zapomina o powstaniu.

Warszawiacy nie zostają przyjęci przez obóz obojętnie. Są oni gośćmi więźniów, podejmowanymi chlebem z własnej porcji i kawą zorganizowaną całymi kotłami spod kuchni.

Nie ma miejsca na długotrwałe przygnębienie, gdy chce się pomóc gromadzie ludzi dotkniętych niedolą.

Dopiero wieczorem, gdy dzieci siadają na swych kojach i oparłszy się o cegły zaczynają mówić, powstaje

Warszawa wielopiętrowa i wielouliczna, w każdym zaułku ożywiona walką Warszawa nieobliczalna, Warszawa przegrywająca.

Tam w tej chwili stolica sypie się w gruzy, przemienia w ruinę, tu wzrasta w sercach więźniów przywołana tęsknotą i smutną pewnością, że nie ujrzą już Warszawy dawnej.

Czasem chłopiec mały, ośmio - lub dziesięcioletni, opowiada:

— Kazali mi chodzić z kartkami i oddawać według adresów. Było na nich napisane tylko tyle, że stawić się trzeba w jednej fabryce. Tam była zbiórka. A później znowu roznosiłem paczuski. Nieduże były, ale bardzo ciężkie.

Ty nie wiesz, mały więźniu, że byłeś łącznikiem, że jesteś powstańcem. Nie odgadujesz, że pokolenia następne wzniosą ci piękny pomnik na ulicach nowej Warszawy, a mali chłopcy marzyć będą o twej sławie.

Nie wiesz także tego, że nigdy już nie zobaczysz twej matki, która w innej części wielkiego Birkenau kona w gorączce, że ojciec twój nazwany przez hitlerowców bandytą jedzie w głąb Niemiec do kamieniołomów.

Dzieci, przejęte przeżyciami przekraczającymi granice odporności ich młodych umysłów, mówią ciągle o powstaniu.

Wyjaśniają więźniom, jaki to pocisk burzący nazywano „szafą” albo „krową”, tłumaczą rzeczowo, dlaczego zrzuty spadochronowe dostawały się w ręce wroga. One jak wróble przesmykające się nieustannie po ulicach częstokroć lepiej od starszych wiedzą, które dzielnice objęło powstanie najpierw, które padły od razu, a które jeszcze walczą. Od nich można się dowiedzieć szczegółowo o losach znajomych domów, często nawet ludzi. Są one niewyczerpanym źródłem informacji o Warszawie, odtwarzają zdarzenia ściślej niż zgnębieni dorośli. Gdy już wszystko powiedzą, co im przed *nem nasunie zmęczona wyobraźnia, odzywa się któreś cichym głosem:

- Czy pani nie wie, gdzie jest mój tatuś?

Malcy cichną. W skupieniu, szturchając tych, którzy się kręcą i robią szum, czekają na odpowiedź.

Jest coś szczególnego w widoku dzieci umiejących opanować swe nerwy. Sześcioletni chłopczyk odwraca nagle głowę i chwilę walczy ze łzami, a potem z twarzą, na której widać wzruszenie, podaje nazwisko ojca.

Przybywający z Warszawy mężczyźni zostają umieszczeni na odległym od obozu kobiecego odcinku „A” (kwarantanna wstępna), gdzie zajmują kilkanaście baraków. Lada dzień mają wyjechać transportem do Niemiec.

Kobiety nie chodzą nigdy na ten odcinek, lecz w przenoszeniu wiadomości mogą pomóc więźniowie z obozu męskiego.

Zaczął się od kilkudziesięciu nazwisk podanych przez same tylko dzieci z prośbą o odszukanie ojców. Kartkę schowaną w bucie poniósł pewien młody więzień, który z racji

swego zajęcia mógł chodzić po różnych odcinkach Birkenau. Okazało się, że ma kolegę przeznaczony na wyjazd do Niemiec, który jest obecnie na odcinku kwarantanny. Ten kolega wziął listę nazwisk i obiecał odszukać ojców. Dwa dni trwa cisza. Malcy mają oczy pytające, ale nic nie mówią. Trzeba im wytłumaczyć szczegółowo drogę obozowej korespondencji i trudności, które ją opóźniają. Dzieci są bardzo rozsądne i rozumieją to. Trzeciego dnia rano przychodzą do obozu kobiecego dwaj stolarze z siekierami i piłami. Mają jakąś bardzo pochłaniającą robotę, którą wykonują z wielkim przejęciem przez dwie godziny. Potem stają niespodziewanie przed kobietą-więźniem i jeden z nich patrzy w stronę drzwi, a drugi kładzie na jej kolanach pakiecik wielkości męskiej pięści. Odchodzą do swej pracy, mówiąc:

— Jeżeli coś jeszcze będzie trzeba, to my jesteśmy.

Pakiecik zawiera 97 grypsów. Są pisane przez ludzi, którzy nie mieli papieru. Skrawki tektury, rozerwane pudełka, nawet rozklejona tutka wypalonego papierosa. Na nich kilka słów i adres, brzmiący na przykład tak: Jankowska Maria z Warszawy, Stare Miasto, Freta 5.

To jest najzupełniej szalona myśl szukać kogoś w tym tłumie, zwłaszcza przez pierwsze dni. Oto barak, w którego labirynt wtłoczono ponad tysiąc kobiet i dzieci przepelniając nimi kojce. Nie ma spisów, panuje zgiełk, który podnosi się ze wzmożoną siłą, gdy tylko wchodzi ktoś, kto wygląda na mogącego pomóc.

Toż to Ochota! Ochota, która w pierwszej chwili odnosi się do niosących pomoc numerowanych więźniów pogardliwie, jako do „kryminalistów”. Nieco później, zorientowawszy się, Ochota przybiera postawę tak charakterystyczną dla „podopiecznych”. Każda z kobiet o coś prosi, każda czegoś chce, każda zaklina na wszystko najświętsze, żeby jej załatwić tylko jedną sprawę, na przykład odszukać dziecko albo napisać i przesłać list do męża, albo ułatwić przeniesienie do tego bloku, w którym jest jej stara matka, albo umieścić kogoś chorego w szpitalu.

Za gryps w obozie bywały różne kary. Ostatnio, gdy rozpoczęły się masowe transporty, za najmniejsze przewinienie jedzie się do Niemiec. Ale jeden gryps jest mniej niebezpieczny niż kilkadziesiąt. Jakże tu dyskretnie wręczyć je adresatkom nie ściągając niczyjej uwagi. Nie wszystkie kartki są do dzieci i to jeszcze sprawę komplikuje. Prócz tego trzeba pamiętać, że bywają blokowe, których należy się wystrzegać na równi z SS-manem.

Pierwsza mozolna i niedołączna próba rozdawania grypsów naprowadza kobiety na metodę. Następnego dnia stolarze przynoszą znacznie więcej i wtedy pracę organizuje się lepiej.

Robi się alfabetyczny spis nazwisk i z nimi idzie się do bloków. U funkcyjnych „swoich” sprawa jest łatwa. Po prostu, postawiwszy w drzwiach wartę, ucisza się gwizdkiem gwar, a potem wywołuje się tylko nazwiska. Krzyczy się na przykład:

- Pani Babańczyk! Pani Babańczy! Pani Babańczyk! W innych wypadkach trzeba się zachowywać ostrożniej. Sprawę ułatwia fakt, że blokowe-konfidentki, najczęściej mimo sprytu, są dość tępe. Działa na nie magia kartki papieru, o której już wspominałam. Wchodzi

się więc do jej pokoiku, urządzonego z murzyńskim brakiem smaku, przemawiając w języku niemieckim, którego znajomość najczęściej jej imponuje.

— Block-Alteste, ich bin dienstlich von der Schreibstube (albo Ambulanz, albo Paketkammer lub Unterkunft), ich suche paar Leute — Blokowa, jestem służbowo z sekretariatu (ambulansu, magazynu itp.), szukam kilku osób*

Sprawa załatwiona. U tych surowych funkcyjnych ludzie są wyrzuceni z bloku i siedzą w skwarze słonecznym pod ścianami. Od rana stoją tu kotły z zupą, przykryte pokrywami. Wchodzi się na taki kociołek (jak mówca wiecowy na trybunę) i wyczytuje się. Nawet Blockfuhrer, najczęściej pijany, nie orientuje się, że to coś nielegalnego.

Gdyby na taki moment weszła Drechsler, Mandel, Hassę czy któraś z orientujących się w życiu obozu, wykryłaby sprawę. Lecz tak się złożyło, że nie przyszła żadna. Po wyczytaniu spisu nazwisk na terytorium rządzonym przez wrogą blokową zabiera się grupkę kobiet z sobą i gdzieś poza klozetami daje się im listy.

W tej pomocy bierze udział sporo mężczyzn, spotyka się wiele kobiet nie znających się nawzajem, nie pytających o nazwisko ani rodzaj pracy. Nikt się z nikim nie umawia, praca idzie sama.

Potrzeby Warszawy przerastają tysiącokrotnie najwyższe możliwości więźniów. Na wielu stanowiskach są Polki i łatwo zdobyć dla dzieci chleb czy płótno. Lecz jest to kropla w morzu.

Kobiety z Warszawy umieszczono w kilku barakach murowanych, z których każdy mieści około tysiąca osób; nie tatuując dano im numery — i ciągle ich przybywa. Przyjeżdżają stopniowo inne dzielnice — Stare Miasto, Powiśle, Śródmieście. Ogółem przywieziono około siedmiu tysięcy warszawianek. Same dzieci zajmują jeden blok.

Ustawicznie brani do kąpieli (której brak był dla więźniów Birkenau przed dwoma laty niedolą, tak jak nadmiar staje się niedolą dla warszawiaków), stoją całymi dniami pod Sauną tracąc wszystko, nawet chustkę do nosa, dostając brudne strzępy po wymarłych z Meksyku.

Kobiety, którym udało się pójść na rewir, są w lepszej sytuacji. Pod troskliwą opieką młodszej doktor Kościuszko i innych lekarek stosunkowo najdłużej unikają transportów.

Reszta Warszawy niemal w całości wyjeżdża do Niemiec. Zostają dzieci, zniedołężniałe staruszki i chorzy. Codziennie wytaczają się z rampy pociągi wiozące warszawiaków.

Więzień patrzy za nimi i wie, że on wkrótce pojedzie również — a myśl ta bezsilna jest i bierna, nie budzi bólu ani protestu. Gdy nie czeka się wieści od rodziny, gdy upadł plan odbicia, to już wszystko jedno, jak nazywa się obóz, za którego drutami pcha swą taczkę z piaskiem pasiaste ubrany człowiek.

Rozdział piąty NACH DEUTSCHLAND (do Niemiec.)*

Niebo odgłosem syren zaśpiewało więźniom pieśń o wolności i nie mogą jej już zapomnieć. Przez lato trwali ustawicznie w oczekiwaniu wielkiego rozstrzygnięcia, które nie urzeczywistniło się, lecz dokonało się w duszach. Nie doczekali nocy, podczas której siekiery stolarzy rozerwałyby druty, lecz moc jakaś druty wokół nich rozchyliła.

Przychodzi chwila w życiu więźnia, gdy czuje on, że jest na nowo człowiekiem, że wolność, której pragnął tak długo, którą wytworzył sobie wysiłkiem wyobraźni, pracą intelektu, ocknęła się i rozrosła w nim.

Ta wolność, która się właśnie rodzi, jest inna od niewyczuwalnej wolności człowieka przedwojennego.

Lecz w wielu uświadomienie sobie tego stanu rzeczy, odczucie w sobie wewnętrznej swobody jest aktem przekraczającym granice wytrzymałości.

Nie wszyscy chcą z nią dłużej pozostawać w obozie. Obóz to zbyt smutna karykatura życia, żeby się w nim dłużej mogli pomieścić. Zanadto zapatrzili się podczas letnich miesięcy w wizję świata, do którego tęsknią, za daleko wyszli w swych planach, zamierzeniach, myślach, żeby teraz mogli się cofnąć. Są jak spiskowcy, którzy chwyciwszy za broń czekali na hasło. Hasło nie padło lecz jakieś mosty za nimi zostały spalone. Mogą pójść tylko naprzód.

Więźniowie uciekają z obozu. Wygląda to tak, jakby zrezygnowano z odbicia, chcąc jak najwięcej mężczyzn ściągnąć drogą ucieczek. Gdy w porze przed apelowej wracają męskie kolumny z pracy, jakiś śmiech wyziera z oczu wielu. Syrena wyje nad obozem, a oni wiedzą, że ich druh jest bezpieczny. Wszyscy pytają tylko:

— Kto dziś zwiął?

Poszedł Kostek z biura ewidencyjnego, który miał prawo swobodnie chodzić po obozach, poszło wielu innych. Pewnego dnia budzi sensację ucieczka Żydówki Mali Zimmerman, będącej gońcem Oberaufseherin Drechsler i znającej wiele spraw obozu. Razem z Małą ucieka Polak imieniem Edek. Optymistyczne są przewidywania więźniów co do rezultatu ucieczki Mali.

Niestety, wbrew instrukcjom i rozsądkowi zatrzymują się w pobliskim Bielsku, gdzie zostają schwytani. Po długim pobycie w bunkrze oboje dostają wyrok śmierci przez powieszenie.

Rozkazano więźniom w obozie kobiecym i męskim zebrać się po apelu wieczornym w pobliżu drutów, gdzie ustawiono szubienice. Edek ginie wraz z dwoma innymi skazanymi. Gdy zakładają mu pętlę na szyję, wznosi okrzyk niedokończony:

— Niech żyje Pol...!

W tym samym czasie w obozie kobiecym Mała podcina sobie żyły obu rąk. Dostrzega to Blockfuhrer Ruitters i chce ją powstrzymać, lecz Mała dwukrotnie bije go w twarz swymi skrwawionymi dłońmi. Szubienica zostaje pusta, Małe zabierają do krematorium.

Niepowodzenie to nie zmienia w niczym planów ucieczek. Odchodzą, jakby się bawili ze śmiercią w gonitwę.

Niewielu bywa złapanych, lecz z tych władze obozu chcą robić odstraszący przykład. Zwłoki ich kładą w bramie na placyku, gdzie gra orkiestra. Powracający z pracy mężczyźni idąc w takt wesołych marszów patrzą na ciała zabitych. Mijają, zdjawszy czapki (w bramie zawsze idą z odkrytymi głowami), i myślą o tych, którzy mają uciec jutro.

Nazajutrz znów odzywa się syrena i władze darem-Mm szukają miejsc, w których zatrzymuje się zbieg.

W początku października wybucha bunt Żydów pracujących w krematorium jako Sonderkommando. Zapowiedziany na noc, zaczyna się przedwcześnie, w godzinach popołudniowych. Mimo to krematorium ulega spaleni, a część zatrudnionych w nim uchodzi z obozu. Strzały i gwizdki wpędzają więźniów do baraków w chwili, gdy znenawidzony budynek krematoryjny staje w płomieniach, a gromada Żydów przebiega w galopadzie na południowy zachód, w kierunku łąk, przecinając jeszcze od zachodniej strony druty obozu kobiecego. Nocą przychodzi bardzo silny nalot, światła gasną na drutach i wtedy budzi się żal, że ucieczka, która nastąpiła przedwcześnie, mogła odbyć się pełniej.

Znów co dnia syreny grają nad Oświęcimiem-, ktoś uciekł i wychodzi za nim pościg. Do cennika handlu wymiennego w obozie przybywają nowe pozycje — ile trzeba dać SS-manowi wódki (kupionej za żywność lub kosztowności od majstrów-cywilów przychodzących ze Śląska), żeby w zamian za to przerzucił pomiędzy drutami do obozu karabin — ile trzeba dać za amunicję — ile za kompletny mundur. Za inne rzeczy również, lecz głównie za wódkę, dającą chwilę zapomnienia, można w tym czasie wszystko kupić od żołnierzy niemieckich, nawet tych, którzy pod pachami mają wytatuowane SS. Ucieczki stają się częste i na ogół uwieńczone powodzeniem.

Przyszedł jednak dzień, gdy syreny umilkły. Poprzedzają go wypadki niezwykle. Mniej więcej w jednym czasie grupa więźniów oświęcimskich poszła z obozu nocą, z bronią w ręku, a grupa birkenauskich wyjechała autem w ciągu dnia w niemieckich mundurach. Po drodze zatrzymali się w Budach, gdzie jeden z nich, występując jako SS-man z wydziału politycznego, wywołał numer więźnia, którego zabrali do auta i odjechali.

Przez kilka dni więźniowie mówią o tej ucieczce wyliczając z zadowoleniem Tadeusza Lacha z biura budowlanego i znanego całemu obozowi ze swej funkcji woźnicy Mariana z Bud oraz innych. Przy tym, uśmiechając się z cicha, dodają:

— No, teraz nam dadzą!

Ucieczka nastąpiła między piętnastym a dwudziestym drugim października. Aż do dwudziestego czwartego jest spokój, mężczyźni normalnie wyruszają do swych prac powstrzymując się na razie od nowych prób. Dwudziestego czwartego od rana mży deszcz. Kto mógł, skrył się w barakach, kto mógł, zadekował się jakoś, żeby nie wychodzić na błoto. Nikt nie odgaduje, że będzie to jedna z najważniejszych dat w dziejach Oświęcimia.

Nad obozem pochyliła się jesień. Ukośne sznury deszczu biją w ziemię zamieniając ją szybko w chłonne trzęsawisko. Niespodziany smutek przenika całą istotę w chwili, gdy trzeba wyciągnąć z ukrycia narciarskie buty, przechowywane i nacierane od dawna margaryną — wyjść w nich na błoto. Żal patrzeć, jak rozmokła glina ochlapuje je stopniowo, czyniąc od razu podobnymi do najńedźniejszych drewniaków. Ta chwila przypomina zaliczone dziś do złudzeń plany odbicia obozu.

Jeszcze pod drutami widać gęstwę trawy, a już w zimnych chrupnięciach spokojnie padającego deszczu wyczuwa się dotknięcie nadchodzącej zimy. — Niezwykła pustka i cisza panuje dziś w obozie. Nikt nie idzie drogą pomiędzy bramami, nikt nie krąży przy drutach, nieobecna jest grupa mężczyzn budujących jezdnię, na rampie małe wagoniki do ręcznego przewożenia piasku, które wczoraj przewrócono po raz ostatni, wysypując z nich ładunek, stoją nieruchomo w tej samej pozycji.

Obóz ucichł, jakby wymarł. Pod wieczór przychodzi służbowo do biura ewidencyjnego więźni z męskiego obozu. Jest bardzo przygnębiony. Nie patrząc na nikogo strzepuje grudki błota, które osiadły mu na spodniach. Zapytany o nowiny mówi cicho:

- No cóż, my jedziemy.

- Kto?

- Polacy. Spójrzcie na odcinek „A”, na męską kwarantannę. Z waszego rewiru będzie wszystko widać. Wiecie, kto to jest? Wszyscy, dosłownie wszyscy Pola-i y z Oświęcimia, bez względu na funkcję czy rodzaj pracy. Ogołocili ich, dali im pasiaki i drewniane buty. 1 .ula dzień pojedą do Niemiec. My wszyscy pojedziemy im nową poniewierkę.

- Czy z Birkenau też?

- Polacy z Birkenau również nie wyruszyli dziś do pracy. Przecież nie widzicie tu nigdzie żadnej kolumny męskiej. Po apelu przejdą na dawny cygański. Tam będą czekać na transport.

Jest wiele pytań i prośb, lecz wchodzi SS-man konwojujący więźnia:

- Na, komm, los!(No, chodź, jazda)*

Poszli. Nie ma żadnego sposobu porozumienia się z ludźmi, którzy już może lada dzień pojedą w nieznaną, gdzieś, w labirynt obozów koncentracyjnych Deutschlandu, o którym Niemcy piszą z dumą, że stał się Już jednym wielkim lagrem.

Teraz dopiero, gdy słowo transport zabrzmiało z bliska nad głową jak wyrok nieodwołalny, stało się jasne, że dla wielu jest to równoznaczne z życiową katastrofą.

Więźniowie, którzy całe rodziny mają w obozie i razem starają się przetrwać najcięższe chwile, pomagają sobie nawzajem. Gdy nie mogą wymienić myśli bezpośrednio, przesyłają sobie grypsy, poprzestając na ujrzeniu znajomej postaci z oddali przez druty lub czasem przygodnie w marszu.

Te rodziny zostają rozdzielone i nie wiadomo, czy się kiedykolwiek odnajdą.

Są inni, którzy mieli swoje rodziny w Warszawie albo na terenach zajętych przez Armię Radziecką. Tym do domów pisywać nie wolno. Cenzura obozowa podała spis miast, do których listy przyjmuje. Nie znają losu swoich najbliższych i daremnie czekali na jakąś wieść. Teraz wyjadą. Nie wiedzą, dokąd pisywać z nowego miejsca pobytu, i nie zgadują, czy kiedykolwiek list od rodziny trafi za nimi do nowego lagru.

Także to mało dla ludzi sobie bliskich, rozdzielonych siatkami drutów, spotkać się czasem pod okiem i batem SS-mana i udając obojętność zamienić niepostrzeżenie kilka słów. Lecz dla więźnia to bardzo dużo. W chwili transportu w nieznane odczuwa się to tym silniej.

Jakże to mało - - oficjalny list z domu pisany w języku niemieckim. Lecz od kiedy brakło tego jedyne go znaku stamtąd, znaku życia ze strony najbliższych, wiele złych domysłów osacza więźnia. Żal odjeżdżać teraz, gdy list od rodziny nadejdzie może lada dzień — i nie zastanie już adresata. Zostanie odesłany z dopiskiem „Auf neue Adresse warten" (czekać na nowy adres.)*. Lecz on nie będzie mógł wysłać swego adresu z obozu, do którego go zawiozą, bo nie wie, gdzie obecnie znajduje się rodzina, i to on właśnie czeka na wiadomość.

Bywają takie wątłe nitki, łączące człowieka z otoczeniem, które dopiero wtedy, gdy przychodzi do zerwania n li, okazują się naczyniami krwionośnymi.

W obozie kobiecym do późna snują się pomiędzy barakami liczne postacie — bezradne, niepewne, co robić. Siła tęsknoty przywodzi je pod druty, nad którymi leży czarna noc. Jarzące się lampy rażą wzrok i nie widać nic innego prócz pasa świateł po drugiej stronie rampy. Deszcz pada nieustannie, przesłaniając wszystko srebrną siatką. Spotykają się tu przede wszystkim żony, rurki, matki, siostry niespokojne o dalszy bieg wypadków w obozie męskim. Słyszą, że dochodzi stamtąd gwar. Boją się, że może już teraz wyruszy transport.

Mężczyźni, których przeniesiono do obozu po Cyganach, nie mieli prawa zabrać ze sobą nic. Po apelu więc, gdy noc zapadła, przywołują do drutów swoich kolegów, pozostałych w obozie męskim. Można tedy podszedłszy blisko, podać drobne przedmioty z ręki do ręki, a większe przerzucić górą. Wzdłuż drutów stoją po dwóch stronach mężczyźni. Jakaś niezwykła giełda. W obozie męskim pozostali Niemcy (Reichsdeutsche, Volksdeutsche dawni i tacy, którzy w Birkenau podpisali Volksliste), pozostali Żydzi oraz Rosjanie, Estończycy, Holendrzy, Jugosłowianie. Ci wychodzą pod druty, żeby podać paczki żywnościowe pozostawione przez odchodzących Polaków, żeby im przerzucić koce lub coś ciepłego z ubrania. Robią to ostrożnie, nie wywołując wypadku mimo wysokiego napięcia.

Nie pociągają znużonych mężczyzn pryć obozu cygańskiego. Deski są gołe i nieprzytulne. Zamiast spać, więźniowie zbierają się, krążą bez celu patrząc w czerni pochmurnej nocy. Birkenau dziś właśnie jest najbardziej do siebie podobne — setki świateł topniejących w deszczu i odbitych w kałużach. Gdzieś, z boku, zarys budki wartowniczej albo baraku, gdzieś sylwetka człowieka. Jakże pragnęło się stąd uciekać! — Ale nie tak. Jak odejść zostawiwszy w tym kraju nędzy i tęsknoty istotę ukochaną. Może stoi tam teraz w ciemności i patrzy w linie świateł. Pięści więźnia zwijają się w dwa nabrzmiałe siłą kamienie, unoszą się w górę i drżą — bezsilne wobec przemocy.

Poranek. We mgle nie widać nic o kilka kroków, słyszeć tylko gwar z obozu kobiecego, świadczący o tym, że apel już się skończył.

Wtuliwszy ręce w rękawy kurtki stoi więzień oparty plecami o barak. Przyszedł tu we mgle, sądząc, że będzie już dość widno w porze, gdy kobiety przechodzą tędy do pracy. Chciałby z oddali odnaleźć oczyma wśród innych znajomy kształt, chciałby pożegnać spojrzeniem, bez zwracania na siebie uwagi. Lecz jest jeszcze ciemno. Słyszeć głosy, których niepodobna rozróżnić. Jacyś dwaj mężczyźni schodzą nad sam rów pod druty, jeden z nich zdejmuje czapkę z głowy i powiewa nią w powietrzu. Teraz, w obliczu wyjazdu, lekceważą sobie kary, jakie mogą ich za to spotkać. Po stronie obozu kobiecego coś się ruszyło jak ciemniejsze pasmo mgły.

— Halo! — odzywa się głos — proszę wywołać mojego męża!

— Nazwi-ko? — skandują mężczyźni.

Lecz on już jest. Wyszedł spod baraku i stanął przy drutach w tej właśnie chwili, gdy kobieta wymawiała nazwisko. Nie widzą się. Mimo to wyczuwają gwałtowną radość, że oboje odgadli, że szukali się tu i czekali na siebie.

Trudno mówić cokolwiek. Ona odzywa się niepewnie:

— Może nie pojedziesz jeszcze. Może cię wyreklamują!

We mgle rozlega się okrzyk:

— Wątpię!

Nic nie widać. Zda się, że to cisza, która śpi wokół krematoriów, odpowiedziała za więźnia.

Kobieta nie może zostać tu dłużej. Odchodzi do pracy oglądając się w mgłę, w której majaczy ledwo zarysowany ludzki kształt.

Dnia tego nie pada deszcz. Zimny wiatr jesienny rozwinął chmury, a teraz bije w deski baraków, gwiżdżąc przeciągle. Wśród grzechotu łańcuchów i zgrzytu buforów zajeżdża na rampę długi pociąg towarowy, którego wagony przeżarte są rdzą i wyglądają tak, jakby je wyjęto z wielkiej rupieciarni wy sortowanego sprzętu, wiezionego z frontu na tyły armii. Lokomotywa odjechała, /ostawiając wagony na torze między obozami.

Gdy w przerwie obiadowej przyszły do drutów kobiety, zobaczyły, że wagony murem nieruchomym przesłaniają pole widzenia. Lecz ludzie nauczyli się być mocniejsi niż przeszkody. Jedni przykucają i dołem, pomiędzy kołami stojącego na wzniesionej rampie pociągu przesyłają sobie znaki, inni stają naprzeciw siebie tak, aby się widzieć przez powiazaną buforami przerwę między wagonami. Okazuje się, że pociąg stanowi dużą przeszkodę dla głosu, prócz tego słowa porywa wiejący dziś silnie wiatr i znosi je na bok. Nie słyhać nic. Daremnie mężczyźni podnoszą dłonie do ust i skandują — gest rozłożonych bezradnie ramion jest jedyną odpowiedzią. Pozostaje tylko możliwość patrzenia przez transportowy pociąg, który wniesie między ludzi rozłąkę, i pozostają gesty.

Mężczyzna patrząc na postać kobiecą, z której postawy tchnie boleść, przybiega pod same druty i krzyczy: - Nie płacz! Pamiętaj, nie płacz!

1 unosi do góry pięść, którą grozi w powietrzu, może swojemu i jej żalowi, wyrażającemu się we łzach, może owej żelaznej przemocy, której potęgę teraz najmocniej odczuli, może niebiosom, milczącym nad obozem.

Przy drutach spotykają się całe rodziny. Dwie Trzczańskie, których matka umarła w Oświęcimiu, a piętnastoletnia siostra od roku przebywa na Pawiaku, żegnają teraz ojca i brata.

Przesuwając się wzdłuż toru i patrząc pod wagonami, idzie Krystyna Kobyłecka, która straciła w czasie wojny całą rodzinę, a matkę w Oświęcimiu. Jej mąż, przywieziony zimą z Majdanka, wyjeżdża teraz.

A tam wybiega ku drutom jasnowłosa dziewczynka, ciągnąc za sobą matkę i siostrę. Przykładając ręce do ust, woła:

- Tatuś! Juruś!

Dwaj mężczyźni stają w prostej linii naprzeciw nich. Ojciec i syn. Rodzice z trojgiem dzieci aresztowani i przywiezieni do Oświęcimia za to, że nosząc nazwisko Vogel nie chcieli podpisać Volkslisty.

Tu znów ośmioletnia dziewczynka, która przyjechała do Birkenau z powstańcami z Warszawy. Jej ojciec od czterech lat przebywał w Oświęcimiu i dowiedziawszy się o przyjeździe córki, w tłumie obcych ludzi, rozpaczliwie szukał sposobności pójścia do Birkenau, żeby ją zobaczyć. Dotychczas jednak nie udało się tego jeszcze przeprowadzić i tylko w grypsach prosił siostrę swego kolegi o opiekę nad małą. Dziś los rzucił go do Birkenau na krótko przed wyjazdem. Patrzy przez rzędy wagonów i niewiele widzi, bo oczy ma pełne łez. Dziecko bardzo urosło przez cztery lata jego nieobecności w domu. Dziś domu nie ma. Mała stoi pośród drutów jako więzień polityczny. Ojciec już odjeżdża. Nie może swej córki zapytać o nic, co chciałby wiedzieć, nie może doznać szczęścia uścisku jej ramion. Cztery lata przeżył w Oświęcimiu sam. Dziś, gdy przywieziono jego dziecko, on jedzie dalej, do Niemiec.

Dziewczynka przyszła pod druty dzięki sprytowi swej opiekunki. Jest wiele dzieci powstańczych, których ojcowie odjadą nie pożegnani nawet w ten sposób. Wskutek pojawienia się dyfterytu nie wolno dzieciom chodzić po obozie ani opuszczać bloku, w którym siedzą od rana do wieczora.

Przy drutach zbiera się coraz więcej ludzi. Biegnąca obóz Lager-Alteste Imiola atakuje na oślepię skórzanym pasem gromadę kobiet, które rozpierzchają się co pewien czas, by po kilku minutach powrócić.

Dwudziestego siódmego października zabrano do baraku dezynfekcyjnego kobiety wcześniej zapisane na transport. Od rana stoją w deszczu i wicherze, czekając i h wili wyjazdu. Wieczorem dopiero idą do kąpieli, po której wybiegają nago, czekając na odzież. Przez okna Sauny można widzieć korowód nagich, które podchodzą do Frau Schmidt i jej pracownic wydających bieliznę.

W ciemnościach krążą za ścianą baraku kobiety nie jadące dziś jeszcze, usiłując podać odjeżdżającym najpotrzebniejsze przedmioty. Capo Schmidt i Lager-capo Ela, Żydówka ze Słowacji, wybiegają co chwila w mrok i gonią uciekające spod okien kobiety. Błoto z kałuż rozchlapuje się w ciemności. Schmidt i Ela klną najplugawszymi wyrazami i powracają do odjeżdżających.

Po północy transport kobiet opuszcza bramę obozu, zapada cisza. Wiatr w poświstach i jękach wieje nad błotem, nad śpiącymi barakami, dzwoni o druty. W obozie męskim również cisza. Wielki reflektor od strony krematoriów oblewa niesamowitym światłem będące w jego zasięgu przedmioty, za którymi wyrastają długie smugi cienia.

Nie ma już nikogo pod drutami.

Zamarły słowa pożegnania, przerzucane w ciągu dnia. Nie powtórzy ich teraz nikt, nawet krematoryjne echo.

Daleko, pod Oświęcimiem, gwizdże lokomotywa i z sykiem pary przybija do stojących w ciemności wagonów. Cicho, zgłuszony świstem wiatru i szumem deszczu, wytacza się z rampy pociąg odsłaniając światła na drutach obozu cygańskiego i męskiego. Gdy jest już daleko, dolatuje uszu znana nuta. Jest to zgłuszony stukotem polski śpiew.

Rano wiele kobiet zbliżających się do drutów usłyszy:

— Wyjechał tej nocy.

Dla wielu będzie to ostatnia wiadomość o bracie, mężu lub ojcu.

Następna dwutysięczna grupa mężczyzn wyjeżdża w niedzielę dwudziestego dziewiątego października w godzinach popołudniowych. Za kolosami krematoriów zachodzi słońce. Szare drzewa, których liście przeżarł krematoryjny dym, stoją martwe i spopieliałe. Długi cień

kominów pada na rampę nieruchomym pasmem, a obok niego skręca się cień płynącego dymu.

Zły sen, od którego odjadą lada chwila. Zły sen, od którego odjechać ciężko, gdy widzi się za drutami pozostające rodziny.

Wysyłanych transportem więźniów czeka głód, bombardowania, praca w głębi ziemi, na kilka pięter pod jej powierzchnią. Czekają ich wszy i choroby. Czekają nostalgia za krajem, z którego nie trafi do nich żadna wieść.

W ciągu listopada i grudnia wyjeżdżają z obozu pociągi pełne ludzi. Są to najczęściej Polacy, Rosjanie i Ukraińcy. Zdarzają się zapotrzebowania specjalne, gdy poszukuje się fachowców bez względu na narodowość. Na przykład lotnictwo niemieckie potrzebuje dwóch tysięcy metalowców. Jadą wówczas prócz Polaków Rosjanie, Żydzi i inni. Po taki transport przybywają lotnicy i zabierają pod specjalnym konwojem.

Pada już śnieg i bliskie jest Boże Narodzenie, gdy ostatnie transporty opuszczają Birkenau. Przed ich wyjazdem, w noc gwiazdne i jasne blaskiem śniegu brzmia w opustoszałym obozie nawoływania z jednego na drugi odcinek.

Ostatnie pożegnania i wymiana dobrych życzeń.

W Birkenau pozostają Niemcy i ci spośród innych narodowości, którzy podpisali w obozie lub wcześniej Volkslisty. Zostaje niemiecka grupa Żydów oraz żydowscy chłopcy z Węgier. Pozostają radzieccy jeńcy wojenni z ostatniego okresu. Spośród Polaków zaledwie garstka chorych i lekarzy w szpitalu, kilkunastu w biurze ewidencyjnym i kilku przy pompach dostarczających obozowi wody. Prócz tego w obozie męskim jeden lid rak chłopców z powstania w wieku od sześciu do piętnastu lat i w obozie kobiecym barak powstańczych dziewczynek. Pozostają dzieci rosyjskie, polskie, żydowskie, które przybyły do obozu z matkami. Pozostaje ostatnia grupa nowo narodzonych, które wyjadą w styczniu 1945 r.

Wyjechali niemal wszyscy mężczyźni i większość kobiet.

Birkenau, owo miasto wielojęzyczne, gwarne, żyjące w ustawicznym podnieceniu, miasto, którego mała część - odcinek „C” i Meksyk — liczył w lecie czterdzieści dwa tysiące kobiet, obecnie maleje. Jesienią całe Birkenau kobiece i męskie liczy już tylko sześćdziesiąt tysięcy. A w dniu 18 stycznia 1945 roku przybliżona suma wszystkich więźniów Oświęcimia I, II i III, to jest Oświęcimia, Birkenau, Budy, Bud, Babie, Rajska, Harmense, Jowiszowic, Jaworzna nie przekracza dwudziestu tysięcy. Oświęcim został zlikwidowany przed jego wyzwoleniem.

Rozdział szósty LIKWIDACJA OBOZU

Przewidywania polityczne zawiodły na całej linii. Ofensywa letnia wygasa jak wielki pożar, który wypalił się nad światem, rozświetlając swą łuną okna ludzkich domów. Co rano, przed zaczęciem pracy, głowy kobiet pochylają się nad mapą, śledząc ją na podstawie komunikatów z niemieckich gazet. Są one jak morfinistki nie umiejące żyć bez swego narkotyku.

Narkotykiem są zaczarowane nazwy.

Rzeka Maas, rzeka Roer i miasto Roermond, Antwerpia-Aachen i nieśmiałe marzenie o Kolonii, obliczenie, ile do niej kilometrów, i określanie położenia w stosunku do linii Zygfryda. Metz-Diedenhofen - - te słowa na zawsze nasiąkły wonią baraku pełnego koców. Wielki jest jeszcze Deutschland, ofensywa ledwo brzeżkiem wgrzyzła się weń. Dalsze życie więźnia zależy od wygranej albo przegranej.

Rhein-Mame-Kanal — jest jesień zimna, deszczowa i najsmutniejsza z dotychczasowych, a nad dalekim kanałem toczą się jakieś zmagania, jakieś Durchbruchsver-suche (próby przebiccia się mania frontu)*, do których przywarła w napięciu uwaga kobiet.

Długie są i zawiłe artykuły o Gumbinnen; w niektóre poranki uderzają do głów falą optymizmu, to znów — błędą pod działaniem refleksji, że z Prus Wschodnich daleko do Berlina.

Nad Bugiem niezmiennie od kilku miesięcy Baranów. Ta nazwa rozdrażnia. Żeby choć dwadzieścia kilometrów naprzód, żeby choć kilometr dziennie — nie, ciągle tylko Baranów.

Słowa Duklapass i Łupków budzą tajemne nadzieje, że tędy, od gór, mogłoby przyjść radzieckie wojsko.

Fiinfkirchen-Budapest-Miskolcz — ciężkie boje, lecz jakże to wszystko daleko! Codziennie milimetr naprzód lub pół milimetra wstecz.

Zanim wejdzie się w głębokie błoto Birkenau, które natychmiast pochłonie stopy i ochłapie nogi do kolan, chce się wiedzieć, że front postąpił, żeby łatwiej było znieść dzień, w którym nic nie ulegnie zmianie. Praca nie ma już nawet tego co dotychczas uroku, gdy przynosiła pożytek więźniom. Oni odjechali. Pozostały po nich grudki błota. Pozostały brudne koce — brudne kołdry — brudne miski.

Koce są kroniką niedoli tych, którzy odeszli. Wsiąkło w nie wszystko — pot — krew — łzy — wydzieliny. Przechodzą przez dłonie pracownic likwidujących obóz, które zliczają setki, tysiące, dziesiątki tysięcy.

Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy więźniów pochłonał Deutschland, żeby w momencie krytycznym wojny użyć ich jako siły roboczej, żeby własnymi rękami wyprodukowali w fabrykach sprzętu wojennego amunicją przeciwko swemu narodowi.

Zgarbiwszy plecy idzie się w głębokim błocie za wózkiem, na którym leży stos koców. Praca ta pozbawiona jest sensu, lecz spełniać ją trzeba, bo taki jest los niewolników.

Sami własnymi rękami zbudowali ten obóz, rozszerzyli go, wykopali doły w lesie i wzniesli krematoria, sami wykonali narzędzia tortur. Teraz likwidują i zacierają ślady. Taki los niewolników.

Z Blockführerstuby „a” obozu kobiecego wynoszą długie szuflady pełne sztywnych karteczek, umieszczają je na dnie wozu, na nich następną warstwę i tak aż do samej góry. Pracy dogląda szef, lecz mimo jego obecności oczy więźniów odczytują treść kartek:

- Todesmeldung, Masłówna Maria, Durchfall, Tod.
- Todesmeldung, Białobrzaska Wanda, Grippe, Tod.
- Todesmeldung, Babska Danuta, Lungenentzündung (zapalenie płuc)*, Tod.
- Todesmeldung, Koczwarska Bronisława, Grippe, Tod.
- Todesmeldung, Barzdajn Henryka, Durchfall, Tod.
- Todesmeldung, Lewandowicz Anna, Lungenentzündung, Tod.

Todesmeldung, Niedzielska Ewa, Grippe, Tod. Słowo Todesmeldung widnieje na wszystkich tych kartkach, które wiozą więźniowie do Blockführerstuby odcinka „c”, gdzie zostaną spalone.

Prócz tego przewozi się kartoteki z nazwiskami rozstrzelanych. Grube tomy, spięte klamrami, stojące rzędem na półce. Auf Befehl erschossen (rozstrzelana na rozkaz)*. Tylko tyle. To również zostaje spalone.

Może można byłoby je uratować jako dokumenty. Lecz tu, gdzie ludzie palą się dniem i nocą, czym jest spalenie kilku wózków Todesmeldungów! Więźniowie wiozą je z obozu do obozu niepewni, kto będzie niszczył ich własne Todesmeldungi.

Po opustoszałym obozie chodzą jak pokutujące duchy, spotykając ślady tych, którzy odeszli. Meksyk jest pusty. Odcinek „c” jest pusty. Puste są również czeski i cygański. Z kwarantanny męskiej ostatnia grupa jutro wieczorem jedzie do Niemiec. W męskim pozostała garstka i nie więcej mężczyzn w szpitalu. Sporo jest jeszcze kobiet, lecz zapowiedziana już została przeprowadzka kobiecego obozu „a” na cygański, „b” - na czeski.

Tam na pryzkach opustoszałych po ludziach, którzy latem zginęli w gazie, ułożą się do snu kobiety zaczynając nowy etap życia.

Przeprowadzka zgodnie ze zwyczajami obozowymi odbywa się w niedzielę.

Jest 15 listopada, dzień pisania listów. Niemal nikt jednak nie pisze. Listy wolno wysyłać tylko do Rzeszy. Do Generalgouvernement tylko karty korespondencyjne, ponieważ jednak brakło ich w kantynie i nie drukuje się nowych, nikt nie korzysta z tego nowego prawa i w dniu przeprowadzki nie wysyła się bliskim nic prócz myśli.

Ze starego Birkenau, tego Birkenau, w którym chorzy tonęli w błocie i umierali w nim, wytacza się pochód wózków i kolumn.

Murowane baraki, wzniesione ze szczątków cegły ze zbombardowanych domów, baraki, jakich nie zna żaden inny koncentracyjny obóz, pozostają puste. Jeżeli padną zburzone, żaden pędzel ni pióro nie odtworzy ich wewnętrznej konstrukcji.

Przemarsz przenoszących się na nowe odcinki kobiet trwa krócej, niż w miesiącach letnich trwało codzienne wyjście kolumn do pracy.

Zamyka się brama. Na stare Birkenau po raz pierwszy od trzech lat spada cisza. Teraz dopiero słychać chrobotanie wiszącej na drutach tablicy poruszanej przez wiatr; widać czaszkę i napis: „Achtung! Hohe Spannung! Lebensgefahr!" (Uwaga! Wysokie napięcie! Niebezpieczeństwo dla życia!)*

Na rampie na wprost bramy obozu znajdują się dwie białe i czerwono pomalowane bariery opuszczone w dół, gdy wjeżdża pociąg. Przed przechodzącymi kobietami wznoszą się one wysoko i zatrzymują na tle błękitu jak polskie maszty sztandarowe czekające na bandery.

Kolumna idzie pomiędzy obozami. Niejedna z kobiet po raz pierwszy wkracza na tę drogę, po raz pierwszy widzi obóz męski. Garstka Niemców i Żydów odbywa właśnie swój apel popołudniowy.

Na skamieniałej ziemi widać wydeptane stopami więźniów ścieżki, lecz wrota większości baraków są już zabite deskami. Są to drogi, którymi chodził człowiek bliski. Tu, tam, spomiędzy baraków mogłaby się wyłonić jego postać.

Pustka. Pod czwórką sterczą rozdarte u wierzchu badyle słoneczników. Nie widać mężczyzn, których tysiące napelniały gwarem ten odcinek. Powiodły ich w świat zachodnie drogi zostawiając ciszę na ścieżkach, po których przeszli.

Idąc pomiędzy obozem męskim a odcinkiem „c" jest się najgłębiej w środku obozu.

Perspektywa drutów, lśniąca białawym połyskiem, nigdzie tak jak w tym miejscu nie przykuwa wzroku. Stąd otwiera się widok na Meksyk - - na miejsce po Meksyku. Patrzeć można hen, do krańca widnokręgu, przez wolną przestrzeń, z której usunięto baraki. Żaden ślad nie pozostał, prócz golizn wydeptanych w trawie. Na wschód stąd stoją poza obrębem drutów baraki wydziału budowlanego mieszczące biura i składy. Widać mostek prowadzący do nich nad głębokim rowem. Okiennice pozamykane, ciemność i cisza zajęły miejsca więźniów.

A tam, gdzie kiedyś kobiety dźwigały szyny składając tor kolejki, wznosi się teraz wysoki budynek wartowni, pomalowany barwami ochronnymi. Za nim zwirowana droga prowadzi do dużych baraków, zajmujących pokaźną przestrzeń. To SS-kuchnia, SS-lager, SS-lazaret.

Kobiety wychodzą na drogę między krematoriami a wartownią. Każda z nich zgięta jest pod ciężarem tego, co dźwiga — choć zawiniątka ich są małe, mienie ubogie. Zgina je smutek i troska. Z obozu do obozu niosą ten balast i dążą naprzód. Słońce już zaszło, lecz niebo zatrzymało na sobie jego wspomnienie płonąc każdym obłokiem. Ocean różowych fal, przez które przenika wewnętrzne światło, przepływa wolno ponad idącymi. Ze wschodu na zachód biegną palczaste drogi obłoków na tle kopuły barwy perłowej masy. Jakby niebo było różową, prążkowaną muszlą, która wypłynęła, żeby nakryć sobą małą grudkę, jaką jest ziemia. Gdy odblask zachodu pada pod nogi idących, podnoszą wzrok. Niebo mówi. Jest jak zwiastun dobrej nowiny, która uderza w serca i śpiewa w nich radośnie, triumfalnie, weselnie. Nie można oprzeć się wymowie niebios. Kobiety patrzą w czerwień obłoków; boją się wierzyć w znaczenie pieśni, którą słyszą. Przestały ufać, a oto przenika je ufność milcząca i głęboka. Przed nimi ze zgrzytem rozwiera się brama nowego obozu i w ciszy wstępują weń. Nowy odcinek inny jest, niż były poprzednie obozy kobiece. Jest po stokroć bardziej lagrem, niż były tamte. Tam był dąb, trawa pod drutami i widzialne przestrzenie łąk za drutami na południe. Układ był nieco bardziej urozmaicony, baraki murowane i drewniane rozmieszczone na terenie w kształcie kwadratu.

Tu obóz to wąski, długi pas. Środkiem biegnie droga, a po jej dwu stronach identyczne, tylko numerem nad drzwiami różniące się od siebie baraki. Pomiędzy nimi od ściany do ściany wielkie bajora stojącej wody, głębokie i pełne glonów jak sadzawki. Gdy iść do końca tą drogą, staje się przed drutami, za którymi widać rampę, znów druty i dawny rewir kobiecy, obecnie już opustoszały. Na zachód leży identyczny odcinek „c”, na wschód odcinek „a”. Na północ widać przestrzeń po Meksyku, lecz tam w ciągu dnia zbliżać się nie wolno, bo w Blockführerstubie urzędują SS-mani. Dopiero nocą można podejść do drutów i patrzeć. W ciszy uspiomych obozów słychać z tamtej strony ujadanie psów. Jest ono dalekie i stłumione, psy poszczekują półsennie, to znów zrywają się i wszczynają nagłą wrzawę, która trwa chwilę, a potem ustaje i powraca cisza nocy. Gdy tak w oddali odzywają się głosy, przypomina się coś słuchającemu człowiekowi, wzrok wyteża się w ciemność, czy nie ujrzy gdzieś nad ziemią świateł w oknach chat. Bo tak właśnie nocami naszczekują psy po wsiach. Skądże tu pomiędzy druty zabłąkało się to wspomnienie? To wilczury w SS-obozie, te same, które co rano idą za kolumnami więźniów.

Nocą obraz obozu bardziej jeszcze jest monotony niż w ciągu dnia. Baraki są jak tekturowe modele. Całkowite ujednostajnienie, całkowite wykluczenie czynnika indywidualnego jest myślą przewodnią tego obrazu.

Wewnątrz baraków stoją prycze (nie używane w obozie kobiecym), tak zwane buksy. Zmieścić one mogą po kilkanaście osób. To tak sypiali mężczyźni. Leżąc na górnej buksie można widzieć szybki wmontowane w dach - - jedyne okna baraku — i wtedy trudno się oprzeć myśli o ludziach, żyjących tu poprzednio. Kim był człowiek, który układał się tu do snu co wieczór? Może leżał bezsennie, zapatrzonej w dym papierosa. Może ciemność

opowiadała mu o utraconym pięknie życia wolnego, które tworzył sobie dotychczas rozpędem młodzieńczej siły, zapatrzony w dalekie horyzonty przesłonięte obecnie przez wojnę. Może zasypiał z ramionami zaplecionymi pod głowę, daleki obozowi, barakom i buksie, na której brzegu leżał.

Praca kobiet polega teraz niemal wyłącznie na likwidacji obozu i budowaniu umocnień strategicznych nad Wisłą. Niewielkie grupy likwidacyjne chodzą na F.K.L. (obóz kobiecy) i inne odcinki. Czasem wśród zajęć zniemacka napotyka się ślad ludzi, którzy odeszli.

Stoją kadzie pełne wapna, piasku lub cementu. Wczoraj jeszcze schylali się tu więźniowie przegrzebując Ich zawartość łopatami.

Nad nimi brzmiał krzyk poganiacza: - Bewegt euch! (Ruszajcie się!)* Bewegt euch!

Dziś poganiacze i poganiani są już daleko.

Pozostał motorek po zachodniej stronie obozu kobiecego, który na tle krematorium i kupy piasku terkotał całą wiosną i lato tego roku. Swoim wołaniem: „tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak” odmierzał czas splatany z przygnębieniem i złudnych radości. Zastygł w bezruchu 1 ciszy. Nie widać ludzi, którzy całymi dniami wozili piasek w obrębie jego terkotu.

Stolarze zostawili skrzyneczki z narzędziami. Leżą deski świeżo przepiłowane. Stosy heblowin piętrzą się na ziemi i pozostaną do ostatnich dni. Przez szczeliny w ścianach wpadają plamki słońca i płoną jasno w skrętach heblowin. Słoneczne ciepło budzi zapach żywicy. Ucichły heble pracujące tu dawno. Ludzie, którzy odeszli stąd wczoraj, nie powrócą już.

Urządzenia kanalizacyjne — łazienki i angielskie klozety W. C., które zaczęto instalować — pozostały niewykończone, nigdzie jeszcze nie włączono wody i stoją teraz w pustych barakach wśród wielu innych ledwo zaczętych prac.

Krematoria nie dymią. Spora kolumna chodzi co rano burzyć te ponure budynki.

Grupa „krematorium” zbiera się chętnie. Biegną do niej przez nikogo nie napędzane kobiety, jedne wiedzione ciekawością i chęcią obejrzenia, drugie nadzieją znalezienia w murach kosztowności, inne wreszcie pragnieniem własnoręcznego rozbijania w gruz.

Na rampie stoją wagony, którymi wywozi się części barakowe, prycze, rulony kołder i koców, maszyny i urządzenia krematoryjne do Gross-Rosen i innych obozów koncentracyjnych.

Birkenau ma zniknąć Spomiędzy jego drutów wyprowadza się huczące tu dotychczas życie, spomiędzy jego drutów wymyka się śmierć, żeby odejść do Niemiec śladem konwojowanych z obozu do obozu ludzi.

W rozbieraniu baraków pomagają kobietom jeńcy radzieccy z ostatnich bojów. Są traktowani w sposób haniebnny, z pogwałceniem wszelkich praw jeńca wojennego. Oficerowie wysokich

czasem stopni, wychudli i głodni, pracują ciężko, ciężiej częstokroć niż inni więźniowie obozu koncentracyjnego.

Grupą najenergiczniej współpracującą przy likwidacji obozu są chłopcy z warszawskiego powstania. Nie mają oni pojęcia o uchylaniu się od pracy. Kobiety codziennie zdobywają dla nich kocioł zupy (prócz tej, którą malcy dostaną wieczorem, po powrocie do obozu męskiego) i ta porcja brukwi jest wystarczającą przyczyną, dla której co rano proszą blokowego, żeby zabrał ich do całodziennej pracy. W bloku jest ich jednak więcej, niż blokowy może zabrać, przyjeżdżają więc na zmianę. Przewożą z opustoszałego obozu sprzęt na zajęte obecnie odcinki. Mają dwa wozy, jeden wielki, drugi znacznie mniejszy, który ciągną i pchają własnoręcznie. Nazywają je, przejmując żargon obozu, rolwagami. Z niezwykłą regularnością odbywają cztery razy dziennie długą drogę: dwa razy z wozami pustyni, dwa razy z pełnymi. Przewiózłszy drewniane podłogi, maszyny do szycia, węgiel, rulony koców i kołder, wyładowują własnoręcznie z pomocą blokowego. Mijają dni jesieni. Którejś nocy spada śnieg. Ręce chłopców są codziennie czerwieniejsze z zimna, odzież ich bardziej zniszczona i numery pociemniałe na kurtkach. Gdy wchodzi do baraku czekając na zupę, otaczają piec, w którym pali się ogień. Z trudem tylko można po długim niewidzeniu rozpoznać w nich tych małych chłopców przywiezionych do obozu w sierpniu. Niedola wyżłobiła w ich rysach ślad zmęczenia, przygnębienia, starości niemal. Ich siostry i te z matek, które nie wyjechały, są w obozie cygańskim i z tymi mogą się widywać ukradkiem przez druty. (Kilku bierze swoją dodatkową porcję zupy dla menażki, żeby wieczorem podać ją matce.) Ojcowie wyjechali już dawno.

Dzieci te o nic nie proszą. W ich cichym i pełnym powściągliwości zachowaniu można tylko odgadywać niezaspokojone potrzeby, których nie mają komu powierzyć. Blade i wychudłe są ich twarze, a oczy, zwłaszcza tych większych, unikają spojrzeń dorosłych, jakby się bały, żeby nie budzić współczucia. Dolegliwości swoje umieją kryć tak, jak umieją je kryć więźniowie dorośli. Najmłodszy wśród nich ma sześć lat. Starsi chłopcy postanowili i przestrzegają tego gorliwie, że nie będzie on pracował, i na każdym kroku opiekują się nim. Czekając na zupę stają przed kotłem według wzrostu, najmłodszy na początku. Jeżeli sześciolatek zawieruszy się gdzieś wtedy właśnie, wołają na niego groźnie:

- Gdzie się tam pętasz po baraku, co? Zupa stygnie! Mikrus! Pilnuj miejsca!

Nie zdarza się, żeby nachylili menażki w stronę kotła, dopóki mały nie odejdzie wolniutko, niosąc w dwu rękach swoją miseczkę z porcją brukwi.

Po obiedzie blokowy pozwala im zostać chwilę, a dobrotliwa stara Leśniakowa myje i wyciera wszystkie ich naczynia. Chłopcy siadają w ciepłe i z cicha rozmawiają z sobą o tym, czy zupa była dobra i czy mieli w swoich porcjach ziemniaki; o tym, że może dostaną dziś dodatkowy chleb. (Ci mali więźniowie, pracujący lepiej niż dorośli, dostają mniejsze porcje.)

Okrzyk: — „Duża rolwaga! — Mała rolwaga!” oznajmia chwilę ich odjazdu. Chłopcy nawołują się nawzajem:

- Duża rolwaga! Mała rolwagaJ

Odjeżdżają. Zgięte w pół plecy, naprężone ramiona. Obok pchających kroczy sobie sześciolatek. Oczy chłopców często zatrzymują się na jego figurce, ramiona ośmio-, dziewięcio-, i dwunastoletnich opiekunów tym raźniej, tym chętniej się wysilają spełniając za niego część pracy. Spojrzenia rozjaśnione mówią wyraźnie:

— Nie dla takich praca w koncentracyjnym obozie! Czasem w wichrze zimowym drobne ręce dziecka

uchylają wrota magazynu żywnościowego — wiatr porywa drzwi, szarpie nimi wraz z chłopcem — a głosik woła donośnie:

— Papierosów nie potrzeba?

Uczą się życia obozowego mając doświadczenie z Warszawy.

Magazyn żywnościowy w czasie likwidacji ma duże ponad liczbowe rezerwy. Hitlerowcy nie spodzielali się nadejścia wojsk radzieckich — i to tak szybkiego. Byli przygotowani na dalsze trwanie w koncentracyjnym obozie. Teraz baraki pozostały puste, ale magazyny — pełne. Aufseherin Franz korzystając z końcowego zamętu, prowadzi z wielkim sprytem podwójną buchalterię. Pracownicy magazynu mają dostęp do ksiąg biurowych i widzą, że nie całą przywiezioną żywność Franz zapisuje, a z rzeczy zapisanych nie wszystko daje do kotłów. Oto przykład jednego obiadu dla obozu w okresie zimy 1944. Przed magazyn zajeżdża auto, przywożąc dodatek do zupy. Jest to 600 puszek mięsnej konserwy (około kilograma każda) i kilka beczek pełnych świeżej krwi. Franz wpisuje wszystko w rubryce „Ausgabe” (wydane)*, beczki z krwią oddaje do kuchni, konserwy od razu przez tegoż samego szofera, który je przywiózł, wysyła. Okrada w ten sposób jedyny gotowany posiłek w ciągu dnia. Opłacany przez nią szofer przyjeżdża co pewien czas do Birkenau przed ranem około trzeciej godziny i pod osłoną ciemności wywozi margarynę, konserwy, worki cukru, makaronu, grochu, mąki. Często są to dary „od więźniów dla armii”, dla SS-lagru, SS-lazaretu. Franz szybko awansuje, bywa odznaczana i swobodnie rabuje nadal.

Na wartowni ekspedycje podobne cieszą się powodzeniem. Szef głównego magazynu żywnościowego, mający obowiązek kontroli gospodarki wewnątrz poszczególnych odcinków, zdaje się niczego nie dostrzegać. Nie ma praw, które by osłoniły więźnia przed tą grabieżą. SS-man ze spokojem oświadcza, że w Berlinie na konferencjach Czerwonego Krzyża i innych międzynarodowych komitetów więźniów ma wysokie prawa, znacznie wyższe niż te, jakie ma istotnie w obozie. Toteż więźniów usiłuje wyznaczać sobie prawa sam. W okresie gdy niemal do nikogo nie przychodzą już paczki żywnościowe, pracownicy magazynu żywnościowego organizują w ilościach przekraczających ich potrzeby osobiste. W ogromnym baraku pełnym pod sam dach chleba, margaryny, cukru, mąki pozostają cztery kobiety zamknięte na kłódki; przez Franz. która wyjeżdża rowerem do Oświęcimia. W drzwiach jest szpara wielkości dłoni, przez którą wyrzucać można na zewnątrz kostki margaryny lub przez wąski lejek z tektury wysypywać cukier, mąkę, mannę. Usiłują dożywiać w ten sposób obóz,

lecz dożywanie go nie jest osiągalne. Mimo poprawy warunków w wielu dziedzinach, zachował on swe oblicze początkowe, do końca ma swoje bogate dzielnice i swoje ciemne zaułki pełne skrajnej nędzy.

Nocami nad obozem huczą eskadry. Ucho tak już do nich przywykło, że nie przerywają snu. Naloty bywają tak bliskie, że wywołują rozkaz pośpiesznego ubierania się. Nikt jednak się nie łudzi, nikt nie chce się ubierać. Pewnego wieczoru zbombardowano leżący w pobliskim sąsiedztwie SS-lager. Pracownicy, Niemki i Jugosłowianki spędzające tam swój dzień roboczy, zostały zaskoczone w chwili wymarszu do obozu. Zginęło kilkunastu Niemców, spłonął barak. Spośród kobiet-więźniów zginęła jedna Niemka. Kiedy indziej zbombardowano celnie duży schron w tymże SS-lagerze, pełen SS-manów, którzy wyginęli pod gruzami. Któregoś dnia Blockführerstuba odcinka B II b (czeskiego) obsypana została z samolotu bombami zegarowymi. To wywołuje popłoch wśród hitlerowców. Zmuszają ludzi do usuwania pocisków. Ktoś opowiada, że w nagrodę darują wolność. Po pewnym czasie obozem wstrząsa wybuch, a w dwie godziny później kobiety odnajdują za klozetami leżący na śniegu czerwony kobierzec, jakim wysłane bywają podłogi w pokojach SS-manów. W kobiercu zawinięty kadłub człowieka bez głowy, rąk i nóg, osmalony ogniem i dymem. Zwisają zeń strzępy pasiastej kurtki. Ten człowiek — nie wiadomo, kobieta czy mężczyzna — utracił życie w chwili, gdy z wielu baraków Birkenau pozostały już tylko kominy, gdy kończy się obóz, kończy się wojna, kończy się niewola. Owinięty w dywan, wyniesiony za klozety leży wśród martwej ciszy — przedmiot martwy. Wśród milionów innych jeden więcej nie powiększa liczby.

Zimą obejmuje obóz nowy komendant, nazwiskiem Krause. Twarz ze staroniemieckiego portretu, o typowo germańskich cechach. Przed rozpoczęciem urzędowania zwiedza poszczególne odcinki i bada postęp likwidacji. Zatrzymuje się przed grupą kobiet i zwraca się do towarzyszącego mu Perschela z zapytaniem, czym sobie tłumaczyć, że widzi tu czasem niskie numery. Czyżby to znaczyło, że te kobiety są już w Oświęcimiu od roku, od dwóch i dłużej?

— Jawohl, HerrKommandant. (Tak, panie komendancie)*

Krause jest oburzony. Patrzy wprost w chorobliwie rozszerzone oczy Perschela i oświadcza, że więzień w d bozie koncentracyjnym powinien żyć nie dłużej jak tygodni. Jeżeli jeszcze nie umiera, znaczy to, że się nauczył kombinować — a takiego należy wykończyć

- Verstanden? (Zrozumiano?)*

- Sicher, Herr Kommandant! (Tak jest, panie komendancie)*

Sicher, Herr Krause. Przyzna pan, że niedługo czekaliśmy, żeby zapytać, czy nie zmienił pan zdania. Czy < Imałby pan, żeby w stosunku do jeńców niemieckich trzymano się tejsze zasady?

W owej chwili staliśmy naprzeciw siebie — on, władca naszego życia, i my — efemerydy. On, jeden z tych, k h trzy wydarli naturze święte prawo rozdawania śmierci, którzy auf Befehl

zamieniają gromadę ludzi w bezużyteczny stos przedmiotów martwych, odrażających chudością piszczeli, straszących bielmem uchylonych oczu i bezgłośnym krzykiem rozwartych ust. I my, bracia poległych. My byliśmy jak galernicy, których jeden łańcuch skuwa. I widzieliśmy wszyscy, że on jest ślepy, jeżeli nie dostrzega, że niemy krzyk martwych niebezpieczniejszy bywa niż głośne wołanie żywych.

Baraki osiadły cicho w bezbrzeżnym śniegu. Lampy płonące na drutach giną w ciemności długimi rzędami świateł, które mówią patrzącemu, jak daleko stąd jeszcze mieszkają jemu podobni. Białe różańce świateł przedzielone w równych odstępach lampą czerwoną, która ostrzega: tu jest śmierć.

W cieniu ostatniego baraku stojącego najbliżej drutów brnie po głębokich zaspach samotny człowiek. Śnieg spadł świeżo, jest puszysty i grząski. Ostatnie płatki z odpływającej chmury wirują jeszcze w świetle latarni i opadają powoli. On idzie wzdłuż ściany baraku zostawiając głębokie ślady. To więzień. Wszystko jedno, czy obóz jego to Oświęcim, Gross-Rosen lub Gusen czy Dachau, Mauthausen lub Flossenburg. We wszystkich obozach dnia tego jednakowo spędzano swoją Wigilię.

Wsunąwszy ręce w kieszenie pasiastego płaszcza idzie powoli ścieżką, która tłumi jego kroki, w cieniu, który roztopia jego postać. To jego spacer wigilijny.

Na niebie, z którego wiatr zmiotł resztki chmur, widać teraz gwiazdne konstelacje rozmigotane nad przestrzenią śniegu. Więzień podnosi ku nim wzrok. Gwiazdy są ciągle te same. Wielka Niedźwiedzica, Kasjoepa, Polaris Stella, a tu Orion, który kluczami swoimi rozewrze może kiedyś bramy niewoli. Człowiek przykuty do ziemi obozu błądzi oczyma po bezmiarze światów wirujących nad jego głową. Szuka wzroku swych bliskich w umówionych gwiazdozbiorach nie wiedząc, czy oczy, które mają patrzeć równocześnie, są jeszcze żywe czy martwe.

Żona jego jest więźniem tak jak on, brat zginął w powstaniu, rodzice, jeśli żyją, daremnie może pisują do niego na poprzedni adres. Ich listy wracają zapewne z dopiskami: Auf neue Adresse warten! On im adresu wysłać nie może, bo nie wie, dokąd rzucił ich los, gdy w grupie starców odłączono ich od powstańców warszawskich.

Wiatr porwał garść śnieżnego pyłu i pognał go przed siebie. Kilka płatków padło na usta więźnia i stopiło się na nich w chwili, gdy wymawiał szeptem imię najbliższe.

Bezbrzeżne jest niebo i liczne na nim gwiazdozbiory. Pod którym z nich, samotny więźniu-rozbitku, odnajdziesz to, coś utracił?

STYCZEŃ 1945

Jedynym sprzymierzeńcem więźnia będącego u kresu sił jest czas, postępujący z nim krok w krok. Drugiego stycznia można sobie powiedzieć:

— Jeszcze trzysta sześćdziesiąt trzy dni do końca roku.

Lecz trzeciego pozostaje już tylko trzysta sześćdziesiąt dwa. Dni są teraz słoneczne, mroźne i bardziej podobne do siebie niż noce, które się różnią snami. Dni są białe i ciche. Gdy silniejszy wiatr wpada między baraki, słychać lekkie dzwonięcie gongu, który drży na sznurze stukając o słup. Droga wzdłuż pojedynczego rzędu baraków odcinka „a” (męskiej kwarantanny wstępnej) idzie kobieta w pasiaku niosąc na ramieniu deskę. Jest znużona. Nogi współtowarzyszek mocniejsze niż jej własne odbiegły ją i pozostawiły na drodze, którą idzie w zamyśleniu.

Są już na świecie ludzie wolni, od których wojna odeszła — a droga więźnia niezmienna: od świtu do południa i od południa do apelu wieczornego na przestrzeni kilometra. Kilometr na północ z pustymi rękami, obwisłymi wzdłuż postaci, kilometr na południe z deską na ramieniu. Myśl idzie prosto i daleko jest od obozowej drogi, po której chodzi się tylko na przestrzeni kilometra.

Kobieta rozwiera drzwi baraku czwartego i staje w jego wejściu. Tu spędzali pierwsze cztery tygodnie mężczyźni, których przywożono do Birkenau. Tu przechodzili okres najcięższej nędzy, tu najdotkliwiej ssał Ich głód. Na prawo widać wnękę, w której dzielono chleb, gruba bariera z kutego żelaza odgradza ją od reszty bloku. Bardzo głodni byli, głód pchał ich naprzód niepowstrzymanie, skoro takie bariery pozakładano przeciwko nim w miejscu dzielenia chleba. Zapora nie pękła pod ich naciskiem, odeszli stąd, odjechali albo zmarli, barak jest pusty, prycze puste. Wiatr przegania po dachu garście suchego śniegu, upaja się w ciszy swoim pełnym świstem, przesypuje z końca w koniec i cichnie.

Coś nie pozwala postąpić naprzód, jakby stał tu tłum, jakby z głębi prycz patrzyły ludzkie oczy, oczy głodne — i smutne — i zrozpaczone. W pamięci zjawia się jakieś wspomnienie, opowieść zdarzenia, które tu właśnie miało miejsce. Było to na dolnej buksie. Chory na czerwone człowieka i jego zdrowy współtowarzysz — wśród wielu innych. Chory leży — nie jęcząc, nie dając znaku życia. Jest z nim bardzo źle, obozowy Durchfall wyrwał z niego siły. Nic nie je, powinien być na ścisłej diecie, jeśli ma żyć. — Młody więzień kraje cieniutko kilka kromek chleba i postanawia z nich zrobić suchary. Puka do pokoju blokowego i grzecznie pyta, czy mógłby je ususzyć na piecyku. Blokowy zgodził się i więzień pełen radości przykłada kromki chleba do rozpalonych drzwiczek przytrzymując je patykiem i za chwilę ma już z nich chrupiące suchary. Odwołany przez kogoś blokowy odchodzi w głąb baraku, chłopak zostaje w pokoju sam i kończy suszyć ostatnią kromkę. Wrota skrzypią, rozlegają się kroki z zewnątrz, słychać obcy głos mówiący po niemiecku. Młody więzień błyskawicznie wepchnął gotowe suchary za koszulę, na piecyku pozostała tylko jedyna kromka. W drzwiach stanął Lager—Altester.

— Was machst du denn da? Ha?! (Cóż ty tutaj robisz?) *

Chłopiec nie mówi biegle po niemiecku, bezradnie pokazuje na suszącą się kromkę i w tej chwili pada pod ciosem pięści wymierzonym w twarz. Zerwał się natychmiast. Może zbyt żywe były jego ruchy, bo dopiero teraz Lager-Altester pokazał, co potrafi.

Kopnięciem raz jeszcze przewrócił chłopca, kopnięciem pozbawił go czapki, kopnięciem wyrzucił za drzwi i kopiąc toczył go po ziemi wzdłuż całego baraku aż do końca, do tylnych drzwi. Tam stał blokowy i dowiedział się, że ten muzułman był „so frech” *, iż suszył chleb w pokoju blokowego.

- Ja mu pozwoliłem.
- Ach, so? Also weg! Du, bioder Hund! (Ach tak? A więc precz! Ty, bezczelny psie)*

Kopnął go jeszcze raz, po czym odszedł. Teraz chłopiec nie mógł już tak rażno się zerwać. Wsparł się na rękach, trwał tak chwilę na czworakach, wreszcie wstał. Bał się iść na poszukiwanie czapki. Obejrzał się tylko w stronę, gdzie odszedł Lager-Altester z blokowym, a potem rozpiął szybko koszulę i wsunął dłoń. Suszony chleb był wszystkim, pokruszył się tylko trochę. Ścisnął go w ręce, uśmiechnął się i poszedł powoli do chorego kolegi. Tenże sam Lager-Altester w trzy dni później zwichnął sobie rękę i wył z bólu. Ten sam chłopiec patrzył na to i wahał się. Aż wreszcie podszedł doń szybko i jednym fachowym chwytem nastawił rękę funkcyjnego.

W podzięce Lager-Altester uważał za właściwe przemówić do muzułmana:

- Bist du Pole? (Jesteś Polakiem?)*
- Jawohl. (Tak jest)*
- Wer hat dir das gemacht? (— Kto ci to zrobił)* — spytał patrząc na podsinione oczy i porozcinane policzki.
- Sie.(Pan) *

Tak było. Nowy podmuch wiatru bije w barak wstrząsając jego dachem. Nie, nikt nie patrzy z głębi prycz. Jest pusto. Na deskach ponad legowiskami widać napisy wyryte gwoździem, nożem, rzadziej ołówkiem. Wiatr gwizdże w szczelinach.

Kobieta pochyla się, podejmuje swą deskę i zginając się pod ciężarem, którego nie może donieść nigdy i nigdy się pozbyć, wychodzi z baraku.

W dawnym obozie kobiecym, tak jak i na innych odcinkach, po raz pierwszy śnieg leży nieznaczony żadnymi śladami. Przypomina ludzi, których stopy nie odbiły się już na nim. W ciszy, jaka tu teraz panuje, słychać metaliczny głos fabryk Śląska. Widać przez druty przestrzenie śnieżne rozległych wokół obozu pól. Cisza, upojna cisza szumi w uszach i dzwoni dokoła. Jest dziwna, nowa radość w swobodnym chodzeniu pomiędzy barakami, z których nie wyjdą władze. Przez szparę zamkniętego bloku dziesiątego widać kilka stojących tam limuzyn. To dziś nie budzi nadziei. Nie budzi jej nic. Powracające z pracy kobiety od kilku dni konwojowane są przez Niemców niosących karabiny wymierzone do strzału. Taki jest nowy rozkaz. To również nie powoduje żadnych domysłów. Wczoraj wysłano z obozu

ostatnią grupę niemowląt pod opieką pielęgniarek, które nie odgadują, że drogi w kierunku Łodzi, którymi rzekomo mają jechać, są już zajęte przez Armię Radziecką.

Jest siedemnasty stycznia. Na niebie rozpały się szkarłatne zorze, w których blasku chmury przybierają żywe, fantastyczne kształty. Wysoko nad drutami wznosi się oblana czerwienią sylwetka wieży wartowniczej. Pod nią przechodzą kobiety mijając pchających wozy małych chłopców. Ludzie powracają z pracy i łakną spoczynku. Ktoś przyniósł wczorajszą gazetę, w której Niemcy piszą, że nie spodziewali się ofensywy rosyjskiej o tej porze roku, lecz że mimo to nie będą zaskoczeni. Wprawdzie czterdzieści dywizyj Czerwonej Armii stoi „in Łysa Góra”, a przypuszczalnie drugie tyle za Wisłą...

O, jodłowe lasy! O, lasy krwią od lat pojone. Z waszą wizją w oczach, z waszym poszumem nad głową układa się do snu więzień nie przeczuwając, że jutro o tej porze będzie daleko od Oświęcimia. Dziś po raz ostatni przelicza swój rok niewoli.

— Jeszcze trzysta czterdzieści osiem dni.

W głębi baraku na poziomym piecu siedzi góralka ze Szczawnicy, Zachwiej owa, która przyjechała do Oświęcimia wiosną 1942 r. z siódmym tysiącem kobiet. (Teraz liczba kobiet zarejestrowanych w obozie osiągnęła już sto trzydzieści tysięcy). Zachwiejowa ma przed sobą karty. Płonący ogarek świecy oświetla jej rosłą postać i naznaczoną bólem twarz matki, która wszystkich synów straciła na wojnie. Jej dłoń spracowana i pokaleczona, owinięta brudną szmatą, wznosi się nad rozłożonymi kartami, wzrok usiłuje odgadnąć ukrytą treść jutra. Otaczają gromadka kobiet:

— Powiedz, co się stanie z nami za miesiąc, jeżeli jeszcze będziemy żyć?

—Schrecklich! Die Baracken stehen in Ruhe, so wie eln Todeslager. (Strasne! Baraki stoją w ciszy, jak obóz umarłych.)*

Wiatr dmie w pustce przesypując garście śniegu po dachach baraków, skrzypiąc ich deskami, szarpiąc zawarte wrota, z gwizdem przeciągłym leci przez puste prycze i szczeliny, dzwoni na drutach, przebiega drogi. Wiatr gwizdże na jeden jeszcze generalny apel. W ciszy rozwierają się wrota opustoszałych baraków, z pustych legowisk wychodzą na drogę kolumny pasiastych postaci, szarobiałe jak pasma mgły, i zajmują miejsca. Na każdej piędzi ziemi stoi człowiek, od drutów do drutów jest ich pełno, stoją na drodze pomiędzy obozami, na trasie krematoryjnej i na rampie. A ciągle jeszcze idą nowi. Ocean ludzkich głów szarzejących barwą popiołu w nocnej ciemności pokrywa Oświęcim, Birkenau i okolicę. Generalny apel martwych. Wiatr zagwizdał raz jeszcze nad krematoriami, uderzył z impetem w tarcze gongów i ucichł.

Pozbawieni mowy stoją w milczeniu ludzie, których życie przerwano w połowie.

Stoją piątki, setki, tysiące i setki tysięcy.

Pięćmilionowe miasto. Miasto nieruchome, martwe, ciche.

Niepewni swej przyszłości, nieliczni w opustoszałym obozie zasypiają więźniowie. Baraki pełne ludzi stoją obok baraków pustych. Pełniąca tej nocy służbę Auf-seherin Meyer wstrząsając się nerwowo patrzy w uciszone miasto obozów i mówi z lękiem:

EPILOG

Noc. Po raz ostatni odbyła się tajna narada funkcyjnych. W ciszy spowitej śniegiem słychać pośpieszne kroki, tupoty, szepty. Więzień słyszy i pewien jest, że śni, że to zjawiał mu się w halucynacji obraz po wiele-kroć marzony za dni sierpnia, gdy nocny wymarsz był oczekiwany.

Lecz nie. Przez drzwi pokoju blokowej sączy się szparą światło i słychać głos mówiący w podnieceniu:

— Pod karą śmierci nie wolno powtórzyć więźniom. Dziś o czwartej rano nastąpi wymarsz. Jest pierwsza.

...Jest pierwsza. Przyszła więc ta noc oczekiwana tak bardzo. W sąsiednim obozie słychać głosy, widać migotanie świateł.

Co to? Czyżby stolarze biegli przeciąć druty? Czy elektrycy wyłączyli prąd? Nie. Jest cisza. Nad śnieżną przestrzenią jarzą się lampy elektryczne, wpatrzone w pas ziemi pod drutami. Powietrze przesiąknięte jest ciszą zmarłych, którzy tu pozostaną.

Od bloku do bloku idzie budzący głos, mówiąc nad głową każdego ze śpiących:

— Zbudź się! Wstawaj!

Schyla się nad śladami stóp zakrzepłymi w stwardniałej ziemi i do każdego z nich woła:

— Zbudź się! Wstawaj!

Kłęką na polu krematoryjnym i przysuwa usta do ziemi pokrytej popiołem:

— Zbudź się! Wstawaj!

Nie wstaną ci, którzy padli. Z pięciomilionowego miasta wyjdzie dziś garstka, wyjdzie dwadzieścia tysięcy.

Otwierają się bramy. Jest świt. Z bochenkiem lagrowego chleba i torbą na plecach wychodzą nędzarze na ostatni, najcięższy etap swej wędrówki.

Nie wiedzą, że jest to chwila, gdy odzyskują swe obywatelstwo. Nie zgadują, że drogami, polami i lasami uciekają Niemcy.

Nie domyślają się, że Kielce, Radom, Częstochowa, Warszawa są już wolne.

Nie wiedzą, że należałoby w dzwony uderzyć na triumf..

Druty okalające obóz dzwonią cicho na pożegnanie żywym, którzy opuszczają miasto umarłych.

Góry niebieską wstążką wygięte nad śnieżną przestrzenią witają więźnia, który teraz ma się do nich przybliżyć.

Cały dzień rozwarta jest brama, cały dzień wychodzą piątki. Wieczorem Birkenau jest ciemne, płoną tylko ogniska, w które rzucono Todesmeldungi i inne papiery biura ewidencji oraz wydziału politycznego. Perschel z butlą nafty w rękach podnieca płomienie. Engster rzuca okrzyk za odchodzącymi:

— Nach Gross-Rosen zu Fussl Zwei hundert tiinfzig Kilometer. (Do Gross-Rosen piechotą! Dwieście pięćdziesiąt kilometrów.)*

Jest droga szeroka i długa, prosto ze wschodu na zachód ku Pszczynie biegnąca. Tędy idzie od świtu pochód więźniów. Zapada zmierzch. Przydrożne wierzby, akacje i graby wydłużają się alejami cieni leżących na śniegu, bezlistne swe konary wyciągają do więźniów, jakby ich chciały powstrzymać w wędrówce.

Niejedną już utuliły postać, co padła znacząc śnieg strumyczkiem krwi. Kładą na niej jak całun pogrzebowy swój gęsty cień i ciszę przedwieczornego zasluchania.

Mrok gęstnieje. A im bardziej staje się nieprzejrzysty, tym częściej rozlega się na końcu pochodu strzał odbity echem dalekim pszczyńskich lasów — i znów człowiek pada na śnieg, by przytulić doń twarz w ostatnim westchnieniu. Kopnięty nogą SS-mana leży na skraju rowu z oczyma uchylonymi i wpatrzonymi w drogę, którą odchodzą inni.

Ci, którzy idą w szeregach, czują na sobie wzrok ginących towarzyszy. Nie wiedzą, na którym kilometrze wypadnie im paść również.

Gwiazda Polarna zabłysła na niebie, Wielki Wóz objeżdża ją z wolna dokoła, księżyc wstał nad lasem. Cisza kojąca nad światem.

Tylko po śląskiej drodze z chrzęstem śniegu idą tysiące nóg. Na północy — może tam, gdzie Wrocław — wybuchają rakiety, powietrze drga światłami, słysząc detonacje. To odchodząca wojna wznosi swoje ostatnie toasty.

Ziemia tętni tam, dokąd zmierza pochód więźniów.

A tu cicho śpi Śląsk zatopiony w śniegach. Pachnie dymem i chlebem z przydrożnych chat.

Ale nie patrz w tamtą stronę, idący więźniu. Za tobą sunie trupia czaszka i gotów do strzału karabin. Ty musisz iść naprzód.

Gdy wpędzą cię na nocleg do pustej stodoły lub do ciepłego chlewu, gdy nagarniesz na swoje mokre nogi garść siana, wtedy w sekrecie przed wszystkimi pozwolisz płynąć łzom radości, że leżysz tu, w pobliżu ludzi wolnych.

Czarna jest nocą droga pomiędzy pszczyńskimi lasami. W ciemności odróżnić trudno sylwetki konwojowanych od sylwetek SS-manów z konwoju. Jednak jest rytm ich marszu, jednak wysiłek, jakby wiodła ich zgoda. Czasem tylko poprzez drzewa wyjrzy księżyc i oświetlili na zgiętych plecach więźnia czerwoną pręgę, na plecach SS-mana karabin.

Dokąd idziecie w ciemną noc ramię przy ramieniu — ty z karabinem i ty — z piętnem czerwonym na plecach? Dokąd idziecie ty, człowiek wolny — i ty, jego wróg.

Droga szeroka, lecz nie mieścicie się na niej. Bo więzień wędruje do ojczyzny. To nic, że droga długa.

Może ucieknie na którymś postoju spod twego karabiu, klęknie wśród nocy w szczerym polu, w śniegi głębokie zagrzebie swój strój pasiasty i numer, a polem kryjąc się przed Niemcami pójdzie przez Śląsk. Ten Śląsk, który służąc w niemieckim wojsku i Volks-Hturmie przyjmuje uciekiniera z obozu koncentracyjnego i serce gorące, śląskie serce ściele mu pod nogi goszcząc wszystkim, co w domu ma najlepszego, i układając na spoczynek w wyprawnej pościeli przygotowanej na ślub najstarszej z córek.

A może pójdzie dalej drogą znaczoną trupami; pojedzie wagonem, w którym zamarzną mu nogi, zobaczy Wrocław, Gross-Rosen, Berlin, Oranienburg, Ravens-bruck, Neustadt-Glewe.

Może będzie się skradał nocą obok posterunków żandarmerii prosząc świętego Rocha, żeby uspił psy śląskie. Może pójdzie przez mosty podminowane mijając pozycje niemieckie, ciągle bliżej frontu.

A może stojąc całą noc u wrót w Ravensbriick po pięciu dobach spędzonych w odkrytym wagonie będzie jadł śnieg marząc o łyku wody.

Może będzie wędrował dziesięć dni mijając śląskie wsie i miasta zajęte jeszcze przez Niemców, gdzie mu śmierć nieraz zajrzy w oczy, aż stanie w obliczu gór, do których tęsknił zza drutów, a spojrzawszy z bliska na granatowy kolos pokryty borem usłyszy w szumie świerków słowo swoboda i uczuje żal za tymi, którzy tu już nigdy nie przyjdą.

Droga jest prosta. Idzie wsłuchany w głos ziemi, w której tętnią serca braci, co padli w walce. Kierowany ich wolą idzie spełniać pracę ich ramion, które zostały pozbawione czynu. Idzie sadzić drzewa na miejscu wypalonych lasów, idzie budować radość w zasmuconych oczach dzieci, idzie budować biały dom w tym kraju tragicznym, przez który co pewien czas przetacza się milionowy tang, miażdżąc gniazda.

A dokąd idziesz ty — człowiek z karabinem? 18 lipca 1945

